

De. II. 1.

TOM CCLI

ROK 63

SERYA 9

ZESZYT 751

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

M A J.

1903.

TOM II. — ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

—
1903.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO. Z powodu wydania „Traktatu o Trójcy“ Zygmunta Krasińskiego (poprzedzone Listem do przyjaciela), — przez Adama Krasińskiego	205
2. ZABIEGI DYPLOMATYCZNE POLSKIE. 1830—1831, — przez prof. Szymona Askenazego	244
3. AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg)	274
4. SPRAWNOŚĆ PRZEMYSŁOWA KRÓLESTWA POLSKIEGO, — przez Henryka Radziszewskiego	296
5. M. MAETERLINCK JAKO MORALISTA, — przez Wł. Jabłonowskiego	317
6. KRÓLEWSKI UNIwersYTET WARSZAWSKI. (1817—1831). Zarys historyczny, — przez d-ra Szelię	337
7. ROZMAITOŚCI: „Mazepa“ Słowackiego, — przez W. Nehringa	364
8. PIŚMIENNICTWO: <i>Aleksander Kraushar</i> : Barss, palestrant warszawski, jego misja polityczna we Francji (1793 — 1809), ze źródeł archiwalnych, 1903, — przez A. R.	392
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Reforma zarządu miast w Królestwie Polskiem. — Opieka nad umysłowo chorymi. — Groby przedhistoryczne w okolicach Nałęczowa. — Jak rozwijają się u nas Towarzystwa pożyczkowo oszczędnościowe? — Szkoła sztuk pięknych w Warszawie. — Towarzystwo muzyczne w roku 1902. — Ś. p. Eustachy ks. Sanguszko. — Ś. p. Witold Marczewski. — Półmilionowy zapis na cele dobroczynne	399
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	414



De. II. 1.

DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO.

Z POWODU WYDANIA „TRAKTATU O TRÓJCY“ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

LIST DO PRZYJACIELA.

Mój drogi! Wychodzi „Ojczyzna“, wychodzi „Trójca“, to jest, powiedzmy raczej, że wydaję „Trójcę“. Pytasz mnie, czy nie godziłoby się dać słowa wstępnego do myśli Zygmunta Krasińskiego. Nietylko godzi się — ale trzeba. Sądziłbym, że trzeba więcej jeszcze: trzeba opracować myśl tę i wybadać łącznie jej z pokrewnymi kierunkami współczesnych, poznać i wykazać, jak się filozofia autora „Trójcy“ i „Psalmów“ poczęła i rozbudowała; a praca taka pożytecznąby była i dobrą. Wolalbym przecie, gdyby ktoś inny — nie ja — studyum takie napisał, nie chcę bowiem być Dziada mojego komentatorem i ty to uczucie zrozumiesz. Droga dziś, gdy ostatni nieznanym utworze wydany, gdy listy do Reeve'a znane, a niezadługo inne ważne korespondencye ujrzą światło dnia — droga dziś otwarta i oznaczona wyraźnie. Imiona tych, którzy młodą myśl a genialną wprowadzili na filozoficzne szlaki, widnieją jasno: Lamennais, Ballanche, Fr. Schlegel dla czasów genewskich — później Schubert, Schelling, Hegel, wreszcie najbardziej zbliżony, najsilniej zbratany, August Cieszkowski.

Skoro jednak „Trójcę“ wydaję, i to wydanie na czasie być miemam, uczynię zadość twojej radzie i krótkie napiszę wprowadzenie, niech służy za pierwszy palik znaczący, niech da zachętę ku poważniejszej pracy, gruntowniejszym studjom krytycznym i porównaw-

czym, które przyjsć winny. U nas to pole filozoficzne mało ruszane; rzadkie pługi odwalają skiby.

A teraz zapytujesz dalej o stanowisko autora „Trójcy“ wobec Kościoła. Otóż wiesz, i wszyscy wiemy, jakie gorące, szczere i w gruncie katolickie było uczucie i pojmowanie Zygmunta Krasińskiego. Więcej — cała nasza religijno - moralna historyozofia z czasów po roku 1830 tym duchem najszlachetniejszym ludzkim i miłością Boga ożywiona. I Mickiewicz w prelekcjach i „Księgach pielgrzymstwa“, i mój Dziad w „Przedświcie“ i „Psalmach“, i Cieszkowski w „Prolegomenach“ i „Ojczenaszu“ i Towiański wreszcie, ten najmniej ścisły, najbardziej mistyczny i „illuminowany“ umysł, wierzą, nadzieję mają i miłują w szczerości i zapale serdecznym, a Cieszkowski i Krasiński wiarę swą wypowiadają głęboko rozumnymi i szeroko rozumowanemi słowy.

Religijność ich prawdziwą i szczytną jest, intencya czystą, dużą, miłującą, dlatego czytanie i poznawanie pism tych podnosić może jeno Ducha i krzepić zaprawdę, tem bardziej dziś, gdy tyle zwątpienia i goryczy między ludzi czas sieje.

Ale jeżeli spytamy się w sumieniu o prawowierność spełną z Nauką Kościoła, a zapytanie takie nasuwa się koniecznie, musimy stwierdzić, że są w zapatrywaniach ich i myślach sprzeczności z dogmatem, które ku heterodoksi wieść mogą. Dlatego prawem Kościoła jest sądzić o ich dziełach. I jeżeli z Kościołem uznamy, że są tam błędy herezyi, wierzymy, że to herezye czystego serca i uniesionego myśla, która wyteżyła się ku Prawdzie i ludzkiej swej nadto zawierzyła mocy.

Oni się za synów Kościoła poczytywali zawsze, oni zrywać nie chcieli z katolickiem poczuciem, oni nam jasne „*Sursum corda*“ wołali, sądząc, że widzą dalej i lepiej, i pragnąc nam swe nadzieje przybliżyć. Dlatego miejmy serce i patrzmy w serce, i sądzmy ich wyobrażenia, jako ludzkie z ludzką wyrozumiałością i czcią prawdziwą, a nie będziemy sami w błąd wprowadzeni.

Ich błąd główny w tem był, że zapomnieli o przyrodzonym prawie ciała, o tem, że *omnis corporis natura est in corruptibilitate*. Tu się począł pewien protestantyzm ich Ducha. Bowiem uznając wewnętrzną związ ponad zewnętrznemi łączniami

w Kościele za wystarczającą, umniejszyć mogli do tyła kształtu widomego Łaski, iżby niedomagало nasze przyrodzenie.

Błąd ten przewalczyło jasne i czyste sumienie Krasińskiego — i nie mniej jasne i czyste Cieszkowskiego... Autor „Trójcy“ żądał wprost sądu Kościoła nad swą myślą; autor „Ojczenasza“ nie wydał dzieła swego, nie chcąc, by kamieniem obrazu być mogło, co chciał, aby było kamieniem budowy, a powierzając wydanie synowi, prosił i zalecał, aby baczył na czasy i na prawdy świadectwo.

Nie zapominajmy tu, że przyszli oni w świecie w czas, gdy dyskutowano gorąco zasadę nieomyślności, i trwał spór o wyższość Soboru nad Papieżem.

To tłumaczy częste odwoływanie się do przyszłości o świadectwo Prawdy, a przyszłość ta zdawała się blizką, nadchodzącą.

Zasada atoli przed, czy po utwierdzeniu Dogmatu, jest dla Kościoła tą samą. Jest nią zaś związek widomy w posłuszeństwie. Inaczej rozpada się Kościół. Umysły głębokie, nawskroś religijne, serca prawe do głębi, mogą stworzyć swoje wyznawanie, które, acz nie kościelne zgoła, będzie przecież arcychrześcijańskim i na drodze doskonałości. Ale przeto właśnie, że prawem przyrodzenia naszego jest owa *corruptibilitas corporis*, to co w umyśle wysokim a uczciwym urodzi się pięknem i prawdą, nie będzie ani prawdą, ani pięknem mniej wartego, niższego umysłu. Czyli, że, jak to tak arcyprawdziwie w Fauscie powiedziane: „Dem Herrlichsten, was auch der Geist empfangen, drängt immer fremd und fremder Stoff sich an“ — i to drugie: „Was ihr den Geist der Zeiten nennt, das ist im Grund der Herrn eigner Geist“ — i to trzecie wreszcie, to najstraszniejsze, rzucone przez Ducha ziemi Faustowi w odpowiedzi: „Du gleichst dem Geist, den du begreifst, nicht mir!“. Na tem się cały protestantyzm rozbija. Któryż z wysokich owych, szczerych, heretyckich Duchów miał następców, którzyby myśl jego w tej samej czystości na tej samej pojęli wyżynie? Nie! tu w myśli ludzkiej zbyt często wszystko *desinit in piscem*, jeżeli nie *in serpentem*, człowiek bowiem natychmiast wnosi swoje myśli, sądy zrodzone dziś i wczoraj, temperament i namiętno-

ści, i stawia im ołtarze, człowiek psuje i rozkłada myśl, toczy gorzej od czerwia — toczy straszliwie!

Przeniesienie zatem związku kościelnej na wewnętrzną jedynie łącznię, na ludzkie sumienie u nielicznych jedynie będzie zbudowaniem religijnem, u najliczniejszych — nie religio, spójnią, ale dis-jectio, rozrzuceniem. Byłoby zatem niewielu sprawiedliwych, a rzesza w rozkładzie, *multitudo appetens, nec ab insolenti laetitia nec tristitia temperata*.

I rację ma stary Fischer ¹⁾, gdy mówi, że pojmuje taką wiarę dla filozofów i ludzi myśli ²⁾, ale nie pojmuje takiego Kościoła, że Kościół musi mieć silne spójnie i multitudinem sequentium, a ci, którzy poza Kościołem, żyją wysoką kulturą moralną. Na kulturę taką składały się przecież nie tylko praca człowieka, ale praca pokoleń, które przed nim znów w Kościele żyły. Jest ona rośliną, hodowaną pieczołowicie, ale myśl jej, prawidłem świata i prawidłem rzeszy uczyniona, nie kształci podobnie rzeszy, lecz daje jej poczucie samowoli. Dojrzała Ludzkość — jaka daleka jeszcze, jaka odległa wizya rzeczy!!...

Dla ludzi, póki trwa cielesności prawo, trwa Kościół, a jest on nie tylko najpewniejszą drogą, ale skoro w czuwanie nad nim i opiekę Bożą wierzymy, najprawdziwszą. Patrzmy na protestantyzm w ciągłym różniczkowaniu się — pod kłętą nieubłaganą zasady tłómaczenia autonomistycznego Pisma, prowadzącej do „*quot capita, tot sensus*“. Patrzmy na Bibel i Babel współczesne.

Jeżeli jakieś spełniejsze przyjść ma Objawienie, to dziełem będzie Bożego Ducha. Zbawiciel nie przyszedł, gdy świat najbardziej ku Niemu wyszlachetniał, ale kiedy najbardziej potrzeba było światłości — a przyszedł, i „swoi go nie przyjęli“. I Duch Święty, jeżeli ma Łaską opromienić Ludzkość, przyjdzie, gdy czasy potrzeby nadejdą, a naprzekór Hegłowskiej myśli, nie zdaje się Ludzkość dążyć „siedmiomilowemi butami“ ku szczęściu i zrozu-

¹⁾ Kuno Fischer na jednym ze swych wykładów w Heidelbergu.

²⁾ Porównajmy przysłowie łacińskie: „*Quod licet Jovi...*“, tak w tym względzie prawdziwe.

mieniu prawdy, dobra i celu swego, ale umie drapieżnieć. Nie pięknieje tak, jak spodziewanie się było; mój drogi,iedzmy to, czytając filozofów.

I jeszcze jedno, czego przeoczyć nie trzeba. Pisma naszych myślicieli religijnych powstały prawie wszystkie w epoce po roku 1830. Pamiętajmy na przewodnie hasła, na cały nastrój, jaki niósł i wywoływał po wojnach Napoleońskich Fichte mowami swemi do narodu niemieckiego, jaki potężniej jeszcze obudził Hegel Ideą o Duchu przewodnim w Ludzkości, a który to Duch w myśli filozofa germańskim i teutońskim jest.

Nasza filozofia religijna podobny ma podkład i kierunek. Jeżeli nie z całą wiedzą i świadomem przedsięwzięciem, to w głębokim swem poczuciu i dążeniu pisali ją ludzie, pragnący krajowi przyczynić siły myśli. Wszyscy oni spodziewają się, marzą i wierzą, że w naszej narodowości pocznie się nowy czyn Ducha Bożego, że nam to dane będzie wprowadzić w świat Myśl wielką i zbawienną dla świata. Jest to nastrój, a nastrój bardzo zrozumiały i do wytłómaczenia łatwy, tak zrozumiały, jak bieg myśli Fichtego, Schlegla i Hegla.

Jest bowiem w człowieku daleko więcej człowieka, niż wie o tem i widzi.

A tem tłómaczą się słowa Zygmunta Krasieńskiego, gdy pisze w „Traktacie o Trójcy“: że z łona narodu naszego wstanie Dzień Ducha Świętego; tem tłómaczą się dzieje całego naszego Messyjanizmu.

Poznawajmy je, kształćmy myśli na tych wysokich, szlachetnych, pięknych wzorach, ale sądząc serdecznem uczuciem i czcią głęboką, nie zapominajmy o sędzie rozwagi, która ma prawo, patrząc po latach, wypowiedzieć swe zdanie w poczuciu silnem, że:

A micus Plato, amicus Aristoteles, sed magis amica Veritas.

DZIEŃ DUCHA ŚWIĘTEGO.

Z POWODU WYDANIA „TRAKTATU O TRÓJCY“ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

I.

5. Albowiem Jan chrzczył wodą, a wy będziecie chrzczeni Duchem Świętym po niewielu tych dni.
6. A tak, którzy się byli zeszli, pytali Go, mówiąc: Pannie, zali w tym czasie przywrócisz królestwo Izraelowi?
7. I rzekł do nich: Nie wasza rzecz jest znać czasy i chwile, które Ojciec w Swej władzy położył.

(Dzieje Apostolskie, Rozdział I).

Jeżeli pojrzymy myślą wstecz na pierwsze wieki Chrześcijaństwa, na wieki wyczekiwania, stanie przed nami obraz czasów, w których żywa wiara wciąż spodziewała się potężnego a niedalekiego cudu, ziszczenia Chrystusowej zapowiedzi Zstąpienia na świat w chwale, w prawdziwej sprawiedliwości i mocy.

Królestwo Boże na ziemi, Jeruzalem nowe, uwielbione nie odległą jakąś nadzieją duszy, ale spodziewaniem się nieustawającym było, a Pan Ukrzyżowany odszedł jeno, by za maluczko powrócić i rozradować świat. Wiara ta w jakąś wielką, chwalebłą przemianę rzeczy rozrastała się porówny w myśli prostaczków, którym powrót Mistrza, zwycięstwo i tryumf niosącego, zdawał się nagrodą za poniesione cierpienia, koniecznem a obiecaniem dopełnieniem cudów Jego żywota, jak i w umysłach głębszych, dla nauki Chrystusowej pozyskanych, a zaspokojenia żądnych, — większej jeszcze, spełniejszej treści Objawienia pragnących, a przeto ufnych w Objawienia tego Wzrost w obliczu czasów.

Dla umysłów tych przewodnią była wiara świętego Pawła, porównie jak myśl czwartej Ewangelii i natchnienie Apokalipsy.

Jest bowiem w Pismach tych założona nadzieja uwielbienia Chrystusowego posłannictwa przez Ducha Świętego, jako Żywot i po-

słannictwo Syna Bożego uwielbieniem było Ojca, który jest w Niebiesiach.

Jeżeli w Apokalipsie Samotnika z Patmos przebija raczej mesyańska nadzieja w zwycięstwo i panowanie Boże, — w listach Apostoła i w Ewangelii św. Jana jaśnieje pojęcie łączni między Stworzeniem a Stwórcą w Duchu, a stąd już nadzieja nie zwycięstwa Boga jedynie, ale zwycięstwa z Bogiem i w Bogu, przez nieustanne wznoszenie się ku Niemu. Wiara to uduchowiona, zwiastująca już nie jednostronny cud Bożej potęgi, ale wszechstronne działanie Ducha, który sobie za mieszkanie obrał porównie Wszechświat, jak serca nasze, i który nie tylko pozwala nam, ale wzywa nas do coraz doskonalszego prawdy poznawania. Wiara, pełna wolności, i dostojęstwo niesłychane dająca — współdziałania woli Bożej, współpracownictwa niejako w winnicy Pańskiej, wiara, poczęta ze słów Zbawiciela, że służba Bogu „w duchu i prawdzie“ oddawaną być winna. Z niej zaś szła potrzeba poznawania i zgłębiania prawdy objawionej myślą, o której Paweł święty mówi, że wszystko bada, „nawet głębinę bóstwa“, i ufność, że danem z czasem będzie ludziom poznać wszelką chwałę Pańską.

„A my wszyscy“, — powiada Apostoł Narodów, — „którzy z odkrytem obliczem na chwałę Pańską, jako w oblicze, patrzymy — w tenże obraz będziemy przemienieni z chwały w chwałę, jako od Ducha Pańskiego“ (II Kor. III, 18).

Było owo spodziewanie silne a żywe — u jednych, że Ludzkość doczeka się niebawem nowej godziny cudu, u drugich, że, dojrzejąc ku niemu, osiągnie dalsze zbliżenie i uświęcenie się w Łasce.

Tą zaś miało być przyjście Ducha Świętego, dzień Pocieszyciela — Parakleta. Nastanie dnia tego, jak wierzone, byłoby Zielonemi Świątkami Ludzkości, niosąc powszechne powołanie ku chwale, o której mówi Apostoł.

Tak w zawiązku samym chrześcijańskiej społeczności poczęła się już dalsza nadzieja, i odtąd przez ciąg wieków widzimy ją i poznajemy to wzbierającą, pełną mocy żywej, to cichnącą jakoby, nigdy zgoła nie zagubioną — nadzieję nowej wiosny — spełnego Objawienia.

Wierzenia w objawienie to, spełne przyjściem Ducha Świętego, w trzecią a wieczystą Ewangelię, mają dzieje długie, pełne niezwykłych natchnień.

Gdy przeszły najpierwsze czasy, krwią męczenników zroszone, płonem wyznawców bogate, wyczekiwanie spełnienia rychłego prze-

powiedni powrotu Zbawiciela przygasać poczynało powoli. Świat chrześcijański, budując podwaliny kościelnej organizacyi, podejmując pracę skupiania szeroko rozrzuconej rzeszy wiernych, zajął się przede wszystkim ujęciem w dogmat tego, co dokonaniem już było, dzieła Syna Bożego. Myśli wszystkie zwróciły się ku poznaniu Chrystusowego posłannictwa, spory wszystkie poszły o Bóstwa Chrystusowego pojęcie. Stąd walka o pochodzenie „Słowa“, o naturę Boską i Ludzką, o wolę, stąd Monofizyzm, Monotelityzm, stanowisko Aryusza, przeczące rzeczywistości ludzkiej natury, Doketyzm, uznający tylko pozór cielesności w Chrystusie, i szereg innych herezyi, o dogmat Chrystusowy zaczepiających.

Pojęcie Trójcy i Ducha Świętego, jako spełniającego Tróję, zgłębić siliła się podówczas Gnoza mistyczna, od perskich mytów idąca i na zepsutej platońskiej nauce wyrosła — Gnoza Basilidesa, a zwłaszcza Valentina, w drugim chrześcijańskim wieku przybierając myśli Objawienia. Nauka o emanacyach Istoty Bożej, Istoty, która, ukryta i niepoznana zrazu, jest, jak *m i l c z e n i e* (σχη), lub jako *przepaść*, aż z łona tajni nie pocznie na jaw wyprowadzać i objawiać Moce swe — najprzód myśl (λόγος - νοῦς) i dalsze potęgi, zwane u Basilidesa *Archontami*, u Valentina — *Eonami*, Duchami objawiającymi, których imię wspólne: *Πλήρωμα* — spełnienie. A myśl człowiecza i dusza, poznawając je, łączy się przez nie i spływa w Jedność Bóstwa. Gnoza — myśl o spełnianiu się Boga i posłannictwie stworzenia, Sabellius z wiarą w Troistość Bogów, a nie Boga w Trójcy — oto uderzenia w tarczę, zwieszoną u Świątyni, uderzenia o dźwięku, rozbrzmiewającym chwilę, milknącym zasię na długo.

Dokonawszy utrwalenia dogmatu o Zbawicielu, mogły umyśli w Kościele dogmat o Duchu równie usilnie chcieć przybliżyć pragnieniu. Ale dogmat był nie w dokonanych dziejach, lecz w *słowach obietnicy* i trudnym do ujęcia w czasy, a czasy były nie dające myśli ciszy, ani miłości. Nastąpiły srogie dni na świat, i przelamał zalew barbarzyńców obwarowania imperyum.

Święty Augustyn patrzy na upadek cywilizacyi łacińskiej. Pod ciosami obuchów i młotów kamiennych pryska marmur rzeźbiony, trzaskają hebany, sadzone kością słońsiową. Ma się zaiste pod koniec starożytnemu światu, nowy zaś staje przed obliczem przerażonych Rzymian i Bizantynów, jako straszliwy pustoszeniem i mocą.

Myśl, rozwijająca się w Kościele, zanika na długo po wielkim biskupie na Zachodzie, na Wschodzie wyczerpuje się w ciągłych a zawistnych sporach. Wszędzie przyciśniona, wszędzie barbarzyńców złąkniona pochodem, chroni się do monasterów i pustelni.

Tam snuje się myśl o przyszłości, tam rodzi się mistyka średnio-wieczna.

Już w Augustynie świętym czujemy technicznie jej w księdze: „De Civitate Dei”. Położenie świata, na które patrzył, wypełnia serce człowieka smutkiem, serce chrześciana lękiem o losy ludzkości. Słyszy stąpienia Antychrysta i głosy Aniołów Apokalipsy. W księdze „De Civitate” żyją już zapowiedzie Millennium, dokonywającego czasu roku tysięcznego, w którym przełamie się moc Nieprzyjaciela Prawdy. Zamkną się wówczas epoki świata, których liczy Augustyn święty sześć zbieżnych ku siódmej, wieczyście szczęśliwej — S a b b a t o w i c h w a ł y.

Kościół Piotrowy, walczący, Kościół Wiary, dnia tego ustąpi przed zwycięskim Kościołem poznania i pojęcia, Kościołem, według słów świętego Jana, Ojczyzną wieczną, wobec której czas dzisiejszy pielgrzymowaniem jeno (patrz „De Civitate Dei” XX i XXII. In Joann. Evangel. Tract. 36, 124).

Millenium, oczekiwane w obawie chrześcijańskiego świata, sekty, którą ta obawa zrodziła (Chiliazm), mniej porywały umysły przy zbliżaniu się tysięcznego roku, niż w czasach, w których żył Wielki Święty Pisarz. Uspokoily się fale wędrówek narodów, padło rzymskie imperyum zachodnie, poczynają się średniowieczne Włochy.

Ale idea najgłębsza, myśl przemiany w Kościele i rozkwitnięcia nowej społeczności pokoju i wesela nie zanika, przeciwnie, wiara, że nam przeznaczoną i obiecaną, rozwija się dalej. Jeno odpada straszny apokaliptyczny okrąg przerażeń, koniec dziejów, złączony z końcem dotychczasowych rzeczy, a budzi się myśl, tłómacząca przemianę życia bez wstrząśnięcia posadami świata, myśl koniecznego p r z e o b r a ż e n i a życia.

I u autora księgi „De Civitate” nie powiedziano wreszcie, aby ziemia, jako świat materialny, zginąć miała w zniszczeniu, a przejście ono przez upadek i Antychrysta jest końcem jeno jednej doby w Ludzkości.

Inaczej przecie głosi ewolucję dziejową Jan Erigena (Johannes Scotus Erigena), mnich szkocki i mistrz w nadwornej szkole paryskiej za czasów Karola Łysego (850 po Chr.). Nie tyle objawienie z Patmos, ile czwarta Ewangelia jest mu rękojmią zakładniczą i przeważną, na której oprze swoje wierzące domysły. Ale i chrześcijański Testament nie był jedynie Jana Skota skarbnicą.

Myśl, budująca myśli, poszła już nawrotnie ku opuszczonej, odrzuconej po zwycięstwie nad pogaństwem filozofii starożytnej. I Johannes Scotus odkrywa i objawia ponownie Neoplatonczyków. Już w szóstym wieku powstawały dzieła mistyczne, przepojone porównie

chrześcijaństwem, jak platonizmem — dzieła przypisywane Dyonizemu Areopagicie, Ateńczykowi i uczniowi Apostoła Pawła. Erigena tłumaczy je na łacinę.

Neoplatonizm w ostatnich swych przedstawicielach, zwłaszcza w Proklusie (412 — 485) zbliżył się niezwykle do Chrześcijaństwa. Nie przypadkiem i nie bez powodu. Wyznawcy Krzyża przełamali pogaństwo wiarą, nadzieją, miłością. Pogaństwu nie zbywało rozumu, zbywało silnej, niezachwianej wiary, a za nią tamtych cnót, które rozbudowują czasy. O tę wiarę wołało ginące. Usiłowali przyczynić jej Neoplatonicy. Nieśli misterya i ascetyzm, nie mieli Ducha wyznawców. Byli przecież pomiędzy nimi ludzie miary niezwyklej, jak płomienny, religijny i ekstatyczny Plotinus, jak Porfirius, umysł najbardziej ścisły, najbardziej filozoficzny wśród następców mistrza, autor dzieła przeciw Chrześcijaństwu (*κατὰ τῶν χριστιανῶν*), której to książki dla niszczenia i nieubłaganych wyroków śladu nie zostało, — jak wreszcie Jamblichos i Proklus, którzy z całą świadomością ratować pragnęli upadające wiary starożytnego świata, — i za całe pogaństwo walcząc, całą jego duszę pojąć chcieli. Asceta, świadom wszelakich Bóstwa tajemnic, wystąpił Proklus, jako arcykapłan umierających obrządków i stróż gasnącej myśli helleńskiej.

Jest w nauce Proklusa przejęta od Plotina teoria *E m a n a c y i*. Wyraził ją Proklus myślą, że w każdym zjawisku i objawieniu są trzy momenta. *Z t r w a j ą c e g o* rodzi się *p o w s t a ć m a j ą c e* i wraca ku źródłu swojemu. Nowozrodzone jest częścią dawnego, a więc w dawnym już było zawarte, a skoro rozdzieli się, to przeto znowu, że częścią jest prawdziwą i przynależną — skłonne do całości powrócić. Tak wszędzie z Bytu wypływa Byt nowy, zrazu odrodzony od pierwotnego, następnie ku niemu dążący. Trzy więc momenta nazwać można *T r w a n i e m*, *P o s t ę p e m* i *N a w r o t e m* (*Μωή. Πρόδος* i *Ἐπιστροφή*). W tym systemie Trójce (Tryad) zawarł Neoplatonczyk myśl o Żywocie świata. Z Bytu bowiem, powiada, Życie powstaje, trzecią z kolei jest *D u c h - M y ś l* (u Plotina Byt i Myśl — jedyne antytezy).

To postawienie zasady troistości, Trójca neoplatońska, sięga może ku indyjskiej *T r i m u r t i* (Brahma — Visznu — Sivali), powstałej jako wiara ustalona religijnie nie wcześniej prawdopodobnie, jak w czasach późniejszej Mahabharaty. Plotin znał Myty Indyjskie i był na granicy Indyi podczas wyprawy cesarza Gordyana (244 po Chr.). Proklus zaś zwał siebie sam Hierofantem całego świata. Ale prawdopodobniej jeszcze, niż myt indyjski, lub Egipskie wierzenia w Bóstwa troiste (Osiris — Isis — Horus — trójca Tebańska i inne), jest w nauce tej myśl zmierzenia się z dogmatem chrześcijańskim.

Włączenie bowiem odrębnych kultów w Trimurti, jako jedno wyznaniowe pojęcie, jest próbą pogodzenia trzech odrębnych w sobie bramańskich religii, w których i ponad którymi króluje prastara nauka o Wszech-Duchu („Brahman“). Jest w połączeniu tych kultów, w przyodzianiu w szatę jednolitą, chęć wyrównania różnic narodowych przez jedność wyznania. Wiara wyprowadzać każe wówczas z pierwiastku wspólnego „Brahmę“, istotę czynu (raja), „Visznu“, ożywiająca i zachowująca moc przez dobroć (Satva), „Sivę“, siłę zniszczenia przez ciemności („Sama“).

W rzeczywistości religie te zachowały swoje oblicze odmienne i Trimurti zbudowana na wyrównaniu różnych — nie na rozwoju jednego pojęcia. Nie można więc poczytać troistości za wewnętrzną przyrodzoną myśl religii Bramańskiej, ale raczej za czyn religijny kapłanów i monarchów, dążących do zjednoczenia państwowego (patrz Jean Lahore: „Histoire de la litterature Hindoue“, Paris, 1888. Charpentier, str. 196).

A oto jeden z hymnów sivańskich, z czasów unifikacji religijnej, pieśń Mahimna Stava, a raczej wstęp z niej, poświęcony troistości.

„A um — to słowo niezmiennego kształtu, przez trzy głoski wyraz trzech ksiąg Vedy (Big — Yajur i Sama), trzech stanów duszy: jawy, snu i marzenia — trzech światów: nieba, ziemi i czeluści — trzech Bogów samych: Brahma, Visznu, Siva, symbol zarazem czwartego kształtu twego Jestestwa — jedna Trójco.

„Dźwiękiem krótkim dwóch głosek w sylabie jednej ogłasza Boga-Opiekuna, że jest on zarazem wszystkim i każdą z części swoich!.

.

„Bądź uwielbion, Ty, któryś tak blisko, Boże drogi! Bądź uwielbion Ty, któryś najmniejszą istotą (atomem), niszcycielem miłości. Bądź uwielbion Ty, który największym jesteś, niezmiernym (przeustrzenia). Bądź uwielbion Ty, który najdawniejszym i odwiecznym, Bóg o trzech oczach! Bądź uwielbion Ty, któryś wszystkim! Bądź uwielbion Ty, któryś poza wszystkim i który wszystko obejmujesz!“ (Mahimna Stava, *ibid.*, str. 329).

Neoplatonizm nie sięgnął tedy ku Indyi po misteryum troistości, raczej je z Gnozy Perskiej i z Egiptu przynosił, prawdopodobnie przecie przeciwstawił pojęcie to, filozoficznie rozwinięte, chrześcijańskiej a pozytywnej idei, w której Bóg Ojciec jest tym, który jest, Syu Boży, jednorodzony od Ojca, a Duch Święty, od obydwóch Osób Bożych pochodząc, łączy i spełnia Trójcę Świętą.

Atoli chrześcijańska wiara nie jest teorią emanacyjną w neoplatońskim znaczeniu, a nie jest przez zachowanie r ó w n o ś c i i w i e c z n o ś c i w Osobach Bożych, gdy filozofia, przeciwnie, oparła dzieje bóstwa na emanacji, lub na ewolucyjnym postępie, na przejawach, rozwieleniających Boga s a m e g o w s o b i e. Rozwój, niemożliwy w Bogu, możliwym jest przecie w pojmowaniu Go przez nas coraz to doskonalszem. Chrześcijański więc umysł musiał przenieść ewolucyę z dziejów Boga na dzieje myśli o Nim, na dzieje świata. W tem dziejów świata epoki rozróznione i pojęte.

Ten pierwiastek rozwoju stosuje Scotus Erigena do terażniejszości i przyszłości Chrześcijaństwa. Lecz i tu niebezpieczeństwo błędu, — niebezpieczeństwo, na które nie baczył magister paryski, gdy twierdził zniesienie nowego Testamentu i Kościoła przez wyższe a bezpośrednie obcowanie z Bogiem.

Uczy Scotus o dziejach, że dzielą się na szereg epok — zaczem idzie za Augustynem świętym. Epoki wiąże w trzy wielkie Okresy, trzy kapłaństwa przedstawiające. Kapłaństwo Starego Testamentu małą li tylko część prawdy pojąć zdołało, pogrążone w cieniu tajemnic; Nowy Testament rozjaśnił tajemnic tych słowa, ale niezupełnie—w trzecim okresie dopiero oglądać Boga twarzą w twarz będziemy. Czas pierwszy pod prawem przyrodzonym był, następny pod prawem Łaski, trzeci będzie Królestwem Bożem. W pierwszym Arka przymierza stanowiła rękojmię obietnic Bożych, ucieleśnioną, w drugim symbole widoczne Sakramentów, w ostatnim wejda dusze w związek bezpośredni z Duchem Świętym. Kościół więc Nowego Testamentu jest jedynie obrazem wiekuistego Kościoła. Czas przyjscia nowego ślubu ludzkości z Bogiem nadchodzi. Królestwo Boże i Kościół wiekuisty się zbliża. Widzi Erigena zapowiedzi tej chwili, ale ją widzi zawsze w przyszłości dopiero na przełomie — nie na skończeniu czasów. Aliści duszom wybranym — tym, którzy wzniesli się pragnieniem ku niebu (in primitiis contemplationis), już tu oczekiwanie zapowiada dostęp do Trzeciego Objawienia — do Kościoła Ducha (*L'Italie Mystique par Emile Gebhart. Paris*). Ta myśl bieży ku pojęciu, które zrodziło protestantyzm.

Prawdą bowiem, że wzniesić się duchem ku Bogu dano wybranym tak dalece, iż poznawają więcej i lepiej od innych tajemnice Pańskie. Prawdą, że każdemu przystęp ten dozwolony i otwarty, i kaźden może pragnąć i być świętym. Ale łamie się prawda, gdy twierdzimy, że kto pożąda, ten posiada, i gdy w imię obcowania wprost z Bogiem odwracamy się od Kościoła. Tu początek i pierwias-

tek samowoli i rozłamu ze społecznością wiernych — Scotus Erigena stanął na granicy błędu — i nie zatrzymał się.

Dalej poszedł jeszcze i ściślej określił myśli szkockiego mnicha, trzy wieki po nim żyjący, Amalryk z Chartres. Nie nadchodzące, ale nadeszłe już czasy Ducha Świętego obwieścił i osądził dwie wielkie epoki świata za przeżyte. Według słów jego, panowanie Ojca zamknięte w Starym Zakonie, prawa i przepis Mojżeszowy zniósł Zakon Chrystusa, a temu Zakonowi zasię już koniec, i odtąd rozpoczyna się Wiek Ducha Świętego. Ojciec, w osobie Abrahama ucieleśnion, Syn, narodzony z Dziewicy Maryi, Duch Święty przecie codziennie w każdym z nas się rodzi. Dotąd trwały rządy Synowskie, rządy Ducha poczynają się i trwać będą aż do skończenia czasów. A to jest najwyższem prawem, trzecim i ostatecznym Testamentem (*D'Argenté* „*Collectio Judiciorum*“, 1204 — 1210).

Takiej nauki i tak w zapewnienie, a więcej, niż w zapewnienie, w pewność obróconej nadziei, w pewność i wiarę, że otwarta jest księga czasów i wypisane na niej godziny, nie mógł Kościół uprawnić i uświęcić. Nauka ta zniszczyłaby wprost chrześcijański ustrój religii. Łączenie bowiem wewnętrznej duchowej treści w Sakramentach wiązała zewnętrzne w porządku władzy duchownej musiałyby w tej religijnej przemianie rozluźnić się i rozpaść zgoła. Religia, oparta przedewszystkiem na głębokiem zrozumieniu ludzkiej naszej natury, stawałaby się jakimś wyznaniem Aniołów, skoroby jej odjęto to piętno krwi i ciała, piętno ludzkości, jakie jest w chrześcijaństwie. A na to ludzkość winna być zgoła inną, przestającą w przyrodzeniu. Ogłoszenie tedy nowej, dogmatycznej pewności o Zakonie Ducha, potępić musiał Kościół — jak nie uznał był nauki, o wiele mniej kategorycznej, Jana Szkota Erigeny.

Dziwnie przecie budzą się te pragnienia i krzewią niezależnie od siebie, a w różnych umysłach, na różnych krańcach ówczesnego świata. Dawne nadzieje nie usnęły na wieki, wraca się ufność, że coś — coś wielkiego nadejdzie jeszcze, że w łonie czasów spoczywają zapowiedziane czyny Boże. Przeciwnik pojęć neoplatońskich o idealizmie, przeciwnik Erigeny, słynny Abelard, ma wiarę w moc myśli rozjaśniającą i odkrywać żadną oblicze Prawdy. Abelard, idąc za św. Pawłem, wyznaje swobodę ducha, badającego wszystko, nawet „głębiny Bóstwa“. Ale wolność tę stanowiąc prawem i podstawą jedyną, przestępuje znowuż stanowisko Kościoła ku zupełnemu racjonalizmowi. W tem łącznia Abelardowej myśli z kierunkiem Erigeny i Amalryka. Jeżeli sprawiedliwie rzecz można z Abelardem „*cum profectu intelligentiae caritatis accenditur flamma*“ (*Theologia Christiana*, 456), to pod warunkiem, że „*Intelligentia*“ nie przypisuje sobie wy-

rokowania w najwyższej i niezawisłej instancji. Tu znów spotyka się herezya na rozdrożu z wyznawaniem Kościoła. Stanowiska wiary w sumieniu i wiary w posłuszeństwie, wiary w uczuciu i wiary w uczynkach. I zapytać przychodzi: gdzie granica sumienia, jako miłości Bożej a miłości własnej? gdzie moment, w którym nieoglądanie się na nic, prócz na sumienie, znaczy zawierzenie sobie, woli, wyobraźni, illuzji, pragnieniu, rozumowi ludzkiemu?

Jakoż Abelard i następca jego Arnold z Brescii, nie stoją na drodze Kościoła. Zwalczali zapatrywania ich bezwzględnie Bernard święty — koncylium w Sens wypowiedziało się przeciw nauczycielowi i uczniowi.

Osądził Kościół błąd, polegający na zatarciu i nieuznaniu granicy między badaniem a wyrokowaniem w rzeczach wiary, między myślą, tajemnicę Bóstwa wypatrującą, a zdaniem, głoszącem tajemnic tych objawienie. Osądził nieliczenie się z przyrodzeniem ludzkim, z tem, że tysiączne myśli z sądu ludzkiego się rodzą, z tem, że nie masz w nas prawdy, nie subiektywnie, nie rozmaicie pojętej, błąd, który sprawia, że religia albo być musi silnym i widomym powiązana splotem, albo przestaje być wspólnym wyznawaniem i rozpada się, i atomizuje bez końca.

Erigena, Amalryk, Abelard, Arnold z Brescii, myśliciele o prawdzie a głosiciele herezyi, duchy niepomiarkowane a pragnące, zapatrzone w przyszłość, wszyscy oni wypowiedzieli nadzieję ukojenia i pocieszenia ludzkości przez miłościwe Boże lato, wszyscy oni oczekiwali, ufając, a oczekując, obiecywali. O ile wyżsi i szlachetniejsi od zapamiętałych, od walczących o znamiona Bóstwa mnichów bizantyńskich, lub zbrojnych w formułki późniejszych scholastyków łacińskich.

Ale oto najznamienitszy wśród Duchów tych, ujmujący cichą błogością żywota, opat świątobliwy, ten, o którym Dante mówi: „il calavrese abbate Giovacchino di spirito profetico dotato“ — Joachim de Flore (1132 — 1202). Mnich pustelnik, w ustroniach górskich w Pietralata i we Flore w Kalabryi rozważał teksta Pisma i, jak z kwiatów pszczoła, osiąść pożył słodczy, przejrzyć i pojąć wszystko, co napisane, aby zakryte jasnym było i stało się ludziom ku radości. Trzy najważniejsze dzieła, jakie pozostawił: „Liber concordiae novi ac veteris Testamenti“ (Venetiis, 1519), „Expositio in Apocalipsin“ i „Psalterium decem Chordarum“ (Venetiis, 1527).

W celi swej przestawał z księgą Izajasza i świętym Janem, i dyktował swym uczniom braciszkom, u kolan siedzącym, widzenia i proroctwa, jakimi się jego dusza mistyczna poila. Dobroci i miło-

sierdza wielkiego, serca cichego w życiu, w pismach swych jest Joachim dziwnych rzeczy objawicielem, któremu dano patrzeć na Przerazające — i dano się spodziewać Radosnych. W Nocy Wielkocnocnej roku 1200 miał swe widzenie wielkie o przyszłości chrześcijaństwa. Idźmy za myślą Joachima.

Głosi wieczystą Ewangelię i przepowiada ją w przekonaniu i wierze. Ewangelię, przez którą Duch Święty wejdzie do dziejów Kościoła, jak Ojciec i jako Syn weszli. To jest wejdzie w zrozumieniu u wiernych i poznaniu prawdziwym. Wejdzie przez swoją Ewangelię. Anioł w Apokalipsie ją niesie, a jest ta Ewangelia wieczystą, tą, która od Chrystusa ku Duchowi Świętemu idzie, tą, która z Ducha jest, a nie z litery.

Ale nie będzie to, jak chcieli Scotus i Amalryk, z niesieniem chrześcijaństwa przez Nowy Zakon, ale, przeciwnie, w wyższym, i Zakon Ducha, jak myśl z litery, z Chrystusowego wykwitnie Objawienia.

A więc nie Objawienie nowe, lecz poznanie lepsze i zgłębienie Chrześcijaństwa. Jest to, jak pustelnik z Flory powiada, „duchowa Ewangelia Chrystusa“, „Ewangelia Królestwa Bożego“ (Evangelium Regni), w której nie będzie żadnej przysłony na obliczu Prawdy („a nie jako Mojżesz, który kładł zasłonę na oblicze swoje, aby synowie izraelscy nie patrzyli na twarz jego, co zniszczyć miała“) — (św. Paweł, II Kor., III, 13).

Kształt zewnętrzny przechowanych w Kościele darów przemienie może, Sakramenta mogą się co do formy swej zmienić, treść ich duchowa pozostanie przecież nietknięta. Ludzkość, z jasności w jasność dążąc, będzie widzieć i pojmować chwałę Bożą, jak dotąd zdolną nie była. Ludzkość dopiero w Ewangelii wiecznej odrodzi się na prawdę w Jezusie Chrystusie. Ten rozwój jest w myśli Joachimowej niewątpliwym i koniecznym. Rękojmią są mu czasy przeszłe, postępowo odkrywające Prawdę Bożą — porządek dwóch Objawień. Trzecia dopełniająca godzina nadejść musi w wymiarze czasów. Tu zbliża się wiara Joachima do myśli Jana Szkota. W „Concordii“ swojej dochodzi pustelnik świątobliwy praw tego wymiaru, porównywając osoby obydwóch Testamentów i zestawiając następstwa wydarzeń. Pierwszy okres, w którym ludzie według ciała żyli, idzie od Adama do Chrystusa — w drugim, gdzie życie waży się między cielesnością a duchowością, poczynają się wieki od Ozyasza i Elizeusza, i trwają do czasów, w których pisana księga. Trzeci rozpoczął się od świętego Benedykta, a ma trwać do skończenia wieków.

Okresom tym odpowiadają godności życia, z tych w Starym Testamencie najwyższą Patryarchów, w Nowym kapłańska,

w dobie łaski spełnej Ducha widzi Joachim godność tę w zakonnikach, których Ojcem nazywa świętego Benedykta. I jasnowiedzenia dziejów jak w tęczę splatają się tu z przecuciem Szkota Erigeny i wiarą Augustyna świętego. Oto jak je widzi Joachim: „Czas pierwszy — czasem był poznawania, drugi czasem rozumu, trzeci zaś pełną wiedzą będzie. Pierwszy niewolniczem posłuszeństwem, drugi poddaniem się synowskiem, trzeci wolnością. Pierwszy był próbą, drugi czynem, trzeci kontemplacją. Pierwszy bojaźnią, drugi wiarą, trzeci będzie miłością. Pierwszy wiekiem niewolników, drugi synów, trzeci przyjaciół. Pierwszy wiekiem starców, drugi młodzieńców, trzeci dzieci. Pierwszy za światła gwiazd, drugi w brzasku, trzeci w słońcu. Pierwszy zimą był, drugi wiosny początkiem, trzeci latem. Pierwszy dał pokrzywy, drugi róże, trzeci da lilie. Pierwszy dał trawę, drugi kłosa, trzeci da pszenicę; pierwszy dał wodę, drugi wino, trzeci przyniesie oliwę. Pierwszy odnosi się do Septuagesimy, drugi do Quadragesimy, trzeci świętem Paschy będzie. Pierwszy tedy odnosi się do Ojca, który jest wszechrzeczy Stwórcą, drugi do Syna, który raczył w nasze ciało się oblec, trzeci będzie wiekiem Ducha Świętego, o którym Apostoł powiada: „tam, gdzie jest Duch Pański, jest wolność“ (Concordia, lib. V, cap. 84).

Widzimy tu łączność nadziei, z tych samych źródeł przejętej, z listów Pawła świętego, z Ewangelii świętego Jana, Apokalipsy i Proroków. Z Erigeną wspólnem mu uczucie, że przez kontemplacje dusze wznoszą się ku pojęciu Ducha — i wyraźniej jeszcze i więcej mieści w Królestwie Ducha tych, którzy się oderwali od ziemskich zamysłów — zakonne i pustelnicze powołania.

Świat przeobrażony i uświęcony, życie najchwalebniej pojęte — to dla opata z Flory świat zakonników. I ziemię całą pragnąłby widzieć w cichym żywocie klasztornym. Tak mu się przedstawia, taką czuje przyszłość ów mistyk włoski, który marzy o uwielbieniu Chrześcijaństwa wieczystą Ewangelią.

A tę Ewangelię, to zrozumienie lepsze, serdeczne i uduchowione Chrystusowego Zakonu, rozniosą zakonnicy po wszech krańcach ziemi, nawracając do niej i „zatwardziona Synagogę“, i „ludy pogańskie nienawistne“.

Nie osądził Kościół zapowiedzi Joachima za kacerskie, i różnicę w poczytaniu między nim a Amalrykiem i Szkotem uczynił. Nie jest bowiem Ewangelia wieczna ani Nowym Zakonem, ani trzeciem Objawieniem. Jest tłómaczeniem i odczuciem Objawień. Księgą nie jest, która zastąpi dawne prawa, ale rozjaśni je pragnie przez podniesienie ducha. Nie wnosi nowego porządku, ani też dawnego nie znosi,

widzi jedynie przyrost duchowych mocy, które zapanują nad literą i uświęcą działanie Kościoła. Jest wreszcie apoteozą niejako zakonnego życia. Joachim de Flore poddał swe dzieła pod sąd Kościołowi. Papież: Lucyusz III-ci, Urban III-ci i Klemens III-ci, błogosławili pracom pustelnika, a gdy w pięćdziesiąt lat po śmierci autora pismom jego zarzucono kacerstwa, trybunał teologiczny w Anagni zbadał je szczegółowo i błędu w nich nie poczytał (1254 r.). Ale kacerzem uznano tego, który się myśli Joachimowej tknął niepowściągliwie i ku herezyi poprowadził — komentatora pism opata z Flore, Gerarda de Borgo San Donnino. Mówiąc o wiecznej Ewangelii, żadnej przecie z ksiąg swoich mianem tem nie nazwał Joachim. Uczynił to dopiero mistrz Gerard, ogłaszając w Paryżu, w roku 1254, swój wstęp: „Introductorius in Evangelium aeternum“. I tu widoczna, jak nadzieje prorocze i przekonanie zbożne, ujęte w prawo i zamienione na dogmat, łatwo przedzierzga się w herezyę. Wiara pustelnika kabbaryjskiego nie jest przeciw Kościołowi i odszczepieństwem nie nazwana. Nie nazwał jej przeto Kościół dogmatem — można ją przyjąć, można się jej przeciwieć. Ale, posunięta do ostatnich konsekwencji, zamieniona znów w „literę“, skryztałizowana w prawo, traci ducha prawdy, przestaje być prawowierną. Gdyż Kościół dozwala wierzyć, że w niej jest prawda, nie zaś, że cała prawdą jest ona.

Gerard de Borgo San Donnino posunął się na to stanowisko i stanął w rzędzie heretyków. Przypisując bowiem dziełom opata Joachima wszelką prawdę, uznał je, jako księgi nowego Objawienia, a tem samem uznał, że Stary i Nowy Testament zakończyły dwie epoki minione, a Duch Pisma świętego przemówił w tym trzecim Testamencie. Przeto stworzył Gerard teorię trzech Ksiąg świętych (Tria sacra Volumina — Triplex Littera), Joachimowe *tłómaczenie* podniósł do godności Objawienia, w którym Duch Święty nowy Kościół zakłada i nowe daje przymierze, przekraczające prawo Chrystusowe, jak Chrystus przekroczył i zastąpił prawo Starego Zakonu. Idealne chrześcijaństwo mistyków zakonnych, które było treścią Joachimowej Ewangelii, pojmuje Gerard jako społeczność bratnią żyjących poza symbolami i poza sakramentami Kościoła, a w łączni Ducha Świętego. I tu, równając się z Amalrykiem i z Erigeną, mistrz Gerard, absolutny, radykalny, bezwzględny, wnosi przewrót w myśl chrześcijańską. Joachim przypuszczał możliwość przemiany zewnętrznych form kultu przez rozrost Ducha, ale rozważał przyszłość, a nie naruszał teraźniejszości. Życie miało prowadzić Kościół ku coraz to wyższym i doskonalszym stopniom, myśl zakonna była pierwszym tego postępu założeniem; u Gerarda zaś teraźniejszość kościelna ginać musiała i ustąpić niechybnie przed

nowem życiem wolności w Duchu. Oto różnica wyobrażeń, różnica, która decydowała o herezyi. Gerard de Borgo San Donnino stoi na stanowisku najdalej idącej rewolucyi, jaką myśl religijna kiedykolwiek przechodziła w chrześcijaństwie (patrz E. Gebhart: „Italie mystique“, str. 260).

Wyznanie, jakie głosi, byłoby zeprzeczeniem wszelkiego widomego religijnego związku, jakąś anarchią duchów niesłychaną i zupełną, lub jakąś wiarą anielską. O ile ideał, według myśli opata Joachima, ścieśniał społeczeństwo do zakonnych form życia zastąpieniem miłości czynnej, ewangelicznej, przez miłość kontemplacyi, utopia Gerarda prowadziła konsekwentnie do rozprzężenia religijnego życia według samowoli wyobrażeń i samowoli pragnień wierzących.

Na granicy, na wstępie drogi tej, stało wielkie odrodzenie zakonne jakie wniósł w Ojczyznę swą włoską, a za nią w świat cały, Franciszek, święty. Ale powołanie serdeczne Franciszkanów, zrywające z klastralnym i zamkniętym światem *beatae solitudinis solius beatitudinis* cenobitów, a ogarniające miłością i poświęceniem nędzę człowieka, nie rozerwało przecież zwięzi kościelnej, węzłów posłuszeństwa nie zniszczyło. Wielki święty założyciel szedł, głosząc chrześcijaństwo czynów, budził ludzi do trudu i ku nowej wiosnie prowadził. Duch Franciszkański był duchem wolności. Ale Święty Pański strzegł prawa jedności i jednolitości i wierzeń swych i pragnień gorących; wielkości, obejmującej całą ziemię cierpienia, nie usunął od posłuszeństwa, nie przeciwstawił władzy Kościoła.

Wierzenia w zapowiedzi czasów i przyjście Parakletowe miały atoli w Franciszkańskiej rodzinie chętnych i oddanych wyznawców. Wieki średnie w poruszeniu umysłów ku życiu świętemu garnęły się ku tej myśli z zapalem, a poczet przedstawicieli jej liczniejszy znacznie, niż imiona, które tutaj wspominałem.

W pobieżnym zarysie pragnąłem tylko wskazać na najważniejsze. Nie będę też mówił o herezyi Wiktorynów, o Braciach Wolnego Ducha, o Katarach i Waldensach, ani o świętego Bonawentury wizerzeniach, ani o mistrzu Eckarcie i mistryce niemieckiej. Nie dzieje myśli samej, ani rozwój jej, ani dzieje ludzi opowiadam, lecz jedynie chcę wskazać, gdzie się poczęły wiary, które, zmienione i przerobione rozumowo, weszły w skład filozoficznych pojęć ubiegłego stulecia. Chcę wskazać, jak odbiły się i odnalazły w idealizmie po-kantejskim, skąd je zaczerpnął, gdzie je poznał i przejął się nimi zarówno autor „Psalmów“ i „Trójcy“, jak autor „Ojczenasza“, przez których myśl owa do polskiej przechodzi filozofii.

II.

Trzynasty wiek w zaraniu lat swoich wydał bujny plon wiary mistycznej i gorących nadziei, z chrześcijańskiego spodziewania się poczętych — u schyłku swego gasić te wiary miał i odbiegać od nich ku nowym wyobrażeniom, nowym kolejom myśli.

Od połowy wieku tego zamierać poczynają widzenia i przywidzenia w czasów powołanie mistyczne, — aby się później, po długich dziejach, w innej zgoła obudzić postaci.

Scholastyka filozoficzna, księgi Arystotelesa, wnoszą do Kościoła inny kierunek myśli, wnoszą logikę dyalektyczną, rozmowane badania. I do świata z Arystotelesem powraca rozumująca grecka umysłowość, aby obudzić żądze uspięone poznawania życia, żądze zdobywczej wiedzy. Nastaje przedświt humanizmu, zaczem nastąpi światło odrodzenia, i duch reformacji rozbudzi się wszędy, daleki od rozmyślań mistycznych, duch zamysłów, przedsięwzięć i odwagi, duch niezaspokojonej a ufnej w swe moce ludzkiej dążności ku nieznanemu jutru.

Z niego początek bierze filozofia, która opanowała nowsze dzieje, matematyczna, rozbudowana na dedukcyi ścisłej, empiryczna, z odkryć czerpiąca dowody, w ogólnem znaczeniu dogmatowi rozumu posłuszna.

Rozpoznanie praw, rozum ten kształtujących, poczyną się od królewieckiego filozofa, z Kantem też wchodzimy w najnowsze dzieje, w dobę filozofii krytycznej.

Wśród szeregu myślicieli nie było miejsca dla wierzących w rozwój konieczny Idei Bożej w ludzkiej świadomości, nie było, gdyż o rozwoju świadomości nie rozpoczęto krytycznego i zasadniczego badania ¹⁾. Zarówno bowiem Scholastyka, jak późniejsza racjonalna filozofia, nie stawia zapytania o dzieje idei, obydwie dyskutują w zakresie dogmatycznych „danych pojęć“, pierwsza pod sklepieniem kościelnej nauki o Wierze, druga, nie mniej bezwzględna, czy to gdy dowodzi *modo geometrico* kosmicznego i psychicznego ładu, jak Descartes i Spinoza, czy też gdy rozbud-

¹⁾ Wyjątek tu stanowi Mikołaj z Kuzy, a zwłaszcza Jakób Boehme o którym poniżej.

dowuje ze skąpych doświadczeń świat poznawanych pojęć, przyjmując umysłową tabulę rasam za początek i podstawę, jak angielska wiedza Bacona, Locke'go i Hobbesa, nie wyjaśniając przecież zgoła istotnej praw umysłu naszego natury.

To, co przepowiednie Pisma zawierały, mogło powrócić do myśli przewidującej i badawczej, nie już jako mistyczny, ale jawny postulat dopiero w dalszym tej myśli postępie. Ludzkie rozumowania przejąc musiały troskę o przyszłość Duchową, z chwilą gdy zasada Duchowej Ewolucyi, zasada już u Neoplatonczyków tak żywo pojęta, wracała do dziejów filozofii. A stać się to mogło dopiero w epoce po-Kantowskiej, gdy krytyki „czystego“ i „praktycznego“ rozumu skierowały umysły ku zgłębieniu własnej świadomości i postawiły ponownie Sokratyczne *ἡρώδης* *αἰσθητόν* za najpierwszy, najkonieczniejszy warunek myślenia.

Kant sam wprawdzie nie poszedł dalej poza teorię tę, a rozróżniając zasadniczo świat uświadomiony w nas zmysłami (*die in uns vorgestellte Welt*) od świata rzeczy niezawisłych (*das Ding an sich*), przeciwnie, zdawał się raz na zawsze stawiać graniczny słup umysłowi, dla możności poznania wszelkiej rzeczywistości. Ale stanowisko to Kanta musiało być przekroczonem i pojednanem zarazem z coraz to silniej stwierdzającym się prawem rozwoju rzeczy, rozrostu wszędzie w naturze kiełkującego — stopniowania i potęgowania życia, które już w myśli Leibniza widnieje, określone wprawdzie w stałej konfiguracji i unieruchomieniu pewnem, jako Harmonia przedwieczna (*praestabilirte Harmonie*) — i jako czyn Boży w *Teodycei*.

To, co w monistycznej nauce Leibniza było zaznaczone tylko i niespełne życiem, u następców Kanta, Fichtego, a zwłaszcza Schellinga i Hegla, staje się szeroko uzasadnionym systemem ewolucyi.

Tu zaś bije źródło, skąd myśl filozoficzna Zygmunta Kraszińskiego zaczerpnęła bezpośrednio podjętą do własnych badań i własnego natchnienia.

Nim przecie wykazać spróbujemy, że tak było, wspomnieć nam trzeba o dwóch ludziach głębokiej a ciekawej umysłowości, z których jeden żyje na kresie średniowiecza, drugi należy do nowszych już czasów, obadwaj przecież ze swemi czasy nie zbratani, a bliżsi religijnym objawicielom, niż spekulacji rozumowej i formalistycznej. Pierwszym z nich Nicolaus Cusanus — drugim, genialny Jakób Boehme. Mikołaj z Kuzy, żyjący w latach pontyfikatu Mikołaja V, jeden z wybitnych szermierzy teorii wyższości soboru nad Papieżem na Bazylejskiem koncylium, podobnie, jak późniejszy mu o przeszło dwa wieki Boehme, przedstawia pogląd głębokiej a samodzielnej myśli w przeciwieństwie do uczoneści i wie-

dzy, nabytej z ksiąg — pogląd *doctae ignorantiae*. W dyalogu swym, *Cochlear* nazwanym, wkłada w usta fabrykanta łyżek (stąd nazwa dyalogu) zapatrywania swe na świat, tem niezwykłe, że przedstawia w nich w rozumowej a pokrewnej Neoplatonczykom teorii prawa rozwoju dziejów. Daleki i niepodobny do współczesnych, łączący czasy Proclusa z wiekiem Joachima, a ten z czasami Schellinga, tak, jak łączy je i więcej jeszcze Boehme — Mikołaj z Kuzy wierzy i rozumuje zarazem, że Byt Boży, pierwotny i jednolity, odróżnia się i odosobnia, aby następnie powrócić i spełnić się znów — złąć się z Bożym Pierwiastkiem. W dziejach ludzkości widzi epokę religijną, wyłącznie opanowaną przez ideę Potęgi Bożej: Byt ludzkości młodzieńczej, Azyatyckiej, rajskiej. Bieg dziejów w następnej kolei zmierza ku opanowaniu przez człowieka sił przyrody, rozwielenienia się ludzkości, zagarnięcia przez nią szerokiego imperyum nad światem wokół Środkowego morza i wzrostu poczucia indywidualnego w tak zwyczajnym, poczuwającym się do swej siły, człowieku. Przeto rozłącza się człowiek z Bogiem i przeciwstawić mu poczyna siebie. Wieki idą ku temu, aby coraz wyraźniej, buntowniczo i śmieie podnieść to przeciwieństwo, aż przez wzrost wiedzy, bogactw, ziemskiej całej, ale wyłącznie ziemskiej potęgi, człowiek najdalej od Boga odbieży.

Nie może atoli ludzkość zatrzymać się na tem stanowisku. Potężne życie bezbożne smutnem i rozstrojonem się stanie, aż, uświadomiwszy ten rozbrat, ten ból oddalenia, ludzkość pocznie nawracać do Stwórcy i dążyć do zlania się z Nim — do odnalezienia Boga. Nowe ludy i nowe rasy dokonają tego czynu, cudu, a Kuzańczyk, mówiąc o ludach tych, niewątpliwie Słowiańszczyznę ma na myśli.

Zdawaćby się mogło, że przemawia słowy temi Hegel, widzący przodownictwo konieczne i powołanie Ducha w narodzie, który na czele ludzkości kroczy, a który dla Hegla ojczystym i niemieckim będzie.

Poza swój wiek, poza swe czasy wybiegł niezwykłą myślą Kuzańczyk, poza swe czasy wybiega szewc z Gorlitz i filozof, Jakób Boehme.

Genialny samouk, naiwny, instynktywny i głęboki, zbliża się ten protestant nierównie bardziej do katolickich mistyków, niż do współczesnej, na kategoriycznym zdaniu *cogito ergo sum* rozbudowanej filozofii kartezyańskiej, lub do niemniej współczesnego *Novum organon* Bakona (Boehmego *Aurora*, czyli *Zorza poranna* i inne dzieła, 1614 — 24).

Miał Boehme, jak głosi podanie, rozjaśnić w myśli swej tajemnice Boskiej Istności i natury Bożej, i rozpoznać je w dziwnym widzeniu. Świecąca w słońcu i odbijająca promienie misa cynowa dała mu pierwszą myśl o świetle, które wyszło ze siebie niejako, oddzieliło się, odbiegło i odbiło na polerowanym przedmiocie, a przecież światłem tem samym zostało. Stąd sąd o Bogu, że podobnie rozdziela się w sobie, stąd następnie pojęcie Trójcy, jedność znowu spełniającej. Tak neoplatońska emanacja powraca, nieświadomie a niezwykle w myśli Boehmego zrodzona ¹⁾).

Główne, przewodnie to u niego pojęcie. We wszystkim, w każdym życia objawie widzi i poznaje *troistość*, i w tem do Proclusa podobny świat tryadami zapełnia. A troistość ta tkwi we wszystkim nie jako oderwane wyobrażenie, ale realnie, kategorycznie. Bóg Ojciec — pierwiastek najpierwszy, źródło wieczne Bytu, wydaje ze siebie pierwiastek drugi — wypływa niejako ze Siebie, stąd gra słów (*Q u a l* — męka, *Q u e l l e* — źródło, *Q u a l i t ä t* — właściwość), a myśliciel zwie to wypływanie i przeciwstawienie się w *S o b i e i n q u a l l i r e n* — wyźródleniem, przyczem trud i ból jest w tworzeniu.

Bóg Syn, Odblask Ojca, ale odblask, rzeczywistość światła mający, jest przeto nie obrazem jedynie i urojeniem, ale bytem, stanem nowym, pierwiastkiem rozdzielenia o swoistości, o jaźni własnej. To odpadnięcie od Boga tłumaczy Boehme jako narodziny nowego światła, stąd i Syna Bożego, w znaczeniu *D o b r a*, i Szatana, w znaczeniu *Z ł e g o*, początek. Zło jest bowiem względnem pojęciem, zrodzonym z rozłąki. Tak Synowstwo Boże przeto, że rozłąką jest, niesie i przyczynę złego w zarodku. Dlatego Syn Boży zowie się u Boehmego *S e p a r a t o r* — Odłączający, a zarazem *Lucifer*, jako *p r z e c z e n i e*. Bowiem to nowe Boże *T a k*, rozłączone z innym, pierwszym *T a k*, stawa się Bożem *N i e*, i aby wrócić i w Jedność się spłynąć, przewyciężonem być musi. W tem przewyciężeniu, dalszym rozwoju Bóstwa, widzi Boehme najwyższe Objawienie i Siłę Bożą — Ducha Świętego. Duch Święty jest pojednaniem, jest łącznią sprzeczności wszelkiej, rozdwojenia wszelkiego. W życiu człowieka prze-

¹⁾ Wątpliwem, a raczej nieprawdopodobnem, aby Boehme znał Neoplatonczyków. Więcej zbliżenia widnieje do Kabbaly, o której mógł wiedzieć z pism Paracelsa. Pojęcie „światła w Bogu„ i Boga Światłości da się porównać do teorii promieni Bożych w Kabbale, które *e m a n a c y a m i* w ścisłem znaczeniu nie są. Kabbalistyczny *A d a m K a d m o n*, pierwiastek twórczy, przez światło blizkim tu pojęciu „*Inqualliren*“.

zwycięzenie sprzecznych skłonności spokojem i szczęśliwością jest pełną.

Tą drogą rozumowania od Trójcy Bożej ku przyrodzeniu ludzkim rozbudował mistyk szląski system swój. Od człowieka ku Bogu, od naszej określonej, ograniczonej umysłowości, ku Wszechpotędze i Wszechduchowi, podejmie myśl pokrewną najbliższy po-Kantejski filozof, J. Gottlieb Fichte.

Jeżeli nazwiemy Naturą ogólne pojęcie, jednę wszelkiej przedmiotowości — Świadomością zaś wszelką podmiotowość, możemy poczytać za dwa zasadnicze pytania filozofii: jak ze Świadomości Natura i jak z Natury wyradza się Świadomość.

Na zapytania te siła się dać odpowiedź filozofia niemiecka z okresu nowszych czasów. W porywie uczuć, w umysłów świetnej plenności, były Niemcy po wojnach Napoleońskich przez blisko pół wieku narodem, największe bogactwo myśli zbierającym.

Trzy imiona jaśniejają przedewszystkiem na kartach tych dziejów — Fichtego, Schellinga i Hegla, czwarte życiem współczesnego, późniejszego sławą, Artura Schopenhauera. „Transcendentalny idealizm“ Kantejski przedstawił świat stworzeniem naszych zmysłów, zrównał istnienie z wyobrażeniem, podobnie Berkeley'owskiej nauce, odrzucił wszelką wiedzę, wszelką możność poznania rzeczywistości, jaką jest w sobie i dla siebie, pozostawiając nam jedynie pojęcia, jak się w nas kształtują i widnieją. Świat cały, jeżeli nie illuzją Berkeley'owską, to widzeniem zmysłów się stawał (die durch- und durch vorgestellte Welt), poza zmysłami było tajemnicze, nierozpoznawalne istnienie rzeczy (das Ding an sich). Cały widnokrąg rzeczywistości wyniósł Kant poza naszą świadomość i nie dał nam ufnosci, byśmy kiedykolwiek przejrzeni.

Następne dążenie iść przeto musiało ku jedności świata, wyobrazonego ze światem realnym, a jedność tę udowodnić trzeba było, wychodząc ze wspólnego wszem zjawiskom i wszem rzeczom źródła, i wykazać, że wszelki rozwój i wszelka przemiana, to jeno tego zasadniczego pierwiastku ewolucya. Nauka ewolucyjna brała tu początek i uprawnienie swoje.

Dla Fichtego pierwiastkiem tym jest Jaźń, pojęcie ja (das Ich), istność podmiotowa, a zarazem przedmiotowa myślenia. Z tej zasady wynikają najbliższe pojęcia ja stwierdzającego się, ja przeczącego sobie i złączenie dwóch tych antytez w syntezie ja, które twierdzenie, jak przeczenie, porównie ogarnia. Te trzy stany odpowiadają kategoriom rzeczywistości, zaprzeczenia i ograniczenia, a podobnie twierdzeniom tożsamości (Identi-

tät), różnicy i przyczyny łącznej. Jaźn wyklucza ze siebie, przeciwstawia sobie jaźn inną. Różniczkowanie to jest warunkiem postępu dalszego, podstawą rozwoju myśli, a zarazem przyczyną woli. Teoretycznie poczyną się stąd wiedza wszelka, praktycznie wszelkie dążenie, a rozwój ciągły jest dalszem różniczkowaniem następstwem, i w tym postępie wiecznym, w tym łańcuchu ogniwi nieskończonym, wytwarza się i wyraża wszystka Prawda.

Ale w tym samym pierwiastku i prawie kierowniczem tkwi niejasność i chwiejność systemu Fichtego. Skoro bowiem umocnimy rozwój na wiecznym przeciwstawianiu sobie części jednej całości i nieskończonym różniczkowaniu, nigdy poznania całości nie dojdziemy i dojrzeć nie możemy końca. Wówczas powstaje konieczność niezadowolona dualizmu między pierwiastkiem twierdzenia, a pierwiastkiem przeczenia, i niknie Zasada - łącznia. By tę nieuchronną konsekwencję zażegnać, uznaje Fichte w Bogu, w Jaźni Najwyższej, przyczynę już zgoła nierozdzieloną, a czyniąc to, zmienia dowolnie ład swych dowodzeń, i znów nie ku Bogu, ale od Boga zdaje się wieść rozumowanie.

Począwszy zatem w swym systemie umysłowym ściśle, w Nauce wiedzy, jak go nazywa (Wissenschaftslehre) od zasady abstrakcyjno-myślowej, zbliża się i dziwnie przybiega ku mistycznej teorii Boehmego, choć tak od niego w założeniu różny i daleki.

Fichte wszelki byt przedmiotowy opiera na wiedzy, wiedzę zaś na Bycie absolutnym w Bogu. Wyobrażenie świata i wszystkie zjawiska świadomości są uprzedmiotowaną wiedzą, a wiedza bezpośrednio objawieniem Bożem. Świadomość zaś jest przejściem i węzłem niejako pomiędzy absolutnym Bytem a obiektywnym, przejściem z realnego ku wyobrażonemu.

Rozumowanie idzie tą drogą: „Wyrazem najwyższego życia jest Myśl. Jeżeli Byt najwyższy niezmiennym i wiecznym jest, to myśl o Bycie tym, Myśl Bytu, a zarazem nasza najwyższa myśl — tego Bytu objawieniem i wyrazem.

Nie możemy myśleć o Bycie, ani wyobrażać go sobie, nie myśląc zarazem o nas samych, zatem świadomość nasza jest także objawieniem, obrazem najwyższego Bytu. A tak stworzeniśmy na obraz i podobieństwo Boże. Nie sposób przecie wyrozumieć i pojąć, jak ta świadomość z bytu wypływa, gdyż wiedza wszelka i poznawanie dopiero w świadomości tej założone. Świadomości zatem nie można tłumaczyć, jako następstwa, wywieść jej z Bytu nie sposób, siebie ona nie potrafi zgłębić, a jedynie poczuć i uznać bezpośrednio. Świadomości tedy nie uzasadnia się rozumem, przyjąć ją trzeba, jako życie prawdziwe. Ale, że Bytu-życia prawdziwego nie masz poza Absolutem, jest więc swia-

domość nasza Bytem Absolutu samego. Absolut, jako jedność niezmienna, sam sobie prawem i przyczyną — nasza tedy świadomość, nasz byt prawdziwy jest Bytu absolutnego wyrazem. Byt i wiedza w świadomości tej spływają w Jedność, której dzielić nie sposób bez rozerwania świadomości, gdyż wówczas części stawałyby się świadomości tej przyczyną. Świadomość na tem rdzennem, ściśle połączonem trwa, ona jest najgłębszą zasadą, ona rzeczywistym i prawdziwym Bytem, Absolutem, Bogiem“. (Patrz Kuno Fischer. Fichte, „Historii Nowszej Filozofii“, tom VI-ty. Wydanie jubileuszowe, Heidelberg, 1900, str. 602.

Dochodzi zatem Fichte w pojęciu świadomości, jako Absolutu, do niewzruszalnej Jedności Bożego Ja, a więc troistość, na jakiej oparł rozbudowanie swych filozoficznych dowodzeń, troistość istnienia w Bogu zawiera się ku zupełnej Spełni. Przeciwnie Jakób Boehme, który troistość od Boga, od rozdzielenia się natury Bożej poczyną.

W religijnym poglądzie Fichtego — Jedność ta bezwzględna Boga, początek i przyczyna świadomości, jest zarazem przyczyną Objawienia.

Stąd przeczy on Stworzeniu w czasie, bo Stworzenie, jako Objawienie Boże, wiecznem jest i przed wiekami poczętem.

I tu Fichte przywodzi słowa Ewangelii świętego Jana, która nie powiada: na początku stworzył Pan Bóg niebo i ziemię, — ale: „na początku było Słowo“ — Logos. Świadomość, jako Byt Boży, świadomość, w treści swej Objawieniem będąca, to „kształt wiecznego, niezmiennego Bytu“, to „upostaciowanie własne absolutnej rzeczywistości“ (Fichte: „Die Anweisung zum seligen Leben oder auch die Religionslehre“, wykłady w Berlinie, 1806; patrz wykład VI-ty, str. 476 i dalsze). Religijne to, najwyższe pojęcie nie da rozkładać się i uzasadniać. Chrystus w naturze swej łączy ludzką i Boską świadomość, a połączenie to, nie rozumowo uzasadnione, ani przejęte z zewnątrz tradycją, lecz bezpośrednio — nie z wiedzy, ale z Religii jest. Jego ja — a ja Boskie nierozłączne, jedność obydwóch pierwiastkowa, nie potrzebująca ani dopuszczająca tłumaczenia (tamże, 567 — 574).

Tak więc sięgając do źródła Ewangelii świętego Jana, Fichte szuka dla systemu swego uzupełnienia i oparcia w religijnem Objawieniu. System „Wiedzy“ atoli, który tłumaczyć potrafi rozwój w pojęciu jaźni wyodrębniającej się, nie daje odpowiedzi wyraźnej na pytanie główne, a mianowicie, jak świat, jak rzeczy wszelkie z pierwiastku wszechrzeczy powstały. Chodzi o Genesis natury. Ge-

nesis tę o tyle Fichte wyjaśnia, o ile naturę indywidualistycznie pojmuje, uzmysłowioną, jako J a ż ń. Czuć tu jeszcze bezpośredni wpływ Kantejskiej nauki, rozbudowanej na krytyce naszej umysłowości.

Stanowisko następne w rozwoju filozoficznym zajmuje Fryderyk Wilhelm Schelling ¹⁾. Z Schellingiem zbliżamy się do teorii potrójnego Objawienia, jesteśmy na drodze „Trójcy“ Krasińskiego i „Ojczyce Nasz“ Cieszkowskiego, jesteśmy tuż przy nich. Pojął Schelling, że system Fichte'owskiej Wiedzy, ściśle filozofią intelektu będącej, bez oparcia o filozofię przyrody nie daje pełnej prawdy. Filozofia transcendentálna Kanta odpowiada na pytanie, jak świat zewnętrzny rodzi się w umyśle, ale na pytanie, jak intelekt z natury wyrasta, niema tu odpowiedzi. Tę pragnie dać Schelling w swym systemie.

Jest system ten rosnącą ku wyzwoleniu przyrodą, stającą się stopniowo i koniecznie przez wyższe formy bytu bliżką Boga, w którym początek jej i koniec, gdyż Bóg alfą i omegą, stanem pierwszym i stanem ostatecznym wszystkiego. Ta ewolucya świata ku Stwórcy, z którym stworzone połączyć się kiedyś musi, stanowi treść życia i rozwoju przyrodzenia całego. We wszystkim, co jest, przedmiotowość i podmiotowość połączone ku wspólnej zasadzie jednolitej, identycznej, z której poczęty, w której zawarty świat.

W istnieniach poszczególnych miara nie równą, ani pełną jest. Przeważa jedna, lub druga właściwość, i różniczkowanie tych właściwości sprawia, że jedno do drugiego nie podobne, że jest różnaitość i rozwój. W naturze nieświadomej przeważa pierwiastek obiektywny, w świecie uświadomienia, w świecie Ducha — pierwiastek subiektywny, ale, jak nie masz żadnej rzeczy bez jakowegoś z a łą ż k a duchowego, tak nie masz istnienia żadnego bez jakowejś cząstki materji. W całości stworzenia dopiero, w Uniwersum — wyrównywują się miary, ustaje różniczkowanie i rozróżnienie, a widnieje jasna jednolitość, pierwiastek świata — rozumny Duch (Die Vernunft). Różnice w stanach przedmiotowości i podmiotowości nazywa Schelling potencjami, za pierwszą z nich poczytując materję (przyrodzenie nieświadome, której

¹⁾ Źródła: „Schellings sämtliche Werke von K. F. A. Schelling Stuttgart—Cotta. 1856 — 1861 i Kuno Fischer „Schellings Leben, Werke und Lehre“, Heidelberg 2. Aufl. 1899. Winter: Historji filozofji Fischera tom siódmy.

właściwością ciężkość, a prawem — przyciąganie i odpychanie), drugą jest światło, trzecią organizm. Ale, aby wprowadzić w postępowym wzroście przyrodzenie przez formy coraz wyższe ku absolutnej mierze — filozofia sama musi wznieść się dążeniem poza nasz umysł, wyjść z koła zaczarowanego Kantejskiej prawdy w obrazonego świata ku światu spełniającemu się i wyzwajającemu z więzów. Nauka Fichtege nie daje tu wystarczającej rękojmi, pierwiastek jaźni, rozróżniającej się w sobie, wyjaśnia jedynie przyrost umysłowości, nie zaś przyrody, chociaż stara się z przeciwnych ja obiektywny świat wytłumaczyć. Dlatego Fichte musiał sięgnąć ku religii, ale nie masz między jego teorią wiedzy a religijną koniecznością łączni, dostatecznie silnej i jasnej.

Filozofia i religia — powiada Schelling — mają głęboką wspólność, obydwie patrzą w tajniki życia. Nauka o świecie i o stosunku jego do Boga, acz inaczej wypowiedziana, treścią jest wiedzy i Objawienia porównie. Dla Schellinga misteryja starożytne wyobrażały tę łącznię Wi e d z y i W i a r y, którą późniejsza zerwała filozofia. Teraz zaś nadchodzi pora powrócić do badania „wielkich rzeczy, o których jedynie warto filozofować i wznosić się nad wiedzę pospolitą“ — teraz pora wykazać jedność filozofii z religią przez zrozumienie tych rzeczy (Schelling: „Filozofia i Religia“, Wstęp).

W systemie swym filozofii przyrody wyswobadza się Schelling z wpływu Kantejskiego pojmozań i nauki wiedzy Fichtege. Nie z ludzkiego ja, ale z podmiotu, nieskończoność w sobie mającego, a który w skończone i coraz wyższe formy się przyobleka, wywodzi myśliciel rozwój konieczny wszechrzeczy. Każda forma przedmiotowa wznosi podmiot ku wyższej mocy, jest w Stworzeniu powiązanie i stopniowanie od nieświadomej ku świadomej sile, jest od najniższych ku najwyższym rzeczy postaciom, nieustanny i konieczny Wzrost, drabina Jakóbowa stworzeń, życie wykwitające Ducha — W y z w o l e n i e. Oto jasna, wyraźna teoria ewolucyi w naturze, teoria, którą od Schellinga przejął Hegel, a którą w naszej filozoficznej myśli polskiej odnajdujemy w „Trzech myślach Ligezy“, w „Trójcy“, „Niedokończonym“ i „Psalmach“. Ale w rozumieniu Schellinga teoria ta przerodziła się w kolei rozwoju pojęć filozofa od panteizmu, blizkiego Spinozie, blizkiemu Giordanowi Bruno, ku wysokiemu religijnemu powołaniu Ducha. W „Synu Cieniów“ Krasińskiego myśl już skryształizowana bardziej, już dobyte „z głębin otchłani“ ku błękitom Bożym Stworzenie. „Syn Cieniów“ pochodzi z czasów, w których Krasiński zbliżył się bardzo do Cieszkowskiego i poznał, wczytując się w Hegla, teorię W z r o s t u D u c h a spełniej, niż widnieje

ona w pierwszej, wczesnej filozofii Schellinga. Przecież jest między „Synem Cieniów“ a „Psalmami“ różnica, a to nietylko co do lepszego ujęcia i szlachetniejszego wyrażenia zasadniczej myśli, ale i w idei przewodniej, silniejsze rozgraniczenie między Bogiem a Duchem, który „na Bogi“ wyrasta, jaśniejsze zrozumienie, że On, Bóg, który się „rozlał po wszej ziemi, a ostał na niebie“, choć „coraz bliższy, jest r ó w n i e d a l e k i“. Niema więc zlania się, stopienia w Absolucie, niema utraty indywidualnego pierwiastku. Stąd „Syn Cieniów“ bliższym nieco panteistycznego poczucia, Syn Cieniów budzi się człowiekiem z niskiej, nie wiedzącej o sobie formy życia w naturze, wstaje z niemowlęctwa przyrody. Na stopniu dojścia do świadomości poczyną się dopiero wyzwolenie wiedzy o sobie. Duch wie o sobie, a wiedząc, kształci się i kształtuje się dalej poznawaniem i siłą.

Dlatego można tu porównaniem zbliżyć wiersz Schellinga z epoki budzenia się tych myśli (około roku 1800).

Darum ist eine Religion die rechte,
 Müsst sie im Stein und Moosgeflechte,
 In Bäumen, Metallen und allen Dingen
 So zu Luft und Licht sich dringen,
 In allen Höhen und Tiefen
 Sich offenbaren in Hieroglyphen,
 Wüsst auch nicht wie mir vor der Welt sollt grausen,
 Da ich sie kenne von innen und draussen.
 Steckt zwar ein Riesengeist darinnen,
 Ist aber versteinert mit seinen Sinnen,
 Kann nicht aus dem engen Panzer heraus,
 Noch sprengen das eiserne Kerkerhaus;
 Obgleich er oft die Flügel regt,
 Sich gewaltig dehnt und bewegt
 In todten und lebendigen Dingen
 Thut nach Bewusstsein mächtig ringen!

„Thut nach Bewusstsein mächtig ringen!“—to wiersz tak blizki temu, który Krasiński w „Synu Cieniów“ napisał, gdy o wależącym Duchu powiada:

Choć z ziemi rodem, ziemią tą pomiata,
 Drze się z jej nizin na piętra Wszechświata!

I Schelling woła do sił Ducha i myśli:

Hinauf zu des Gedankens Jugendkraft,
 Wodurch Natur verjüngt sich wiederschafft,
 Ist eine Kraft, ein Pulsschlag, nur ein Leben,
 Ein Wechselspiel von Hemmen und von Streben ¹⁾.

A u Krasińskiego brzmi to samo uczucie w tych słowach wiersza:

Życie jest drogą, co z głębin otchłani
 Wiedzie na coraz powietrzniejsze szczyty,
 Na dole ciemność — na górze błękity.

Ale u Krasińskiego wie Duch, ku wyzwoleniu idący, że:

Ten, co dziś wątpi, co od wieków cierpi,
 Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi... ²⁾.

Schelling zaś jeszcze tego wyzwolenia nie przewiduje, w bar-dziej ciasnem, ziemskim zamknięty kole. Tu jest kres pierwszy Schellingowej myśli. Nazwać ją można idealnym pantei-zmem, zbliżonym do Spinozy, zbliżonym porównie do Fryderyka Schlegla z wcześniejszej jego epoki.

W tak pojętym systemie rozwija się poznanie duchowe od „Ka-mienia“ ku Bogu. A więc Bóg jest ostatecznym stopniem, ostatecznym rezultatem dążenia. Ale skoro tak jest, to sam Bóg podlega prawu stawania się i poczyna się z czegoś, co Bogiem przedtem nie było. Jest więc czas, w którym nie masz Bóstwa. Do tego Absurdu prowadzi rozumowanie ściśle. A jeżeli tak prowadzi — jas-

¹⁾ Aus Schellings Leben I, 282, 289, l. c. Kuno Fischer, Schelling, s. 41.

²⁾ Pierwszy pomysł „Syna Cieniów“ w albumie Delfiny Potockiej. Neapol, luty, 1840.

nem, że takim rozumowaniem objąć nie można rzeczywistości istnienia Boga, — jest więc filozofia ta negatywną. Jeżeli Bóg nie stał się w czasie, to jedynie rozumieć można o dowodzeniu, że to stawanie się wieczystem było i nieskończonym, zatem znów bez rzeczywistości, jakieś logiczne, a nie realne stawanie się. Krok dalej, a Schelling uznaje wszelką, jedynie na logiczne myśli opartą, filozofię za negatywną zgoła, wobec najwyższego zagadnienia Bytu, w przeciwieństwie do Hegla, i żąda pozytywnej filozofii poznania Boga. Pozytywną nazwie opartą nie na logicznym wywodzie, ale na wewnętrznej świadomości. Pozytywizm zatem Schellinga zasadniczo różni się od pozytywizmu Augusta Comte'a (jest zaś stanowiskiem Augusta Cieszkowskiego w „Ojczenaszu“). Streszcza się w tem, co Schelling przeciw Heglowi wypowiedział, że: logiczne, umysłowe stosunki nie dadzą się zamienić na rzeczywiste, a logiczne pojęcie nie zawiera rzeczywistości. Błędem najwyższym racjonalizmu jest sądzić, że to potrafi.

Rozróżnienie między negacją a pozytywnością w tem filozoficznym pojęciu, jakie tu wznosi i tworzy Schelling, jest nadzwyczaj ważnem. Negatywnemi przyczynami zowie Schelling te, bez których nic być nie może, pozytywnemi te, przez które coś w rzeczywiście się staje. Jeżeli bowiem Byt jest — jest, jakim jest, i nie może być inaczej pomyślanym, formy zatem istnienia, a warunki myślenia spływają tu w jedno, a odpowiadają pytaniu: jak jest? (τι ἔστιν — quid sit). Pozytywnym, przeciwnie, warunkiem jest przyczyna twórcza, zatem Stworzenie, wolna wola, od której zależy, aby coś było, i tu odpowiedź na pytanie. dla czego coś jest: (ὅτι — quod sit).

Stąd rozdział wszelkiej filozofii na pozytywną i negatywną; pierwsza zajmuje się Objawieniem Stworzenia, druga prawami i warunkami myślenia. Cała dotychczasowa filozofia była, zdaniem Schellinga, racjonalistyczną jedynie, a więc negatywną — zaledwie u Platona i w Leibnitzowskiej Teodycei przebłyska myśl pozytywna (Wykłady Schellinga w dziełach Schellinga, II, tom 3-ci, wykład IV, str. 55 — 73).

Jest więc filozofia pozytywna wprost racjonalizmowi przeciwną, a raczej wznoszącą się porównie nad racjonalizm i empiryzm. Wiedza racjonalistyczna potrzebną jest, ale nie jest jedynem, koniecznem objawieniem rzeczy, obok niej równolegle jest poznawanie bezpośrednie, z naszej natury wynikłe, poznawanie, które z głębi Ducha czerpie moce swe i światło, a tu Schelling staje na granicy mistyki i w jednym rzędzie z Jakóbem Boehmem.

Przechodził już Schelling od naturalizmu i panteizmu idealnego ku mistycznym wierzeniom, i szedł przez nie ku ostatecznemu rozbudowaniu swej filozofii religii. Najważniejszymi latami dla tego ukształtowania się myśli były czasy pobytu w Monachium, a zwłaszcza lata od 1806 — 1812. Najważniejszym momentem — przyjaźń z Franciszkiem Baaderem, który mu księgi Jakóba Boehmego roztworzył. I poznał Schelling, że filozofia, by ogarnąć wszechświat, nie od materji, ale od Bożej rzeczy, a przez materję i wszelki rozwój życia wywieść swój rodowód powinna. Poznał, że pozytywwną będzie pod tym jedynym warunkiem, iż uzna możność bezpośredniego poznania Absolutu. Inaczej, gubić się jej w logicznych, ale nie rzeczywistych pojęciach.

Tak bowiem stawia się kardynalne pytanie o jedności filozofii i religii: Jest-li, czy nie jest możliwem poznać Absolut bezpośrednio. A poznanie Absolutu jedynie będzie absolutnem poznaniem.

Otóż Schelling tak dowodzi: w idealistycznym a Kantejskiem pojęciu rzeczywistość jest poza wyobrażeniem — stąd rozbrat świata wyobrażeń (Ideale Welt) i realnego. Ten rozbrat znosi teorya i d e n t y c z n o ś c i. Zgadzać się na nią, a mimo tego twierdzić o przeciwieństwie religii i filozofii — bałamuctwem jest myślenia, albowiem zasadą pierwiastkową jest zgoda i jednolitość idei i rzeczywistości w Absolutcie. Absolut pojmuje siebie, — Absolut nie może dla tej zgody i jednolitości nie pojmować się bezpośrednio. Skoro zaś jest najwyższą ideą i rzeczywistością z a r a z e m, rzeczywistość ta niezem innym nie jest, jak ideą w innej formie, czyli że kształt własny idea wyprowadza: postacią się obleka. Ta postać jest znów Absolutem, inaczej byłaby cieniem — bezsilną, młą kreacją. Stąd idea, jako postać Boga, ma znowu moc stwarzania idei i przyoblekania jej w kształty, stąd akt Stworzenia, stąd stworzenie wszelkiej idei, świat w Bogu, rozwinięcie Bożej myśli, upostaciowanie Boże, wieczyste dzieło Objawienia. Z pojmowania Bożego wszelkie inne pojmowanie wypływa. A z woli Bożej wypływa wola świata. Ta wola świata dziwnem jest pojęciem i uzasadnienie jej tłumaczy według Schellinga powstanie materji i skończonego, ograniczonego stworzenia.

Stworzenie bowiem, jako akt woli Absolutu i upostaciowanie Idei, jest i musi być absolutnem znowuz — i tu przyczyna wolnej woli w niem. Nie jest materja niezależnym pierwiastkiem, bo byłby dualizm Boży, ani też nie jest emanacją, boby umniejszała Boga — jest d z i e ł e m. Ale to dzieło, jako absolutne, jest zarazem istnieniem i wolność ma przyrodzoną, która dąży do swobody i do niezależności. Tu — mówi Schelling — jest przyczyna o d p a d n i ę c i a

Stworzenia od Stwórcy, w tej wolnej woli założona (Die Dinge haben ihren Grund in dem, was im Gott nicht er selbst ist, das heisst, in dem, was Grund seiner Existenz ist“ (Schelling: „Philosophie und Religion“, 1804, str. 20, 52: „Der Grund aller Dinge ist sowohl im Gott, als von ihm verschieden“ („Ueber die menschliche Freiheit,“ Schelling's Werke I, 7, str. 357 — 359; porównaj stanowisko Jakóba Boehmeo, a przeciwne zgoła Spinozy — Deus sive Natura).

Jest tu przyczyna grzechu pierworodnego Natury. Wolna wola prowadzi ku samowoli, ku miłości własnej. Zaczem stworzenie odpadłe traci swój związek ze stwórcą, staje się ograniczonem, kurczy się i maleje, nie ma już spełnej jedni, idei i rzeczywistości. Stąd ograniczenie umysłu ludzkiego, stąd z wyodrębnienia jaźni świata powstałe prawo jaźni, jako prawo cielesności skończonej, do c z e s n e j. Dlatego porządek logicznej filozofii Fichtego jest prawdziwy jedynie w zastosowaniu do rzeczy tego świata. Lecz przeto, że jaźń poznaje świat i siebie — uznaje zarazem swoją niemoc i swoje jakoby najdalsze od Boga oddalenie i poczyna pożądać pogodzenia i powrotu do Absolutu, złączenia, spełnienia się z Bogiem. I poczyna się po Iliadzie świata, jak Schelling powiada, tegoż świata Odyssea. — Historia nawrotu. — Bowiem dzieje epopeją są, w duchu Bożym wyśpiewaną, a w całości swojej są one stopniowo rozwijającym się Objawieniem Bożem. Skoro zaś połączenie nie mogło bez rozłąki nastąpić, jest więc ten pierwszy upadek koniecznym i ta wina na drodze dopełniającego się Objawienia pożądaną. A tu przypominają się słowa Augustyna Św. o szczęśliwej winie — o felix culpa.

Tak rozjaśniwszy drogi myśli, dochodzi Schellig do poznania, że pozytywną filozofją będzie wytlómaczenie porządku i celu świata z Objawienia, a Objawienia dzieje w najgłębszem pojęciu to dzieje natury całej i dzieje myśli całej.

Ludzkie przyrodzenie stąd czerpać może rzeczywistość prawdy. Gdyby tak nie było, trzebaby wyrzec się i zaprzeczyć wszelkiej możliwości poznania Boga. Nie masz możliwości tej w wiedzy logicznej, rozumowanej, jest więc jedynie możliwość założona w naszej świadomości — nie abstrakcyjnej, p o j m u j ą c e j, ale głębokiej, p r z e j m u j ą c e j. I w nas bowiem pełni się życie Boże, a przez to mamy zadatek rozumienia Bożego. Ta świadomość żyjąca sięga od natury ciemnej, uspięnej, ku wyżynom Ducha. Ta świadomość rozwija się w nas i we Wszechświecie zarazem. Dzieje planety i przyrodzenia całego są jej dziejami, a celem ostatecznym poznanie tego, co jest — bo jest — Boga. Zatem jedynie przez poznawanie natury i dzieł Bożych — myśl Bożą poznajemy a zarazem Bóg poznawa siebie. A Bóg czyni to stwarzaniem, które jest objawianiem.

Stwarza Bóg ze siebie, z woli własnej i mocy — albowiem jest nad przyrodzeniem, nad naturą, i Stworzenie jedynie Wolą Jego.

„Bóg sam nad naturą jest, natura tronem Jego — podległą Mu — ale wszystko w Nim tak pełne życia, że to podległe znów życiem własnym wybuchła, które w sobie i dla siebie doskonałem jest życiem, chociaż wobec życia Bożego — nie życiem. Tak Fidyasz na stopie swego Jowisza wyrzeźbił cudną walkę Centaurów z Lapi-tami. Jak ten mistrz stopę bożka życiem silnem wypełnił, tak i to, co najdalej, najbardziej od Boga odwrócone, przeciw pełne krzepkiego życia w sobie. (Wykłady Stuttgartskie — Dzieła Schellinga I tom 7 str. 431—45).

Zatem Bóg i natura w Bogu nie równoznaczne to pojęcia. Tu zrywa Schelling z panteizmem, który w pierwszych swych dziełach wyznawał, zrywa z ideałem Spinozy i Giordana Bruna i ogłasza wolność Bożej woli.

„Tylko przez wolę swoją trwa Wieczny, tylko niezawisłem postanowieniem staje się Istniejącym w istnieniu“. „Rozsądzenie Boże, aby swe najwyższe Ja objawić w czasach, wynikało z najczystszej wolności“. Ale, — dodaje filozof: „skoro to stało się, Bóg własną wolą związanym był, by się w takim, a nie innym porządku objawić, choć zależało od Niego, czy się objawić, czy nie.“

A Objawienie to Miłością jest. „Postanowienie Objawienia a postanowienie, by przewyciężyć siebie jako wieczyste Nie, tym samym czynem było. Stąd jest ono dziełem najwyższej Wolności a najwyższej Miłości zarazem“ (Schellings Weltalter str 301 i nast.).

Tematem więc pozytywnej filozofii będzie poznanie Objawienia i to podwójnego. Natura bowiem porównie Objawieniem jest, jak myśl religijna. [„Die Natur ist das erste oder das alte Testament, da die Dinge ausser dem Centro und daher unter dem Gesetz sind“. „Wir haben eine ältere Offenbarung als jede geschriebene — die Natur, diese enthält Vorbilder, die noch Kein Mensch gedeutet hat. — (Ueber die menschliche Freiheit: Untersuchungen — str. 411—15)].

A Objawienie wzrasta i rozwija się w wymiarze czasów (Stufenweise geschehende Entfaltung).

W historii świata idea połączenia w jedno Stworzenia z Bogiem stawa się rzeczywistością. Natura i ludzkość oto źródła wiedzy o tej ewolucji. Jeżeli przedtem Schelling nazwał naturę Odysseą Ducha, teraz nazywa religję Odysseą dziejów, a tematem tej Epopei powrót do Boga — skończone i spełnione Objawienie, „wielki cel całego zjawiska świata“ (Philosophie und Religion — Buch II Cap. XXXI str. 436).

Tak więc stanowisko filozoficzne Schellinga uległo w rozwoju myśli wielkiej zasadniczej zmianie. Widzimy, jak z panteizmu przechodzi ku Bogu ponad światem, jak z filozofii negatywnej przechodzi ku pozytywnej. Sam powiada o sobie, że przejście to jest podobnem przejściu ze Starego ku Nowemu Przymierz, od Prawa ku Ewangelii, od Natury ku Duchowi („*Gleich dem Uebergange vom Alten zum Neuen Bunde, vom Gesetz zum Evangelium, von der Natur zum Geist*“ — Schellings Werke, II tom I str. 571). A Maksymilian II-gi Bawarski w sonecie na cześć mistrza powiada:

„Du wagst die Klüfte kühn zu überschreiten
Wozu die Weisen keine Brücke fanden,
Die Gläubige und Denker stets entzweiten.“¹⁾

Filozofja Schellinga jak się wyraziła w tym nowym kształcie, jest filozofją „Psalatów i Trójcy“ — jest filozoficzną Religją a zarazem „filozofją Religii“ w rozwoju czasów. Jak od *Trzech myśli* ku *Psalatom* — pojęcie Boga rozwidnia się ku niezależnemu, panującemu nad przyrodą, ku temu, który „rozlał się po wszej ziemi, a został w Niebie“; tak w rozwoju myśli Schellinga Bóg-Natura staje się Panem Świata. W pismach swych i w dyskusyi filozoficznej z Jakobim i Eschenmayerem określa Schelling pojęcie Bóstwa na granicy między Teizmem,²⁾ abstrakcyjnym zgoła, a Naturalizmem, zgoła materyalistycznym, jako *Monoteim panteistyczny*, to jest tak pojęty, by Istota Boża nie wyłączała Stworzenia, ale nie była zarazem ze stworzeniem identyczną.³⁾ (*Monopanteizm*). Jest więc „rozlanie się po wszej ziemi“ i „ostanie na Niebie“.

Świat odpadły wrócić musi do Boga — temu gwoli całe Objawienie. Zło nie jest niczem innem jak oddalenie od Boga — i postawieniem własnego ograniczonego Ja jako centrum na miejscu Przyczyny wszechrzeczy. Tu źródło samowoli. Ale zło

1) Sonet z 1853 r. — patrz Kuno Fischer: Schelling str. 276.

2) „Der Theismus kann ohne den Naturalismus nicht einmal anfangen, er schwebt völlig im Leeren... Jedes beider Systeme „eine schlechte Halbheit“ (Schellings Denkmal“ III str. 57—70).

3) porównać „Schellings: Denkmal der Schrift von den göttlichen Dingen und f. f. des Herrn Fr. H. Jacobi“ (1812).

jest przeto niczem innym, jak c h o r o b ą. Jak bowiem w chorobie stosunek całości do części ciała zepsuty — a część na koszt całości żyje, tak zło jest zwichnięciem stosunku do Boga. Dlatego człowiek, jak i świat, dąży do naprawienia tego stosunku. Życie ducha jest ciąglem dążeniem ku temu, a zatem ciąglem odrzucaniem krępujących form.

Stąd życie indywidualne na ziemi jest karą za odpadnięcie od Boga, a powrót tego życia przedłużeniem kary. Dopiero gdy Duch odrzuci więzy ziemskie, rozwija skrzydła ku Nieśmiertelności w Bogu. Jest więc w żywotach doczesnych droga próby i czas wyzwolenia, a wyzwolenie to idzie przez różne stany i koleje życia. (Porównaj: „Dusza i ciało, to tylko dwa skrzydła“... i — „gdy się zużyją przez walk i prób krocie...“)

Schelling wierzy tu podobnie Krasińskiemu w Palingenezę, jaką głoszą wierzenia Indyjskie.

A porównie jak człowiek i świat cały i dzieje świata tego ku wyzwoleniu zdążają Bóg, w ewolucyi Objawień coraz to wyższą świadomość daje światu. Potęgi Boże przychodzą kolejno ku panowaniu. A potęg tych rozróżnia Schelling trzy w ewolucyi B o g a z e S i e b i e. „Bóg jest A i Ω (alpha i omega) początek i koniec ale jako A nie jest Tym, którym jest jako Ω “. Stopnie Objawienia to momenta różne potęgi Bożej. Kresem najwyższym potęgi będzie przewyciężenie złego, zatopienie cieni przez światło, zjednoczenie Stworzenia ze Stwórcą. Zło zatem doczesnem jest zgoła, a nie wiecznym; ono jest tylko w o d d a l e n i u i n i e z r o z u m i e n i u. (Porównaj „Die Potenzen zugleich Perioden der Selbstoffenbarung Gottes. Stuttgarter Privatvorlesungen. Schell. Werke. I Bd. 7. 5.427.) W dziejach Świata spełnia się zatem bieg i koleje Objawienia znaczone. Pierwszym czasem, to stawanie się przyrody człowiekiem (Adam) — („ludzka mu piękność wyjrzy wówczas czoła“ *Syn Cieniów*); drugim, stanie się Bożej W o l i c z ł o w i e k i e m (Chrystus—Logos); trzecim będzie objawienie się Boga j a k o D u c h a. („Ein neues Reich in welchem das lebendige Wort als ein festes und bestandiges Centrum ins Kampf gegen das Chaos eintritt und ein erklärter bis zum Ende der jetzigen Zeit fortdauernder Streit des Guten und Bösen anfängt, in welchem eben G o t t a l s G e i s t d. h. A c t u sich offenbart.“ *Über die menschl. Freiheit* str. 378—380.)

Historyozoficznie wywodzi Schelling jak w dziejach zapanowała siła ludzi w świecie starożytnym i dążyła do w s z e c h ś w i a t o w e g o p a ã n s t w a. Ale prawo przyrody nie starczy, aby utrzymać prawdziwą Jedność i państwo Rzymskie się rozpada. Tu moment nowego działania Bożego — p r a w a m o r a l n e g o,

które wnosi Zbawiciel. Z tą chwilą atoli zło staje się coraz bardziej stanowczem—nabiera barwy. „Z wystąpieniem bowiem wyraźnem Dobrego — może dopiero Zło wyraźnie jak o t a k i e wystąpić“. Przełamie się zaś zło w następnem objawieniu w „K r ó l e s t w i e B o z e m“, o które się codziennie modlimy.

Potęgi Boże zatem to panowanie Ojca, Syna i Ducha Świ ę t e g o.

Jesteśmy w zupełnej zgodzie filozoficznej tezy z mistyczną wiarą, jesteśmy w zbieżnym punkcie, gdzie myśl Schellinga styka się z Neoplatonczykami — Plotinem i Proclusem, z świętobliwym opatem z Flory i całą średniowieczną teorią wieczystej Ewangelii— a zarazem z pokrewnymi sobie wyobrażeniami Hegla, bardziej zaś jeszcze ze Zygmuntem Krasieńskim i Augustem Cieszkowskim.

Przyjąwszy to stanowisko, przechodzi Schelling i rozwija religijną historję świata przez wszystkie myty, misterya i wiary, idące ku Chrześcijaństwu. W czasie, gdy F e r d. C h r y s t y a n B a u e r, założyciel teologicznej szkoły Tübingskiej w krytycznych badaniach i rozprawach przeczył począł przyjętym tradycjom chrześcijańskim, a D a w i d F r. S t r a u s s w swym słynnym „życie Jezusa“ łamał podstawy Objawienia (1835), w czasie gdy L u d w i k F e u e r b a c h w dziele swoim („Istota Chrześcijaństwa“) z nieubłaganą zawziętością wszelkiemu Objawieniu przeczył — Schelling nie tylko bronić chce, ale pragnie „raz na zawsze roztrzygnąć s p r a w ę w i e d z y i w i a r y“ i przeciwne pojednać poglądy. (Wykłady Berlińskie 1841/2).

W Kościele widzi filozof stopniowanie potęg, podobnie jak w samem Stworzeniu. Nie względy poboczne, kto, kiedy i jak pisał, ale treść żywa. myśl głęboka Pisma, jest mu kryterjum Prawdy.

W Kościele trzech Książąt Apostołów panować ma kolejno Ludzkości: Piotr—pierwszy—a symbolem jego Ewangelia Św. Marka; Paweł—drugi, a jemu wtóruje pismo Łukasza Świętego; Jan ostatni, własną Ewangelię niosący. Piotr potęgą jest, fundament stanowiącą, spojność, moc krystalizująca, lód w przyrodzie, posłuszeństwo w myśli—rządzenie w czynie. Paweł—potęgą dzieła płomiennego, roznoszącą poznanie prawdy, płynną jak woda w przyrodzeniu—mocą ogarniającą. Jan siłą światłości, która i obejmuje, i przenika, mocą, jak powietrze wszędzie władną, mocą umiłowania. Porównuje ich jeszcze myśliciel do widzenia proroczego, w którym objawiła się zrazu b u r z a — potem O g i e ń i trzęsienie ziemi, wreszcie c i c h y p o w i e w, w którym szedł Pan. A tym Świętym Apostołom odpowiadają trzy Osoby Boże: „Piotr jest więcęj Apostołem Ojca i patrzy najgłębiej w Przeszłość; Paweł jest właściwym Apostołem Syna; Jan Apostołem Ducha Świętego i on też

jedyny ma w Ewangelii swej słowa, jakich nie zna ani Piotrowe, ani Pawłowe Objawienie, wspaniałe słowa o Duchu, którego Syn od Ojca pośle i który nas dopiero we w s z e l k ą P r a w d ę, to jest w całą i pełną wprowadzi“ (Schellings Werke II Bd. 4. Vorlesungen XXXVII i XXXVIII str. 328 — 32) (i Schellings Weltalter Buch II cap. X str. 697).

I odpowiadają Apostołom jeszcze czasy Kościoła. Pierwszy czas, Piotrowy czas rzymskiego Kościoła, opartego na powadze i jedności zewnętrznej; drugi Pawłowy—czas Chrześcijaństwa, w duchu germańskim—protestanckim, na wewnętrznej-li umocnionej wierze; trzeci zaś czas, Jana Świętego, będzie E p o k ą p r z y s z ł o ś c i i Kościoła w którym zapanuje s p e ł n i a j e d n o ś c i w n ę t r z e n e j, Kościoła j e d n e g o P a s t e r z a i j e d n e j O w c z a r n i. A jeżeli Piotrowym nazwać można Kościół narodów romańskich, narodów germańskich Kościół jest według myśli Pawła świętego, kościół zaś Jana Apostoła będzie K o ś c i o ł e m L u d z k o ś c i. A jest tu Schelling zupełnie przybliżonym — niemal w jedności — z Cieszkowskim i Krasińskim.

I w jedności jest gdy, powiada że Chrystus działał w Świecie nim się na Świecie objawił życiem, że był już Światłem, które świeciło w ciemnościach przedchrześcijańskich. A gdy, stawszy się człowiekiem, przeszedł żywotem przez ziemię, obiecał nam Ducha Poczyciela, który nas ma wprowadzić w Prawdę, a Duch ten nie jest Duchem Świata, nie jest kosmicznym Duchem, ale D u c h e m S w i ę t y m, który panowanie Chrystusa w świecie i zwycięstwo Jego świadomości ludzkiej dopełni. Wielkie Dzieło Stworzenia i Objawienia ma początek i koniec. Początek w Jedności Bożej, w której wszystko zawarte (ἐν τῷ πατρὶ) ale z a m k n i o n e niejako w sobie; koniec w tejże Jedności ale r o z p o z n a n e j i o g l ą d a n e j przez wszystko, co stworzonym — a co będzie już Boskiem (πατρὶ τῷ ἐν) i Bóg w s z y s t k i e m w e w s z y s t k i e m (πάντα ἐν πατρὶ — porównaj traktatu o Trójcy zakończenie... i ustęp końcowy *Syna Cieniów*: „każda Ci Synem, Równym Ci Ojciec“ etc.)

A Schelling wiarę tę i filozofję wiary nazywa p a n t e i z m e m w e d ł u g s ł ó w P a w ł a Ś w i ę t e g o, panteizmem, który zarazem jest najwyższym i najwspanialszym Monoteizmem, (porównaj — Schellings Werke II Bd. 4. Vorlesung XXVI str. 65) ku temu celowi ostatecznemu wiodą wieki i Epoki, rządzone przez Boga pod Prawem Ojca, Syna i Ducha Św.

„Czas przed Stworzeniem był w szczególnem znaczeniu czasem Ojca — c z a s o b e c n y w takim znaczeniu czasem Syna i panować On musi aż wszystką moc sprzeciwiającą mu się

położy podnóżkiem u stóp Swoich, aż jej nie przerobi na podstawie swą, na swoje *Hypokeimenon*; trzeci czas wreszcie, który podczas całego Stworzenia przyszył jest — ku któremu zaś wszystko spłynąć musi — jest czasem Ducha“ (ibid).

Całe Stworzenie i Objawienie zbieżnem jest ku Duchu Świętego spełnieniu. (Für uns hat jene Succession hier den weiteren und allgemeinen Sinn das Alles, d. h. die ganze Schöpfung, d. h. die ganze grosse Entwicklung der Dinge vom Vater aus — durch den Son — in den Geist gehe“ (ibid. str. 71—73).

A to jest *Ekonomia* Święta (*οικονομία*, porównaj Tertulliana i Aryusza) Objawienia Bożego.

Powiedział był Jakób Boehme myśl tę podobnemi słowy: „Ojciec był przedtem, Syn jest jeszcze, Duch Święty wreszcie będzie w dniu wspaniałości.“

Czyli, jeżeli obejmemy czasy Symbolami Przymierzy — Testament Stary i Testament Nowy Ojcu i Synowi poświęcony a z Duchem Świętym wejdzie *Ewangelia Wieczna*. I Schelling w pojęciu tem Ekonomii Objawień to samo widzi i to samo myślą przyjmuje spełnienie, jakie w natchnieniu prorocstwa głosił Stary Opat, Joachim de Flore.

Wszystkie religie w stopniach i przystępach wiodących ku Religii, wszystkie w przedsiódkach do miejsca Świętego Świętych.

„Chrześcijaństwo jest prawdą pogaństwa“ mówi filozof — i wszelka myśl ku Bogu prawdą jest jakowąś na drodze Prawdy.

Od Mytologii do Objawienia w postępie nieustannym rozwijają się myśli — ale nie koniec im na Objawionej Wierze. Jako ostatnie ogniwo dodaje Schelling po za Religiją Objawioną poznanie jej i zgłębienie — *Wiedzę religijną, Filozofię Objawienia*. A filozofią tą, poznanie tem będzie oglądanie Boga *twarzą w twarz*, według słów Pawła Świętego. Filozofia wiary to najszczytniejszy kres świadomości, gdyż wiara spełna nie jest ani początkiem ani uzupełnieniem ale *Owoce m doskonałym Wiedzy*. Trzy stopnie religijne wiodą ku doskonałości: wiara naturalna, nadnaturalna objawiona i filozoficzna. A jak wiara dąży ku wiedzy, tak wiedza ma swój cel ostateczny we wierze, we wierze, w której cała prawda rozjaśniona. Czemże bowiem wiedza i wiara, jeżeli nie *szukaniem Prawdy*, jednej i wiecznej zarazem. Bez pojęcia rozwoju, bez sukcesyi Bożego Dzieła w Objawieniu, w Ludzkości, we wierze, nie masz prawdziwej wiedzy o Bogu. Ta wiedza daje dopiero poznać Boga, jakim jest. „*Uniwersio*“ — Boża — Wyobrażenie się w Objawieniu ku temu zmierza.

„A to są“ — mówi Schelling, — stosunki, jakich żadna filozofia nie rozjaśni, w której niema prawdziwego rozwoju, która jeno logiczne zna wartości, w której jeno sztuczna rządzi successya, przecząca sobie w myśli ostatecznej (Vorlesungen. XXVII str. 86 Schell. Werke. II Bd. 4.)

Słowa te wypowiedział przeciw Heglowi, którego system za skrzywione własne rozumienie uważał. Z temi słowami przechodzimy do poglądów wielkiego utwierdźciela Logiki.

(D. n.).

ADAM KRASIŃSKI.

Zabiegi dyplomatyczne polskie

1830 — 1831.¹⁾

Pierwsza wiadomość o rewolucji listopadowej nadeszła do Wiednia nocą 5 grudnia 1830 roku.

Położenie Austrii wobec wybuchu warszawskiego było nadzwyczaj skomplikowane. Przedstawiał się on dla niej pod dwoistym kątem widzenia: polityki wewnętrznej a międzynarodowej. Polityka wewnętrzna ówczesnej monarchii austriackiej, od Kongresu wiedeńskiego 1815 roku, stała *en bloc* na niewzruszonej zasadzie absolutyzmu i reakcyi. Stała w szczególności na zasadzie bezwzględnej negacyi i represyi względem wszelkich roszczeń narodowościowych i wyzwoleńczych ze strony przeróżnych ludów, zebranych razem w odnowionem cesarstwie habsburskiem i razem ściśniętych starą centralistyczną obręczą. Na takiej zasadzie wytycznej stał nienufny stosunek państwa do odzyskanych ziem galicyjskich; na niej — podejrzliwy stosunek do wciąż wyłamujących się Węgier; na niej zwłaszcza — wręcz wrogi stosunek do głównego austriackiego nabytku kongresowego, do Włoch północnych, przemocą zagarniętych, przymusem trzymany. Niezrównoważona i niespójna z samej swojej budowy i składu, nadwerężona nadto i rozluźniona w gwałtownych rzutach Napoleońskiej fali, ogromna nawa państwowa austriacka, odkąd po tyłu burzach zawinęła szczęśliwie do zacisznej przystani kongresowej, tem trwoźniej odgrodziła się tutaj od najbliższego bodaj podmuchu, tem nieruchomiejsz spoczęła na ciężkiej kotwicy urzędowego „sy-

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy 1902 roku.

stematu utrwalającego“, c. k. *Stabilitäts - System*, równoznacznika przymusowej bezwładzy żywych sił społecznych i narodowościowych pod żelaznym rygorem martwej maszyny biurokratycznej. Owóż obecnie, po piętnastu latach takiej letargicznej senności i ciszy, ten zachowawczy i wsteczny systemat rządzenia, stanowiący podwalinę Austrii kongresowej, wzruszyła nasamprzód rewolucja lipcowa francuska, zachwiała następnie sierpniowa belgijska, aż nareszcie, pod samym bokiem, wstrząsnęła listopadowa polska. Pierwsze dwie wygrały: jeśli z kolei wygra i trzecia, jakże silna stąd pokusa dla innych niespokojnych żywiołów, jakże mocna podnieta dla innych niezadowolonych ludów, jakże groźne niebezpieczeństwo dla nietykalnej „stabilizacji“, dla całego panowania austriackiego nad różnoplemiennem zbiorowiskiem ludzkim od Karpat aż do Apeninów. Rewolucja w Królestwie Polskiem mogła odbić się bezpośrednio na Królestwie Galicyi i Lodomerji, gdzie wszak świeże jeszcze były wspomnienia zwycięskiej inwazyi wojsk polskich Księstwa Warszawskiego i powszechnego powstania przeciw zniechęconym rządóm austriackim. Mogła wywołać groźne wrzenie w Królestwie św. Szczepana, gdzie wszak niezbyt dawno Napoleon zachęcał naród węgierski do zrzucenia uciążliwego jarzma Habsburgów. Mogła do reszty ośmielić spiskowców włoskich w Królestwie Lombardo-Weneckiem, gdzie wszak przed kilku dopiero laty wypadło mieczem i strykiem tłumić zbrojne zawichrzenia, gdzie odtąd, zwłaszcza od świeżych wypadków lipcowych paryskich, tlił się wszędzie w ukryciu ogień rewolucyjny, a gdzie zresztą położenie ludności tuziemczej w Medyolanie albo Wenecyi względem obcego rządu austriackiego było podówczas nierównie gorsze niż w Warszawie. Tym to sposobem, z uwagi na cały systemat rządowy monarchii habsburskiej, z uwagi w szczególności na położenie Galicyi, Węgier, Włoch, —rewolucja listopadowa była dla ówczesnego rządu wiedeńskiego zjawiskiem całkiem niepożądanem i wprost niebezpiecznem, jej corychlejsze, copelniejsze stłumienie było dla tego rządu prostą potrzebą, poniekąd nawet koniecznością samozachowawczą.

Nie tak prosto atoli przedstawiała się rzecz ze stanowiska międzynarodowej, europejskiej polityki austriackiej. Tutaj, jako czynnik górujący, wysuwał się przedewszystkiem stosunek Austrii do Rosyi. Ten stosunek, mimo wszelkie pozory przyjacielskie, mimo gościnne honory Kongresu wiedeńskiego, uroczyste zaklęcia Świętego Przymierza, braterskie zjazdy monarsze i ministeryjalne, ukrywał na dnie głęboką, nieuleczalną, a coraz bardziej zaostrzającą się sprzeczność interesów austro-rosyjskich. Minęły niepowrotnie te czasy, kiedy cesarzowa Marya-Teresa w swojej „siostrze“

Elżbiecie Piotrównie widziała podporę swojego państwa i dynastji. Przekonał się już cesarz Józef o groźbach nowego wschodniego sąsiedztwa podczas niefortunnej swej rywalizacji w rzeczach Polski i Turcyi. Już podówczas uwydatnił się jasno antagonizm biegunowy między Austryą a Rosyą w dwóch sprawach kardynalnych a nierozdzielnych: słowiańskiej i wschodniej. Na Kongresie wiedeńskim odrodził się ten antagonizm w całej sile, skutkiem odnowionego zatargu o Polskę; i wtedy to, w styczniu 1815 roku, Austrya, złączona z Anglią i Francją, stanęła na czele formalnego tajnego trójprzymierza przeciw Rosyi, związanej z Prusami. Ledwo usunięto polubownie ten jeden kamień obrazu, wnet z kolei nasunął się nieunikniony drugi; i z odnowionego zatargu o Wschód, z kwestyi greckiej, wyłoniło się gwałtowne naprężenie stosunków austro-rosyjskich, wzmagające się z dnia na dzień, aż do samej nagłej śmierci Aleksandra I. Nie ustało ono bynajmniej, owszem spotęgowało się niepomału w pierwszym okresie nowych rządów Mikołaja I. Już dawniej, odkąd W. Ks. Mikołaj Pawłowicz był został zięciem króla pruskiego, sympatyki wiedeńskie kierowały się niedwuznacznie ku osobie W. Ks. Konstantego Pawłowicza. W cesarzewiczu, rezydującym w Warszawie, dopatrywano się w Wiedniu przyszłego samowładzcy Wszechrosyi; nie wiedziano, albo raczej nie chciano nic wiedzieć o przeniesieniu sukcesyi na młodszego brata. Poseł austryacki w Petersburgu, Lebzeltern, szwagier wybitnego dekabrysty, ks. Trubeckiego, w pierwszych dniach po zgonie Aleksandra, śpieszył donosić do Wiednia o rzekome objęciu władzy przez cesarzewicza Konstantego, jako *fait accompli*, o powszechnem zadowoleniu armii z tego powodu, o niepopularności W. Ks. Mikołaja,—wszystko w obszernych, czytelnych, interceptowanych depeszach poufnych; sam zaś dwór wiedeński, całkiem w błąd wprowadzony co do istoty położenia nad Newą, pośpieszył wyprawić wysokiego dygnitarza, hr. Bombelles, ze specjalną misyą powitalną do Warszawy do Belwederu¹⁾. Po wstąpieniu na tron Mi-

¹⁾ Lebzeltern do Metternicha, Petersburg, 9, 13 déc. 1825 (réserve): „plusieurs personnes pensèrent que le grand duc (Mikołaj) avait exercé une autorité qu'il n'avait point... En paraissant octroyer la couronne à son frère Constantin, n'eût-il pas élevé un obstacle d'autant plus puissant à l'acceptation de celui-ci?... Plusieurs faits qu'on ne rapportera pas ici, prouvent... combien l'armée est prononcée en faveur du grand-duc Constantin“; 27 déc. (secret): „l'armée (est) pour Constantin ainsi que la partie de la noblesse attenante à l'armée; la Cour pour Nicolas... le peuple calme, indifférent... (Les

kołaja wycofano się wprawdzie corychlej, odwołano niefortunnego posła, spowinowaconego ze zdrajcami stanu, obsypano młodego monarchę zapewnieniami sąsiedzkiej czułości, lecz oczywiście tą spóźnioną skruchą, akcentowaną odtąd skwapliwie w najczulszych z Hofburgu słowach, pismach, nawet umyślnych misjach, a to księcia heskiego z asystą koronacyjną do Moskwy, a to arcyksięcia Ferdynanda z gratulacją do Petersburga,—nie zdołano już zatrzeć fatalnego wrażenia niewczesnych zapalów dla „cesarza Konstantego I”. Ta kompromitująca niezręczność gabinetu wiedeńskiego w sprawie tak wyjątkowo drażliwej pozostawiła bądź co bądź przykre ślady, jakieś zadraśnięcie i niesmak w pierwszym zaraz stosunku Wiednia względem młodego monarchy, obdarzonego tak wysoką ambicyą, jak Mikołaj I. Stosunek ten wnet zaostrzył się niesłychanie skutkiem⁵ wojny rosyjsko-tureckiej 1828/29 roku. Była ona poniekąd odwetem za Aleksandra I, którego tak długo w jego planach wschodnich wstrzymywała głównie Austria; to też był to odwet, teraz przez jego następcę właśnie wzięty głównie na Austrii. Napróżno siłała się Austria i tym razem, już pośrodku toczącej się wojny, powstrzymać oręż rosyjski; napróżno, pragnąc wyzyskać nieoczekiwane zawody i kłopoty wojenne Rosyan na półwyspie, gotowała przy pomocy Anglii i Francyi niebezpieczną dla Rosyi dywersyę europejską: nie dopięła celu, nie poruszyła Europy do pożądanej interwencji w obronie półksiężycy, i tyle tylko wskórała, że po raz wtóry jaknajmocniej skompromitowała swój stosunek względem Mikołaja I.

Polityka rosyjska w tem ciężkiem przesileniu nieskończenie wyższą objawiła się od austriackiej, pobila ją na głowę, pogrążyła

régiments) prêtèrent la plupart sans enthousiasme le serment exigé par leurs chefs pour un empereur (Mikołaja), dont la discipline sévère et peut-être trop minutieuse avait excité du mécontentement“; Bombelles do Metternicha, Warszawa, 25, 27 stycznia 1826. Porównaj deposesę Schölera do Fryderyka-Wilhelma III, Petersburg, 20 marca 1826, Ringhoffer, Preuss. Orientpolitik zur Zeit Nikolaus (1897), 43, 260; Stern, Gesch. Europas 1815 bis 1850, III (1901), 81, 385 sq. Nader znamienne są w tym względzie społeczne poufne doniesienia sytuacyjne Gentza z Wiednia: Gentz do Ghiki, 17 grudnia 1825: „si le grand-duc Constantin succède sans obstacle, nous n'avons rien à craindre pour le maintien de la paix et au contraire beaucoup à espérer pour un arrangement général conforme à nos vœux et à nos intérêts. Si, au contraire, un obstacle imprévu... allait exclure le grand duc du trône, tout devient incalculable“; zwracamy szczególną uwagę na niezwykle doniesienie Gentza do tegoż, 24 kwietnia 1826, z powodu zgonu Aleksandra, Dépêches inédit es, ed. Prokesch-Osten (1876), III, 59, 65 sq.

doszczętnie, a sama potrafiła z niepospolitem mistrzostwem, zwykłą zresztą swoją metodą, szczęśliwie wydobyć się z matni. Położenie wojenne na półwyspie bałkańskim było groźne, a nawet czas jakiś wprost krytyczne. Wdanie się Europy było w każdej chwili możliwe, wdanie się Austrii wydawało się aż nadto blizkie, proste, prawie niuniknione, bo dyktowane przez najżywotniejsze, całkiem namacalne interesy austriackie. Alіści, im większe były śród takich warunków wewnętrzne obawy cesarza Mikołaja I, tem śmielszą i bezwzględniejszą przybierał on postawę nazewnątrż. W tem właśnie tkwiło mistrzostwo. Poseł rosyjski w Wiedniu, Tatiszczew, odebrał rozkaz zażądania natychmiast kategorięcznego wyjaśnienia od gabinetu wiedeńskiego w sprawie podejranych zbrojeń i rokowań austriackich, skierowanych przeciw Rosji. I jednych i drugich natychmiast jaknajsolennie wyparł się Wiedeń, zastraszony nie na żarty podobną stanowczością. Zaś równocześnie, gdy w ten sposób przyciskano do muru Austryę, gotowano się w cichości do gruntownej z nią rozprawy. Podpułkownik kwatremistrzostwa, późniejszy szef sztabu armii polskiej, Wojciech Chrzanowski—który, uczestnicząc w kampanii tureckiej, zwrócił na siebie uwagę cesarza i feldmarszałka Dybicza i trafnie był uznany za jednego z najzdolniejszych sztabowców polskich,—w tym samym czasie, kiedy przez Tatiszczewa wielkim głosem oskarżano i rozbrajano rzekome wojownicze zapędy wiedeńskie, w początkach 1829 r., otrzymał najpoufniejsze zlecenie: poczynić studia i zdjęcia topograficzne wzdłuż granicy galicyjsko-węgierskiej, oznaczyć punkta dogodnie do rzucenia mostów przez Wisłę, wreszcie, wygotować kompletny plan śmiałej akcji zaczepnej przeciw Austrii. Według tego planu, wskazanego z góry Chrzanowskiemu w zarysach ogólnych, armia Królestwa wzmocniona przez rezerwy rosyjskie, dyzlokowane na Litwie oraz w okręgu wojskowym kijowskim, miała wkroczyć do granic austriackich w trzech kolumnach: pierwsza na Sandomierz i Dukłę, zajmąwszy linię Saau, przeznaczona była do obserwacyi twierdzy Ołomuńca; druga, obsadziwszy Kraków i linię Dunajca, miała trzymać w szachu załogi galicyjskie; trzecia, najsilniejsza, forsownemi marszami na Śląsk austriacki i Morawy, miała wprost uderzyć na Wiedeń. Wtedy również postanowiony i wykonany został, w maju tegoż roku, akt wielkiej doniosłości politycznej, z którym dotychczas wcale się nie kwapiono, który nawet dla względów polityki wewnętrznej myślano puścić w odwołkę i bodaj zgoła ominąć, a na który zdobyto się teraz głównie dla względów polityki zagranicznej: koronacya królewska w Warszawie. Ten akt był obliczony nietylko na Królestwo, lecz na Europę, przedewszystkiem na Austryę, i to nie-

tylko na Galicyę, lecz nawet na Węgry. Według doniesień tajnych, stąd właśnie ściąganych starannie przez W. Ks. Konstantego, pod wrażeniem koronacyi warszawskiej „ujawniło się na Węgrzech niejakie poruszenie umysłów, wznoszono tam na licznych zgromadzeniach toasty na cześć króla polskiego Mikołaja, przyczem odnawiano pamięć Władysława, króla polskiego a węgierskiego, i wysławiano jego następcę“; podobnież w szczególności „między Słowakami dał się zauważyć wielki entuzjazm“. Zaraz też wyprawiony został z Warszawy do Wiednia generał-adjutant, Wincenty Krasiński, cieszący się podówczas, od Sądu Sejmowego, pełnem zaufaniem monarszem, z wiadomością urzędową o dokonanej szczęśliwie koronacyi. Obok tej strony ostentacyjnej, miała jego misya głównie na celu pogłębić jeszcze wrażenie gr. żnych skarg Tatiszczewa, dać do myślenia ostatecznie zbić ich z tropu, a za jednym zachodem wydostać także niektóre pożądane ciekawsze informacye wojskowe, — dość skomplikowane zadanie, z którego doskonale wywiązał się Krasiński. W tej samej znowu porze, tego samego dnia, kiedy zręczny wysłaniec na audyencyi w Hofburgu wiedeńskim barwnie malował świetność i powagę obchodu warszawskiego, wymownie obwieszczał popularność i potęgę młodego władzcy, ubocznie wtrącał wieloznaczące, niepokojące półsłówka wyrzutu i ostrzeżenia, jednym słowem jaknajmisterniej i jaknajskuteczniej zasiewał głęboką konsternacyę w bojaźliwej duszy Franciszka I, — Mikołaj I wraz z rodziną, wprost z koronacyi, pośpieszył nagle z Warszawy do Berlina, do swego teścia, Fryderyka-Wilhelma III. Odegrały się tutaj, nad Sprewą, sceny niezwyklej serdeczności rodzinnej i politycznej, grzmiały Pod Lipami ogniste wiwaty entuzyastycznych Berlińczyków, odbierano od uczonego uniwersytetu berlińskiego wiernopoddańcze ody greckie na cześć zbawcy Grecyi, obchodzono uroczystość ślubną młodego ks. Wilhelma, późniejszego cesarza Wilhelma I, urządzano wspaniałe feity i parady wojskowe, a pamiętano też o sprawach aktualnych, o interesie, ułożono natychmiast przyjacielskie pośrednictwo Prus na rzecz Rosyi w Stambule, zapewniono sobie poparcie pruskie, w razie potrzeby nawet pomoc i sukurs zbrojny pruski, manifestacyjnie odnowiono i stwierdzono przed światem starą, niewzruszoną tradycyę sprzymierzeńczą prusko-rosyjską. Nie mogło zaś dla nikogo pozostać tajemnicą, przeciw komu właściwie zwracała się ta głośna manifestacya, nie mogło ulegać najlżejszemu wątpieniu, że mierzyła ona przede wszystkim wprost w Austryę.

Narazie wpawdzie wszystko skończyło się szczęśliwie. Rosya pomyślnie i zaszczytnie wybrnęła z wojny tureckiej, dobi-

ła fortunnego adryanopolskiego pokoju. Skruszona Austria, jak rzekliśmy, wyparła się uroczyście wszystkich swoich niendanych zamysłów interwencyjnych. Mikołaj I nie nalegał, nie kwestyował, spokojnie wysłuchał pokornej ekskuzy i na niej napozór poprzestał. Ale wiedział doskonale, co o niej sądzić, nie skwitował z obrachunku, tylko go odłożył. Wiedziała również dobrze i Austria, czego może spodziewać się od chowającego głęboką urazę sąsiada i z najżywszym niepokojem śledziła odtąd każde jego poruszenie. Na mocy pokoju adryanopolskiego Rosya stała się panią ujścia Dunaju i zatrzymała w okupacji wojskowej i zarządzie własnym Mołdawię i Wołoszczyznę. Owóż od tej chwili, przez koniec 1829 r. i cały 1830 r., aż do samego wybuchu listopadowego, korespondencya poufna rządu wiedeńskiego z gubernatorem krajowym we Lwowie jest wprost zapelniona najszczegółowszemi pytaniami i doniesieniami o niepokojących ruchach wojsk rosyjskich w guberniach nadgranicznych, Besarabii, księstwach naddunajskich, oraz o nadwyzczaj ożywionej działalności licznych agentów rosyjskich rozrzuconych po Galicyi, Bukowinie i na Węgrzech. Równocześnie w korespondencyi generalnego konsulatu austriackiego z Warszawy zaczynają pojawiać się nader zastanawiające wiadomości o systematycznie wydawnianej niechęci i rozżaleniu opinii publicznej w Królestwie Polskiem dla sąsiednich porządków galicyjskich. W gazetach warszawskich,—gdzie wszak czujnej uwadze komisarza cesarskiego, Mikołaja Nowosilcowa, nie ujść nie mogło, ani też nie prześliznąć się nieopstrzeżenie pod baczdem okiem naczelnego cenzora, Kalasantego Szaniawskiego, — zaczęły ukazywać się ostre ataki na administracyę austriacką w Galicyi i gorzkie skargi na smutny los ludności tamecznej. Wiosną 1830 r., przed samym sejmem, półurzędowe „*Wiadomości handlowe*“ warszawskie, organ Banku Polskiego, wychodzący pod opieką dyrektora Banku, Ludwika Jelskiego, a właściwie pod egidą ministra skarbu, Lubeckiego, wystąpiły z krótkim, lecz znamienym artykułem, który natychmiast przedrukowany został przez wszystkie inne dzienniki warszawskie, a gdzie bardzo dobitnie były zestawione dla kontrastu ciemniona Galicya i szczęśliwe Królestwo Polskie, „dwie te części jednego dawniej kraju“. Wkrótce potem, w maju tegoż roku Mikołaj I ponownie zjechał do Warszawy na sejm. Niezwłocznie, we wstępnej zaraz mowie tronowej do zgromadzonych Stanów odezwał się z naciskiem monarcha o minionej wojnie tureckiej, wyraził żal, że w jej laurach nie wypadło uczestniczyć orężowi polskiemu, i w końcu takie znamienne rzucił oświadczenie: „Wojsku polskiemu zaufanie moje wskazało niemniej ważne przezna-

czenie. Tworzyło ono przednią straż armii, czuwającej nad bezpieczeństwem cesarstwa“. Przeciw komu, w myśli monarchy, przeznaczona była ta awangarda?—tego znowuż dorozumieć się było nietrudno: stawała oczywiście pod bronią przeciw sąsiedniej Austrii. Takie to groźne *memento*, w samym przededniu dojrzewających już wielkich przewrotów, na dwa miesiące zaledwo przed rewolucją paryską, a na półroku przed warszawską, padło pod adresem austriackim z wysokością tronu w Warszawie ¹⁾.

¹⁾ Metternich do ks. Hessen—Homburg do Petersburga, 13 listopada 1826 (o osobistej dla niego n'echęci Mikołaja); do Esterhazego do Londynu, 31 maja, 8 października, 18 grudnia 1828: „La Russie est une puissance toujours *voulant* et qui par conséquent est toujours inquiète... Notre lourde masse se trouve gêner par sa gravitation la marche toujours croissante du colosse du Nord. *Faulte de mieux* il se rue sur un autre voisin... On ne nous aime pas, mais on n'ose pas nous faire ouvertement la guerre, l'entreprise peut paraître trop sérieuse“; instr. dla Ficquelmonta do Petersburga, 17, 23 stycznia; Vortrag dla Franciszka I, 9 października 1829, Nchglss. Papiere, №№ 837, 898, 904, 940, 941, 952. Odkrycie tajnych starań interwencyjnych Austrii w Londynie i Paryżu było dziełem pani Lieven i Pozza; ob. zwłaszcza korespondencyę Lievenowej z Greyem, Corresp. I, 165 sq. (porów. Wczasy historyczne, 181 sq.), oraz świeżo ogłoszone jej listy do Benckendorfa, październik — listopad 1828, Letters of Dor. Lieven (1902), 158 sq.; Pozza do Nesselroego, wielka depesza oskarżycielska przeciw Austrii, 10 grudnia 1828; Nesselrode do Tatiszczewa do Wiednia, 24 lutego, do W. Ks. Konstantego, 8 marca 1829, Portfolio, I⁷, 13, I⁸, 5, 21 sq., II, 99, 159, 207, 336, 395 sq., III, 423 sq., IV, 5 sq., V, 355 sq., Martens, Recueil, Autriche, IV¹, 399, 419 sq., Prusse, VIII, 118, Angleterre XI, 390 sq.; Maggiolo, Cte Pozzo di Borgo, 299 sq.; Ringhoffer, 145, 177 sq.; Treitelke, III, 741 sq.; Stern, 146, 166, 191 sq.; Beer, Orient Pol. Oesterr., 378, 188 sq.; Szylder, Mikołaj I, Polska, sprawa wschodnia, Russ. Star. CI, 532 sq., CV, 276. Memoriał Chrzanowskiego, 1831, w Kriegsarch. wied. Audyencye Krasińskiego u Franciszka I, 3 czerwca, u Metternicha 4, 5, 8 czerwca 1829. Korespondencye gubernatora galicyjskiego, ks. Lobkowitza z prezydentem Najwyższego Nadwornego Wydziału policyi w Wiedniu, hr. Sedlnitzkym, 1829—1830, oraz spóczesne doniesienia galicyjskich władz politycznych i straży kordonowej do Lobkowitza, zawierają mnóstwo nader ciekawych wiadomości o działaniach rosyjskich, zwłaszcza o dyzlokacyi wojsk nad granicą, zakładaniu magazynów, organizowaniu i zbrojeniu ludności w Moldawii, tłumnem ściąganiu austriackich dzerterów-Słowian, dzia-

Ukształtowany tak fatalnie, niezdrowy, niebezpieczny stosunek Austrii względem potężnego wschodniego sąsiada stanowił, rzecz prosta, najpoważniejszą troskę gabinetu wiedeńskiego. Wybuch lipcowy we Francyi powiększył jeszcze tę troskę, uczynił ją nadzwyczaj aktualną. Zabezpieczenie sobie tyłów od rosyjskiego Wschodu stało się dla Austrii koniecznością podwójnie żywotną i nagłącą wo-

łałości biura wywiadowczego w Jassach, pod generałem Makarowem i pułkownikiem Liprandim, itd. Szczególnie zajmujące są w tym względzie treściwe relacye komisarza w Czerniowcach, Michała Zagórskiego, do Lobkowitza, 20, 28 lipca: „Czernowitz ist eine förmliche russische Marschstation geworden, wo sich die Offiziere durch längere Zeit, oft monatelang, wie es beim russischen Oberlieutenant Berg (późniejszy Namiestnik), Capitän Friderici, u. A. stattfand, aufhalten und sofort über alle Zweige der Staatsverwaltung Erkundigungen einziehen... Hiedurch bietet sich denselben die Gelegenheit dar, das Geschäft der Auskundschaftung sorgfältig zu betreiben und in dieser Beziehung auf dem hieständigen Boden Verbindungen anzuknüpfen“; 5 września 1830 (o uczestnictwie duchowieństwa wschodniego na Bukowinie): wszystko to nagle urywa się z początkiem grudnia tegoż roku, po rewolucyi warszawskiej. Wiadomości Handlowe, № 49, d. 28 kwietnia 1830: „Co za różnica między Królestwem Polskiem a Galicyą, prowincyą, która dawniej wyprzedziła nas była o wiek w cywilizacyi. Teraz cofa się ona, gdy my postępujemy: nie tam nie usłyszysz prócz egzekucyi podatkowych i naciśkań za wszelkiego rodzaju opłaty niestale. Żaden przemysł, żadna instytucya, promyka nawet nadziei dobrego na przyszłość nie zostawia. Dwie te części jednego dawniej kraju są wyraźnym dowodem, co może administracya na wzrost kraju lub jego upadek“; przedruk w Gazecie Polskiej № 114 i Kurjerze Polskim, № 143, d. 29 kwietnia 1830. Occhsner do Lobkowitza, 30 kwietnia, Stutterheim do Lobkowitza, 5 maja: „Es muss unsomehr auffallen, wie die kgl. polnische Regierung die Aufnahme eines solchen Artikels in ihre öffentlichen Zeitungsblätter gestatten konnte, als man hier alle mögliche Sorgfalt trägt, Alles aus den hiesigen (t. j. galicyjskich) Zeitungsblättern auszulassen, was die polnische oder russ.-kais. Regierung nur im Geringsten unangenehm berühren könnte“ (odpowiednie №№ gazet warszawskich zostały też natychmiast skonfiskowane we Lwowie); Lobkowitz do Stutterheima, do Sedlnitzkiego, 10 maja, zazaądał „nöthige Reclamationen im diplomatischen Wege,... da ein Überschen von Seite der polnischen Oberbehörde nicht leicht denkbar ist“. Mowa tronowa 28 maja 1830: „L'armée polonaise... formait l'avantgarde de l'armée chargée de veiller à la sûreté de l'Empire“.

bec wynikłych naraz od Zachodu gwałtownych komplikacji francuskich. Francya rewolucyjna w 1830 roku z samej natury rzeczy, prawem konieczności dziejowych, parta była naprzeciw Austrii na to samo stanowisko zaczepne, co w r. 1792. Rewolucyoniści paryscy z barykad lipcowych, tak samo, jak ich poprzednicy z Legislatywy i Konwencji, upominali się o „granice naturalne“, a upominali się nadto o pomstę za klęski Lipska i Waterloo, o odwet za dwukrotną inwazyę, o zniweczenie haniebnych paktów paryskich i wiedeńskich. Na ulicach Paryża rozbrzmiewał teraz ten sam okrzyk „nad Ren“, co przed czterdziestu laty. Oprócz sprawy nadreńskiej odnawiała się zresztą inna jeszcze, otwierało się drugie źródło przedstuletniej rywalizacji austro-francuskiej, budził się stary zatarg o odwieczne jabłko niezgody między Paryżem u Wiedniem: spór o Włochy. „Ja i cesarz austriacki—mawiał lapidarnie Napoleon I — jesteśmy dwa rozjuszone buhaje, zabijające się o to, kto spocznie przy Italii“. To słowo, które byłby ongi potwierdził Ludwik XIV, a które później potwierdził Napoleon III, stosowało się obecnie do lipcowych rewolucjonistów francuskich. Ten spór również był rozstrzygnięty, lecz bynajmniej nie zakończony na Kongresie wiedeńskim. Mocą uchwał kongresowych usadowiła się we Włoszech Austria; ale żaden Francuz nie zdążył jeszcze zapomnieć, że Napoleon kładł był wczora koronę lombardzką w Medyolanie, gdzie rządził dzisiaj wice-król—arcyksiążę. Łacno było przewidzieć, że przewrót lipcowy paryski poda natychmiast hasło Włochom do próby zrzucenia jarzma habsburskiego, że wyniknie stąd dla Austrii konieczność stłumienia rozruchów włoskich a dla Francyi obowiązek ich poparcia, że zatem i z tej strony jedna iskra może sprowadzić zbrojne starcie austro-francuskie. Tak czy owak, od Renu czy od Alp, groźba była poważna i bliska. Czy Ludwik-Filip zdoła ją zażegnać, rewolucyjnego smoka okiełznać i powstrzymać od ponownego uderzenia na Europę?—to było w pierwszej chwili rzeczą conajmniej nader niepewną. A natomiast było niezawodną, że takie uderzenie i tym razem, jak przed czterdziestu laty, ugdziłoby nasamprzód i najmocniej w Austryę. Tak było w zeszlowiecznej krytycznej dobie Leopolda i Kaunitza, tak poniekąd stać się mogło obecnie, za Franciszka i Metternicha. Analogia położenia rozciągała się zarazem na drugiego sąsiada Austrii, z którym ona już od stulecia zmuszona była liczyć się jaknajbardziej: sąsiada pruskiego. Prusy ongi, w końcu XVIII wieku, były wydały Austryę na bagnet Francyi rewolucyjnej a same porozumiały się z Rosyą w sprawie polskiej. Dokonały zaś wówczas tej sztuki nazajutrz po wojnie tureckiej, toczonoj wtedy przez Rosyę, wbrew wstrętom pruskim, przy sojuszniczym udziale austriackim. Obecnie miały zadanie daleko łatwiejsze, naza-

jutrz po wojnie tureckiej, zakończonej przez Rosyę, wprost naodwrot, wbrew wstrętom austriackim, przy przyjacielskiem poparciu Prus. Tak więc i z tej strony nasuwały się Austrii same przez się ostrzegawcze wspomnienia jej ciężkich doświadczeń zeszlowiecznych. A nawet od tej właśnie ściany pruskiej podobne analogie polityczne musiały obecnie więcej jeszcze niż kiedykolwiek dawać do myślenia Austrii, z uwagi na znacznie tymczasem wzmoczoną zdolność zaczepną nowych, restaurowanych Prus, zaokrąglonych przez prowincję nadreńską i saską, pracujących już czynnie nad własnym związkiem celnym, coraz bardziej idących w górę wewnątrz pokongresowej Rzeszy Niemieckiej. To wszystko w owej chwili, pod koniec 1830 roku, były względy i groźby wcale poważne. Zaś ponad niemi wszędzie górował i ciążył zbrojny od stóp do głów, obrócony ku Austrii od linii Wisły frontem Królestwa Polskiego, od roku opasujący ją od linii Dunaju flanką księstw naddunajskich, długoramienny, dalekosiężny kolos rosyjski,—nagle teraz chwycony za bary przez rewolucyę listopadową warszawską.

Pod naciskiem takich to, nader kłopotliwych i zawiłych konsyderacyi stawał rząd wiedeński naprzeciw walki polsko-rosyjskiej. Że ta walka nierówna zakończyć się musi łatwem, szybkim i zupełnym zwycięstwem Rosyi, to był dla Wiednia,—jak i dla całej zresztą Europy, gdzie naogół znacznie przeceniano ówczesną gotowość zbrojną imperyum a niedoceniano organizacyi militarnej Królestwa,—od pierwszej chwili pewnik najoczywistszy. Z tamtych konsyderacyi w związku z tym pewnikiem wynikał dla polityki wiedeńskiej w stosunku do wypadków warszawskich morał dosyć prosty, nacechowany tyleż głęboką a trwożną antypatją dla Rosyi, co zupełnym brakiem sympatyi dla Polski. Wprawdzie rząd wiedeński, który przed piętnastu laty, jako spółuczestnik fundacyi Królestwa Kongresowego, w jego odrębności ustawodawczej był widział przedewszystkiem wędzidło dla Rosyi, obecnie doskonale był świadom, iż rozpoczęta walka, prowadząc do upadku tej odrębności, do zniesienia onego wędzidla, koniec końcem wyjdzie na korzyść potędze mocarstwowej rosyjskiej, całkiem rozwiąże jej ręce, a tem samem znacznie podniesie i uprości jej działanie europejskie a zwłaszcza sąsiedzkie. Ale tę niepokojącą świadomość usuwało na drugi plan przekonanie, że sprawa polska jest beznadziejna, z góry niepowrotnie stracona, że zatem nie warto kompromitować się w niej ponownie, jak niedawno w aferze tureckiej, że, przeciwnie, tym razem należy nadarzoną stąd okazyę wyzyskać dla skutecznego zatarcia poprzedniej szkodliwej kompromitacyi, dla odzyskania zawczasu drogocennych względów niewątpli-

wego zwycięscy, — conajwyżej zresztą z tem pobożnem *in petto* życzeniem, aby zwycięstwo przyszło mu nienajlaciej, aby kosztowało go jaknajdrożej, aby obezwładniło go lub bodaj osłabiło przynajmniej na czas jaknajdłuższy. Cały ten moral sprrowadzał się ostatecznie do kilku praktycznych wskazań dyplomatyczno-politycznych. Utrzymać spokój bezwzględny u siebie w domu, zwłaszcza w Galicyi i Włoszech; wypełniać z uczynną skwapliwością surowe żądania interdykcyjne rządu rosyjskiego względem zbuntowanego Królestwa, dogadzać nawet aktualniejszym potrzebom wojennym armii rosyjskiej, tolerować wywiady oficerów rosyjskich we Lwowie i wycieczki patrolów rosyjskich przez granicę galicyjską; patrzeć jednak zarazem przez palce na niezbyt ściśle przestrzeganie wydanych drakońskich zakazów względem Kongresówki, na wyprawy galicyjskich ochotników i transporty broni do rewolucyjnej Warszawy, na obroty agentów warszawskich po Galicyi i Węgrzech; ostentacyjnie i oficjalnie odżegnywać się od grzesznego, występnego, rewolucyjnego Królestwa, lecz poufnie i połowicznie podtrzymywać je na duchu, nie zrywać z niem stosunków, nie zniechęcać go, nie odstręczać, owszem, otwierać mu półgębkiem widoki na opiekę wiedeńską, a nawet prowokować je potrosze w tym kierunku, ale czynić to wszystko jaknajdyskretniej, nie zostawiając żadnych śladów, całą inicjatywę zwalając na Warszawę; natomiast z próśb i wynurzeń warszawskich stwarzać sobie w te pędy nowy tytuł do tem głębszej wdzięczności rosyjskiej, odsłaniać mianowicie i podkreślać w Petersburgu własną niewzruszoną lojalność, odtrącającą natarczywe kuszenia polskie, posyłać nadto od czasu do czasu nad Nowę z wyszukaną uprzejmością ciekawsze wyciągi z korespondencyi rządu warszawskiego, interceptowanej na pocztach austriackich; równoważyć tym sposobem, w pewnej przynajmniej mierze, pokrewną wysługę konkurencyjnych Prus: — na takich i tym podobnych, bardzo dwulicowych, bardzo przemysłnych, a nadzwyczaj tanich conceptach i finezyach, polegała i poprzestała polityka dworu wiedeńskiego w ciągu wojny polsko-rosyjskiej 1830—31 r., na nich chciała wyjechać, wybrnąć, wykpić się z jednego z najcelniejszych przesileń nowożytnych europejskiego Wschodu, a wraz przełomowego przesilenia Europy nowożytnej.

Cesarz austriacki, Franciszek I, już w tym czasie zbliżał się do swego kresu. Przekroczył sześćdziesiąty rok życia, dobiegał czterdziestego rządów. Do ostatka trzymał się krzepko, lecz przeżyta niedawno (1826 roku) ciężka choroba wycisnęła na nim wyraźne piętno zgrzybiałości starczej. Jednak ciągle jeszcze, aż do samego końca, nie przestawał podawnemu strzedz zazdrośnie swego najwyższe-

go autorytetu rządowego i wykonywać drobnostkowo swoich funkcji monarszych, podawnemu nawet przyjmować osobiście na audyencyach dla pospólstwa po kilka tysięcy corocznie petentów i ukazywać się na zwykłej przechadzce dokoła Burgu swojemu poczciwemu ludkowi wiedeńskiemu. To też każdemu Wiedeńczykowi doskonale była znana ta skromnie ubrana, niepokazna, sztywna, szczupła figura, niewielkiego wzrostu, słabowitej napozór kompleksyi, w istocie niepożytej wytrzymałości, albo raczej nieczułości fizycznej i duchowej; ta twarz chuda, płaska, zimna, a bardzo pańska w swych regularnych liniach wąskiego owalu, z wysuniętą typową wargą habsburską, z przenikliwym, pytającym, wylupiastem okiem, zeszeconem przez zwieszającą się dolną powiekę; ten głos drewniany, odzywający się do każdego z dobroduszością jednakowo łatwą, łaskawą, poufałą, a jednakowo obojętną, w najczystszyim zazwyczaj dyalekcie wiedeńskim. Ale cesarz Franciszek, chociaż tak ten dyalekt lubił, że aż uczynił go modnym językiem dworskim, sam przecież naprawdę najswobodniej wysławiał się w mowie swego florenckiego dzieciństwa i swojej najmilszej neapolitańskiej małżonki,—po włosku. Gdyż naprawdę „*der gute Kaiser Franz*“ pod patryarchalną powłoką koronowanego Wiedeńczyka zachował niejednen rdzenny pierwiastek księcia-Włocha. Naogół zresztą ten syn i następca Leopolda Toskańskiego, wychowaniec Józefa, teść Napoleona, wyobrażał szczególniejszą kombinację najrozmaitszych pierwiastków duchowych, wywodzących się z jego rodu, edukacyi, stanowiska i przeżytych doświadczeń. Najwcześnieję rozwinęła się w nim głęboka podejrzliwość. Dzieckiem jeszcze wzięty z Florencyi do Wiednia, od zrujnowanego na zdrowiu Leopolda, przez bezdzietnego cesarza Józefa, spotykał nieufny wzrok własnego ojca, który, mocny duchem choć podkopany na ciele, sam chciał jeszcze panować i nie smakował bynajmniej w pesymistycznej dyagnozie braterskiej i w tem przedwczesnem gotowaniu swego syna do należnego sobie wprzódy tronu. Odtąd znowuż w stolicy pod surową stryjowską ferułą młody Franciszek spotykał ostry, sceptyczny wzrok cesarza Józefa. O charakterze czternastoletniego chłopca fatalne dał świadectwo jego pierwszy wychowawca, jego *ajo*, hr. Colloredo, kiedy, zmuszony do szczerości bezwzględnej przez cesarza Józefa, wytknął w dziecku „wiele próżności, nieufność, nieczułość, trwożliwość, obłudę“. Sam stryj, Józef, jeszcze niełitościwiej zapuścił sondę do duszy młodego synowca: „szlachetne pobudki moralne nie wywierają na nim najmniejszego wrażenia, nie masz w nim ani ambicyi, ani patryotyzmu, ani prawości, ani sumienności w wykonaniu obowiązków, ani nawet zasad religijnych.“ Okrutny to wyrok i zapewne nazbyt surowy. Posiadał Franciszek i niejedną cenną zaletę: wzorową stateczność i porządek życia prywat-

nego, wielkie poczucie swojej godności monarszej, sporo zdrowego rozsądku, naturalną równowagę i spokój umysłu, zdanie ociężałe, powolne, ostrożne a stąd nieraz bardziej umiarkowane, konsekwentne i praktyczne. Bez talentów stryja, bez głębokości ojca, właśnie skutkiem tych braków nie tak łatwo mógł popaść w porywce szaleństwa Józefińskie, ani pogubić się w poplątanych kombinacjach Leopoldowych. Ale była to z tem wszystkim głowa dziwnie ciasna, małostkowa, niesamodzielna, bez śladu myśli wyższej, bez żadnej inicjatywy i zupełnie bez odwagi, a powołana do rządzenia ogromnem dziedzictwem habsburskiem w niesłychanie burzliwym i krytycznym okresie dziejowym. Znane są własne jego monumentalne orzeczenia, malujące go tak dobrze. Wiadomo, jak sam o sobie orzekł z ukontentowaniem, że byłby „wcale zdatnym hofratem;“ albo jak tłómaczył profesorom lublańskim: „trzeba tego uczyć, co ja każę, nie potrzebamiuczonych, lecz dobrych poddanych“; albo jak swemu lekarzowi nadwornemu, który go uspokajał w chorobie, że posiada jeszcze bardzo dobrą konstytucję, dał surową admonicyę: „mogę mieć dobrą kompleksję, —dobrej konstytucyi wcale niema“. Te anegdoty byłyby może zabawne, gdyby nie przebijał się w nich istotny podkład psychiczny całej indywidualności monarszej, uwarunkowany przez bardzo ciężkie doświadczenia życiowe i bardzo dotkliwe precedensy polityczne. Bolesne przeprawy doby Napoleńskiej całkiem zbiły z tropu słabego monarchę, który musiał podwakroć uchodzić ze swojej stolicy i córkę swoją oddać zwycięzcy. Ów nadzwyczajny zięć habsburski, Napoleon, wnet poznał z gruntu teścia i trafnie go ocenił, kiedy orzekł, że z nim poradzić można tylko postrachem, ale też postrachem można wszystko. Przebywszy jakby w oszołomieniu, w biernej rezygnacyi, długą nawalnicę Napoleńską, Franciszek I prawdziwie ożył dopiero w drugiej połowie swego panowania pośród cmentarnej ciszy epoki kongresowej, i teraz tem skwapliwiej odbił się za poniżającą przeszłość, powetował sobie tyle doznanych upokorzeń, zaciął się w bezwzględnej restauracyi swego przyćmionego majestatu. Odtąd ostatecznie wzięły górę, zeszytywniały, stwardniały najsłabsze strony jego umysłowości, a obostrzyły się zwłaszcza te dwie cechy zasadnicze: podejrzliwość i trwożliwość. Minione ciężkie próby pozostawiły tyle goryczy i niepokoju w jego chłodnej a zapamiętałej duszy, że aż mrozem stąd powiało na najbliższe stosunki rodzinne. Nie miał zaufania do żadnego z braci. Nie zapominał ani na chwilę tych czasów, kiedy Napoleon, siedząc w Wiedniu, ważył w swych rękach losy monarchii i tronu habsburskiego i kiedy arcyksiążę Karol był domniemanym cesarzem Austrii, arcyksiążę Józef domniemanym królem Węgier, a arcyksiążę Jan domniemanym księciem tyrolskiego Rhaetium. Tembardziej

oczywiście nie zapominał niczego swoim ministrom. Miał on ten rys bardzo pański i bardzo habsburski, że kto raz u niego wypadł z łaski, ten już nigdy naprawdę nie mógł do niej wrócić. Ulubionego wychowawcę z lat dziecinnych, czas jakiś wszechwładnego ministra, Colloreda, skoro raz oddalił, nigdy już ani jednym nie wspominał słowem; a taki sam był los ministra Thuguta i innych. Naogół zresztą, jeśli dawniej, podczas gorących oparów politycznych i wojennych, składał niekiedy całą władzę, a razem najcięższe kłopoty, w ręce jednego zaufanego ulubieńca, obecnie, w dobie pokojowej, nawet najpowolniejsze swe służki ściśle pilnuje i ścięśnia, ściśle dzieli między nich funkcje i kompetencje, jednych przez drugich ogranicza i równoważy. Podejrzliwy i trwożny, przedewszystkiem te dwie rzeczy niewziuszenie sobie postanowił: być panem u siebie w domu i mieć już spokój aż do końca. „*Gerüstchlose Selbstregierung*“ i „*Ruhe haben*“, — w tych dwóch maksymach wytycznych streszczało się odtąd dla niego główne przeznaczenie machiny państwowej i najprzedniejszy obowiązek tych rządzących mechaników, pomiędzy których, tyleż dla spóldziałania ile dla wzajemnego hamowania się, równolegle rozkładał kierownictwo naczelne oddzielnych jej kół obrotowych.

Takich ludzi rządzących było w Austrii w rozważanej chwili na planie najpierwszym czterech: Metternich, Mittrowsky, Sedlnitzky i Kolowrat. Ks. Metternich od blisko dziesięciolecia (od 1821) piastował najwyższe, przez ćwierć wieku po wielkim Kaunitzu niezajęte, stanowisko „kanclerza domu, dworu i państwa“ (*Haus-Hof-und Staatskanzler*). Jednak przy nowym tytule pozostał on naprawdę tem tylko, czem był już od lat blisko dwudziestu: wyłącznym kierownikiem polityki zagranicznej państwa. Miał on w tym charakterze zakres władzy nader obszerny, miał także znaczny wpływ osobisty na monarchę, a tem samem pośrednio na ogólny kierunek rządowy i na sprawy najrozmaitsze innych wydziałów, tak blisko skojarzone w wielu wypadkach z tokiem spraw zagranicznych. Naogół jednak jego stanowisko kanclerskie nie mogło iść bynajmniej w paragon z dawnym Kaunitzowskim, ogarniającem istotnie powszechność mechanizmu rządowego. Przeciwnie, Metternich, po za owym ogólnym, pośrednim i ubocznym wpływem, z reguły trzymany był zdala od dziedzin polityki wewnętrznej, nie miał tutaj w żadnej gałęzi głosu decydującego, a już zgoła nie posiadał przypisywanego mu zazwyczaj wszechwładztwa. Zresztą tych skomplikowanych spraw wewnętrznych państwa austriackiego on nawet dobrze nie znał. Przybył z dalekiej Rzeszy, otaczający się w swoim ministerjum „cudzoziemskimi“ również współpracownikami, jak Gentz, Müller, Schlegel, z Prus lub Szwajcaryi, sam raczej kosmopolityczny empiryk polityczny, aniżeli c. k. biu-

rokrata, nie był on z wielu względów należycie dopasowany do panującego w Austrii ówczesnej systematu rządowego, który przez głębokiego znawcę i uczestnika trafnie został określony jako „biurokratyczna arystokracja pod dziedzicznym samowładztwem.“ Toteż ks. Metternich, szczęśliwy *Reichsjunker*, „cudzoziemiec“ i „nieuk“, który tak szybko i tanim kosztem tak świetną zrobił karierę, spotykał się stale z głęboką niechęcią owej rdzennej, austriackiej biurokracji arystokratycznej, zmuszonej z zalem oddać mu wielki wydział zagraniczny, lecz tem zazdrośniej strzegącej dla siebie wydziałów wewnętrznych. Z jej to szeregów wyszedł hr. Mittrowsky, od niedawna (od 1830 roku), Naczelnny kanclerz nadworny (*Oberster Hofkanzler*), t. j. prezydent Zjednoczonej austriackiej kancelarii nadwornej. Z wysokiej czeskiej rodziny urzędniczej, kolejno praktykant konceptowy, kreishtaupman, kreiskomisarz, hofrat, gubernator, przeszedłszy szczebel po szczeblu całą drabinę biurokratyczną, wyszkolony, wytrawny znawca administracji, umysł bądźco bądź bardzo poważny, był on poniekąd czemś więcej, niż zwyczajnym ministrem spraw wewnętrznych w pojęciu dzisiejszem, był niezbędną wyrocznią w wielu najogólniejszych sprawach państwowych. Z Metternichem był w stosunkach bardzo chłodnych i jeszcze niedawno, przed kilku laty, jako gubernator szląsko-morawski, odebrawszy jakieś zapytanie w materji administracyjnej od świeżo upieczonego księcia-kanclerza, wręcz odmówił mu odpowiedzi jako władzy niekompetentnej.

Do tej samej kategorii urzędniczej, choć uierównie niższego charakteru a wyższego sprytu, należał osławiony Szlązak, hr. Sedlnitzky, od dłuższego już czasu (od 1817 roku), a niestety na bardzo długie jeszcze lata, prezydent Naczelnego wydziału nadwornego policji i cenzury (*Oberste Polizei- und Censur-Hofstelle*), też wypromowany w drodze biurowej służbista, który miał ambicję przewyższyć nawet osławionego Fouchégo i pochlebiał sobie z ukontentowaniem, że w swojej dziedzinie policyjnej „wynałaził niektóre udoskonalenia“ wywiadowczych i zapobiegawczych metod swego francuskiego kolegi w zawodzie. Cieszył się on w tym względzie wielką swobodą działania, gdyż cesarz Franciszek do policji miał słabość, choćby w myśl zasady ojcowskiej cesarza Leopolda, który zwykł był mawiać, że „musi trzymać dobrą policję, bo niema dobrego wojska“. Tak więc Sedlnitzky, mocny poparciem cesarskiem, mógł swobodnie otwierać zamki u biurka arcyksięcia Karola, indagować arcyksięcia Józefa o należenie do spisków antydynastycznych, nadzorować na swój sposób zarówno administrację Włoch albo Galicji, jak kanclerską politykę zagraniczną, prowadzić korespondencję poufną z naczelnymi władzami prowincjonalnymi i rewidować korespondencje ministerjów i ambasad, w szczególności prowadzić kontrpolicję przeciw

policyi dyplomatycznej Metternicha, jednym słowem występować w roli zakulisowego, wszechwiedzącego kontrolera całokształtu polityki państwowej. Wreszcie hr. Kolowrat, były gubernator Czech a wcześniej naczelnik policyi praskiej, wyniesiony właściwie przez podobne funkcyje wywiadowcze, jak Sedlnitzky, daleki jednak od niecej sprawności denuncyatorskiej tego policyjnego zawodowca, a nawet z wyższą i poważniejszą ambycją męża stanu, arystokrata czeski, jak Mittrowsky, lecz znowuż bez pracowitej gruntowności tego wykwalifikowanego administratora, prowadzony na pasku przez własnych urzędników prezydyalnych, liche i interesowne przeważnie figury, sam jednak osobiście całkiem nieposzlakowany, niepozabawiony szerszych pomysłów i intencji, piastował od lat kilku (od 1826 roku) godność konferencyjnego ministra stanu bez teki (*dirigirender Staats—und Conferenz-Minister*) i na tem skromnem u pozór stanowisku zupełnie wyjątkowych dobił się wpływów. Miał on stały tajny referat gabinetowy u cesarza we wszystkich bez wyjątku sprawach najważniejszych, czy to w materyach wewnętrznych czy zagranicznych, faktycznie więc pełnił skasowany od ćwierci wieku urząd ministra gabinetowego, a zarazem prowadził osobną, trzecią z kolei, cywilną—(gdyż była jeszcze czwarta, wojskowa, prowadzona przez osławionego generał-adjutanta Kutscherę),—policyę cesarską. Kolowrat był najzaciętszym i najniebezpieczniejszym spółzawodnikiem Metternicha, podkopywał go zaocznie w gabinecie cesarskim, otwarcie oponował mu się na naradach t. zw. Konferencyi najściślejszej, zbierającej się stale od 1830 dla stanowienia o sprawach najpierwszej wagi, oraz na posiedzeniach Rady stanu, której zarząd niemal całkowicie zagarnął w swoje ręce. Stanowił on też główną przeciwwagę księcia kanclerza nawet na właściwym terenie wyłącznego panowania kanclerskiego, w obrębie polityki zagranicznej.

Tych czterech ludzi w chwili niniejszej głównie wypadało brać w rachubę przy pokierowaniu decyzją polityczną Austrii. Obok nich drugorzędną tylko rolę wykonawczą odgrywali naczelnicy dwóch tak niezmiernie doniosłych wydziałów, wojennego i skarbowego, minister wojny prezes Hofkriegsrathu, stary, zniechęcony feldcechmistrz, Frimont, i minister finansów, prezydent Kamery nadwornej hr. Klebelsberg, szwagier Mittrowskiego i protegowany Kolowrata, świeżo właśnie mianowany (listopad 1830), choć pozbawiony wszelkich kwalifikacji fachowych. Zresztą obecnie, w r. 1830, stan obu tych wydziałów, będących wszak wagi kapitalnej dla mocarstwowej dyrektywy państwa w tak ciężkiem przesileniu europejskiem, był pod każdym względem opłakany. Armia w ostatnich latach, z uwagi na chroniczne ubóstwo skarbu, musiała ulegz stałej redukcji prawie

o jedną czwartą. Liczyła obecnie niewiele ponad 300 tysięcy ludzi i 30 tysięcy koni, z których blisko część trzecią trzeba było trzymać we Włoszech. Korpus oficerski wiele pozostawiał do życzenia, w kadrach brakło kompletów, artyleryi brakło zaprzęgów, od granicy wschodniej brakło zupełnie linii obronnej, gdyż dla względów oszczędnościowych zaniechano wszelkich poważniejszych robót fortyfikacyjnych w Galicyi. Postawienie armii na rzeczywistej stopie wojennej—gdyż nominalnie trzymano ją na takiej w czasie pokoju,—połączone było z największymi trudnościami i długiego wymagało czasu wobec przestarzałego, wadliwego systematu rekrutacyi, opartej na losowaniu i służbie długoterminowej, oraz przy zupełnej nieobecności landwery, istniejącej tylko na papierze. „Słowo landwera—oświadczył w spółczesnym memoryale najzdolniejszy sztabowiec austriacki, feldmarszałek-porucznik Radetzky, podówczas komendant Ołomuńca,—nie posiada u nas żadnego znaczenia“. Skarb żadną miarą nie mógł przekroczyć najwyższej cyfry przeciętnej 40 mil. złr. rocznie na wydatki wojskowe i po przelotnym wyjątkowym wysiłku, jaki wymusiły nadzwyczajne potrzeby militarne podczas przesilenia tureckiego w 1829 r., zaraz potem domagał się natarczywie nowych oszczędności i nowej redukcji. Budżet ogólny zamykał się corocznie stałym deficytem około 25 mil. złr., który wprawdzie w 1830 roku udało się zmniejszyć do 10 mil., który jednak wobec nowych wydatków wojskowych, wynikłych skutkiem nowego przesilenia rewolucyjnego, wzrósł znowuż niepomierne zaraz w następnym 1831 roku. Pożyczki państwowe przychodziło zaciągać z wielką trudnością i nader też słono wypadało je ocalać: dwie 5% obligacyjne, jakie udało się znegocjować w początku 1831 roku na sumę ogólną trzydziestu kilku mil. złr., trzeba było wypuścić według kursu 80%, a więc opłacić wraz z kosztami po blisko 7%. Dług publiczny dochodził w tym czasie blisko miliarda złr. Śród podobnych to warunków zaskoczyła Austryę rewolucya listopadowa ¹⁾.

¹⁾ Colloredo do Józefa, 17 kwietnia 1781: „hat viel Eigenliebe, ist fein, verstellt in seinem Thun, Handeln, argwöhnisch, meistens gelassen, etwas hart, unempfindlich, mehr furchtsam“; Józefa Réflex. au sujet de l'archid. François; tegoż opinia 4 lutego 1785 roku: „Hartnäckig, theilt seine Gedanken nicht mit... Nur ein einziges Mittel, so bei ihm eingreift, weil es den plattesten, materiellsten und unempfindlichen Charakter eines Menschen vorstellt, nämlich dieses ist: Furcht und Scheu vor Verdrüsslichkeiten. Diese zwei Sachen, und nicht die Ursachen derselben, machen ihm klein, biegsam... Ein übel verstandener Stolz auf seine Geburt,... nicht Liebe zur Tugend, nicht

Przedewszystkiem należało obrócić uwagę na Galicyę. Wskazując w rysach ogólnych słabe strony sąsiedztwa austro-rosyjskiego w przededniu rewolucyi, dotknęliśmy już poprzednio bolączki galicyjskiej. Był to punkt niewątpliwie jeden z najsłabszych, nadający się ze wszechmiar do wyzyskania przez politykę sąsiedzką i nader też trudny do zabezpieczenia. Ciężenie Galicyi do Królestwa wdobie przedrewolucyjnej było zjawiskiem, wynikającym z samej natury rzeczy, a mianowicie z bijącej w oczy dysproporcji, jaką przedstawiał stan wewnętrzny obu tych krajów polskich, zarówno pod względem politycznym i prawno-państwowym, jakoteż zwłaszcza pod ekonomicznym i finansowym. Można było konfiskować we Lwowie owe nieprzyjemne artykuły inspirowane gazet warszawskich, uwydatniające tę dysproporcję. Ale niepodobna było zamykać oczu na samo jej istnienie, na jaskrawe przeciwieństwo pomiędzy wciąż podnoszącym się dobrobytem Królestwa a wciąż rosnącą nędzą galicyjską. Świadomość tego jaskrawego, a politycznie nader niebezpiecznego kontrastu narzucała się bardzo dobitnie samemu rządowi austriackiemu. Jeszcze podczas ostatniego sejmu warszawskiego, latem 1830, konsul austriacki w Warszawie, wydostawszy raport Rady Administracyjnej, tj. właściwie ministra skarbu Lubeckiego, o stanie finansów Królestwa za ubiegłe pięciolecie, był przesłał do Wiednia i Lwowa ten interesujący dokument, świadczący namacalnie o nadzwyczajnych postępach Królestwa, a zarazem będący negatywnie najcięższym aktem oskarżenia przeciw społecznej gospodarce galicyjskiej. W rzeczy samej, dość było zestawieć wyrażone tutaj świetne wyniki finansowe warszawskie a równoległe oplakane pozycje budżetowe lwowskie, ażeby postawić w świetle właściwem całą administrację austriacką w Galicyi. Królestwo w owym czasie pod względem ludności jeszcze ustępowało Ga-

Ehrgeiz, nicht Ruhm, nicht Vaterlandsliebe, nicht Rechtschaffenheit und Redlichkeit in Erfüllung seiner Pflicht, ja nicht einmal Religionsgrundsätze und Bestreben für die Seligkeit“ (tak w piśmie, które sam cesarz doręczył Franciszkowi; w pierwotnej natomiast redakcyi jeszcze daleko ostrzej). Wolfsgruber, Franz I, I, 194, 267 sq., II, 12, 25 sq.; Arneht, Jos. u. Leop., 345 sq.; Feil, Joseph als Erzieher; Meynert, Kaiser Franz, 37, 146, 207, 241; Arch. f. oest. Gesch., XLIV, charakterystyczna korespondencya pierwszej małżonki z F.; Springer, I, 112, 315, 398 sq.; Stern, I, 260; (Hartig), Genes. d. Revol., 49 sq.; Hock-Bidermann, Oest. Staatsrath, 672 sq.; Beidtel, Oest. Staatsverw., II, 9, 216, 255 sq.; Radetzky, Milit-polit. Nehlss, 541, memoriał ze stycznia 1823; Beer, Finanz. Oest., 141 sq., 405, 407.

licy, po potrąceniu nawet od niej Krakowa: tymczasem wpływy skarbowe Królestwa były dwa razy wyższe niż Galicyi, zaległości podatkowe cztery razy niższe, a na dobitkę tam wszystkie wpływy pozostawały w kraju, kiedy tutaj prawie jedna trzecia przelewana była w gotowiznie do kas wiedeńskich. Jest rzeczą wcale znamienną, że tak smutny bilans porównawczy został dosłownie stwierdzony w relacji poufnej samego gubernium lwowskiego, która też posiada pod tym względem wartość szacownej, niepodważanej konfesyi. Zresztą były torzczy tak jasne i dotykalne, że utrzymać ich pod korcem nie było sposobu. W październiku tegoż 1830 roku, na miesiąc przed rewolucją warszawską, zebrał się we Lwowie na zwykłą parudniową „sesyę“ tak zwany sejm Królestw Galicyi i Lodomeryi. Zgromadziły się, jak zwykle, w ciasnej Bibliotece uniwersyteckiej, — gdyż ten „sejm“ nawet własnego nie posiadał kąta, — cztery Światne Stany pod prezydencją marszałka koronnego, Jana Stadnickiego, w zastępstwie nieobecnego gubernatora; odczytano Najwyższy reskrypt, list wierzytelny i instrukcyę; wyrażono „c. k. łaskę i upodobanie z powodu wiernego i posłusznego zebrania się“; oznajmiono wreszcie „najłaskawiej o królewskich postulatach“, a co główna, o „najłaskawszem postanowieniu“ ilości podatku gruntowego na rok administracyjny 1831 w sakramentalnej cyfrze przeszło 3 mil. złr. W odpowiedzi swojej do tronu „wierne Stany oddawały się przedewszystkiem uczuciu radości z powodu pomysłnych zdarzeń, w monarchii zaszłych“, t. j. koronacy następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda, na króla węgierskiego, oraz narodzin wnuka cesarskiego, arcyksięcia Franciszka-Józefa, — a był nim nikt inny, jak ów dziś panujący, do swego dziada tak niepodobny. szanowny monarcha, który miał nareszcie po tylu latach udręczeń obdarzyć nędzną, upośledzoną Galicyę prawem ludzkiego i narodowego bytu. Wszakże po wyrażeniu „najgorętszych uczuć“, po powinnem wysłuchaniu i przyjęciu w całości nietykalnych postulatów koronnych, „z tą co zawsze gorliwą chęcią oddać krew i życie i nieść ostatni grosz swój, aby wezwaniu J. C. K. M. odpowiedzieć i wspierać Jego ojcowskie zamiary“, — poważyły się przeciw Stany uczynić do tronu najpokorniejsze przedstawienia o fizycznej niemożności udźwignięcia niepomierznych ciężarów fiskalnych przez kraj, doszczętnie już z sił wyczerpany. „Rosnące coraz zaległości okazały nasz stan prawdziwy, nie można bowiem rozumieć, aby te zaległości powstawały z pobłażania władz rządowych, które czuwały z wszelką surowością nad egzekwowaniem, lecz wyegzekwować je w całości nawet od najrzędniejszych i najoszczędniejszych gospodarzy nigdy nie mogły“. „Zagraża nam głód tem sroższy, iż nie ma po kraju zapasów, bo i włościanin i właściciel dóbr musiał na utrzymanie siebie

i opłacenie podatków wyprzedzić swoje zbiory za bezcen... Ci pomiędzy nami, na których ciążyą długi lub zaległości podatkowe, ani sami się wyżywić, ani podatków opłacić nie mogą, ani tembardziej zapomagać poddanych lub znaleźć kredyt na ich wsparcie... Błagamy więc W. C. K. M. za sobą, za dziećmi naszymi, których dobremu wychowaniu staje nasz niedostatek na przeszkodzie, a którym się boimy zostawić tylko smutne naszej nędzy dziedzictwo, błagamy szczególnie za pracowitym naszym ludem wiejskim, abys raczył, Najmiłościwszy Panie, chwycić środki, których nadzwyczajne kraju naszego położenie koniecznie się domaga". Takim to głosem kornym, żałośliwym, prawie żebraczym musiały dopraszać się zmiłowania pańskiego Światne Stany galicyjskie, stan wielkich dygnitarzy koronnych i dostojników duchownych, stan magnatów i stan rycerski, błagać, niby o łaskę, o rzeczy elementarne a nieodbitcie konieczne, o zniżenie przedewszystkiem przechodzącego możność krajową podatku gruntowego, o wstrzymanie nielitościwej egzekucyi zaległości podatkowych, o wiele innych jeszcze rzeczy najprostszych, najniezbędniejszych, o Towarzystwo Kredytowe Ziemskie na wzór kwitującego już wtedy od lat kilku warszawskiego, o zniesienie zakazu, ograniczającego liczbę uczniów w gimnazyjach i uniwersytecie itp. Wszystkie te żałośnie jęki i prośby, powtarzane zresztą po raz niewiadomo już który, oczywiście i tym razem pozostały pustym jeno dźwiękiem, nie znalazły żadnego echa w kancelaryach wiedeńskich i żadnego nie miały wpływu na położenie Galicyi. Nie uwzględniono ani jednej wydatniejszej remonstracyi, a z sakramentalnej cyfry galicyjskiego podatku gruntowego nie strącono ani jednego bodaj krajcara. Takie było położenie ówczesnej dzielnicy polskiej pod berłem austriackiem w tej samej chwili, gdy sąsiedzkie Królestwo Polskie zrywało się do walki śmiertelnej¹⁾.

¹⁾ Relacya Oechsnera do ministra finansów, hr. Nadadsy (poprzednika Klebelsberga) czerwca 1828 z dołączeniem raportu Rady administracyjnej za okres budżetowy 1824 — 28; Aloizy Stutterheim (zastępca gubernatora, — inny Stutterheim, generał, był równocześnie komenderującym naczelnie w Galicyi) do Lobkowitza, 7 lipca 1830 roku, z powodu powyższej relacyi: „Sehr interessant ist ein Vergleich zwischen den Einnahmen und Ausgaben Galiziens mit jenen von Polen. Polen, mit einer geringeren Bevölkerung als Galizien, hatte im Jahre 1828 eine Einnahme von 81,362,403 fl. poln.; Galizien dagegen nur 36,099,336 fl. poln., und mit Berücksichtigung der Verhältnisse des Münzfusses—43,319,203 fl. poln. In Polen blieb die ganze Staatseinnahme im Lande und floss demselben auf verschiedenen Wegen wieder zu. Galizien muss dagegen jährlich 8 bis 10 Millionen fl. poln. nach

Wiadomość o rewolucyi warszawskiej nadeszła do Lwowa tego samego dnia co do Wiednia, i podobnie nie wprost z Warszawy, lecz drogą okólną, z przygodnego źródła, w kształcie głuchej, niejasnej wieści. Rezydent austriacki w Krakowie, Lorenz, z prywatnych listów handlowych, otrzymanych tam z Warszawy, dowiedział się o wypadkach rewolucyjnych nocy listopadowej; wyprawiona przez niego sztafeta dopiero 5 grudnia popołudniu stanęła w gubernium lwowskiem. „Gubernatorem krajowym i prezydentem stanów Królestwa Galicyi i Lodomeryi“ był wtedy od lat kilku rzeczywisty c. k. radca tajny i szambelan August-Longin ks. Lobkowitz. Młody magnat-biurokrata czesko-austriacki, ukształcony, ogładzony, gościny; wprawny w sztuce łączenia swych twardych obowiązków urzędnika władzy absolutnej z wystawną prezentacją wielkiego pana i światowca, odbijał w formach zewnętrznych nader korzystnie od swoich poprzedników, suchego Hauera i wyniosłego Taaffego, a nawet

Wien senden, die nie mehr wiederkehren. Dafür betragen aber die Steuerrückstände in Polen nur $\frac{1}{4}$ der Rückstände in Galizien und es ist daselbst kein merklicher Druck fühlbar. Unternehmungen aller Art, Fabriken und Manufacturen kommen in Aufnahme und die Administration gewinnt immer mehr an Zutrauen. So günstige Resultate waren auch nur durch ausserordentliche Unterstützungen von Seite der Regierung und durch die Einführung der Pfandbriefe (t. j. T. K. Z.), erreichbar. In beiden Beziehungen bleibt für Galizien viel zu thun übrig“. W 1830 roku ludność Królestwa wynosiła 4.137,634 mieszkańców, według raportu ks. Paskiewicza z 5 czerwca 1851, Sborn., XCVIII, 604; ludność Galicyi—4,144,212, Roczn. stat. galic. I, tabl. 4. Sejm galicyjski 1830 roku trwał od 18—23 października. Rezolucye cesarskie, w odpowiedzi na przełożenia sejmowe, wydane 22 lutego, 27 października 1831 roku. Sprawę regulacyi liczby uczniów (80 w gimnazyum, 250 w szkołach wyższych) podnosił szczegółowo sejm 1828 roku. Prośba o T. K. Z. uchylona w roku 1831 przez Kancelaryę nadworną na tej zasadzie, że kurs listów zastawnych Towarzystwa warszawskiego „spadł na 73 $\frac{1}{2}$ %“, co jakoby miało świadczyć o „niepewności“ samej instytucyi. W rzeczywistości kurs listów pod koniec 1830 roku osiągał blisko 98%; w pierwszej chwili po rewolucyi spadł do 74,06%, lecz zaraz w drugiej połowie 1831 roku podniósł się już do przeszło 81% i odtąd znów stale szedł w górę. Meynert, 287 sq.; Pamiętnik T. K. Z., 55. Za następnego sejmu galicyjskiego, zwołanego dopiero, po paroletniej przerwie, w 1833 roku, powraca w postulatach rządowych ta sama cyfra podatku gruntowego 3,148,574 fl. 11 kr. Por. Czynn. sejm. Król. Gal. i Lod. 1828, 1829, 1830, 1833.

potrafił zdobyć sobie w kraju pewną sympatyę, zwłaszcza w wyższych sferach towarzyskich. Nie unikał on zetknięcia z towarzystwem miejscowem, owszem jaknajuprzejmiej przyjmował je u siebie, sam chętnie bywał w lepszych domach polskich, zaprzyjaźniał się bliżej z wybitniejszymi przedstawicielami arystokracji i obywatelstwa, z Henrykiem ks. Lubomirskim, Izydorem Pietruskim i innymi; szczególnie zaś podczas świeżej wojny rosyjsko-tureckiej, kiedy względy wielkiej polityki nakazywały starać się o zaskarwienie ufności Galicyan, nie wahał się fraternizować z nimi przy lada okazji i ujmować sobie ostentacyjnie krajową opinię publiczną. A więc osobiście otwierał sejmy stanowe oracyą w języku polskim, przy uroczystości inauguracyjnej Muzeum Ossolińskich ukazywał się w stroju polskim, przy odwiedzi-
uach składał karty wizytowe polskie: „książę gubernator“, odznaczał ładne aktorki warszawskie importowane z Warszawy do Lwowa, kazał litografować swój portret w dużym formacie w kontuszu, przy karabeli, z podpisem: „A. Długosz książę Lobkowitz“, lubił rozprawiać o krwi lechickiej swoich antenatów, o swoim pochodzeniu od króla Popiela itp. Ale to wszystko były puste formy bez żadnej wartości i znaczenia, były rzeczy bardzo tanie i do niczego nie obowiązujące. Lobkowitz był to człowiek zapewne przyjemny, ujmujący, może i poczciwy w gruncie, ale młody, lekki, niewytrawny, trwożliwy, ograniczonej głowy, słabego charakteru, bez doświadczenia służbowego, bez wiedzy administracyjnej, małego albo żadnego wpływu ani powagi w decydujących kołach rządowych i dworskich, dorabiający się kariery urzędniczej jedynie z łaski swego nazwiska i przenikniony też głęboko poczuciem zupełnej swojej bezsilności i zupełnej zawisłości od panujących możnowładców wiedeńskich. Wiedział on doskonale, że sam był pod ścisłym nadzorem, nasamprzód pod okiem dwóch swoich pomocników oficjalnych, wiceprezydenta gubernium lwowskiego, starego biurokracyjnego wygi, hofrata Aloizego Stutterheima, oraz generała komenderującego naczelnie w Galicyi, starego żołnierskiego rygorysty, feldmarszałka-porucznika, Józefa Stutterheima, a następnie pod czujną opieką całego legionu niejawnych aniołów stróżów, bądź własnych swoich podwładnych, bądź też zawodowych dostrzegaczów z wolnej ręki, donosicieli najrozmaitszego kalibru, dyrygowanych przez niewidzialne nici, rozchodzące się we wszystkich kierunkach, na wszystkie prowincye ówczesnej monarchii austriackiej, od wielkich, potężnych pajaków ministryalnych, zasnutych gdzieś w górnej, tajemniczej swojej przędzy, w samym ośrodku absolutystyczno-politycznej centralizacji państwowej. Wobec tych rządzących mocarzów stołecznych pan gubernator galicyjski sam czuł się słabą muchą, oglądał się na nich bez ustanku, żadnego z nich nie chciał sobie

narażać, im wszystkim zarówno rad był dogodzić, prowadził z nimi wszystkimi równoległą korespondencję, bardzo subtelną w odcieniach a właściwie dosyć zbyteczną, w jednej i tej samej materii pisywał nieborak równocześnie do Metternicha, Kolowrata, Sedlnitzkiego i Mittrowskiego, każdemu się polecał, każdego się radził, od każdego odbierał wskazówki i inspiracje polityczne. Nawet w czasie zwyczajnym, pokojowym, niełatwo przychodziło lawirować między tymi groźnymi, drażliwymi, podejrzliwymi potentatami, którzy sami pomiędzy sobą jedli się i podkopywali nawzajem w najlepsze: cóż dopiero w trudnej chwili powszechnego europejskiego przesilenia, jakie nastąpiło od rewolucyi lipcowej paryskiej, a oto nagle zanesione zostało ze strony przeciwniej nad sam próg spokojnej Galicji przez rewolucyę listopadową warszawską

W rzeczy samej, biedny Lobkowitz na pierwszą wieść o wybuchu warszawskim zupełnie stracił głowę. Przeraził się niewymownie. W te pędy szturmować zaczął do Wiednia z prośbą o instrukcye a przede wszystkim o natychmiastową pomoc wojskową. W najczarniejszych barwach malował ducha swojej prowincji i do tego stopnia nie zdawał sobie sprawy z położenia, że wprost przepowiadał niezwłoczny atak rewolucyjnej armii Królestwa na Galicyę. Wobec „teraźniejszego złego usposobienia Galicyan“ wyrażał przekonanie, iż „nie tylko postępować należy z największą surowością i energią, lecz nadto rozwinąć imponującą potęgę militarną, aby zdusić zło w zarodku“. Uprzedzał z gorączkowym niopokojem, że „istnieje najwyższe niebezpieczeństwo wtargnięcia wojsk regularnych polskich w połączeniu z powstańcami do Galicji, gdzie mogliby znaleźć stronników“. Żądał śpiesznego odesłania wyprowadzonych z Galicji regimentów, a nawet prosił o pułki z konskrypcji węgierskich, czeskich, lub niemieckich, gdyż niedowierzał już rekrutom galicyjskim. Sam natychmiast, w pierwszych zaraz godzinach, w porozumieniu z generałem Stutterheimem, skutecznie szereg zarządzeń wyjątkowych, świadczących o wysokim i co najmniej przedwczesnym zaniepokojeniu. A więc postanowiono w całej Galicji zwołać urlopników, rozpiścić nową dyslokacyę załóg, rozkwaterowane kompanie zgromadzić do batalionów, zabezpieczyć depoty landwery, obserwować Zamość i Sandomierz, ustawić silny oddział pod Bochnią dla osłony Podgórze i kopalni wielickich, ściągnąć dwie dywizye huzarów i szwoleżerów pod Lwów, rozesłać szwadron kawalerji po ulicach miasta, uzupełnić zaprzęgi dla artylerji polowej, trzymać w gotowości bateryę trzyfuntową do ostrzeliwania rynku, wzmocnić patrole noce i warty przy prochownicach, rozdać ostre

naboje garnizonowi lwowskiemu. Równocześnie wydał Lobkowitz jednobrzmiące tajne rozkazy do wszystkich naczelników cyrkulowanych, przepisując od tej chwili ścisły nadzór nad osobami, przybywającymi z Królestwa oraz nad tymi mieszkańcami Galicyi, „których przekonania polityczne nie budzą zaufania“. Zalecone zostało również urzędom obwodowym i komorom pogranicznym „w sposób rozsądny, bez zwrócenia uwagi“ otwierać listy, przychodzące z Królestwa do wybitniejszych obywateli galicyjskich. Zaraz też zaczęły napływać do kancelaryi Lobkowitza niezliczone denuncyacje od Kreisamtspräsidów, Zollamtów, Kreishauptmannów, Kreiskomisarzy, Gubernialrathów, nawet od osób prywatnych, częstokroć podpisane, niestety, nazwiskiem polskiem. Denuncyowano o wszystko: o słowo, okrzyk, gest, nawet o podejrzone milczenie. Jakiś nadczuły ojciec lwowski w anonimowym doniesieniu oskarżał własnego syna, który „dostał w szkole polskie serce“ i teraz jakoś zanadto ogląda ojcowską strzelbę myśliwską; opowiadał ze zgrozą, że młodzieńcy jak się zejdą razem, „nie piją, śmieją się, ani śpiewają, jak dawniej, lecz coś mruczą między sobą i całkiem cicho się rozchodzą“; i w końcu radził poprostu zamknąć szkoły a młodzież odesłać do domu. Stosy podobnych jadowitych denuncyacji spoczywają po dziś dzień w papierach gubernatorskich, a wśród nich leży i mimowolną żalością napelnia poszukiwacza poźółkła korespondencya interceptowana warszawska do Galicyi, listy mężów do stroskanych żon, synów do zrozpaczonych matek, z dobrą wieścią, że żyją, są zdrowi, wierzą w przyszłość, biedne listy prywatne, rodzinne, niosące otuchę i pocieszenie, a niemilosiernie zatrzymane w drodze i złożone w zimnej kancelaryi gubernatorskiej, jako *corpus delicti*, przez rewidujących c.-k. argusów, skoro tylko domacali się w nich wycinka z gazety warszawskiej, gorącego wierszyka, okolicznościowego obrazka, albo zbrodniczego skrawka materji trójbarwnej. Wogóle pod względem policyjnym, skutkiem natychmiastowej inicjatywy osobistej „księcia gubernatora“ cała Galicya znalazła się naraz w stanie wyjątkowym. Wydano przepisy nadzwyczajne o policyi lokalnej (*Ortspolizei*): w każdym mieście cyrkulowem ustanowiono wojskowego komendanta placu, mianowano na ten urząd znanych ze sprężystości oficerów, opatrzone ich w instrukcyę i kompetencyę nader rozległą, poddano im obwodowe władze cywilne, w szczególności w zarządzie policyjnym. Obostrzono cenzurę, zatrzymano dzienniki warszawskie i krakowskie, skonfiskowano w księgarniach lwowskich „Portrety znakomitych Polaków“, a między nimi wizerunki tak niebezpiecznych rewolucjonistów, jak książdz Stanisław Konarski i biskup Ignacy Krasiecki.

To wszystko zresztą były dopiero zarządzenia czysto lokalne, galicyjskie, powzięte w pierwszych zaraz dniach i godzinach, jeszcze przed otrzymaniem instrukcyi z Wiednia, wydane bezpośrednio ze lwowskiej kancelaryi gubernatorskiej, z własnego natchnienia Lobkowitza ¹⁾. Był on wtedy, w pierwszej chwili, usposobiony jak najgorzej dla sprawy rewolucyjnej warszawskiej. Był poprostu jakby oszolomiony, wystraszony nad wszelki wyraz, ścigany widmem straszliwego „jakóbina Chłopickiego“, opanowany tem szczególnem, bardzo charakterystycznym a zwykle występującem na jaw w podobnych momentach i okolicznościach, przenikliwym uczuciem własnej nieprawności, niepewności i obawy, które też w niniejszej okazji ogarnęło równocześnie od góry do dołu całą c. k. administracyę miejscową, do tego stopnia, że wypadło aż z Wiednia przez osobiste ostre reprimendy cesarskie uśmierzać ślepą trwogę władz, a zwłaszcza podnosić na duchu szczękające zębami urzędy celne i pograniczne galicyjskie. Zarazem Lobkowitz pragnął koniecznie akcentować jaknajmocniej wobec Wiednia wzorową lojalność własnych swoich przekonań i chwalebłą sprężystość swoich zarządzeń. Dlatego też ostentacyjnie uwydatniał gorące swoje sympatyje dla sprawy rosyjskiej, a nawet wpadał na pomysły bardzo niezwykle, byleby tym sympatjom dać wyraz namacalny. Tak więc sam podniósł kwestyę dość dziwną, czy można śród obecnych warunków dostarczać nadal Królestwu umowne zapasy soli wielickiej, gdyż rząd cesarski rosyjski mógłby następnie, po stłumieniu powstania, zakwestyonować zapłatę za dostawy, uskutecznione na rzecz rządu rewolucyjnego polskiego. Książę gubernator nie wątpił bowiem zgoła, że Rosya, uderzając niezwłocznie na Królestwo z ogromną przewagą, „w 150 tys. ludzi, zgniecie powstańców od jednego zamachu“. To też już z góry starał się przyszłym zwycięzcom okazywać najżywszą uczynność i grzeczną pomoc. Ofiarował swoje usługi W. Ks. Konstantemu na wypadek, gdyby podobało mu się wejść do Galicyi, otworzył wolny wstęp uciekającym z Królestwa kozakom, rozkazał przyjąć gościnnie w Radziwiłłowie chroniących się tam oficerów rosyjskich. Sam przyjął u siebie we Lwowie pułkownika Brendla, jednego z najsprytniejszych agentów rosyjskich, który natychmiast po wybuchu warszawskim stał się w Galicyi pod pozorem misyi wojskowej, z poleceniem feldmarszałka Osten-Sackena, w rzeczywistości zaś dla pełnienia tutaj z najlepszym skutkiem stałych funkcyi wywiadowczych, przez cały czas trwania wojny polsko-rosyjskiej. Jednocześnie nawiązał Lobko-

¹⁾ Lobkowitz do Sedlnitzkiego, 29 listopada 1830 roku podał pierwszą wiadomość o odkrytym w Warszawie spisku. Tenże do Sedlnitzkiego, do

witz korespondencyę bezpośrednią z posłem austryackim w Petersburgu, hr. Ficquelmontem; później jeszcze wprost od siebie ze Lwowa wyprawił kapitana Simonicha do kwatery głównej rosyjskiej, podówczas już w Siedlcach, dla bezpośredniego porozumiewania się z feld-

Mitrowskiego, 5 grudnia (p. Estafette um 4 Uhr Nachmitt.), donosi z relacyi Lorenza o wybuchu: „...mit der Bemerkung... dass bei dieser Lage der Dinge die dringende Nothwendigkeit vorhanden sei, Galizien nicht ohne eine ansehnliche Militärmacht zu lassen und daher die zum Abmarsche mehrerer Regimenter aus dieser Provinz gegebenen Befehle so schleunigst als möglich zu widerrufen und ihren Marsch zu sistiren oder, was noch zweckmässiger wäre, neben den hierlandes befindlichen aus Landeskindern bestehenden Truppenabtheilungen, noch eine gleiche oder grössere Anzahl Truppen, welche ausserhalb Galizien ihre Conscriptiionsbezirke haben, auf das Schleunigste zur Besetzung Galiziens zu disponiren und sämtliche hierländige Truppen auf den grösstmöglichen Bestand zu setzen. Ich zweifle zwar nicht, dass es den russischen Truppen gelingen werde, die Bewegungen in Warschau zu bemestern, auch glaube ich überzeugt sein zu können, dass sich in Galizien kein Herd für revolutionäre Umtriebe befinde. Allein ich bin fest überzeugt, dass bei der gegenwärtigen üblen Stimmung der Galizianer, Lockungen, welche aus dem polnischen Gebiete herüberkommen sollten, nicht ohne Erfolg bleiben würden, und dann muss nicht nur mit der grössten Strenge und Energie vorgegangen, sondern auch eine imposante Miltiärgewalt entwickelt werden können, um das Uebel im ersten Keime zu ersticken und den Verführungsversuchen nicht zu gestatten, dass sie an Raum gewinnen... Ich schärfe allen polizeilichen Behörden die gespannteste Aufmerksamkeit auf alle fremde Reisenden wiederholt ein und lasse dieselben der schärfsten Überwachung unterziehen“, 6: „...es ist die grösste Gefahr vorhanden, dass ein Einfall disciplinirter polnischer Truppen vereint mit den Auführern nach Galizien erfolgen und diese Anhänger finden werden“, 7, 8 (otrzymał pierwszą pocztę z Warszawy, załącza №№ 322 Kuryera Warszawskiego z 1 grudnia; 332,333 Dzienn. powsz. i kraj. z 1 i 2 grudnia), 10, 14, 22, 27 grudnia; do Metternicha, 5, 19, 20: „...ich würde keinen Augenblick Anstand genommen haben, S. K. H. (Konstantemu) und dem ihm treu gebliebenen Corps den Eintritt nach Galizien zu gestatten und hätte gewiss Alles aufgeboten, um den Wünschen des Grossfürsten auf das Pünktlichste zu entsprechen. Ubrigens erlaube ich mir zu bemerken, dass ich gleich nach erhaltener Anzeige von den Vorfällen in Polen die Verfügung getroffen habe, dass den an den Grenzen aufgestellt gewesenen Kosaken, wenn sie es verlangen sollten, der Eintritt nach Ablegung der Waffen zu gestatten sei und dass hievon auch einige Offiziere und mehrere Gemeine Gebrauch gemacht haben, welche ich nach Radziwillów intradiren

marszałkiem Dybiczem. Tymczasem w najmocniejszych wyrazach upewniał w Wiedniu o swojej niezłomnej energii represyjnej, dopra-

liess“, 25: „Es ist der E. D. und Lbd. aus früherer Zeit bekannte, von Seite Russlands als Ausspäher benutzte kais. russ. Oberst Brendl hier eingetroffen und hat sich mir sogleich vorgestellt... Da mir Brendl als ein Mann bekannt ist, der seine Anhänglichkeit an Oesterreich, in dessen Heeren er früher gedient hat, nie verläugnen konnte und dessen Sendung in den gegenwärtigen Zeitverhältnissen kein Misstrauen zu erwecken im Stande ist (t. j., że jego misya obecna zwraca się tylko przeciw Polakom, nie przeciw Austrii, jak poprzednie jego roboty w Czerniowcach), ...so habe ich keinen Anstand genommen, ihm über die Verhältnisse in Polen alle Aufschlüsse zu geben,“ 27 grudnia upewnia o swojej energii i surowości, donosi o naradzie odbytej z generałem Sutterheimem oraz przysłanym umyślnie z Wiednia pułkownikiem Lebzeltternem względem zarządzeń wojskowych i wyraża „meinen verbindlichsten Dank für die Mittheilung der politischen Gesichtspunkte aus welchen ich die Ereignisse in Polen zu betrachten habe“. Tajny okólnik Lobkowitza do wszystkich naczelników cyrkulowych galicyjskich, 6 grudnia: „...ich setze Sie hievon (o rewolucyi warszawskiej), in engstem Dienstvertrauen mit der Weisung in Kenntniss, die Überwachung sämmtlicher aus Polen ankommender Reisenden sich thätig angelegen sein zu lassen und auch die hierlands ansässigen Personen einer scharfen Beobachtung zu unterziehen, derer politische Gesinnungen Ihnen als nicht verlässlich bekannt sind. (dopisek własnoręczny Lobkowitza) Die Geheimhaltung der gegenwärtigen Anordnung ist von so hoher Wichtigkeit, dass jede Verlautbarung unmittelbar den Dienstverlust nach sich ziehen würde, daher Sie *Niemanden* über den Grund dieser Verordnung ins Vertrauen ziehen dürfen und alle Einleitungen persönlich und eigenhändig zu treffen, auch diesen Erlass nicht zu protocoliren haben“; do komisarzy, urzędów celnych itd. 6 grudnia; prezydium cyrkulowe w Przemyślu do Lobkowitza, 13 grudnia donosi o wykonywaniu zarządzeń „dass Briefe, welche aus dem Königreich Polen an bedeutende Personen in Galizien gerichtet sind, auf eine kluge, alles Aufsehen vermeidende Weise geöffnet und dass mit denselben nach Maassnahme des Inhalts verfahren werden soll“. Anonimowa denuncyacya do Lobkowitza, Lwów 16 grudnia: „Eine verdächtige Stimmung unter der studirenden Jugend hat den Schreiber dieses, auch den Vater eines hier studirenden Jünglings, genöthigt, als Staatsbeamter die Anzeige hievon zu machen. Wo Zeitungen zu lesen, da wimmelt es von grossen und kleinen Studenten und immer kecker wird ihr Betragen gegen Deutsche und ihr Triumphgeschrei über die warschauer Auftritte... Kommen häufig in Privathäusern zusammen, wo sie nicht zechen, lachen und singen wie sonst, sondern murmeln bei zugemachter Thür

szął się o „zachowanie sobie zaufania“ i zaklinał się, że „własny jego honor nakazuje mu przedsiębrać wszelkie możliwe środki, aby utrzy-

und hernach ganz stille sich entfernen. Ich habe Verdacht geschöpft und meinen Sohn zwar mit Güte aber scharf examinirt. Mir ahndet Etwas Schreckliches, obschon ich aus meinem Sohne nur Weniges herausgebracht habe. Meine Frau hat bemerkt, dass mein Sohn, der in der Schule ein polnisches Herz bekommen hat, meine Jagdflinte oft betrachtet und untersucht, wenn ich nicht zu Hause bin. Die polnischen Professoren meinen es falsch mit uns, ich bin oft sehr erschrocken über die revolutionären Äusserungen wegen Galiziens, die er nach Hause gebracht und von polnischen Professoren weltlichen und geistlichen Standes eingesaugt hat... Die studirende Jugend muss, wie ich einsehe, zerstreut, nämlich unter dem Vorwande, dass Nervenfieber bei der Jugend herrsche, nach Hause auf unbestimmte Zeit entlassen werden“. Fiequelmont do Lobkowitza 17 grudnia. Instrukcyja generała Stutterheima dla komendantów placu, 22 grudnia: „Der Platzcommandant hat nämlich 1. in engstem und unmittelbarem Einvernehmen mit dem Landespräsidium oder dessen Stellvertreter zu stehen. 2. er wird den Kreisvorsteher in der Handhabung des Meldungswesens und der Aufsicht auf die Satzungen für Lebensmittel und in der Reinlichkeitspolizei unterstützen. 3. alle Verrichtungen des Polizeirevisors und der Polizeiwache controliren... 4. Die Nachtpatrouillen geschehen nach Anordnung des Platzcommandanten... Der Polizeirevisor muss die täglichen Polizeirapporte dem Platzcommandanten vorlegen, der sie erst mit seinen Bemerkungen dem Kreisvorsteher zuzusenden hat...“; takich komendantów, oprócz Lwowa i Brodów, otrzymały natychmiast: Wadowice, Bochnia, Jasło, Rzeszów, Przemyśl, Stryj, Żółkiew, Złoczów, Zaleszczyki, Sandecz, Tarnów, Sanok, Sambor, Brzeżany, Tarnopol, Kołomyja, Stanisławów. Lobkowitz do Mittrowskiego, 11 grudnia, donosił „dass sich der galizischen Gzenzzollbeamten und selbst des Grenzcordons eine ausserordentliche Furcht bemächtigt habe“; strachliwy nastrój tych władz silnie zaniepokoił i zgorszył kanclerza; na skutek osobistego raportu Mittrowskiego u cesarza wydane zostało z tego powodu poufne pismo gabinetowe do Klebelsberga, prezydenta Kamery Nadwornej, 21 grudnia: „Bei den gegenwärtig obwaltenden Verhältnissen ist es wesentlich nothwendig, dass die Beamten der galizischen Grenzzollämter und des Cordons ihre Dienstpflichten vollständig erfüllen, was denselben in gehörigem Wege mit Dem zu bedeuten sein wird, dass jedes Versäumniss in dieser Beziehung unnachsichtlich nach den hiewegen bestehenden Vorschriften geahndet werden wird, was auch im eintretenden Falle zu geschehen hat“. Lobkowitz do Kolowrata, 27 grudnia (dopisek własnoręczny): „ich bitte E. E. mir Ihr hohes Zutrauen zu schenken und versichert zu sein, dass ich der Überzeugung lebe, dass

mać spokojność i porządek w powierzonej mu przez J. C. K. M. prowincyi i nie narażać Domu austriackiego na jej utratę“. Jednym słowem, w tym okresie, od tego człowieka, z tej urzędowej strony austriacko-galicyjskiej, Warszawa nie mogła oczekiwać niczego.

SZYMON ASKENAZI.

meine eigne Ehre von Ergreifung aller nur möglichen Mittel unzertrennlich ist, um Ruhe und Ordnung in der mir von S. M. anvertrauten Provinz zu erhalten und ihren Besitz für das Haus Oesterreich nicht auf das Spiel zu setzen“. [Musimy zauważyć, że zarówno w archiwach rządowych wiedeńskich i lwowskich, jakoteż w aktach Rządu Narodowego, z których korzystaliśmy dla pracy niniejszej, dostrzegliśmy dość dotkliwe luki. Okazało się mianowicie, że niektóre papiery z 1830—31 roku wycofał następnie Metternich do swego archiwum prywatnego (obecnie na zamku w Königswarcie), gdzie pomimo poszukiwań uprzejmie zarządzonych na prośbę naszą przez ks. R. Metternicha, odnaleźć zguby nie udało się; inne papiery wycofały inne interesowane osoby. Skądinąd znów wiadomo, że na życzenie Lobkowitza pani Klaudyna Potocka wydobyla z akt Rządu Narodowego część listów kompromitujących księcia i zwróciła mu je za pośrednictwem Wincentego Pola i Izydora Pietruskiego, por. Przegląd lwowski, VII (1874), 453 sq. Luki te jednak w miarę możliwości zostają przez nas uzupełnione].

AD ASTRA.¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

XXIV.

Krasowce.

Co robiłam o tym pięknym, w półjesiennym już zachodzie słońca? Pragnę opowiedzieć, i waham się, i nie śmiem dotknąć słowem tego, przed czym myśl zatrzymuje się zdumiona. A jednak taka zapanowała nademą potrzeba otworzenia duszy i tak zimną, twardą jest obręczą ten mus wiecznego milczenia, że... opowiem.

Nie zawsze tylko pociąg do przyrody i potrzeba użycia przyjemności jedynej, która mi jest dostępną, wyprowadzają mię w świat zjawisk dziwnych i dzikich; ale niekiedy czynią to również przyczyny zupełnie powszednie. Z przyczyn zupełnie powszednich znalazłam się przed paru dniami nad brzegiem Wielkiego Nikaru. Są tam w pobliżu jakieś drzewa do mnie należące, które w celach gospodarskich oglądał uczony technik, umyślnie dla tego sprowadzony zdaleka; jest w straży leśnej chory ojciec strażnika, który pragnął wyrazić przede mną jakąś ostatnią swą prośbę czy wolę, i jest dziewczyna młoda, którą pora mi już wziąć do Krasowieckiej szkoły szycia i haftów. Słowem, dzień cały spędziłam na rozmowach z uczonym technikiem i wśród budniczej rodziny leśnego stróża, aż droga po-

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; styczeńowy, str. 14; lutowy, str. 244; marcowy, str. 429; kwietniowy, str. 71.

wrotna przywiodła mię w miejsce mało mi dotąd znane, a o którym tobie, przyjacielu, nigdy jeszcze nie mówiłam.

Czy znasz dnie takie, w których człowiek, ciężko o najdroższe własności swe zatroszczony, musi samego siebie od siebie odepchnąć, a troszczyć się o innych? Takim właśnie dzień ów był dla mnie; czułam się zmęczoną zadawanym sobie przymusem, zapotrzebowałam wolności i przywołania z powrotem ku sobie samej siebie. Oprócz tego, niewiele dotąd miejsce to znałam, a w miarę zbliżania się ku niemu, uczuwałam jakby dech pustyni i spostrzegałam wśród drzew, które rzedniały, zagładające do lasu jakieś wielkie, srebrne oczy. Wiatry też przelatywały coraz silniejsze, niosąc w wilgoci woń rozmarynu i niewyraźny zapach żelaza; cisza pogłębiała się ubytkiem istot żyjących, aż nakoniec odsłonił się przede mną obszar niezmierny równiny gładkiej, pustej, rozpostartej pod kopułą nieba taflą rdzawej zieleni, zarzuconą plamami połyskującego szkliwia i zgaszonych tęcz.

Zatrzymałam Awisa i gdy wśród pni sosnowych rzadkich, suchych, ubogich, na sprężystym podścielisku opadłych igieł stanął spokojnie, odeszłam ku spostrzeżonemu zdala siedzeniu.

Była to kłoda sosnowa, leżąca tu snadź od niezmiernie dawna, bo pluszową powłoką szczelnie obrósł ją seledynowy mech i gęstem zagajeniem puściła się z niej młoda roślinność. Z mchowego pluszu wyrastały sośninki już wysmukłe, równe im wzrostem paprocie i na wysokich lodygach kołyszące się w wietrze śnieżne spiree. A nad tem wszystkim stało kilka wysokich brzóz,

Gdy wśród olbrzymich paproci i kołyszących się spirei usiadłam na tej leśnej kanapie, objęły mię zewsząd gałęzie brzóz; więc plecami opierać się mogłam o te liściaste poręcze, a pod stopami miałam rozmarynowy kobierzec. Tak umieszczona puściłam wzrok po tęsknej, niezmiernej równinie.

Jest to jakby szeroka pierś Puszczy, z której wytryskują wszystkie zraszające ją biegi wód, u początków swych tworząc rozlewę rozmaitych wielkości i kształtów. Na powierzchni tych szklistych tafli występują z ziemi rudy żelazne w postaci zgaszonych tęcz i możnaby myśleć, że ktoś zdjął z nieba świetny łuk nadziei, zgasił go, podarł na szmaty i szmaty te rozrzucił po szklistych wodach. Wszystkie barwy tęczowe w nich są, ale niema ani iskry blasku.

Tu plamą, tam smugą, owdzie kroplą zaledwie, leżą na wodach matowe i ciężkie w miarę oddalenia rozdrabniając się i znikając u brzegów horyzontu. Bo aż do brzegów horyzontu ścięte się ta równina

z rojem szklistych oczu i tęczowych źrenic; zręby jej ze zrębami jego tworzą jedną oddal, a kresy, jak kresy morza, przepadają niewidzialne. I jest ona, ta równina, sama jedna pod kopułą nieba, pusta i głucha. Tylko skłon kopuły plamią tu i ówdzie nieruchome wyspy jodłowe, czarną farbą malując na nim budynki z zębatych pił. Oddawna już posępne jodły zniknęły z puszczy, zamordowane przez wrogie im siły natury, lecz na Wielkim Nikarze przetrwały, wznosząc gdzie niedzie dla wiatrów tej pustyni milczące i ciemne pustelnie. Oprócz wiatrów nikt w nich nie mieszka i chyba zablakany ptak jaki strwożonym trzepotem skrzydeł przerwie niekiedy głuchą niemotę tych twierdz, obwarowanych grzęzkami początkami rzecznych biegów. W gorących miesiącach lata i tu, jak wszędzie, wre i kipi życie roślinne i zwierzęce, ale teraz pozostały już tylko przy życiu lasy łóz, które z powiewami wiatru falują jak kłosa na łanie, i wojska trzcin, dumnie wyprostowane w rycerskich kołpakach z czarnego aksamitu. Są też zarośle oczeretów, tych fletni o wydrążonem wnętrzu, w które niekiedy gwizdzą swawolne wiatry, i gdy pogwizdy te, jak długie szpilki przerznawszy powietrze, milkną, żaden już inny głos nie wpada w otchłań ciszy.

Jest to otchłań ciszy. Oprócz łóz falujących w milczeniu i milczących hufców trzcin, nic tu nie żyje. Umarłe szmaty tęcz ciężko leżą na martwych wodach, jodłowe wyspy wydają się domami umarłych. Podchodzące ku progom tego zakłętego państwa, sosny stają się smutne, ubogie, suche; a tylko bukiet brzoź, wznoszący się nade mną, stoi w świeżości kor białych i w ruchliwym ożywieniu powiewnych swych liści.

Na dnie otchłani, nalanej głuchą niemotą, podniosłam twarz i zapuściłam spojrzenie w ruchliwe głębie brzożowych wierchołków, na których każdym liściu leżała iskra i migotała przy każdym poruszeniu liścia; więc był to na błękicie nieba srebrny deszczyk, zawieszony w powietrzu, drobny deszczyk iskier, lekko szumiący.

Jak opowiedzieć to, co wtedy stało się ze mną?

Nie chcę myśleć, aby wyznanie moje mogło ci na usta wywołać uśmiech ironiczny. Zbyt głęboko zapuściłeś wzrok w tajnie natury, abyś dla różnych momentów psychiki ludzkiej nie znajdował wytłómaczeń umiejętnych, lub pobłażliwych przynajmniej. Ja ich nie szukam, bo leżą one poza granicami mojej wiedzy.

Niekiedy, bardzo rzadko, lecz bardzo wyraźnie uczuwam w sobie dwoistość istoty i świadomość moja rozłamuje się pomiędzy tem, czem jestem codziennie, widzialnie, i czemś drugim, czego nazwy ani natury nie znam, ale co w chwilach takich odzywa się pod warstwa-

mi wrażeń, doświadczeń i myśli, zdając się być czemś od nich odrębnem. Zdaje się to być w widzialnej powłoce ciała, imię moje noszącej, bezimienną i skrytą mną samą. I zdaje mi się wówczas, że gdyby ta powłoka skruszyła się na szczątki, opadłaby tylko jak rozdarta suknia z tej drugiej mnie, która pozostałaby całą i żywą, jak ja całą i żywą zostają po zrzuceniu z siebie odzieżyiennej. Uczucie to, którego tajemniczych głębi żadne słowo nie może przeświecić aż do dna, bywa przecież tak jasne, że pokąd trwa, daje mi niemal dotyk dwoistości pierwiastków, spojonych we mnie w zależność taką, w jakiej względem siebie zostają muszla i perła. Gdy atak wód wzburzonych rozkrusza muszlę, perła nienaruszona kąpać się nie przestaje w bezkresności oceanu, tylko życie jej musi być inne.

Dziwny ten stan uświadomiania się czy objawiania zamieszkującej mię Psychy, przybywa zazwyczaj po wielkich wysileniach myśli, albo woli, w nieskazitelnym ciszy dni zupełnie samotnych lub nocy bezsennych i posiada trwanie błyskawicy, przerywającej ciemność. Tym razem trwał dłużej i wyciągnął się wzwyż...

Im dłużej z podniesioną twarzą patrzałam na liście brzoź, które wysoko nade mną migotały w złotym eterze, tem więcej eter ten przemieniał mi się w mgłę świetlistą, która wzrastała, szerzyła się, płynęła w wyż i w niż, aż zasłoniła wszystko i brać poczęła w siebie to coś z naturą niewiadomą, co jest we mnie skrytą i bezimienną mną samą.

Wszystko zniknęło; nie było szkliwia rozrzuconego po bezbrzeżnej pustyni, ani ubogich sosen nad jej brzegami, ani jodłowych pustelni, ani wydętej nad tem wszystkim kopuły nieba; nic nie było, tylko samo jedno nieskończone morze poświaty bladej złotej, jasne, bezbrzeżne, przezyste, ciche morze, unoszące mię na łagodnej fali nad ziemię, coraz wyżej.

Utraciłam uczucie związku z ziemią, przenikałam w coraz wyższe strefy bezkresnego oceanu światła i ogarnęło mię zachwycenie, dla którego nadaremnie szukałabym miary w ludzkich uczuciach. To tylko wiem, że nie było bez bólu. Jak smuga krwista ciągnął się ból za mną od ziemi, do Psychy mojej uczepony, a kiedy spróbowałam odgarnąć go jak resztkę obciążających mię brzemion ziemskich, przemienił mi się w rękę w ogromny brylant lży. Te lżę, nie wiem dlaczego, niosłam na rozwartej dłoni i przyglądając się jej dostrzegłam, że jak zwierciadło odbija w sobie puszcę, pola, mrowiska ludzkie, chaty budnicze, wszystko kochane, i wszystko cierpiące, o co na ziemskich nizinach serce mi drży...

Nie wiem jak długo trwało to zupełne omdlenie czy usnięcie zmysłów moich, lecz gdy zmysł wzroku powrócił do rzeczywistości, Wielki Nikar miał zmienioną nieco postać. W świetle zachodzącego za lasem słońca, powietrze napełniło się płowym pyłem, zarumieniły się w oddalach spojone z sobą wargi nieba i ziemi, wiatr ucichł i w pogłębionej otchłani ciszy stanęła zaczarowana nieruchomość.

Wtem, w odległości znacznej, coś pod lasem zamajaczyło żywymi i poruszającymi się kształtami, a gdy stało się wyraźniejszym, rozpoznałam, że są to łosie, które z rozmarynowego pastwiska dążyły na nocne leże. Było ich wiele; wązką drogą, którą ich własne, ciężkie stopy udeptały pośród trzcin i sitowi, szły jeden za drugim, na ogromnych tułowiaach niosąc głowy oskrzydłone konchiastemi rogami. Przeciągały w płowym pyłe powietrza karawaną leniwą i ciemną, trzciny i sitowia przeświecone płowem światłem sięgały im do kolan i czasem, rozbite ciężkiem ich stąpieniem, szklivia brodów tryskały ku ich szerokim piersiom. Tak, rozlewając dech wschodniej pustyni, przeciągały karawaną i jeden po drugim zanurzały się w lesie, a właśnie wtedy, na równinę spływać poczęły z góry dźwięki, podobne do żałośnych i urywanych pobrzękiwań strun. Był to klucz zórawi, który, rzucając za siebie nuty harf eolskich, leciał tak wysoko, że zdawał się ocierać o błękitny niebieskiej kopuły. Gdy przeleciał i gdy karawana łosiów do końca zanurzyła się w lesie, Wielki Nikar, spajając w oddalach wargę swą z wargą nieba, stał znowu w płowem powietrzu nieruchomą i martwą taflą rudej zieleni, której szkliste oczy patrzyły w niebo żrenicami z pogasłych tęcz.

Takim jest Wielki Nikar i taki moment nad brzegiem jego spędziłam. Było to przed kilku dniami, które upłynęły w zajęciach utrudzających i powszednich. Takim jest życie. Momenty jego zachwyceń — to krótkie mrugnięcia powieki, a po nich są długie dni, w których trzeba ziarnka piasku cierpliwie znosić na drobne pagórki i poddawać głowę długim szeregom minut, spadających na nią kroplami ołowiu

Ołowiem ciężą mi na głowie od czasu pewnego myśli, z któremi poradzić sobie nie umiem. Goście nieproszeni! Przyjąć ich do domu ducha swojego nie chcę, a odpędzić nie mogę. Straszidłami są, lecz w straszidłach mieszczą się czasem magnesy.

Dostał mi się w tych dniach do ręki nieznanym przedtem utwór obcego poety o Mojżeszcu. A że w tej porze życie mi przynosi dziwnie sprzęgnięte wydarzenia i wpływy, sam uznasz, gdy cię z treścią utworu tego poznamoję.

W noc, poprzedzającą obwieszczenie ludowi przykazań Jehowy, Mojżesz czuwał przed ogniem, płonącym wysoko i setnemi języki strzelającym ku chmurze, która nisko wisiała nad górą i w której Jahwe przed oczyma śmiertelnych był skryty.

Naraz: „Mojżesz lęku uczuł technienie, a kłam, omylność, niepewność i złuda wszech ludzkich pojęć złowrogo przed duszą jego stanęły“.

Zadał sobie pytanie: „czy On jest?“ i dusza jego „z wyżyn świętych ekstaz, jako glaz ciężki stoczyła się w otchłań, gdzie czyha chumrne, śmiertelne wątpienie. „Cóż, gdyby jednak świat ten był chaosem błędnych, ślepych w boju sił? Cóż, gdyby snem to było gorączkowym, co dotąd mu się zdało objawieniem?“

Zadrzał, że może pustą jest ta chmura, w której—jak wierzył,—Jahwe krył się wieczny.

Na tę myśl Mojżeszowi „krew zastygła w żyłach, na głowie włosy zjeżyły się lasem, a z oczu łza wytrysła wielka, że omamieniem chorobliwem mózgu może być Ten...“

Mniejsza o ciąg dalszy, ale początek poematu uczepił się mej wyobraźni i nie mogę przestać go widzieć. Jest to zapewne skutek dziwnej jego zbieżności z treścią tej naszej rozmowy i — z temi kroplami ołowiu, które mi od pewnego czasu na głowę padają.

Moment taki, jak ów Mojżeszowy, straszliwym być musi przecież nietylko dla wieszczów bożych, lecz i dla tych wszystkich, którzy na poziomach powszednich miłując, pracując, wyrzekając się, poddając głowę kapiącym z życia kroplom ołowiu, za wszystką nagrodę posiadają wiarę, że są pokornymi robotnikami w winnicy Najwyższej Woli i Mądrości.

Straszliwą przecież musi być łza, padająca na zgliszcza tej wiary... bo bez niej, jakiz cel? jakiz sens? Czemu służyć? Do kogo mówić: Tobie to ofiarowuję? Po co spalać się w ofierze? Po co być? Po co byt?

Utracić Boga!

Utracić z oczu wszystkiego przyczynę i cel, Pramyśl, od której idą wszystkie myśli, Pradobro, ku któremu zmierzają wszystkie dobra, mądrość arcytwórczą, której my pomocnicy posłuszni, gdy ufní, że wykonywamy Przedziw, Przedoskonałość, Przedzieło.. ach i nadewszystko Ojca, który kocha, który kocha nieukochanych, do którego serca sieroce, serca beznadziejne, serca żeglarzy i serca rozbitków, serca szermierzy i serca nędzarzy, wołać mogą z ziemi: Ojce, któryś jest w niebie!

Ale, gdy zastanawiam się nad tym poematem, wyblyskuje we mnie myśl pewna, nie zupełnie jasna i którą przed sobą wyjaśnię może, gdy spróbuję wypowiedzieć ją przed tobą.

Otóż, myślę, że kto wie, czy dreszcz lęku o prawdziwość istnienia Jahwy nie wybiegł jak mrówki z mrowiska na ciało synajskiego wieszczą z duszy jego, w tej chwili czemś postronnem przyćmionej? Kto wie, czy w tej chwili nie przelatywał przez to ogromne serce dech zła, rwąc spójnię?... Kto wie, czy utrata wiary nie jest utratą spójni?... Wytrysnął żużel z dna wulkanicznego i spalił nic... zło weszło do serca i opuściło je poczucie Boga...

Czyste serca czują Boga w sobie i nie mogą wątpić.

Wiem, że o tem wszystkim, ty, przyjacielu, nic mi nie powiesz, lub mówić będziesz z uśmiechem, wiem, że milczenie i uśmiech twój będą mi zarówno gorzkie, jednak mówię, bo wzbiera to we mnie, a powstało — pod twoją dłonią.

Nauczałeś mię raz, abym mówiła do przelatujących ptaków: „dokąd lecicie, mewy?“

O, tak! dokąd lecimy?

Raz, w kraju starożytnych Saksonów, zajaśniał w powietrzu krzyż srebrny i rozległy się tony pobożnych litanii, a wielki kapłan Northumbryjski wszystką szlachtę zgromadził przed króla, aby rzecz swoją o nowej wierze mówiła. Wówczas powstał jeden z dowódców i rzekł: „Przypomnij sobie, o królu, co bywa niekiedy w dnie zimowe, gdy wraz z hrabiami i thanami swymi zasiadasz u stołu. W sali ogień na kominie płonie, ciepło jest, jasno, a na dworze śnieg i wichur. Wtedy mały wróbel z szybkością strzały przelatuje przez salę. Jednemi drzwiami wleciał, drugimi wyleciał, w mgnieniu oka zniknął. Z zimy przybył, do zimy powrócił. Tak człowiek przez życie przelatuje pośród dwóch ciemności. Z ciemności przybywa, do ciemności powraca...“

My wróble maleńkie, skąd i dokąd lecimy? Jeżeli z ciemności jednej nikt nas po nic nie wysyła, a w ciemnościach drugich nikt umęczonych nie przyodziewa w skrzydła nowe — to co? To przerażliwą i przekłątą jest moc tego głuchego chaosu, która, jak dziecięć piłki, wyrzuca nas ze swych bezmyślnych bojów! Po co wyrzuca?

Po co nadewszystko gwiazdciarstwo? Niech żyje radość! Niech białe mewy zlatują z „Emporyów“ i padają na róże i aksamity życia, choćby za nimi przeciągać miały szlaki żałób i jęków!

.

Widzisz, jakie myśli mię zajmują i, pomimo tego dziwnego nad Nikarem momentu, pierzchać nie chcą; przeciwnie, stają się coraz natrętniejszemi, a moja wola staje się przeciw nim coraz chwiejniejszą.

.

Zaraz, jutro zrana, pokratkuję sobie dzień ołówkiem pracy ciasno, ciasno, aby o tem nie myśleć.

.

Jeżeli możesz, przyslij mi to dzieło swoje, którego widok przywrócił ci spokój. Czytając je, przestawać będę o „śniadych zmierzchach“ z myślą twoją i zostanie mi ono po tobie, gdy ty sam przeminiesz!

XXV.

Murren.

Zachwiliśmy się tedy oboje na ostojach naszych, ale nie trwożę się o ciebie. Dusza twoja tak pławi się w mistycznych zachwytach i ekstatycznych natchnieniach różnych narodów i epok, że nie zdołają jej zwabić żadne aksamity, te zwłaszcza, na które pada mroczny cień mego ducha. Wszak od szwajcarskich lodowców zawiąły cię te poddmuchy sceptycyzmu, tak fatalne, że aż kratami przegradzać się od nich zamierzasz. Słusznie postępujesz, odganiając co rychlej niepotrzebnych natrętów. Dnie muszą być regularnie pokratkowane i trzeba długie rozmowy prowadzić z uczonymi technikami o gospodarstwie leśnem. Trzeba również nastawiać uszu na ostatnie spowiedzie umierających budników i — niech żyje Krasowiecka szkoła szycia i haftów! Niech też dziedziczka Krasowiec wieszczkuje dalej państwu swemu. Pomimo lekkich zachwiań w dziedzinie myśli, jest ona tak silną w dziedzinie kratkowanych dni, że na białej jej szacie nie zostanie skaza — po śmiertelnym grzechu marzenia. Pozwól mi jednak nad tem przelotnem marzeniem zawiesić westchnienie i parę zapytań:

Czemu ten wasz altruizm, taki szczytny i nieraz rozrzutny, umie być jednak tak przezornym i określonym? Czy na twych trójwymiarowych niebiosach nawet miłosierdzie aniołów musi mieć granice? Czy duchy przeczyste nigdy z litości nie zstępują do otchłani?...

Żałuję, iż nie jestem wyznawcą tak dobroczynnych zasad. Był moment, gdy sam zamarzyłem o nich, gdy i mnie opadło przelotne tchnienie zwątpienia, przywiane od północnej strony. To zwątpienie targnęło mną nawet mocno, bo osłabły byłem od złej zgryzoty. Teraz, kiedym się wzmocnił skutecznem lekarstwem, aż mi wierzyć trudno, że mogłem się tak zachwiać. Byłem widocznie bardzo, bardzo już chory.

Nie; nie było się o co lękać. Mury, na które się wzniosłem, mocniejsze od twojej kraty, stoją niewzruszone. Związane zostały tak silnie, jak tylko wiązać umie rozum i rozumowa konieczność. Nie wszedłem na ścieżki obłudne. Idę drogą prostą, a opieram się o stal prawdy.

Powiedziało mi o tem dzieło moje.

Ono było mi lekiem. Ufam, że ozdrowieje łąd niego nie tylko myśl moja, ale i to, co ty nazywasz sprężyną życia i raną piersi. Muszę wyprostować się i ozdrowieć. Bez przewiązki z powojów, bez kropli miodu w napoju życia, muszę ozdrowieć...

Życzysz sobie, abym ci przysłał mą książkę. Niegdyś, niedawno jeszcze, spodziewałem się wiele — i inaczej. Dzisiaj, posyłam ci ją, jako cząstkę jedyną mego ja, którą mi ofiarować sobie pozwalasz. Byłem gotów złożyć ci w daninie rzeczy bliższe serca — ale zwróciłaś mi je w pogardzie, i miałaś słusność, bo nie mogły być one ani w przybliżeniu tak cenne, jak rzecz umiejętna, — chociażby się w nich nawet znalazło całe serce.

Zresztą, to już poza mną. Już jestem poprawny i spokojny. Oto żądana książka.

Niechże cię wiedzielo moje wprowadzi w dziedzinę wielkiej przyrody i w istotę wszelkiego bytu. Może łańcuchy zdań, ujęte w jednolitość systemu, przydadzą ci się lepiej, aniżeli dorywcze słowa moje, które mogły być iskrami niecałymi promienie i płomienie, a nie były ci niczem.

Nie znajdziesz tam, to pewna, prawd nowych. Nowość i zasługa polegają tylko na umiejętnem i nieugiętem sformułowaniu tego, o czem wie umysł prostaczka. I Budnik twój rozumie, że wszystko,

co z roli mu się rodzi, zależy od biegu słońca na niebie, i każdy śmiertelnik to pojmuje, że tok dziejów naszych nie zawisł ani od cnót, ani od złości archontów, ale raczej od kąta, pod którym ziemia ku temu słońcu się chyli. Nie zniewolą cię także kuglarstwa wymowy, ni żadne wdzięki, często miłe, lecz zawsze nieścisle, w jakie język ludzki tak chętnie się stroi. Ale ową zależność, co łączy cząstki światów ze sobą, zgłębić i przemyśleć do końca, doszukać się pierwiastków, które dla pstrocizny kalejdoskopowych przejawów bytu są podścieliskiem nieodmiennem i trwałem, dostarczyć ścisłego dla tych prawd wyrazu, wykryć transcendentalne łączniki myśli odwiecznych w przestrzeni i w czasie i ujarzmić mętne poczucia instynktów naszych wiedzą i miarą, to było idea i zadaniem mojem.

The is no poetical way to the metaphysics. Pragnąłem rdzeń bytu skrępować siecią metafizycznych rachunków. Chciałem, aby każde niedowiarstwo mogło się prawdą moją przejąć. Chciałem, aby ona rosła w prostotę i wielkość. Więc szedłem powoli, cierpliwie a upornie, krok za krokiem, od zleпка okruchów, będących uświadomieniem naszym, od analizy zewnętrznych zjawin, które znam jako splot barw i kształtów, głosów i milczenia, od ciasnej anatomii własnego czucia i woli do uczucia ludzkości, do woli światów, do nieskończoności wymiarów. Legiony rzemieślników nauki rozpatrywały to samo, jeszcze cierpliwiej i bardziej wyczerpująco, chociaż z osobna: uludę zmysłów, myśl wolnej woli, problemat przypadku i przeznaczenia, genezę etyki, rozkwity i upadki cywilizacyi, zwycięstwo ich i pogromy, losy ziemi i gwiazd. Szereg dochodzeń, rojeń, walk, podbojów myśli i jej buntów. Lecz któż kiedy ogarnął świat jednym rzutem poznania?!

Ja pierwszy pokusiłem się o to. Ja pierwszy, zdobywając dla myśli krok za krokiem fundament silny i trwały, zrobiłem w tajemniczej zasłonie wyrąb olbrzymi, przez który duch rzucać się może w nieskończoność. Człowiek łudzi się, sądząc, że to on sam wytwarza w sobie losy ducha, że żądza wiedzy i pragnienie szczęścia w nim tylko walczą o zwycięstwo, że to on sam gotuje sobie przyszłość, która nie urodziła się jeszcze w łonie czasów. Nim rządzą te same prawa, które pędzą przez eter wiry atomów. Znalazłem jedne symbole prawideł dla nikłych mrowisk człowieczych i dla komet, których rozpalone dusze miotają się w grzywach niezmiernych [po niebie, te same dla chaotycznych żarów, skąd wykryształizować się mają nowe światy, i dla uświadomionego prochu stworzenia, który osiada na stygnących planetach.

Odnalazłszy ustępy o postępach ludzkości doznasz może zawodu na widok tekstu, pełnego liczebnych formuł i chemicznych znaków.

Wszelako analiza współczynników dziejowych nie wykazała mi nic innego, jak rosnącą ciągle dążność każdego ustroju do udoskonalenia swego chemizmu, do jak najobfitszego odtwarzania tkanek. A odnośne rozdziały noszą tytuł: „*Polityka proteinów w walce o tlen.*“

Po drobnej sprawie ludzkości, idę do większych kół rozpędowych, określam związki i koleje światów, Odtąd narzędziem i skrzydłem mojem staje się trudny rachunek wielościami, z których najmniejsza jest już nieskończonością. Czas stopił mi się pod ręką w nowy wymiar przestrzeni. Choć gwiazdy niebieskie idą na gwiazdy, natknąłem na światy nowe, warunkujące swój byt wzajemnie, na całe łańcuchy tych światów, a straszna nieskończoność kosmicznych ruchów zmieniła mi się w przelotny rozbłysk pozaświatowej wieczności.

Może, z monad zlepieni, wciągnięci jesteśmy w jakąś falistość ruchu, i wyczerpawszy treść życia, przepłynąć mamy byt następny w powrotnym rozkładzie na samoistne monady? Może przez nasz świat teraźniejszy przejawiony jest nieszczęsny Lucyfer, w pył ludzki rozbity, a dopiero w przyszłości zdolny do odrodzenia? A wtedy istoty nasze, odrębne dziś i popychane ku sobie magnesem miłości, lub roztrąpane wstrętami i gniewem, złożyć się mają na jedność nową, doskonalszej świadomości, na zaklętego w dusze ludzkie anioła, o tyle wyższego od nas, o ile my wyżsi jesteśmy od unoszonej powietrzem monady.

A Bóg?

Dotarłem aż do Niego, do wielkiej Niewiadomej, pierwszej i ostatniej. Aby się do niej dostać i z nią się połączyć, wysnuć się i przeminąć muszą wszystkie stopnie istnienia, a że ilość ich jest to nieskończoność mnożona przez nieskończoność, więc poza ten twórczy pytajnik przebić się już niemożna. W nim leży centrum wszystkich emanacji bytu, ostatnia konkomitencya i eutropia światów, kreatoryczne „x“, bez którego żadne równanie rzetelnej wiedzy obejść się nie może.

.

Choćbyś zresztą nie mogła zrozumieć pewnych zbyt trudnych wywodów, mimo to, zapozna cię niniejsza książka w krótkim zarysie z treścią i obszarem mej filozofii. Pokazane są tam wszystkie linie

i wszystkie dźwignie rusztowania, będącego dla mnie fortecą ducha. Może wobec tej zamkniętej w sobie i bezpiecznej budowy przyznasz, że Sfinxy wznoszą swój panteon z twardego granitu i chcą mu dać sklepienie ze stali. Może też w rachunkach moich wyczytasz, jak wielkim jest majestat wszechbytu, z którego płynie wszelki ruch, imponujący nam jako energia i materya, wymiana sił, gra światel, dźwięków, czasów i rozstrzeni; że ruch ten większy jest nad wszelką ludzką wielkość i małość, znikomość i nieskończoność, wieczność i krótkotrwałość, bo czas i przestrzeń, to tylko dwa cienie jego skrzydeł potężnych! I przeczujesz może jaki on jest, ów świat czy ów ruch, nie mający żadnych określonych kształtów ani barw, ani głosu, a jednak taki powszechny, taki ogólny, taki trwały, że cokolwiek się z tobą dzieje, cokolwiek myślisz, cokolwiek czujesz, czegokolwiek pragniesz, myślisz, czujesz i pragniesz tylko jako bierne odbicie jego ocierających się o ciebie przejawów.

Ostatecznie mogę przypuścić, że w pewnych uprzywilejowanych godzinach potrafi cię zająć ta lektura, ja zaś, któremu na mniemaniu twem zawsze w równej mierze zależy, spodziewam się z niej poniekąd i dla siebie zysku. Spodziewam się mianowicie, że bez względu na zgodę lub opozycję, przyznasz przecie, że takich rzeczy nie można napisać z dnia na dzień, i że jakimkolwiek jest owoc mej pracy, młodych lat życia nie obróciłem na marne. Będziesz mieć w ręku sprawdzian mego charakteru, wiarogodniejszy od wszelkich spowiedzi, będziesz mieć w ręku materyał dostateczny by uzasadniać swe sądy o mnie.

W gruncie rzeczy, nie powinno mi nic wcale zależeć na sądach twych o mnie, skoro wolą twą jest, aby rozmowa nasza ustała rychło, a drogi życia na zawsze rozbieżnymi pozostały. A jednak, zależy mi na nich wiele. Nic to nie znaczy, że człowiek myśli trzeźwo i widzi jasno pierwszy początek i nieubłagany bieg wszystkiego, co mieści się w jego świadomości. Nie gasi to i nie wysusza wiecznie w głębinach bijącego ogniem i łzami źródlika wzraszeń.

XXVI.

Krasowce.

Czytając dzieło twoje miałam takie uczucie, jakby mię łódź, z żaglem na wichry rozpiętym, niosła po morzu bezmiernem, z grzbietu na grzbiet fal spienionych, które pędzą ku niewidzialnym brzegom, gdy spodem i górą rozwierają się otchłanie. Kiedy zamknęłam książkę i oczy utkwiliłam w wydrukowane na okładce zgłoski twojego imienia, zdawało mi się, że oślepiłam i że już nigdy na świat spoglądać nie będę inaczej, jak tylko twojemi oczyma. Olsnił mię niewymowny obszar roztoczonego przez ciebie obrazu i palający żar twego słowa. Wzroku pozbawioną skrzydło geniuszu twego porwało mię z malutkiej ziemi i, pomiędzy powieki wstawiwszy twoje źrenice, niosło po nieskończoności światów i wymiarów, aż do tej ostatniej ich „konkomitencyi“, do tego „centrum wszystkich emanacyi bytu“, które u ciebie zwie się „x kreatorycznem“, a w mowie przodków moich nosi imię Boga. Tu cofnęłam się w głąb swej duszy, usiłowałam przejrzeć i ze skupieniem wszystkich sił swego jestestwa...

Ale muszę dziś mówić spokojnie. Spokój jest pięknością, mawiali starożytni Grecy. Spokój jest koniecznością dla tych, którzy kroczą brzegami otchłani. Muszę dziś mówić do ciebie spokojnie i—długo.

Muszę powiedzieć ci najpierw, że do zrozumienia dzieła twego byłam przygotowana dobrze. Jestem dzieckiem narodu i tej jego społecznej sfery, po których liczne pokolenia przesuwały pługi umysłowej kultury, więc od niemowlęctwa prawie tradycyę, zwyczaję, potrzeby rozkazywały mi uczyć się i myśleć. Umysł mój, z natury ciekawy i czynny, nietylko poddawał się chętnie tym rozkazom, lecz jeszcze po wielekroć je prześcigał, a osamotnienie, na które wypadki publiczne, nieszczęścia rodzinne i własny mój wybór skazały młodość moją, uczyniły mi źródło wiedzy, więcej i wyłączenie niż dla innych, drogocennym i ponętnym. Z powodu uczuć i zasad pewnego rzędu usunąwszy się od świetnych i wesołych towarzystw, ze wszech względów na oścież przede mną otwartych, zamknęłam się w dość szerokiem kole zajęć i czynności, ale także i w licznych gronie duchów wielkich, które powoływałam do rozmowy z sobą w senne dnie słot jesiennych, w palące momenty wielkich smutków, w długie noce wspomnień, żalów i rozmyślań. Nie sami poeci grono to skła-

dali, lecz także i ci, którzy ze szkiełkiem przy oku ścigają wieczną robotę natury na rozmaitych jej drogach, a nadewszystko ci, którzy przez drobnowidz bystrzych rozumów rozkładają na pierwiastki losy narodów, aby je potem układać w koordynacje pojęć i poglądów dziejowych i filozoficznych. Jakkolwiek ty, kuzynie, wagę niedużą przywiązywać musisz do studyów nad tą drobiną, którą, fizycznie biorąc, wobec wszechbytu jest ludzkość, to jednak przyznasz może, iż gimnastykując i mnóstwem światel napełniając umysł, czynią go one sposobnym do zrozumienia i przyswojenia sobie myśli i wiadomości, chociażby wcale mu dotąd nieznanych. Lecz wcale nieznanemi nie były mi i te horyzonty, które rozwijasz w dziele swoim, tylko że nigdy nie widziałam, aby rozwijały się one z tak rozległą wytrzymałością myśli, z tak żywiołową niejako śmiałością i potęgą słowa. Nigdy też sama nie zatrzymywałam wzroku na tych bezgranicznych horyzontach z takim jak teraz wytrwaniem i natężeniem uwagi, z taką siłą umysłowej żądz doścignięcia razem z tobą ostatnich kresów ludzkiego poznania. Widzisz więc, że chociaż dotąd skrzydła ducha mego opierałam na przeciwległej półkuli abstrakcyjnego świata, ta nad którą twój duch siłą wiedzy, logiki i wyobraźni zapanował, nie była zrozumieniu memu niedostępną. Z winem wiedzy oswojoną jestem, tylko że to, któreś ty mi podał, posiada woń i tęgość, przedtem mi nieznaną.

A druga rzecz taka, że do zrozumienia myśli twoich w pewnym przynajmniej stopniu uzdolniona, miałam w sobie, pod zasiew ich krytyk i negacyi, grunt również przygotowany. To wydaje się dziwnem, bardzo przeciwnem wszystkim składnikom jestestwa mego, wszystkiemu, czem dotąd żywiłam się i dla czego żyłam, a jednak jest prawdziwem. Gdybyż to duch ludzki był płótnem tkanem na jednych zawsze krośnach, w izbie szczelnie zamkniętej przed prądami wolnego powietrza, które krzyżują i rwą nici wątków! Bywają wprawdzie takie: *la foi du bûcheron*, to taka nitka z grubej kądzieli osnuta na jedne wieczne wrzeciono, wśród ścian ciemnawych i ciasných. Nieraz już dawniej, nieraz gdy nieprzeliczone bóle i plamy świata brały mi serce w koło ostrych noży, gorzko myślałam: o! czemuż nie urodziłam się w chacie węglarza! Urodziłam się w domu, którego liczne okna szeroko porozwierane były na wszystkie widoki i podmuchy świata, a co przez nie widziałam i na co patrzę jeszcze, od tego, przypuszczam, że twoje nawet oczy, zataczające po rozlogach wszechbytu kręgi tak bezgranicznie śmiałe, odwróciłyby się z powieką spuszczoną na rozemdlone źrenice. Wzrok mój, z natury nie tępy, zaostrzyły światła umysłowe, a więcej jeszcze uczucia, bo w sferze spostrzegania arcszklifierzem promieni wzrokowych jest u-

czucie. Nie mogły tedy pozostać mi tajnymi szpetoty i krzywizny świata, ani skryć się przede mną zakrwawione i łzami zalane perypetye i pathosy jego tragedyi. Tyś tych tragedyi nie ścigał spójrzaniem przerażonem, nie oblewał żalością i gniewem, nie okrążał zadziwioną myślą, zamknięty w świątyni wielkiej wiedzy i jej dumnymi ścianami broniony od najścia poczwara okrutnych, fał zmiennych i cieni znikomych. Pod tym względem wiedza moja przenosi twoją i powiem ci, że wszystko to jest olbrzymim kłębem zagadek, niepokojących każdego, kto nie urodził się w chacie węglarza, niepokojących często do męki, czasem do choroby ducha i ciała. Po co? Za co? Dla czego? Więc co? Więc... jeżeli... Skargi i pytania tak stare jak Hiobowy barłóg, lecz które nigdy na ustach ludzkości nie milkły zupełnie, a przeciągają przez wszystkie duchy oświecone i gorące, i nigdy nie przeciągają bez śladu. Gdy ratunkową wiarą jakąś lub królującym uczuciem odepchnięte zasuną się w zapomnienie, zostaje po nich blizna, która przy pewnych dotknięciach ożywa raną i znowu mówi lub krzyczy ich głosem, ich bólem, ich gwałtem...

Jeżeli zechcesz przypomnieć sobie, com ci mówiła nieraz o całokształcie swych myśli i wierzeń, to się przekonasz, żem nigdy nie oddawała olbrzymiego kosmosu na usługi małej ziemi, anim na tronie wszechbytu i wszechstworzenia nie umieszczała ułomnej istoty człowieczej, której wartość i zadanie całe zdawały mi się polegać na wspinaniu się z wyczeraniem sił ku wyższemu stopniowi niezmiernej drabiny. Przed memi, tak jak przed twemi, oczyma rozciągał się w przestrzeni bezkresnej niepojęty łańcuch ustrojów i bytów, którego nasz świat, wraz z nami, ludźmi, jest jedną zgłoską w dziele i jedną z linii w planie...

Tu rozległ się zgrzyt, od którego na kryształach myśli mojej powstała rysa pęknięcia. Twoje „x kreatoryczne“, za łańcuchami światów skryte i niczem o sobie znać nie dające, abstrakcyja oddalona, zimna, niema i głucha, której sama jedna myśl tylko drżącym rąbkiem dotknąć może, aby wnet znowu utracić z nią wszelką spójnię, a całej połowie bytu naszego, którą jest uczucie, ani odrobiny z niej nie dać na pokarm... to rozłamanie się gruntu pod stopami w otchłań... Więc odwrócić oczy od otchłani! Gdybyż można! Ale, nie można. Pociąga je ona i wciąga, jak gardziel węża ptaszę zahypnotyzowane fosforycznym blaskiem jego oczu.

Rzecz dziwna! Nie po raz pierwszy przecież spotkałam się z negacyą tego, co mi było pancerzem dla piersi, opoką dla stóp, łodzią ratunkową wśród gorzkich odmętów życia. Wszakże czas nasz, aż do rdzenia, przenikają powątpiewania i przeczenia, a ja, dziecko jego, nie pustelnica i nie zakonnica, słyszę szmery i szумы wszyst-

kich jego prądów. Nie jeden z nich otarł się o mnie zblizka, porywał i nie porwał, a jeżeli dotknął, to zlekka i na krótko. Dla czegoż myśl i słowa twoje dokazały tego, czego żadne inne dokazać nie mogły? Znowu zagadka, może pokrewna tej, która objawia się w pewnych organizacjach wyjątkowych, wywierających na organizacje inne, często z odległości znacznych, potężną i tajemniczą siłę sugestyj? Może wielowładność słów twych polega na ich piękności, o którą nie ubiegasz się najpewniej, o której nawet nie wiesz może lecz która nieświadomą dla ciebie samego robotą rylca, pędzla i tonu, hypnotyzuje wsłuchaną w nie duszę. Nieświadomie dla ciebie samego, na ścisłe wywody rozumu i wiedzy, ze spodów twego jestestwa wystrzeliwiają akcenty słowicze i biją o nie szerokimi skrzydłami orły fantazyi.

W tem też, pomimo rozbieżności mnóstwa, tkwi zbieżność jestestw naszych i przyczyna, dla której głosy nasze po przypadkowym spotkaniu, splotły się w dwugłos, przez zgrzyty i błyskawice wzbijają się *ad astra!*

Jak ty cudownie marzysz, przypuszczając, że „przez nasz świat ziemski przejawiony jest może nieszczęsny Lucifer, w pył ludzki rozbity, a dopiero w przyszłości światów zdolny do odrodzenia.“ Jam roila nieraz, że ziemia nasza to siedlisko olbrzyma Zła, a zadaniem ludzkości jest walka z nim długa, krwawa, u której zwycięskiego końca, nad powalonym wrogiem bożego dzieła, ludzkość odrodzona stanie olbrzymem Dobra!

Ale, jeżeli, jak utrzymujesz, w najoddalniejszej głębi przepastnych rozłogów wszechbytu, zasłonięte przed nami nieprzebitą tkaniną ze słońc i gwiazd, istnieje tylko jakieś x niewiadome, w absolutnem osamotnieniu swem obce i ponure, w niezłomności raz na wszystkie wieki wydanych rozkazów okrutne, od tworców swych nie żądające niczego i żadną nicią współdziałania i współmiłości z nimi niezłączone, a z ich narodzin i śmierci, mąk i rozkoszy, szukań i błędzeń, ze wszystkich duchów i ze wszystkich bytów, czyniące przedziwne theatrum, którego samo jedno jest autorem i zarazem widzem; to jakież odrodzenia i jakież olbrzymy? Jakie zło i jakie dobro? Masz słuszność. To logiczne. Gdy niema woli wyższej, niema sprzeciwiania się jej, ani służenia, gdy niema zadania i celu, niema winy ani zasługi, wzrastania ani malenia, doskonalenia ani upadlania, żadnego odrodzenia... nie! nie! oprócz gotowania mniej lub więcej wykwintej strawy, dla mniej lub więcej kształtnie ulepionych prochów! Tak jest; ale co ja teraz zrobię z bólem, nietylko swoim, lecz i tym, który naokół mnie, jak morze? Po co on? Czy mnie do niego nie? Oblędny wir metamorfozy! Wszystko pod zmienionem

światłem przemienia postać i naturę. Słysząc stukanie młotów, rozłamujących góry, aby zrównały się z nizinami. W konchach serc z jękiem pękają perły. Idealy kładną się do trumien. Po trumnach szemrze deszcz łez... To czasy płaczą, te które przeszły, nad temi, które przyjdą...

Trzeba mi umilknąć na chwilę, zastanowić się, pomyśleć. Muszę przecież mówić spokojnie...

.

Ja, kuzynie, potężnego dzieła twego rozbierać nie zamierzam ani polemizować, czy katechizować. Gdzieżbym mogła! Ani umiem, ani chcę. Tylko odsłaniam przed tobą obłędne krążenie po mózgu myśli swoich i tajemnicę nierównych, rozdzwonionych uderzeń serca. Mówię do ciebie, jakbym mówiła do brata,—ach, do tego, który zgorzał na stosie, wzniesionym może przez omyłkę! Zrozumiej, zrozumiej, ile śmiertelnych przerażeń mieści się w tej jednej, tylko w tej jednej myśli, że jego kwitnące życie połknęła—uluda! Bądź dobrym, słuchaj cierpliwie...

Duży dom mój, osiadły przez ciszę sieroctwa, nie jest przecież wykutą w skale Thebaidy jaskinią pustelniczą. Widuję ludzi i nie samych tylko Budników. Węzły pokrewieństwa i współdziałania łączą mię z ludźmi i sprowadzają dość częste spotkania. Ale ty wiesz, że samotność nie jest jednoznaczniakiem bezludzia i że tam tylko jej niema, gdzie jest przyjaźń myśli i zaufanie serc. A gdybyś mię zapytał, czy znam dusze nie samotne, odpowiedziałabym: wątpię, chyba te, które w rozwoju swym nie przebyły jeszcze stopnia zaczątkowości. Inne, dojrzałe i uwykwintnione, w kajdanach nieufności i oziębłości cofają się wzajem przed sobą, zmrażane byle kropelką chłodu, zrażane draśnięciem najłżejszym, i gdy usta mówią, one milczą, ironicznie uśmiechając się nad robotą ust, marną dla głowy i płonną dla serca. A przecież nie zagasają nigdy, nie kończą się nigdy tęsknoty do słodkich lepów i silnych spoidel, któreby mogły różność dusz w jedność przekształcać. Może są one pierwszymi pobłyskami tej ery naszego świata, w której, jak przypuszczasz: „jednostki dziś odrębne, a pociągane ku sobie przez miłość, lub roztrącane przez nienawiść, zleją się w duszę rozpryśniętego na iskry anioła, o tyle wyższą od dusz naszych, o ile my wyżsi jesteśmy od jęstwa unoszonej powietrzem monady“. Jakkolwiek bądź, ci z pomiędzy nas, których rozkwitłe albo i wybudujące myśli i uczucia dziś już

czynią podobnymi do iskier anielskich, rozsianych pośród monad, muszą być łupem samotności, tej samotności która nie jest jednoznaczni-kiem bezludzia.

Co do mnie, nie znam tych szarych godzin o zapadającym zmroku, w których u okien zawieszonych purpurą zorzy szemrzą rozmowy poufne, długie; ani wspólnych z innemi źrenicami wejrzeń ku wschodzącym na nocne niebo gwiazdom; ani wspólnego słuchania szelstów, z jakimi jesień roznosi wędnące liście po cienistych drogach; ani przybliżania się głów, pochylonych nad skarbnicą wiedzy, ani łączenia się dłoni w cierpieniu, czy trwodze. Jeżeli czyjekolwiek czoło razem z mojem kłoni się ku dołowi, to tylko nad rozlanemi po obszarach rodzinnej ziemi czarnemi wodami nieszczęścia; jeżeli palce moje czemkolwiek łamią się z innemi, to tylko stężałym i do skruszenia trudnym kirem żaloby.

Lecz jak świat jest szeroki i długi, niema na nim nikogo, kto-by chciał choć przez moment pograżyć wzrok w toni mojego nieszczęścia, albo przynieść do przełamania się ze mną różowy oplątek radości. Niema też nikogo, czyjebym troski serdecznej mogła, a nadewszystko chciała, ginąc, zawołać na pomoc. Jestże to więc dziwnem, że mówię do ciebie i teraz zwłaszcza nie mogę przestać mówić...

Czuję potrzebę zapytywania. Gdyby długim szeregiem stanęły przede mną wieki, przez świat nasz przeżyte, od jednego do drugiego szłabym, błagając, aby każdy pokazał mi ten okrucuch prawdy, który z ciężkim mozołem wywojował u ziemi i nieba. Gdyby objawił się na globie naszym Mistrz z naturą nad nędze ludzkie wyższą, przez rzeki i góry szłabym ku niemu, aby jak ewangeliczna Marya włosami swemi zamieść przed nim ziemię i zapytywać — i zapytywać...

Zrozumiałam to, co mówisz o monadach i o kometowych miotłach, „które mkną niewolniczo torem, przez wyższe prawidło nakreślonym“ i że prawidło to stanowi o przeznaczeniu chaotycznych żarów, z których wykrystalizować się mają różyce nowych globów.“ Zrozumiałam, ale jeszcze — nie dość rozumiem. Życie staje naprzeciw teorii i muszę je godzić.

Był w życiu mojem moment, w którym oplątały mię więzy, z kwiatów czarownych uwite, a wszystko, cokolwiek jest w człowieku samozachowawczem uczuciem miłości dla samego siebie, lejąc mi w serce strumienie upojeń, wołało o szczęście. Jednak, zdołałam umknąć woli z pod powszechnego prawa? Podniosłam się, wyprostowałam i pozostałam sama jedna, pod złotemi oczyma gwiazd, których światłości nie chciałam zamienić na upajające wonie i aksamitną purpurę czarownych kwiatów. Nie chciałam? Mniemałam wówczas

że nie chciałam i że to Psyche moja przecięła łańcuchy, czyniąc pomiędzy ideałem a szczęściem wybór dobrowolny.

Czegom ja zresztą wówczas nie mniemała! Bo i to myślałam sobie, że z olbrzymem zła, na ziemi osiedlonym, zwyczajski bój stoczywszy, o atom czasu przybliżyłam moment, w którym ludzkość stanie się olbrzymem dobra; i to jeszcze, że ten akt dobrej woli był aż do ran wierną służbą ideałom... A potem... Gdy przeminęło pierwsze wstrząśnienie, które następuje po opadnięciu z piersi kwiecistych więzów, uczułam, że nie utraciłam szczęścia, lecz tylko zamieniłam je na inne...

Czyś kiedykolwiek przyglądał się czarnym perłom? Wyglądają tak, jak gdyby napelniające je blaski tęczowe przewijały się przez czarną krepę, a rzadkie są i mają cenę bajeczną. Otóż w życiu bywają szczęścia podobne czarnym perłom, głębokie tęczowe swe nurzające w cieniach, i taką perłę trzymałam wówczas w rękę, a przyglądając się jej blaskom przyćmionym, zaświatowym, myślałam, żem kupiła ją za niezmierną cenę aktu woli, która rozcięła więzy i rozdarła serce. Czy będziesz dziwił się temu, jeżeli teraz postępek ten swój oglądam ciekawie, jakby rzecz nową i nie swoją? Istotnie, nie był moim. Był koniecznością, od której uchylić się nie mogłam. Jednak, zarazem, mogłam. Wystarczyło jednego, potwierdzającego skinienia...

Pracowało w tym postępku, niezależnie od woli mojej, męstwo dziada mego i ofiarnictwo ojca, gdy aż do kresu dokonywał całopalenia, zamierzonego tylko przez Abrahama na górze Moria. Lecz i oni również, uwodzeni byli przez mary, złudy, sny... Oni i ja mówiliśmy: współczucie, obowiązek, sprawiedliwość, cnota, a było to niczem innym jak tylko pracującym w nas instynktem samozachowawczym gatunku, czy, mówiąc ściślej, części gatunku, plemienia.

Zrozumiałam. Myśl twoja uczepiła się mego jestestwa i odstać od niego nie chce, co więcej, ja sama z uporem niepojętym wpatruję się w nurty twego słowa, w sieć twych wywodów... Czy będziesz dziwił się, że nad nurtami temi stoję bezradna, osłupiała, niewiedząca, coczynić, zbita z drogi? Mówię ci o tem bez trwogi o ciebie. Dla autora książki, to tryumf, a dla człowieka, nic wcale. Cóż ciebie, który obracasz ogromami brył niebieskich i nieskończoności mnożysz przez nieskończoność, obchodzić może jedna daleka gwiazdka, spadająca z wysokich niebios w ciemność nocy?

Jednak i to jeszcze wyznać przed tobą muszę, że, pomimo wszystko, nie mogę pozbyć się myśli, czy przypuszczenia, że gdybym znowu zdołała wydać z siebie tę energię, która trudnego czynu dopełnia, znowu uczułałbym w sobie swoją Psyche, z rycerską lancą w dłoni.

Ogromnie trudno jest wyzbywać się tego, z czego zakładaliśmy długo fundament całej budowy życia. Więc też jeszcze i ta myśl przychodzi mi do głowy, że kto wie? może upadek wiary w wolną wolę postępuje równolegle z upadaniem zdolności do trudnych czynów? Może i ja teraz siłę słowa twego oddaję wiarę w jej istnienie dla tego, że nie mogę wymócić na sobie takiego natężenia woli, z któregooby wydobyć się mogła jej emanacya — czyn? Na te pytania jednak nie proszę, abys mi odpowiadał, bo, rzecz prosta, że uznasz je za błahe, za niższe od twego rozumu i przez niego stworzonych wniosków. Zresztą, dopóki zostaję w okowach i nie zdobywam się na siłę do ich rozkucia, nawet twoje słowa, gdyby w tym kierunku możliwemi były, nie zdołałyby mię utwierdzić na nowo w zachwianej wierze.

Lecz oto na jakie pytanie proszę cię o odpowiedź. Jest ono palącym i niecierpliwem.

Dla czego nie jesteś szczęśliwy? Ty, który wiesz wszystko, dociekleś wszystkiego, myśl nie znającą przerwy ani trwogi zarzuciłeś aż za słońca, który dostrzegasz spoidła, łączące we wszechświecie ogniwa wszechbytu, znasz tajemnice wszystkich narodzin i śmierci, trzymasz rozumiejące oko na całym przestworzu wiekuistych robót natury, jej składów i jej rozkładów, — dla czego nie jesteś szczęśliwy? Wszakże Bóg twój nie rozkazuje ci nic i niczego nie zabrania, a na swym instyukcie samozachowawczej miłości własnej nie nosisz pęt obowiązku. I z tymi, którzy cierpią, nie cierpisz, ani wichry gniewów i żalów nie unoszą cię w krwawą kurzawę walk o sprawiedliwość, i niema takiego gwoźdźcia, któryby zdołał cię przykuć do ciemnych Erebów tej ziemi. Cnota, ta najczęstsza gubicielka osobistego szczęścia, jest w oczach twoich chorobą monady, nie podążającej ku tym warstwom doświadczalnego zbiornika, w których dla żywiołu swego znaleźć może najwięcej światła i tlenu. Dla czegoż nie jesteś szczęśliwy? Posiadasz sławę, młodość, fizyczną siłę, umysłową potęgę, wysokie miejsce w hierarchii społecznych stanowisk. Dla czegoż nie jesteś szczęśliwym?...

Pozwól też, abym poskarżyła się przed tobą na ciebie. Co ty piszesz w swej książce o samolubnych, interesownych pobudkach, któremi rządzą się rycerze idei i zasad! Nie czyniąc pomiędzy niemi różnic i nie rozdzielając ich na kategorie, oskarżasz wszystkich o względy indywidualne i o egotyczne nadzieje, o chęć zażęgniwania rokoszów ziemskich, albo spekulowanie na odplaty niebieskie. Jakże widać, że żaden głos z Coliseum nie rozkazał ci zwiędzić „ziemi, mogił i krzyżów“! Po drogach swych spotykać musiałeś samych fary-

zeusów, rozdających jałmużny na rogach ulic i przy dźwiękach mo siężnych fletni, a żadne echo nie odpowiedziało ci o tych, którzy nie prosili o chwałę swoją, ale o tryumf tego, za co walczyli, spokojni byli na dumę, ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych, byleby tylko po ich męczeństwie zorza rozwiódła się nad tem, co ukochali.“ Ach, ja ich znałam! Nad dachem rodzinnego domu mego, przez trwanie stulecia powiewa proporzec z napisem: Przy zasadach stójmy! Stali przy zasadach i świetny, sowity zaiste! zółd za rycerską straż otrzymali od ziemi, a czy jakiegokolwiek spodziewali się od nieba? Tak; sama nieraz, nad wspomnieniem ich żałobną myśl roztaczając, marzyłam, że tak bardzo uduchownieni, od egotycznych względów i nadziei wolni, tak przez ziemię skrzywdzeni, a w służbie dziełu bożemu wytrwali, osiągnęli zapewne w sferach zaświatowych, nad ten ma-lutki światek nasz wyższych, czystszych, przestrzenniejszych, nagrodę świetną w postaci jeszcze zupełniejszego uduchownienia się, udoskonalenia, otrząśnięcia z prochów żądz poziomych i marnych. Marzyłam, że oni tam kędyś, z rozpiętymi skrzydłami Serafów ważą się w gloryi tryumfującego dobra, jeszcze spojrzeniem troskliwym to obejmując, co na tej biednej ziemi kochali tak niezmiernie, że w kochaniu tem, jak ziarnko piasku w oceanie, utopili całą o sobie samych pamięć...

Dla czego pomiędzy ludźmi, a ludźmi tak wielkie różnice? Są tacy, którzy tylko wśród dotykalnych realności życia czują się jak w domu, a dla idei abstrakcyjnych, jak dla krain cudzoziemskich, żywią obojętność doskonałą. Grzmoty i orkany szaleć mogą na tych wyżynach, a oni wzroku nawet nie podniosą, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Wiara, którą słowami wyznają, jest szybką mechanicznie w dusze ich wprawioną, która jeżeli trwa, to dobrze, jeżeli, przez jakiś kamyczek stłuczona wypada, to znowu dobrze, a często i bez żadnego kamyczka wydziela się z organizmu, jako ciało obce i niepotrzebne. Gorzej niekiedy, ale tylko ogniami pożądań własnych, lzy wylewają, ale tylko nad mogiłami dzieci swego ciała, żadnych zresztą mogił nie nosząc w sercach długo, bo coraz nowe realności szybko zmiatają z ich pamięci zwłoki tych, które przeminęły. Nie są to zawsze źli ludzie. Owszem; do powszednich użytków ludzkości bywają zdadni i miewają humory przyjemne. Są poprostu odmianą rodu ludzkiego, w ziemię wrosłą, do latania niesposobną, nie mającą z abstrakcjami łącznika żadnego.

A jeżeli chcesz drugą odmianę poznać, to przedewszystkiem spójrz w samego siebie, a ja również wiele o niej wiem. Myślałam nieraz, że przedstawiciele tej drugiej odmiany są to dzwonnicy, którzy wdzierają się na szczyty wieżyc, aby ztamtąd szarą powszedniość,

leniwą ociężałość i krwawe rozplakania zwoływać do świątyni. Czy to, ku czemu przywołują, nazywa się Prawdą i Wiedzą, czy Dobrem i Cnotą, czy Pięknem i Sztuką, jest to zawsze wyżyna i ołtarz, a oni, dzwonnicy, z uczuć i myśli swych splatają łańcuchy, któremi poruszają serca dzwonów. Dla nich abstrakcyje są tem, czem dla monady światło i tlen. Są to monady ludzkie, dotknięte heliotropizmem. Ziemia wywiera na nich swą potężną siłę przyciągania, lecz oni pomimo to wspinają się ku słońcu, na stromą tę drogę, biorąc w serca za jedyny kordyał wiarę w istnienie słońca i ogromne jego pożądanie. Z tym kordyałem i z rosą czarnych pereł na skrzydłach pną się, lecą, wzbijają się *ad astra!* Lecz gdy kordyał jedyny z serc im się wylewa, wątłują i kruszą się ich serca. Z wyżyn wygnani, wśród realności, dla których stworzonymi nie byli, drogi dla siebie żadnej odnaleźć nie mogą i bardzo cierpią. Cierpią na chorobę niektórych dusz z ojczyzny wydalonych, na dławiacą i nudną nostalgię abstrakcyi.

Heliotropizmem nacechowana monada ludzka, gdy wysącza się z niej to, w czem zakładała nietylko swoją, lecz świata i życia siłę i wartość, staje się...

Ale ja ci jej wizerunku kreślić nie będę. Po co? Uspokojony odzyskaną wiarą w niemylność prawd swoich i w swoją własną wielkość, ty się o nią nie zatrwóżysz!

Sprawność przemysłu w Królestwa Polskiego.

Widzimy dziś w łonie naszego społeczeństwa kierunek znamieniny bardzo: coraz bardziej zaczyna się rozpowszechniać rozumienie, jak ważnym jest czynnikiem w ogólnym rozwoju życia społecznego imanie się spraw gospodarczych. I nie trzeba być spostrzegaczem bardzo nawet wrażliwym, dosyć jest poprostu rozejrzeć się w wydatniejszych objawach życia zbiorowego, by kierunek ten nie uszedł uwagi. Widać go wszędzie niemal: powstały Towarzystwa i Stowarzyszenia Rolnicze i wnet zaznaczyła się tu praca pożyteczna tych właśnie, których do tak niedawna o brak wszelkich danych do roboty społeczeństwa podjętej pomawiano;—wzmógł się nienawistny żal do sąsiadów zachodnich, i oto, zamiast wyrzekać i biadać, rzucono hasło odwetu, ale nie odwetu takiego, któryby tylko krzywdę sąsiadowi przynieść miał, lecz odwetu, którego myślą przewodnią jest wzmoczenie sił swoich ekonomicznych. A dalej: zaczęło braknąć po wsiach pracowników rolnych, nie załamano z rozpacz rąk, lecz starano się wyświecić przyczyny wychodztwa i zapewnić ludności warsztaty lepszego zarobkowania; — dalej, widzimy młodzież naszą biorącą się do wytwórczej na polu ekonomicznem pracy, widzimy wszędzie przedsiębiorczość, energię.

Skąd się wzięła taka, poczynająca się u nas, tężyzna? — Nie tu miejsce sądzić. Zapewne, prócz pewnego wzmoczenia i zahartowania—co bynajmniej nie jest równoznacznikiem materialistycznego pojmowania zadań życiowych — należy szukać tu oraz i przyczyn zewnętrznych. Ale nie o genezę zjawiska nam chodzi. Dość, że tak jest. A jeżeli jest, to słuszną, by w miarę sił swych i możliwości iść naprzód, ale iść oględnie, z samowiedzą, z umiejętnością sprawdzania siebie na każdym kroku.

Jednym z warunków normalnego rozwoju jednostki jest uświadomienie pragnień swoich. Tak jest i z życiem jednostki zbiorowej, z życiem społeczeństwa. A skoro kierunek, o którym wyżej mówiliśmy, w społeczeństwie naszym jest, przyjrzyjmy się, co możemy i czego

pragniemy w dziedzinie rozwoju naszego życia przemysłowego. Rozejrzyjmy się w kierunkach tego życia, zbadajmy wydatniejsze momenty poszczególnych objawów.

*

*

*

Utarło się — ze szkodą naszą — i do niedawna jeszcze panowało wszechwładnie twierdzenie, że nie jesteśmy zdolni do zajmowania się wytwórczością przemysłową. Tak nie jest i nie było. Było tak wtedy tylko, gdy nie byliśmy zdolni do niczego, nawet niemal do instynktu samozachowania. Ale natomiast te czasy, co pozłociły karty dziejów naszych, głośno mówią inaczej i kłam temu twierdzeniu zadają. Wszakże np. już w XIII wieku stu majstrów cechowych wyrabiało w takim Lutomiernsku przednie sukna ¹⁾, i Nowy-Sącz w tymże czasie sukna sprzedawał, a sukna poznańskie aż w odległym Nowogrodzie wówczas słynęły. A sukno wschowskie, co przez związek miast Hanzeatyckich ²⁾ na równej wartości z suknem niderlandzkim uznane było? A powstałe w XIV i XV stuleciu Sukiennice w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Sandomierzu, Toruniu, Stryju, Warszawie, Wilnie, potem zaś, za Zygmunta III, w Kaliszu, Korczynie, Lublinie, Łowiczu Łukowie, w Radomiu — czyż nie świadczą o wytwórczości kraju w tym właśnie kierunku?

A płótna polskie? Wyrabiano je przedewszystkiem po wszystkich chatach i dworach, lecz oprócz tego wyrabiano je w znacznych łosciach i w Borku w Wielkopolsce, i w Sarnowie, i w Mysłowicach.

A młyny? Wszakże młyny wodne istniały już w XIII wieku w Kętach, Nowem Mieście, Korczynie ³⁾, w Podolińcu, Sandomierzu, w Krakowie. Dbali o ten przemysł — jak zresztą o całą wytwórczość — królowie, skoro Jagiełło wyznaczył ⁴⁾ przywilejem na wieczne czasy Mikołajowi Gezlakowi trzecią miarę dochodu z młynów na Rudawce, jako nagrodę za sprowadzenie rzeki Rudawy pod Kraków i postawienie na niej kilku młynów. A później widzimy młyny w Grzegórkach, Gdańsku, Lanckoronie, w Opocznie.

1) Cech Sukienników założony w Lutomiernsku w r. 1274.

2) W r. 1385.

3) Przywilej Bolesława Wstydlivego z r. 1258.

4) W r. 1327.

A piwa krakowskie i lwowskie, co na kraj cały słynęły?

I wiele, wiele dowodów i wspomnień naliczyćby można, — to jednak jest rzeczą historyków. Tu wszakże należało zadokumentować, że do rozwoju życia gospodarczego wszelkie mamy dane we krwi. Rozumieli to wielcy królowie i nie szczydziłi bezpieczeństw i przywilejów, a bodaj najbardziej odczuł to ten, co Wielkim za to został, ten, co zamknął godnie i chlubnie dynastyę, ten, co Polskę drewnianą zastał a murowaną zostawił.

*

*

*

Ale wnet źle zaczęło się dziać z narodem. Pozazdroszczono świetności rozwoju przemysłu, ścieśniono jego prawa i przywileje. Nad Rzplitą nadeciągnęły chmury, burze szaleć zaczęły coraz częściej, coraz bardziej wstrząsały się posady, dobytek się marnował, ginęły siły, szczyły miasta, zmarniały ośrodki życia przemysłowego, zapanała gnusność, niechęć do pracy zarobkowej, i słusność miał prymas, gdy do wstępującego na tron Stanisława Augusta tak mówił: „skarbdymem obcych kruszczów zczerniony, miasta bez obywateli, mieszczenie bez handlu, handel bez korzyści, w miastach miast szukać trzeba, co ulica to pole, co rynek to pustka.”

W gorączce naprawiać chciano. Widzimy tu cały szereg wysiłków, często może niepraktycznych, ale chlubnie o inicjatorach świadczących. Sam król zakładał fabryki, sam król chciał wskresić życie przemysłowe, a za nim szli tacy jak Czartoryscy, Chreptowicze, Tyzenhaus, Jacek Jeziński. Stworzono pierwsze w Polsce Towarzystwo Akcyjne „Kompanię Manufaktur wełnianych“¹⁾, a w zarządzie widzimy i Walickiego, kasztelana Sochaczewskiego, i ks. Michała Poniatowskiego, i Józefa Potockiego, starostę leżajskiego, i wielu, wielu innych wielmożnych, pośród których wielmożnie panował był przesąd przeciw zajmowaniu się przemysłem i handlem. Tak w twierdzy przesądu szczyrbę zrobiono.

I choć wyłom nie obalił jeszcze zrazu tej twierdzy, przez dwa wieki na gruzach walącej się Rzplitej powstałej, jednak ziarno rzuc-

¹⁾ W r. 1766. Ustawę Kompanii podano w „Zarysie rozwoju przemysłu“ w Królestwie Polskiem, druk. w t. II. wyd. W „Naszych Sprawach“ (vide str. 299, 304).

ne zapuściło korzenie. Pojęły zrazu wybitniejsze jednostki, a potem niemal naród cały, wagę stężenia sił wytwórczych wewnętrznych, powrócenia choć w zmienionych warunkach do tężyzny, jaką ożywione było społeczeństwo za złotych czasów Rzplitej. Sprawa odrodzenia przemysłowego kraju była tak ważną, że nie zagłuszył jej nawet huk działań napoleońskich; nie rozwiła się myśl o niej nawet pośród chwil, gdy błędzić zaczęły legendy i opowieści; nie zginęła pośród marzeń, co rozkołysały społeczeństwo. Sprawa była tak ważna i tak żywotna, że patrzano w nią ciągle, choć ciągle niemal widziano łuny palących się wsi i miast. Pomimo to wszystko, pomimo, że skarb Księstwa nad wyraz ubogim był, zmuszonym będąc wprost gorączkowo ciągle nowe wojska formować, ani na chwilę nie zaniechano tej sprawy. Miał o niej pieczę rząd Księstwa. I za to wdzięczność mu się należy. Widzimy, pomimo uciążliwych warunków narzuconego systemu kontynentalnego, cały szereg praw i rozporządzeń, zmierzających do ochrony poczynającego się życia wytwórczego. Wydano cały szereg praw wydatnie protekcyjnych ¹⁾, nadano specjalne ułgi sprowadzającym się cudzoziemcom, przemysłowcom i rękodzielnikom, nadano im wolności „od konskrypcyi dla nich wraz z dziećmi, od wszelkich podatków i ciężarów publicznych, niemniej jako wolności osiadania bez opłaty czynszu na lat sześć na gruntach pustych narodowych...“ ²⁾. I nie dziw, że nadawano wolności takie, wszakżeż ręka odwykła już od młota i kielni, a i ludu brak było, „grunta puste“ były.

*

*

✱

Pierwsze lata prawodawstwa Królestwa kongresowego również tym samym popłynęły torem. Podkład, na którym praca wytwórcza rozwinąć się miała, stawał się coraz szerszym, zdrowszym, coraz to pewniejszym. Gdzieindziej słyhać już było pobudki do krzątania się przy pracy przemysłowej, ale trzeba było kogoś o dłoni potężnej i głowie dobrej, coby te pobudki, ciche jeszcze i rozsypane po kraju, ujął w jeden akord potężny.

Był nim minister Lubecki.

Tego, ktoby dziś chciał ze starych, poźółkłych papierów, odtworzyć tę niepospolitą jego postać, ogarnia przedewszystkiem zdumienie.

¹⁾ Dz. Praw ks. Warsz. t. III str. 199 r. 1811.

²⁾ Dz. Praw ks. Warsz. t. III str. 113 r. 1811.

Całe stopy akt, dokumentów, projektów, rezolucyi, odnoszących się do spraw bieżących ówczesnej gospodarki kraju, noszą na sobie cyfrę, często umotywowaną opinią ks. ministra. Był chyba w ciągłej gorączce, w gorączkowej pracy. Wierzyć, trudno by jeden człowiek mógł tyle przeczytać, wypracować, a jednak wierzyć trzeba, bo na tych pożółkłych papierach znać rękę jego. Ale akta pożółkły i tylko do badacza mówią. Lecz nie zestarzały się skutki pracy jego, one mówią i dziś jeszcze głośno i dobitnie, mówią, że pomimo wszystko, pomimo zarzuty, jakich Lubeckiemu poczet można ułożyć, zgodzić się trzeba na to, że jako minister finansów pracował jak nikt, że w odrodzeniu ekonomicznem — wówczas przynajmniej — widział przyszłość kraju, że przyszłość tę wymarzył i nie w błogiem ją zostawiał marzeniu, lecz przeistaczał w czyn.

Wielkość i nieśmiertelność społeczna ludzi czynu mierzy się wielkością i nieśmiertelnością ich dzieł.

Otóż Lubecki dwa wiekopomne pozostawił dzieła: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Bank Polski.

Rolnictwo nasze po klęskach wojny, pod ciężkiem brzemieniem długów pruskich, było zbankrutowane do cna. Istnieć wprost nie mogło, ziemia usuwała się z pod nóg. Błąkała się wprawdzie oddawna i w publicystyce, i nawet na Sejmie, myśl utworzenia jakiejś instytucji kredytowej. Omawiano ją i — czas tracono, a niebezpieczeństwo rosło. I oto Lubecki, dzięki swej dziwnej organizacyi ducha, organizacyi, co czasu napróżno trawić nie była w stanie, jednym niemal rzutem ręki, pomimo ostrych krytyk współczesnych ¹⁾, zakłada Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, nadając listom zastawnym kurs przymusowy i oczyszczając tym sposobem hypoteki zadłużone majątków ziemskich. Produkcya rolna, która malała z roku na rok, naraz ocalała.

A jak wielką była ta myśl Lubeckiego, o tem niech świadczą dalsze wielkie losy tej Instytucyi. Mówią same za siebie.

Tyle dla rolnictwa. Ale i poczynającemu się przemysłowi należało skrzydła przypiąć. Tworzy Lubecki Bank Polski.

A jak wielką była i ta myśl Lubeckiego, niech i o tem świadczą dalsze losy tej Instytucyi. I one mówią same za siebie.

Szukał Bank Polski tych, którychby wesprzeć mógł: znalazł wnet cały szereg przedsiębiorczych przemysłowców, których Lubecki, wprost lub pośrednio, wytworzył, a przedewszystkiem znalazł tego,

¹⁾ Jednym z najpoważniejszych krytyków był ks. St. Staszic. Vide art. mój druk. w Bibl. Warsz. (1902) p. t. „Rozwój ekonomiczny Królestwa Kongresowego.“

który pionierem pierwszym jest, który przemysłowcem był i nade wszystko obywatelem kraju — Piotra Steinkellera.

Steinkeller i Łubięscy to chluba. Rzadko o człowieku powiedzieć można, że szkołą był dla kraju. Zaczął pracować w czasach ciężkich, gdy w r. 1832 i 1833 nastąpiło represyjne prawodawstwo celne, które wyparło przemysł tkacki i przedziałniczy poza granice celne Królestwa. Zwraca się więc Steinkeller do innych gałęzi przemysłu: wraz z Łubięskimi budzi uspiiony przemysł górniczy, rozwija przemysł żelazny, u siebie w Żarkach wprowadza nowe, nieznanne melioracje rolne, sprowadza tanią sól dla kraju, prowadzi młyn parowy na Solcu, zakłada olejarnię, zaprowadza dogodną komunikację, wreszcie, znowu wspólnie z Łubięskimi, kładzie pierwsze podwaliny kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Widzimy w nim nade wszystko czystą, jak rosę, miłość kraju, a z umiłowania tego płynęła i energia pracy, i niepoddawanie się zawodom, i rzutkość myśli, i pewien entuzjazm roboty, bez którego niema dodatnich owoców pracy.

Runął ten pionier przemysłu. Ale nie to, — pozostała pamięć czysta, przykład, pozostała myśl, która następne pokolenia zapłodnić zdołała.

Chwila się po temu zdarzyła pomyślna. W r. 1850 zniesiono linię celną, odgraniczającą Królestwo od Cesarstwa: otworzyły się dla przemysłu naszego nowe rynki zbytu. Była to epoka przejściowa: trzeba się było zahartować i równocześnie przygotować do nowego okresu, który niebawem (w r. 1877) miał się rozpocząć, do okresu: w którym do dziś żyjemy, do systemu protekcyjnego.

Pod koniec tej epoki przejściowej i na początku nowej bieżącej, znowu wysuwa się silna, niezłomna jednostka, już przemysłowiec w największym stylu, Leopold Kronenberg. Był już materiał, zahartowano się nieco do przemysłowej pracy, umiłowano ją, miano rynki zbytu, uwłaszczenie włościan przysporzyło rąk roboczych do pracy, należało uzbroić społeczeństwo w narzędzia wielkiej produkcji, które posiadały już społeczeństwa Zachodnie. Przyczynił się do tego Kronenberg. On buduje kolej terespolską i nadwisańską on bierze w administrację kolej wiedeńską, skąd obce żywoły wypiera, zakłada Kasę przemysłowców, Warszawskie Towarzystwo Fabryk cukru, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, przyczynia się do powstania Banku Handlowego, bierze udział w tworzącym się Towarzystwie Wzajemnego Kredytu, wreszcie funduje Szkołę Handlową.

Nastąpił w tym okresie czas złoty dla naszego przemysłu. Roczna wytwórczość jego pod koniec wczoraj ubiegłego stulecia przewyższać zaczęła sumę $\frac{1}{2}$ miliarda rubli.

Czy poszedł ten rozwój wyłącznie tylko w pożądanym kierunku? Czy obyło się bez ofiar, bez usuwania się z pod nóg gruntu? To inna sprawa. O temby wiele powiedzieć się dało. Zapewne, iuwały uczyły kapitały obce, zachodnie, — zapewne etyka przemysłowa i kupiecka szwank przy tej wybujałej latorośli, nie opartej na szeregu lat pracy i mozółu, poniosła, rozwieliżniła na czas jakiś chęć łatwego zarobkowania, gry, hazardu; nie zawsze szukano wytwórczości takiej, któraby dla własnego społeczeństwa najpożyteczniejszą była — to wszystko prawda. Ale wielkich batalii nie wygrywa się bez ofiar. A przemysł już jest, i z tym faktem — chciałem powiedzieć — z tą wygraną, liczyć się trzeba. Objawy niezdrów sama natura usuwa. Przesilenie przemysłowe, którego resztki dziś jeszcze przeżywamy, choć w skutkach swych nieraz, poszczególne biorąc pod uwagę wypadki, szkodę przyniosło, jednak w ogólnym dorobku dobroczynny skutek wywarło: zatrzymało w zapędzie idące już bez opamiętania społeczeństwo, wprowadziło równowagę myśli, zabiegów i starań.

Ale raz rozpędzonego w biegu wielkiego koła rozpędowego, co przemysłem obraca, już się nie zatrzyma, słabsze organizmy padły, zdrowe się za to wzmogły. A koło to wielkiego jest rozpędu, skoro wśród wrzecion i transmissyi nad tkactwem i przędzą pracuje w Królestwie przeszło stotysięczna armia robotników, skoro z łona ziemi do czterdziestu tysięcy robotników wyprowadza na jaw ukryte w niej skarby, skoro, ogółem biorąc, dziesięć lat temu zatrudniało Królestwo ćwierć miliona ludzi.

Dziś więc stoimy wobec faktu dokonanego, ale równocześnie wobec wielkiej niewiadomej. Faktem dokonanym jest, z jednej strony, nabrany rozpęd, z drugiej pewne zdyscyplinowanie się społeczeństwa. Niewiadome zaś są losy dalsze, a to tembardziej, że stoimy w przededniu odnowienia traktatu handlowego z Niemcami, którego dziesięciolecie w roku przyszłym ubiega. Od postawienia i zadość uczynienia postulatów poszczególnych gałęzi naszego przemysłu w nowej umowie dużo zależeć będzie. Obowiązkiem zaś naszym jest znać stan dzisiejszy sprawy.

*

*

*

Nigdzie może ogólniki nie są tak szkodliwe, jak w sprawach dotyczących ekonomiki kraju. Tu nigdy dosyć jasnym ani dosyć ścisłym w wyprowadzaniu wniosków być nie można. To też, jeżeli chcemy

zdać sobie sprawę z energii potencjalnej rozwoju naszego życia przemysłowego, z jego dorobku, dróg rozwoju, z jego stanu prawnogospodarczego, stanu techniki i wytwórczości, musimy w zarysach możliwie dokładnych zdać sobie sprawę z czynników działających w każdej gałęzi wytwórczości.

Zamierzamy więc w szeregu studyów, pomijając o ile można balast suchej statystyki, dać obraz ważniejszych gałęzi naszego przemysłu.

Zaczynamy od tego przemysłu, który ze zboża przerabia materiał na chleb nasz powszedni.

*

*

*

I.

Ze wszystkich gałęzi przemysłu Królestwa Polskiego młynarstwo znajduje się niewątpliwie w najtrudniejszych, najwięcej nienormalnych warunkach. Stworzono warunki takie, w których nietylko się nie rozwija, lecz zaledwie istnieć, wegetować może. A jest to tem przykrejszem, że warunki przyrodzone są po temu, by przemysł ten rozwinął się wspaniale i z korzyścią nietylko dla samych przedsiębiorców młynarzy, nietylko dla robotników, w tej gałęzi wytwórczości zajętych, ale z korzyścią wielką dla licznych producentów zboża, dla kraju całego. Rozwinąćby się młynarstwo istotnie mogło. Bo zważmy, że kraj nasz produkuje rocznie do 5 milionów korcy pszenicy i do 14 milionów korcy żyta ¹⁾. Zapewne nie cała ilość wyprodukowanych zbóż kwalifikowałaby się do zmielenia,—uwzględnić należy ilość niezbędną na zasiewy ²⁾, na wyżywienie inwentarza i t. p. Bądź co bądź, jednak materiał do zmielenia jest, a ludność dziesięciomilionowa jest konsumentem poważnym.

A jednak przemysł młynarski ledwo wegetuje.

Czem się to dzieje? Oto tem, że ugina się młynarstwo nasze

1) Ściśle w r. 1901 wyprodukowało Królestwo Polskie 4,875,000 żyta i 13,765,000 korcy pszenicy. Cyfry te prowadzone są na podstawie danych statystycznych Petersburskiego Komitetu Centralnego.

2) Zasiewy w r. 1901 podług tychże danych wynosiły 1,103,967 korcy pszenicy na 900,913 morgach i 3,567,628 korcy żyta na 3,557,111 morgach

pod ciężką konkurencją z mlewem Cesarstwa, któremu dano nie-
 zmiernie korzystne warunki.

Rzecz prosta, że konkurencya ta mniej dotyczy przedsiębiorstw
 małych, produkujących mlewo głównie lub wyłącznie dla potrzeb
 miejscowych. Te, podobnie jak przemysł drobny, domowy, nawet po-
 mimo wszechwładzy i druzgocącej potęgi wielkiego przemysłu, za-
 wsze żywot swój wieść mogą, choć nie świetny i pozbawiony przy-
 szłości szerszego rozwoju.

To też mówiąc o przemyśle młynarskim, bacznie rozróżniać na-
 leży przemysł młynów parowych, o cechach wielkiego, kapitalistycz-
 nego ustroju, i przemysł młynarski drobniejszy, do którego odnieść
 należy wiatraki. Pośrednie miejsce zajmują młyny wodne, które,
 dzięki lepszej technice i większej zasobności, powinnyby poniekąd
 zbliżać się do kategorii pierwszej, w istocie jednak siłą rzeczy prze-
 chyliły się w kierunku drobnych przedsiębiorstw, woląc żyć, choć li-
 cho, niż borykać się z temi warunkami i trudnościami, jakie piętzą
 się przed ustrojem większego młynarstwa.

W anormalnych warunkach naturalną jest rzeczą, że spotykamy
 i zjawiska inne, niż ogólnie w ustroju kapitalistycznym. Ustrój ka-
 pitalistyczny tem się, między innymi, cechuje, że fabryki produkują
 nieskończenie więcej, niż analogiczny przemysł drobny domowy.
 W tem właśnie leży potęga wielkiego przemysłu: w koncentracji wy-
 twórczości, w możności wytwarzania tanio, bo na wielką skalę, w moż-
 ności dysponowania rynkiem.

Zgoła inaczej, jeżeli o sumę wytwórczości chodzi, ma się rzecz
 w przemyśle naszym młynarskim. Wiatraki i młyny wodne, których
 jest ¹⁾ łącznie w Królestwie Polskiem 8,802, wytwarzają mlewa za
 rb. 14,602,185, gdy tymczasem 205 młynów parowych miele za rubli
 6,474,623. Oczywiście wytwórczość drobnych przedsiębiorstw, choć
 cyfrowo znaczniejsza, nie wpływa na normowanie się ceny ogólni-
 konkurencyjnej; zaspakaja ona przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, po-
 trzeby miejscowe, często danej osady lub wsi. Do walki z otwartą
 przyłbicą staje przemysł młynów parowych, w walce tej wyczerpuje
 się i siły traci. Walka taka ubocznie tylko, przez odbicie, tamuje
 rozwój przedsiębiorstw drobniejszych.

Skąd powstało to współzawodnictwo, to borykanie się?

Główną, jedyną przyczyną niedomagań naszego młynarstwa jest
 obecny ustrój tariff kolejowych, faworyzujących mlewo Cesarstwa.
 Zalewanem jest Królestwo Polskie i zbożem, i mąką rosyjską. Spra-

¹⁾ Podług sprawozdań gubernialnych za lata 1896—1901

wa dowozu zboża rosyjskiego, o ile o przemysł młynarski chodzi, nie gra tu przeważającej roli, jest to sprawa obchodząca producentów zboża. Dla młynarzy mniejszą gra rolę cena samego zboża, niżli raczej różnica cen zboża i mąki. W różnicy tej szuka młynarz pokrycia wydatków na utrzymanie przedsiębiorstwa i zysku swego. Rozpatryć więc należy tutaj sprawę taryf przewozowych odnośnie do mąki. Łączy się to jednak pośrednio ze sprawą taryf zbożowych.

Cała rzecz w tem leży, że taryfy w jedną rubrykę ujęły t. zw. „ładunki zbożowe“ t. j. zboże i mąkę.

Podstawa obecnego prawodawstwa taryfowego datuje się od dnia 1 (13) Sierpnia 1893 r. Od tego czasu dla ładunków zbożowych wprowadzono taryfę niższą dla komunikacji wewnętrznej do 320 wiorst, poza tą linią taryfy nie rozróżniają ładunków przeznaczonych dla wywozu lub dla spożycia wewnętrznego. Prawodawca pragnął tym sposobem dać możność łatwiejszego zaopatrywania w ładunki zbożowe miejscowości, któreby na razie zboża lub mąki potrzebowały. Nadto chodziło o poparcie przeróbki wewnątrz kraju zbóż na mąkę, ku czemu służy bezwątpienia ułatwienie wewnętrznego obiegu. Jednym zaś z motywów, dla których, począwszy od 321 wiorsty, taryfy nie rozróżniają obiegu wewnętrznego od wywozu, było to, że, zdaniem sfer rządzących, dopuszczenie taryf wewnętrznych na dalsze odległości w niższych rozmiarach, w porównaniu z wewnętrznymi podkopałoby istnienie młynów w okręgach pogranicznych i portowych, mąka bowiem z młynów, znajdujących się w miejscowościach centralnych, mogłaby być dostarczaną do tych okręgów za niskimi taryfami przewozowymi.

Czy te konsyderacye są słuszne? Bynajmniej. Sądziłibyśmy, że odwrotnie. Wprowadzenie niższej taryfy dla wywozu na dalsze odległości spowodowałoby wywóz za granicę młewa pochodzącego z olbrzymich młynów, które z natury rzeczy powstać musiały i powstały w guberniach centralnych. Cóż bowiem dzieje się obecnie? Przy, dajmy na to, jednakowych koniunkturach sprzedaży mąki w Królestwie i za granicą, wielkie młyny centralnych gubernii, znajdujące się, jak wiadomo, na większej niż 320-o wiorstowej odległości od granicy, wolą zalewać rynki pograniczne, a więc ciężyc na tych rynkach przez nawał produktu i tym sposobem owe pograniczne młyny uciskać.

Motywu więc tego na seryo brać nie można. Nie można brać go na seryo tembardziej, że całe prawodawstwo taryfowe z r. 1893 widocznie,—choć nie zaznacza tego wyraźnie,—dąży do innego celu, i cel ten konsekwentnie przeprowadza, nie szczędząc nawet ofiar znacznych bardzo.

Jak zaznaczono wyżej, pod nazwą ładunków zbożowych rozumie prawodawca równie dobrze zboże jak i mąkę. Ponieważ zaś mąka w tej samej objętości co zboże przedstawia wartość podwójną względnie do wartości zboża, przeto daleko lepiej opłacać się musi korzystanie z taryf kolejowych, jak wykazaliśmy, nie już dla zboża samego, ale dla mąki. I tem tłómaczy się powstanie w centralnych guberniach olbrzymich młynów, które, mając na miejscu zboże tanie, wyprodukowane po niskiej cenie, i obniżając sobie de facto przez zmielenie ziarna do połowy jeszcze już i tak niezmiernie niskie taryfy, wtłaczają swe mlewo na rynki Królestwa.

Młyny te są wprost olbrzymiami. Królestwo Polskie nie posiada ani jednego takiego młyna, któryby mógł rozmiarami choć w przybliżeniu ze swymi współzawodnikami się mierzyć.

Przewóz mąki wyprodukowanej w tych młynach wzrasta nieustannie. W pierwszym sześcioleciu od chwili wprowadzenia nowej taryfy kolejowej przywóz z Cesarstwa mąki pszennej wzrósł z 2,017,000 pud. do 5,677,600 pudów ¹⁾. Przedstawia to wartość około 9 milionów rubli rocznie, czyli prawie dwa razy więcej, niż wartość produkcji młynów parowych Królestwa.

Gdyby chociaż te młyny u nas w Królestwie liczyć mogły na zbyt mlewa w kraju w szerszym nieco zakresie! Nie może być o tem mowy. Produkują one głównie tylko dla potrzeb ściśle miejscowych lub dla domieszki do mąki rosyjskiej, w celu udoskonalenia pieczywa. Wszakżeż do Warszawy w r. 1893 przywieziono zaledwo 666,000 pudów mąki pszennej z okręgu Warszawskiego, natomiast 2,340,000 pudów z Cesarstwa ²⁾.

Dwóch zdań być nie może: zalew ten mąką rosyjską naszych rynków spowodowany jest jedynie przez wprowadzenie nowej taryfy przewozowej z r. 1893. Dawniej zjawiska tego nie było. W r. 1880 dowóz mąki do Królestwa nie przewyższał 100,000 pudów rocznie.

Z kolei rozpatrzmy przebieg tej sprawy od r. 1893; rozpatrzmy, jakie były żądania w tym względzie osób zainteresowanych, jakie były motywy prawodawcy utrzymania ogólnej zasady, jakie zaprowadzono zmiany i jakie były ich skutki?

¹⁾ Wł. Żukowski ct. „Bilans Handlowy guberni i Królestwa Polskiego. Warszawa, nakładem Słowa 1901. oraz Alojzy Wierzechlejski i „Bilans Hand. Kr. Pols.“ nakł. w. O. T. P. P. i K.

²⁾ Ct. p. Józef Jeziorański, operat, złożony radzie rolniczej Piotrkowskiej.

W przeddzień nowej taryfy zdawały się przyjaznemi konjunktury przemysłu młynarskiego w Królestwie. Młyny nasze znajdowały łatwy zbyt odpadków młynarskich (otrąb) na rynkach niemieckich.

Lecz nowe taryfy młynarstwu skrzydła podcięły. Przez lat 8 od r. 1890 do 1898 przywóz mąki pszennej do Królestwa zwiększył się niemal 7 razy. Zrazu zdawało się, że chwila to tylko, bo nowe taryfy tytułem próby tylko na trzy lata zaprowadzono. Borykały się nasze młyny z ciężkimi warunkami, nie tracąc nadziei ujrzenia przyjaźniejszych konjunktur.

Bo szkodliwość taryf kolejowych z r. 1893 dawała się odczuwać i to nietylko w Królestwie Polskiem. Znalazły się umysły bezstronne, które spostrzegły szkodliwość tych taryf, z wielu względów ogólnie ekonomicznych wynikającą.

Nowe taryfy z r. 1893 miały obowiązywać tytułem próby przez trzy lata. To też w przeddzień ich expiracyi zawrzało. Już zjazd rolniczy, który w lutym 1896 r. w Moskwie pod przewodnictwem ks. Szczerbatowa obradował, wyraźnie zażądał zniesienia obowiązujących taryf i zaprowadzenia taryfy jednostajnej od puda i wiorsty przebieżonej odległości przy stawce możliwie niskiej, bez względu na przebieg przestrzeni.

W skutek tego dezyderatu odbył się szereg posiedzeń specjalnej komisji, pod przewodnictwem towarzysza ministra finansów obradującej. W komisji tej jeden jedyny głos obstawał za żądaniami zjazdu rolniczego Moskiewskiego. Był to głos ks. Szczerbatowa. Wniosek ten uchylono więc całkowicie, motywując decyzję tem, że ponieważ przewóz zboża i mąki na kolejach rosyjskich stanowi 27% ogółu przewozu kolejowego, przeto wprowadzenie niskiej taryfy, odpowiadającej żądaniom zjazdu rolniczego Moskiewskiego, zmniejszyłoby dochód kolei żelaznych przeszło o 40 milionów rubli, przez co naruszonąby została cała równowaga budżetu państwowego. Wniosek przepadł zupełnie. Charakterystycznym jest jednak, że przewodniczący w zamknięciu obrad wyraźnie zaznaczył przekonanie, iż: „protekcya dalekich prowincyi, nowo w kulturę wchodzących, nie powinna się odbywać kosztem prowincyi oddawna w kulturze będących, które już wiele zrobiły i tak doniosłe w te prace włożyły kapitały”.

Sprawę, zdawało się, już pogrzebano. Rzecznik jednak nowych zasad, ks. Szczerbatow, nie dał jeszcze za wygraną. Wystąpił niebawem publicznie z projektem zmiany w tej mierze. Nowy projekt ks. Szczerbatowa uwzględniał właśnie tę różnorodność potrzeb różnych okręgów, o której wzmiankę przewodniczący, towarzysz ministra finansów, w zamknięciu obrad komisji uczynił. Radził przeto autor obniżyć opłaty tylko dla transportów, idących z południa ku

północy, w kierunku okręgów petersburskiego, moskiewskiego fabrycznego, uralskiego i północnych gubernii. Obniżka ta stosowana byłaby wyłącznie tylko do przewozu żyta, mąki żytniej (razowej), owsa, jęczmienia i otrąb. Miałaby więc na celu obronę tych okręgów od skutków nieurodzaju. Najważniejszym zaś było żądanie w projekcie wyrażone stosowania innej zasady opłat dla przewozu pszenicy, a innej dla mąki pszennej. Autor żądał opłaty za przewóz mąki przynajmniej o $\frac{1}{3}$ droższej od opłaty przewozu odosobnego zboża. To ostatnie żądanie jest poniekąd epoką w dziejach postulatów przemysłu młynarskiego. Odtąd wszystkie żądania przedstawicieli młynarstwa obracają się około cyfry $\frac{1}{3}$ różnicy opłat — przytem ciekawem jest, że cyfra ta, z konieczności, w ciągu dalszym borykania się, moderowaną jest ciągle, w miarę przeszkód stawianych.

Ks. Szczerbatow uwydatnił dzieje tej anomalii, że koszt przewozu surowego produktu (zboża) jednakowym jest z kosztem przewozu fabrykatu (mąki). Prawodawstwo takie wynikło z uwzględnienia życzeń komisji obradującej w r. 1899 nad środkami, któreby złagodzić mogły kryzys rolniczy. Sądzono mianowicie, że rolnictwo podnieść się będzie musiało, gdy wytwórcy ziarna u siebie na wsi ziarno na mąkę przerabiać będą mogli i na targ droższy towar, fabrykat, dostarczą. Zdawało się to słusznem w teorii. Praktyka jednak wykazała, że nie rolnicy gubernii centralnych zysk osiągnęli — ci może nawet stratę ponieśli — jeno wyłącznie młynarze nadwożańscy — i to kosztem innych okręgów, kosztem reszty przemysłu młynarskiego. Tak jest istotnie... Wskutek takiej niesprawiedliwej protekcji — mówił ks. Szczerbatow — okręgi północne pozbawione są zarobków dla miejscowej ludności, pozbawione są możności taniej przemiałać ziarno przy pomocy obfitych motorów wodnych lub przy taniem paliwie, i wreszcie powstała w północnych okręgach trudność posiadania odpadków młynarskich dla chowu inwentarzy. Jednocześnie na południu taka protekcya powołuje do sztucznego życia przemysł, obsługiwany przez rolników, którzy przywędrowali zdaleka, przy tem używa się drogiego paliwa, a odpadki idą tam za bezcen.

Nie pozostały te żądania bez echa, choć pożądanym nie były uwieńczone skutkiem. Na zjeździe obradującym w r. 1896 nad kwestyą tariff w Petersburgu poruszono znowu tę sprawę. Przedstawiciele okręgów: warszawskiego, odeskiego i centralnego oświadczyli się za podniesieniem o 25% tariffy na mąkę w porównaniu z ziarnem. Przeważnym był jednak głos okręgów jeleckiego, niższonowogrodzkiego, południowego oraz rolników gubernii Woroneskiej, Jekaterynosławskiej, Penzeńskiej i Charkowskiej.

Na zjeździe tym rzecznicy młynarstwa Królestwa wykazywali nielogiczność jednakowej taryfikacy i surowego materiału (zboża) i produktu (mąki), tembardziej, że nielogiczność ta nie istnieje w innych gałęziach przemysłu. Olbrzymich młynów gub. Centralnych nie można uważać nawet dla tych miejscowości za bezwzględny pożytek: walczą one głównie z sobą na rynkach odbytu. Konkurencya ta — utrzymywali przedstawiciele Królestwa — ma to do siebie, że tylko mąka w wysokich gatunkach przybywa, gdyż niższe ziarno jest tam stosunkowo droższe, wobec czego młyny nasze dają tylko mlewo gorsze, dla uboższej przeznaczone ludności, i odpadki z tego mlewa pochodzące pozostają dla użytku naszych rolników. Wobec powyższych względów opłata przewozowa powinna być podniesioną w stosunku kosztów przemiału i skoncentrowanej wagi towaru, czyli co najmniej o 25%. Gdyby młyny nadwożańskie i południowe czuły się przez to pokrzywdzonymi możnaby im w kompensacyi dać obniżenie taryfy na otręby.

Takie w ogólnych zarysach były argumenty przedstawicieli interesów Królestwa.

Wkrótce rozpoczęły się w komitecie taryfowym obrady nad ogólnym przeglądem obowiązujących taryf zbiorowych. Punkt trzeci obrad dotyczył rozpraw nad projektem przedstawicieli większości rolnictwa w kwestyi podniesienia taryfy nad mąką w porównaniu ze zbożem. Komitet jednak więcej uwzględnił interesy kolei, niż interesy ogólnie ekonomiczne. Uznano, że obecne taryfy dostatecznie uwzględniają interesy rolnictwa, inne zaś taryfy mogłyby kolejom dotkliwie przynieść straty.

Sprawa ta, przeszedłszy w Kwietniu r. 1897 jeszcze przez trzecie dyskusyje, tym razem rady do spraw taryfowych, ostatecznie w maju poddana została pod decyzję rady połączonej instytucyi Komitetu ministrów i departamentu państwowej ekonomii rady państwa. Była to już czwarta faza tej sprawy. Tu referat broniący interesów Królestwa Polskiego złożył p. Piotr Bekerman: „Nie dotykając w tej chwili różnicy samego gatunku zboża. — mówił przedstawiciel interesów Królestwa p. Bekerman — powołuję się tylko na złożone poprzednio memoriały co do opłaty przewozowej, w których cyfrowo dowiedzionem zostało, że w taryfie przewozowej kryje się premia przewozowa wewnętrzna od 25 do 30% i że przedmiot ten wyświetle na zasadzie nie tego, co będzie, tylko na zasadzie tego, co było i jest: 1) w moim okręgu młynarstwo zupełnie upadło, zwłaszcza młynarstwo mające charakter czysto rolniczy, oparte przeważnie na elementarnych siłach wodnych, na starej kulturze, a nie na protekcyi przewozowej, z ustrojem kapitalistyczno spekulacyjnym. 2) Różniczko-

wość taryf nie uwzględnia miejscowych warunków klimatu, gleby i t. d., 3) Geograficzne położenie mego okręgu nie daje najmniejszej nadziei, żeby można było stamtąd wywozić mąkę, albowiem na najbliższej granicy niemieckiej cło od 610 pudów mąki wynosi 1,300 marek, a przewóz do najbliższego portu tranzyto około rb. 100 (Gdańsk). 4) Z ogólnej liczby ludności Królestwa Polskiego, wynoszącej około 9 mil., tylko ludność wielkich miast kupuje mąkę, gdyż włościanie i mieszkańcy osad spożywają własną mąkę, a przy wiadomej cyfrze dowozu 15 mil. pudów rocznie faktycznie niema dla kogo produkować. Położenie jest więc bez wyjścia. 5) Wartość młynów w 10 guberniach Królestwa wynosi około 20 milionów. To stracone. Ale zapytamy jeszcze: po wprowadzeniu rządowej sprzedaży napojów zamyka się listę gorzelnii i ogranicza produkcję okowity; jakież więc przemysł został się rolnictwu? na czem oprzeć dalsze podtrzymanie kultury? czem zastąpić zmniejszenie przestrzeni uprawianej pod kartofle? zwłaszcza, że oprócz powiatu warszawskiego, okolic Łodzi i okręgu sosnowieckiego, nigdzie indziej przemysł prawie nie egzystuje. 6) System równości opłaty przewozowej od mąki i zboża wytworzył nietylko konkurencyę między odległemi okolicami, lecz nawet sąsiadujących z sobą powiatów więcej lub mniej urodzajnych, a to konkurencyę nie zboża ze zbożem, mąki z mąką, lecz mąki z ziarnem. 7) Egzystencya i podtrzymywanie małych i średnich młynów, że się tak wyrażę, naturalnych, bo na siłach elementarnych i kulturze miejscowej opartych, daje rolnictwu gwarancyę regularnego zbytu ziarna, nie pozwala rozwinąć się szkodliwej zawsze spekulacyi, lub wytwarzaniu syndykatów, a z czasem wpłynie na skorzystanie z odpadków, które dziś, w braku dochodów z rolnictwa i młynarstwa, wysyła się za granicę“.

Słowa te zdają się być wymowne. I przekonały poniekąd obradujących, bo 6 głosów oświadczyło się za podwyżką opłaty przewozowej na mąkę, 5 głosów przeciwko. Władze jednak decydujące widocznie mało rządziły się zdaniem obradujących, bo utrzymano nadal w tej sprawie status quo, ledwo nieznacznie wprowadzając zmiany, nienaruszające ogólnej zasady.

I znowu młynarstwo nasze skazano na szereg niepowodzeń, na borykanie się ze zbyt trudnemi warunkami. Zrazu błysnęła myśl eksportu młewa za granicę. Wszakżeż wywożono zboże. Dla czegożby więc i mąki wywozić się nie dało? Ale wkrótce obliczenia zatamowały dalszy bieg tych zamiarów. Okazało się, że mąka, wytwarzana za granicą ze zboża naszego i rosyjskiego, tańszą jest za granicą niż takąż mąka z tego samego zboża u nas. I nie jest to różnica nieznaczna, którąby ponieść można było, mniejszym kontentując się

zyskiem. W niektórych gatunkach różnica ta, jak się z obliczeń w r. 1897 dokonanych przekonano, dochodziła do 50 kop. na pudzie ¹⁾. Jest to fakt ciekawy, na pozór nieprawdopodobny, lecz niestety, prawdziwy.

Gdzie szukać przyczyn jego? Należy spojrzeć nieco głębiej rozejrzeć w ogólnych warunkach, w jakich całokształtowi naszej wytwórczości rozwijać się dano.

Cechą znamioną obecnej gospodarki ekonomicznej Rosyi jest system wyraźnego protekcyonizmu. A tu przede wszystkim chciano otworzyć rynki zbytu nowe rolnictwu, umożliwić wywóz ziarna rosyjskiego za granicę przez wprowadzenie taryf niskich, z drugiej zaś strony chciano zasłonić od zagranicznego współzawodnictwa i wywołać rozwój przemysłu węglowego i fabryk maszyn. Ale system protekcyjny ma to do siebie, że jednych zabezpiecza rozkwit, drugich krzywdząc. Tak i tu było i jest zresztą. Rolnictwo niewiele może skorzystać, ale ułatwienie wywozu zbóż za granicę utrudniło poniekąd młynarzom ich kupno. Lepiej udało się z przemysłem węglowym i fabryk maszyn. Istotnie rozwinęła się ta gałąź przemysłu, ale rozkwit ten poszedł w parze z utrudnieniem koniunktur innych gałęzi, między niemi młynarstwa. Przemysł ten w trudnych postawiono warunkach przez system taryf przewozowych. Mógłby więc współzawodniczyć na rynkach zewnętrznych, gdyby nie drogość węgla i maszyn, która właśnie z powodu ogólnych warunków systemu protekcyjnego powstała. Węgiel kosztuje u nas prawie dwa razy drożej, niż węgiel angielski w Anglii, maszyny niezbędne w produkcji młynarskiej są również droższe, bo cło uniemożliwia przywóz a podnosi cenę maszyn krajowych. Maszyny droższe z konieczności wymagają większego funduszu amortyzacyjnego, a to niewątpliwie zwiększa koszty produkcji i ogólną kalkulację towaru. Do tego wszystkiego dodać należy wysoką cenę na worki, obłożone cłem, a grające ważną rolę w młynarstwie, a wówczas zrozumiemy dlaczego, nawet przy nieco tańszym robotniku, wytwórczość przemysłu naszego i rosyjskiego nie może współzawodniczyć na rynkach zagranicznych. Stąd powstała ta anomalia, że mąka, ze zboża naszego wyprodukowana za granicą, tańszą tam jest od przywiezionej na rynki zagraniczne naszej gotowej mąki.

Skoro więc polepszenie bytu młynarstwa krajowego za pomocą wywozu mąki okazało się niemożliwym, pomyślano o innym środku, a ściślej mówiąc, o innym sposobie działania: wzięto pod uwagę bacz-

¹⁾ Ct. Gazeta Handlowa r. 1897 N. 298.

czniejszą organizację zjazdów młynarskich i przez ten organ starano się ciągle, bezustanku powtarzać dezyderata tego przemysłu, dezyderata, które zresztą dotąd dezyderatami zostały.

W r. 1896 ¹⁾ ustanowiono w Cesarstwie organizację stałą: zjazdy młynarskie, którym dozwolono omawiać sprawy, dotyczące tego przemysłu, przedstawiać memoryały, zabroniono tylko zmawiać się w trusty, jak również spekulacyi na zbożu i mące ²⁾).

Młynarze Królestwa Polskiego uznali za niezbędne przed wzięciem udziału w zjazdach porozumienie się w sprawach swoich oraz dawanie wyraźnych wskazówek przedstawicielom interesów Królestwa. To stworzyło organizację zjazdów młynarzy w Warszawie.

Zaczątek pewien już istniał. Jeszcze w r. 1886 staraniem p. Władysława Przyłubskiego z Zator zorganizowaną została przy Warsz. Oddz. Tow. popierania ros. przemysłu i handlu delegacya młynarska³⁾. Organizacyi początek istniał więc. To ułatwiło poniekąd utworzenie kadrów zjazdów młynarskich w Warszawie.

Zjazdy te stały się kuźnicą, gdzie przygotowywać miano i przygotowywano poczet wszystkich uzaleń i żądań, które powyżej przytoczyliśmy; stały się miejscem wymiany zdań, sposobu układania interesów młynarstwa krajowego.

Pierwszy z tych zjazdów odbył się w Październiku 1898 roku Członkowie zjazdu tego dokładnie umieli zdać sobie sprawę z przyczyn i wogóle z istniejącego nienormalnego w zasadzie stanu swego przemysłu. Istotnie warunki były opłakane i w opłakanych wyrażały się zjawiskach.

Cały szereg przyczyn ekonomicznych, wyżej już wyluszczonych złożył się na to zjawisko wprost anormalne.

Przedewszystkiem cierpieć dalej nad tem nie przestała dotkliwie bardzo technika młynarska. Skutkiem bezpośrednim wad technicznych naszego młynarstwa były znaczne koszty produkcji gdy koszty ogólne u nas w r. 1896 wyprodukowania korca mąki wynosiły około 60 kop., w młynie p. Mialikowa w Borysoglebsku zaledwo dochodziły do 21 kop. ⁴⁾). I na to nie było sposobu, i podstawy istnienia młynów naszych zbyt kruchemi były, ażeby możność dały czynienia

¹⁾ Najw. ukaz. z dn. 20 maja 1896 r.

²⁾ Cf. Uwaga do par. 2 tymczasowej ustawy z r. 1896.

³⁾ Cf. Stanisław Małyszczeyki: Młynarstwo zbożowe. Warszawa 1890 rozdział p. u. Sprawozdanie z działalności delegacyi młynarskiej, str. 130.

⁴⁾ Cf. Gazeta Handlowa z d. 3 Paźdz. 1898 N. 225, artykuł „Przed zjazdem młynarskim“.

nia znacznych nakładów na ulepszenia techniczne. Liczyć się tu należy z rozmiarami produkcji: w Cesarstwie młyny operują w okręgu nieraz tysięcy wiorst, mają szerokie rynki zbytu. Ziarno również tańsze (o 25 do 30 kop. na pudzie) wpływa tu znacznie bardzo.

Rozwinął się natomiast handel wadliwy i niesumienny mąką rosyjską. Młyny rosyjskie szukały ciągle nabywców na swój produkt, mało troszcząc się o odpowiedzialność moralną i majątkową tych, którym przesyłano frachty. Traciły wprawdzie na tem dużo, bo nieraz zdarzało się, że należności za towar nie otrzymywały wcale, lecz „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”, przy zyskach znacznych ponosi się i ryzyko większe. Szkoda tylko, że ryzyko to podkopywać coraz bardziej musiało dosyć zresztą i bez tego kruchą etykę naszych drobnych pośredników.

Z narad wszystkich zjazdów — odnośnie do naszych interesów — przebija jedna, kto wie czy nie jedyna, a w każdym razie najważniejsza nuta: niedomagania młynarstwa naszego powodem stałym są obecnie taryfy kolejowe. Wobec tej przyczyny wszystkie inne warunki w tym względzie są prawie minimalnej wagi.

Ostatni zjazd (z grudnia 1902 r.) Młynarzy Królestwa Polskiego w dezyderatach swych wyraźnie domaga się ustanowienia taryf od mąki w komunikacji wewnętrznej tak, aby w każdym razie były one przynajmniej o 25% wyższe, niż taryfy przewozowe od zboża i ziarna¹⁾.

Wobec tak ciężkich warunków, w jakich znajduje się nasz przemysł młynarski, następuje pytanie: czem się dzieje jednakowoż, że nawet przy takich warunkach młynarstwo nasze nie zanikło jeszcze zupełnie?

W odpowiedzi na pytanie takie wysuwa się cały szereg powodów, które tu zaznaczyć należy.

A naprzód uwydatnić trzeba cechę, że się tak wyrazimy, psychologiczną, stałą, życia przemysłowego. Niejednokrotnie już obserwacją zjawisk ekonomicznych zadokumentowała tendencję samozachowawczości gałęzi przemysłowych. Raz powstałe fabryki, powstałe w chwili konjunktur sprzyjających, przedewszystkiem trwa-

¹⁾ Cf. op. cit. str. 14.

²⁾ Op. cit. ibid.

ją. Trwają nawet pomimo nieprzychylnych warunków. Może nie będzie przesadnem twierdzenie, że łatwiej jest założyć fabrykę — niżli ją zwinąć. Żaden przemyslowiec, poświęciwszy nakład pracy i kapitału na założenie fabryki, nie zgodzi się na zwiniecie swego zakładu. Broni się od tego wszelkiego rodzaju sposobami, zmniejsza produkcję, czeka lepszych konjunktur, lecz czeka. Dzieje się tak, że fabryki niezmiernie rzadko, nigdy prawie nie są zamykane ręką swego twórcy; jeżeli je zamyka, to ręką wierzyciela, komornika.

To jedno. Jest to przyczyna, którą nazwaliśmy cechą psychologiczną, cechą ogólną, stałą.

Ale oprócz tego inne tu są jeszcze przyczyny kontyngensu ogólnego mlewa w Królestwie. Znaczną część w kontygensie tym stanowią wiatraki i młyny wodne. Mają one znaczenie lokalne. Przy niezmiernie utrudnionych i niewystarczających środkach komunikacyjnych, ostały się te wiatraki, otaczające małe miejsciny, zdala od sieci kolejowych położone, jakby na urągowisko wszechwładzy wielkiego przemysłu. Są to jednostki drobne, lecz w ogólnem zebraniu, łącznie, powagę stanowiące. Należy im się więc poważanie, uwaga pilna. Bo zważmy, jak ważną rolę odgrywają one w życiu miejscowem. Przedewszystkiem stanowią one częstokroć jedynego odbiorcę miejscowego ziarna. Żboże, zdala od stacji kolejowej wyprodukowane, nie wytrzymuje kosztów transportu, na miejscu spożytem być musi. Stąd pochodzi ta okoliczność, że niejednokrotnie cena zboża na prowincyi wyższą jest od ceny zboża ogólnego rynku. A nadto właściciel wiatraka wiejskiego stanowi jednostkę inteligencji wiejskiej, jednostkę zwykle obdarzoną pewnym zasobem energii i pracowitości. To też w obecnych warunkach rozwój tych przedsiębiorstw powinien leżeć na sercu tym, co pragną ogólnego dobra. Dotąd jednakże interesy ich nie znalazły rzeczników. Żyją same, nikt się o nie nie troszczy. Zjazdy nasze nie zajmowały się ich sprawami. A jednak byłaby to do poruszenia sprawa ważna bardzo.

Wiatraki nasze sprowadzają się zwykle do roli przemiałowców. Okoliczny włościanin czy obywatel posyła daną — zwykle niewielką w miarę swych potrzeb — ilość zboża i żąda jej przemielenia, natychmiast odbierając mąkę i płacąc umówioną cenę za zboże. Rzadko bardzo wiatrak kupuje zboże na swój rachunek, poprostu dla tego, że nie ma potrzebnego na to kapitału. Otóż zwiększenie i ułatwienie kredytu dla właścicieli wiatraków w Banku Państwa przedewszystkiem na cel kupna zboża jest ważnym postulatem. Wiatrak i właściciel jego, jako osoba moralnie i materialnie odpowiedzialna, przedstawia po temu wszelkie gwarancye. Rozwój zaś zakładów tam, gdzie mąka rosyjska ze względu na brak komunikacyi

nie jest w stanie konkurować, chyba nie będzie solą w oku tej „większości“, tak zaciekle broniącej interesów pewnych okręgów.

Dalej. Ostały się i istnieją przeważnie te wielkie młyny u nas, przy których funkcjonują piekarnie. Młyn jest interesem złym, ale piekarnia jest przedsiębiorstwem dochodnym. Otóż do dobrego pieczywa konieczną jest domieszka mąki naszej.

Wiadomo, że dobroć pieczywa zależy od właściwości glutenu, stanowiącego najważniejszą azotową składową część ziarna. Ilość zaś azotu w ziarnie zależy od warunków atmosferycznych, w jakich dane zboże wyprodukowanem było. Długa wiosna i długie, zwykle łagodne, lato nasze sprzyjają daleko więcej wytworzeniu się pożądanego składu glutenu, niż krótkie, piekące lato w Cesarstwie. Na pieczywo nietylko ilość glutenu, lecz i fizyczne własności oraz budowa jego wpływ mają. Ilościowy stosunek składowych jego części wpływa na osklistość lub mączystość ziarna. Gluten w skutek swej budowy, a więc mniejszej lub większej elastyczności, wywiązuje w cieście gazy, od których ilości zależy pulchność pieczywa, a więc jego strawność. Zboża nasze mają najidealniejszą zawartość glutenu i w zmieszaniu z ziarnem rosyjskiem zapewniają najlepszy gatunek mąki dla piekarni. Stąd też pochodzi, że mąka wyprodukowana w naszych młynach, mających większą łatwość domieszkiwania do młwa ziarna krajowego (szczególniej pszenicy), jest dla piekarń niezmiernie pożądaną. Jest to jedno, może jedyne, premium młynarstwa naszego, premium od klimatu zależne, nie dające się usunąć.

W szeregu powodów usprawiedliwiających istnienie młynarstwa naszego, nawet przy współczesnych tak niezmiernie nieprzychylnych warunkach, zaznaczyć jeszcze jedno należy: względnie pomyslną dla młynów konjunkturę rynku na otręby.

Dotychczas, przez cały czas panowania traktatu handlowego z Niemcami z r. 1894, otręby mają wstęp wolny do Niemiec. Dzięki obowiązującym taryfom przewozowym dla ładunków zbożowych, ułatwioną jest dostawa otrąb do Niemiec, gdzie materyał ten, jako niezmiernie pożądanym dla paszy, szczególnie w zmieszaniu z innymi odpadkami fabrycznymi (jak wytloki i t. p.), których tak wiele posiadają Niemcy, jest bardzo wysoko i poważnie ceniony. Istotnie prawie cały ruch przewozowy na kolejach otrąb skierowany jest na zaspokojenie odbiorców zagranicznych. W r. 1895 na Kolejach w Cesarstwie i Królestwie łącznie przewieziono 31 milionów pudów otrąb, w tej liczbie 27 mil. dostarczono do punktów pogranicznych i portów. Tenże system przewozowy względnie utrudnia spożycie otrąb na miejscu, t. j. przy dostawach na mniejsze odległości. Otóż młyny nasze

szukają właśnie dochodu w wywozie otrąb za granicę. Jest to ich głównym źródłem — jeżeli nie jedynym dochodu.

Tak się przedstawiają warunki, w których istnieje obecnie przemysł młynarski w Królestwie Polskiem. Widzimy, że warunki naturalne: materiał surowy (zboże), ilość konsumentów (gęstość zaludnienia), znaczna ilość tanich sił motorycznych (spadki wód) wszystko to przemawia za tem, że przemysł ten powinien być stale w rozkwicie. Jeżeli zaś upada — to nie jego w tem wina.

HENRYK RADZISZEWSKI.

M. Maeterlinck jako moralista.

Od niejakiego czasu M. Maeterlinck, nie zaniedbując wprawdzie twórczości dramatycznej, coraz częściej występuje jako autor rozpraw filozoficznych, w których myśliciel usiłuje jakby dopowiedzieć i rozwinąć to, czego, ograniczony konwenansami swej sztuki, poeta, nie mógł należycie wyrazić i wyzyskać.

Już mamy całą seryę dziełek filozoficznych autora „Księżniczki Maleine'y”, o tytułach wymownych, symbolicznych, nieco średnio-wiecznych, (jak na przykład: „Le trésor des humbles“, „Sagesse et destinée“, „Le temple enseveli“) — zapowiadających treść uroczą i wonną, pozbawioną surowości systematów filozofii ścisłej, zarówno jak oschłości i pedantyzmu szkolnego.

W istocie, nikt poważniej od Maeterlincka nie rozważa obecnie wielkich zagadnień bytu, nikt z większym wdziękiem nie zgłębia jego tajemnic. Zalety te wszakże nie stanowią wyłącznie o wartości wspomnianych prac głośnego dramaturga.

Formie zewnętrznej odpowiada treść wyszukana, pozbawiona banalności i dyletantyzmu, gdyż powszedniość wszelka została z niej wyłączona, a każdy temat traktowany z niezwykłą szczerością i przejęciem się jego znaczeniem dla życia ludzkiego. Jest coś wzruszającego w tej dobrej woli, wierze i gorliwości, z jakimi Maeterlinck stara się wnikać w głębie istnienia ludzkiego, a cienne jego zakątki i obszary oświetlać z wysoka przenikliwym promieniem uznawanej przez siebie prawdy.

Czuć, że to czyni człowiek bardzo dobry i bardzo rozumny, oddany bezinteresownie ludzkości, rozumiejący jej upadki i zniechęcenia, jej troski i zabiegi doczesne, zarówno jak i nieudane niczem pragnienie ideału; człowiek, który pragnie innym służyć swoją wiarą i swoim doświadczeniem dopomóc im w urzeczywistnieniu ich za-

miarów, wzmocnić nadzieję, określić cele i dążenia, środki i zadania, a choćby tylko wyrobić w nich lepsze rozumienie tego, czem są sami, i tego, co ich otacza.

Znać tu wszędzie szczerą pracę ducha, wysiłek, podjęty nie w celu dostarczenia sobie roskoszy, jaką daje gra myśli, ćwiczenie niezajętych energii duszy, lecz po to, by zdobyć jakąś prawdę szczytną, mogącą innym przynieść pożytek, by wywaleczyć dla nich szersze i zupełniejsze warunki bytu umysłowego, oprzeć go na podstawie mocniejszej. Próżnych obietnic ogarnięcia i wyjaśnienia wszystkiego, rozwiązania wszelkich zagadek bytu i przeniknięcia jego tajemnic wiekuistych, nie czyni Maeterlinck nikomu; trudem wszakże swego ducha, przykładem osobistym wciąż naucza, że nawet poszukiwania, które nie dają pożądaných wyników, nie usuwają zupełnie dręczących wątpliwości i oblicza prawdy ostatecznej nie odsłaniają, — nie mijają bez korzyści dla tych, którzy im się oddają, hartują bowiem ich ducha, wyrabiają w nich poczucie rzeczy wielkich i zbliżają ku nim ze stron, pozwalających widzieć je w niezwykłym, nieoczekiwanym oświeceniu. Sam Maeterlinck nic innego nie czyni, tylko to, że do rzeczy, które dla niejednego straciły swoją wymowę, nie jednemu spowszedniały i zubożyły, jednych przejęły odrazą, albo zgrozą, innych zraziły nieprzeniknioną zagadkowością swoją, ogromem zawartej w nich tajemnicy, — wciąż tak się ustawia, tak się zwraca, żeby w tem, co znane, dopatrzeć treści nowej, do tego, co niedostępne — znaleźć dostęp.

Był rozważa Maeterlinck z jego stron najmniej olśniewających, bijących w oczy, a to w celu, aby nie dać się omamić jego mirażami i życiem zewnętrznym, by nie przykryć sobie pozorami imponującymi tego, co jest istotniejsze, co znajduje się bliżej źródeł życia i codziennie spostrzegać się nie daje.

Troska o pogłębienie pojęcia życia, o wykrycie jego związków i procesów, nie dających się ująć i wymierzyć od pierwszego wejrzenia, nie odstępuje Maeterlincka w jego poszukiwaniach i roztrząsaniach filozoficznych.

A więc naprzód chodzi mu o to, by wyrobić w innych uczucie tego, co nazywa „tragicznością codzienną“, która różni się od wszelkich tragiczności hałaśliwych i zewnętrznych, będących wynikiem starcia się sił żywiołowych, namiętności wyraźnych i jednostronnych. W dramatach swoich spożytkowywał Maeterlinck stale ten pierwiastek „tragiczności codziennej“, przenikając dusze ludzkie głuchemi przecuciami życia i śmierci, przerażeniem, wywołanem nagłym uświadomieniem losów i przeznaczeń, zdumieniem — wobec tego naj-

powszedniejszego i najpowszechniejszego faktu, że się żyje. W książce pod tytułem: „Le trésor des humbles“ (Skarb pokornych), rozwija między innymi ten temat tragizmu, wynikającego z pospolitego faktu istnienia. Maeterlinck utrzymuje, że prawdziwy, normalny i głęboki tragizm życia rozpoczyna się z chwilą, w której ustępują wielkie przejścia, cierpienia i niebezpieczeństwa. Wyczuć go nie trudno, trudniej wszakże wykazać, nie jest bowiem tylko materialnym, bądź psychologicznym. Nie polega on na walce danej istoty z inną, danego pragnienia z przeciwnem mu, lub też na wieczystych zapasach namiętności z obowiązkiem. Wynika on z nurtującego nas, niewyraźnego i niespokojnego poczucia bytu, z przeczuwania wewnętrznego jego fatalizmów i przeznaczeń, o których nie możemy wnioskować ze znaków zewnętrznych. Nie to, lub owo zjawisko gwałtowne i przerażające wytwarza ów tragizm, nie ten lub inny fakt, zagrażający życiu naszemu, wstrząsający niem z zewnątrz, nie cząstka słowem określona, lecz całość bytu, jego bezmiar, wieczyście czynny i przeobrażający się, którym otoczona jest dusza ludzka.

Niewątpliwie, taki nacisk bezmiarów bytu na ducha naszego może rodzić w nim stokroć silniejsze uczucie grozy i tragiczności, niż wszelkie klęski zewnętrzne, wszelkie nieszczęścia i zamachy na życie nasze.

Tu bowiem zmagamy się z potęgą niewidzialną, z której zamiarów wobec nas nie możemy sobie zdać sprawy, nie wiemy, jaki opór mamy jej stawiać, ile sił własnych zużyć, by zabezpieczyć siebie od klęski. W zasadzie więc Maeterlinck ma słuszość; trzeba jednak tu zauważyć, że owa „tragiczność codzienna“ ściga głównie jednostki wyjątkowe, umiejące stawiać siebie wobec całości bytu i skłonne odczuwać całą jego nieprzenikloną, sfinksovą — a zatem groźną, potęgę, podczas gdy ogół ludzkości nie ma czasu ani możności przerażania się czemś podobnem, oddany jest bowiem ustawicznej walce z tem, co grozi z zewnątrz jego życiu, co mu zapowiada materialne zniszczenie. To wszystko zaś występuje najczęściej w postaci określonej, jako czynność, dla oka uchwytna, wywołująca w duszy ludzkiej wyraźne stany świadomości, ostre uczucia bólu, zawodu, rozczarowania i t. p. Zresztą, nie przeczę temu, że i ludzkość przeciętna uświadamia sobie ów tragizm codzienny, poczucie jednak jego rodzi się w niej nie tyle wskutek rozważania fatalizmów nieodgadnionych bytu powszechnego, ile z doświadczeń bytu indywidualnego, określonego, z powodu przeciwności niezwalczonych, wysiłków udaremniionych, wszelkich nędz słowem, monotonnych, nieustępujących z widowni życia.

Niezwykłe trafne są uwagi Maeterlincka o tem, jak niewłaściwie nieraz sztuka dzisiejsza wyraża tragizm istnienia. Sztuka dramatyczna zwłaszcza grzeszy bardzo na tym punkcie, starając się nas zabawić widokami zamachów, zbrodni i zrad, słowem gwałtownych i barbarzyńskich stron życia, czem się zachwycali nieokrzesani przodkowie nasi. Cały teatr współczesny wygląda z tego powodu dość anachronistycznie. Podczas gdy znaczna część życia naszego — utrzymuje Maeterlinck — upływa zdala od krwi, gwałtów i zbrodni, gdy łyzy ludzkie stały się milczące, niewidzialne i prawie uduchowione, teatr dzisiejszy wciąż nas utrzymuje w obrębie tragizmów i szczytności tradycyjnych, powierchownych i materyalnych, złożonych z czynów brutalnych, z łez zewnętrznych, z krwi, zrad i podstępów barbarzyńskich. Z życiem, odtwarzaniem przez teatr współczesny, nie wiele można mieć wspólnego, cóż bowiem mogą powiedzieć nam postaci, które są opanowane jakąś jedną ideą stałą (idée fixe), które nie mają czasu na to, by żyć właściwie, gdyż śpieszno im zamordować rywala, lub kochankę. Słusznie podkreśla Maeterlinck niezgodność naszej twórczości dramatycznej z wymaganiami zmienionej duszy człowieka współczesnego, — i tu jednak trzeba uczynić uwagę, że teatr, o jaki chodzi autorowi, odtwarzający bardziej wewnętrzne, mniej gwałtowne i hałaśliwe akty bytu, nie potrafiłby należycie tego życia subtelniejszego i cichszego udostępnić ogółowi, zabrakłoby mu odpowiednich środków wyrażania. Teatr wymaga czynności wyraźnych, procesów skończonych, dających się uzmysłwić, przytem sposoby i środki wyrażania ich, jakimi rozporządza, są natury konwencyonalnej, — konwenans zaś wszelki, formy umówione psułyby tylko i gruboby wyobrażały to życie głębsze, milczące i niematerialne, o które chodzi Maeterlinckowi. Twórczość dramatyczna, jaką ma on na względzie, stwarzałyby niewątpliwie rzeczy głębsze, wytworniejsze i bogatsze w treść psychiczną, dawałyby lepsze wyobrażenie o pięknie, wielkości i powadze „skromnego istnienia codziennego“, — nie sądzę jednak, żeby mogła to wszystko, jak się należy, na scenie przedstawić. A bez tego — niema teatru.

Bądź jak bądź, przez to wysunięcie na plan pierwszy owej „tragiczności codziennej“, Maeterlinck wypowiada prawdę doniosłą, zwraca uwagę na to, że tragizm dzisiejszej ludzkości, a raczej najbardziej kulturalnie rozwiniętej jej części, staje się coraz mniej zewnętrznym i dekoracyjnym, coraz mniej zależnym od wszelkiego rodzaju niezwykłych przygód, niekorzystnych okoliczności i groźnych sytuacji świata zewnętrznego.

Zwraca uwagę na to, że w epoce dzisiejszej tragizm życia skupia się w myśli i w sercu, słowem w „ja“ ludzkim, świadomem swego składu, własnych potrzeb i pragnień; że w treści „ja“ naszego nagromadziło się tyle pierwiastków tragizmu, iż w duszy ludzkiej może się wytwarzać jego poczucie, bez pomocy osobliwszych przyborów zewnętrznych, bez przypadków nagłych i nieoczekiwanych; że wreszcie dusza ludzka stała się dla samej siebie największą zagadką i tajemnicą, najwyższą ciekawością, a także największym zawodem i rozczarowaniem, że w niej rodzą się i umierają wszelkie rzeczy, tu żyją prawdziwie, wszystko zaś, co stoi poza nią, jest tylko cieniem życia, prawdą złudną i przemijającą, dekoracją znikomą.

Punkt ciężkości życia przenosi Maeterlinck z zewnątrz wewnątrz, do „ja“ ludzkiego, obdarzając najskromniejsze nawet istoty władzą podnoszenia jego poziomu, wzbogacania treści i samorzutnego wytwarzania, w jego granicach, bez współudziału wielkich wydarzeń i wstrząśnień zewnętrznych, rzeczy wzniosłych. Trzeba — powiada Maeterlinck — żeby każdy człowiek znalazł dla siebie jakąś szczególniejszą możliwość życia wyższego, w warunkach skromnej i nieuniknionej rzeczywistości codziennej. Żeby taką możliwość osiąść, nie trzeba gwałtownego rozdarcia firmamentu, jakimś nieoczekiwanym piorunem objawienia, nie trzeba wypadków nadzwyczajnych, przejmujących nas uczuciem szczytności, — gdyż wszystko, co nas otacza, jest szczytnem. Nie brak nam zatem sposobności przebywania w sferach wzniosłych, brak raczej umiejętności wyczuwania tego, co wzniosłe, brak uwagi, skupienia, — brak duszy naszej zdolności upajania się tem, co szczytne. Czyż sądzicie — zapytuje autor — że w małej izdebce nie można pędzić nieco podnioslejszego życia? Jeżeli się uskarżacie, iż jesteście samotni, że nic wam życia nie upiększa, nikt was nie kocha i wy nikogo nie kochacie, nie wiecie chyba, że słowa was zwodzą? Czyż możliwą jest rzeczą być samotnym, żeby miłość była czemś, co się widzi, co się zna, — żeby zdarzenie można było tak ważyć, jak złoto i srebro okupu? Ale czyż myśl żywa — bez względu na to, jaką jest, wyniosłą, czy pokorną, — skoro tylko pochodzi z duszy waszej, nie jest wielką dla was; czyż wielkie pragnienie, a choćby tylko chwila uwagi uroczystej, poświęcona życiu, nie mogą zawitać do waszej izdebki? A gdybyście nie kochali i gdyby was nie kochano, a pomimo to gdybyście mogli z pewną siłą wiedzieć, że tysiąc rzeczy jest pięknych, że dusza jest piękną a życie niewypowiedzianie poważnem, czyż nie byłoby to równie pięknem, jak gdyby was kochano i samiście kochali (p. „Le trésor des humbles“, rozdział zatytułowany: „La vie profonde“). Przypomina tu Maeterlinck lu-

dziom, że każdy z nich, bodaj najmizerniejszy, posiada możność wyrzeźbienia w sobie, bez pomocy jakichś wyjątkowych okoliczności zewnętrznych, podług wzoru idealnego, wielkiej osobowości moralnej, — może wspiąć się na szczyty życia i wiedzieć, co trzeba czynić, by postępować, jak bohaterowie, lub święci. Rzeźbienie wszakże owej „wielkiej osobowości moralnej“ udaje się tylko w głębinach życia, w atmosferze, oczyszczonej z fałszów i złudzeń doczesności, w miejscach, gdzie ziemia wciąż się miesza z niebem. Istnieją dokola nas — powiada Maeterlinck — tysiące istot nędznych, które w ciągu całego życia swego nie widziały nic pięknego; żyją one i poruszają się w ciemności, i nikt na nie nie zwraca uwagi. A tymczasem pewnego dnia jakieś słowo proste, jakieś milczenie niespodziewane, jakaś łza drobna, pochodząca ze źródeł piękna, dają nam poznać, że i one znalazły środek wzniesienia w cieniu dusz swoich ideału tysiąc razy piękniejszego od najpiękniejszych rzeczy, kiedykolwiek bądź słyszanych, lub widzianych przez nie.

Wprawdzie Maeterlinck nie określa ściśle sposobów owego „rzeźbienia“ w sobie „wielkiej osobowości moralnej“, nie pokazuje dróg, któremi wędruje się „w cieniu duszy“ do najwznioślejszych ideałów; myśl wszakże jego jest jasną i zmierza wciąż do tego, by wpoić w innych przekonanie, że na szczyty życia moralnego, bohaterskiego, bądź świętego, wynoszą nas nietylko fale wypadków zewnętrznych, nietylko czyny wyjątkowe; że tam wynieść nas mogą najcichsze i najskromniejsze wysiłki duszy naszej, powstałe samorzutnie w jej głębiach.

I tu jednakże niepodobna nie zwrócić uwagi, że to „życie głębokie“ zbytnio przypomina życie biernego zadumania i kontemplacji bezczynnej, że to osiągnięcie nieocenionych skarbów moralnych i wytworzenie „wielkich osobowości“ w głębinach istnienia, w osamotnieniu, w obrębie swojej „małej izdebki“, nie daje znowuż tak wielkich rękojmi powodzenia. W takiej „małej izdebce“ można wieki przeczekać i nie mieć możności ujawnienia swego heroizmu, lub swojej świętości, można nie uświadomić sobie ich obecności w nas, gdyby się było niemi wypełnionym po brzegi, gdyż na to, żeby się nam jedno i drugie objawiło, trzeba jakichś oddziaływań z zewnątrz, trzeba wypadków, które nas poddają doświadczeniom, wystawiają na próby wszelakie, zmuszają ducha naszego do wytyżeń i przeciwdziałań, krzesząc z niego iskry bohaterstwa, bądź świętości. A z resztą, żeby umieć żyć wzniosłe w obrębie własnej „izdebki“, żeby nie być zmuszonym oglądać się poza siebie i z zewnątrz nie wyczekiwać zachęty do wzniosłości, objawienia rzeczy wielkich, trzeba poprzednio, przed

wyodrębnieniem się z rzeczywistości przemijającej i chaotycznej wynieść z niej tyle skarbów, tyle treści w postaci wrażeń, wspomnień, doświadczeń uczuciowych i myślowych, żeby mózdz oprzeć się na samym sobie i umożliwić to samorodztwo rzeczy pięknych i krzepiących, jakie ma na względzie Maeterlinck.

W każdym razie wiara w możliwość podobnego samorodztwa ma tę stronę dodatnią, że przekonywa ludzi, iż nie powinni czuć się osamotnionymi i opuszczonymi nawet wówczas, gdy rzeczywistość zewnętrzna nie jest na nich łaskawą, nie dostarcza im motywów do solidaryzowania się z nią, nie wspiera ich pragnień, nie wchodzi z nimi w przymierze. Nie jest samotnym i opuszczonym ten, kto może, w rozterce nawet będąc z rzeczywistością, piastować w sobie myśl wielką, otwierającą mu perspektywy światów nieznikomych, harmonizujących z nią, myśl, która pozwala odczuwać w rzeczach zupełniejsze i nieśmiertelniejsze piękno, niż to, jakim one mogą ją obdarzyć. Niewątpliwie — tak jest! Ale naprzód trzeba sobie zdobyć myśl taką i uznać, że poza nią niema donioślejszych dla nas zdarzeń, niema wypadków nieśmiertelniejszych. Są to również wyjątkowe sytuacje, przez wyjątkowe jednostki wytwarzane. Przeciętne jednostki, z których składa się ogół, do takiej potęgi indywidualnej nie dochodzą. O swoim szczęściu, czy nieszczęściu, doli czy niedoli, osamotnieniu i rozterce z otoczeniem, czy też solidarności i harmonii z niem, sądzą podług tego, ile tam widzą ludzi sobie życzliwych, rąk pomocnych, serc, zgodnie z ich sercem bijących, ile stamtąd wychodzi ku nim od rzeczy bezpośrednich dowodów na to, że są kochane, że znajdują pomoc i zachętę do życia, uznanie, a w razie potrzeby — przebaczenie. Rozumieją i odczuwają one ten rodzaj piękna, który się objawia w rzeczach bezpośrednio, nie zaś ten, który idea narzuca przedmiotom. One przyjmują to, co jest na zewnątrz nich, same bowiem nie posiadają zdolności stwarzania, przekształcania rzeczy zewnętrznych. Maeterlinck jednakże wciąż powraca do swojej ulubionej idei, mianowicie, że nawet najnieszczęśliwsze, najbardziej upośledzone dusze, posiadają, naprzekór samym sobie, w głębi istoty własnej, skarb piękna, którego zubożyć nie mogą. Cała sprawa zatem — podług autora — ściąga się do przyzwyczajenia czerpania ze skarbu tego. Maeterlinck dowodzi, że jedyną, naturalną mową dusz naszych jest piękno, że innej nie rozumieją one. Dla tego więc wszelka myśl, wszelkie słowo, lub czyn wielki i piękny, jest natychmiast oklaskiwany przez duszę, najbardziej uciśnioną i najbardziej poziomą, jeżeli wogóle można powiedzieć, iż są dusze poziome. Dusza ocenia wszystko podług własnego piękna. Patrzymy na to co chwila, a ci nawet, którzy

się nieraz wyparli piękna, wiedzą o tem tak samo, jak ci, co go bez ustanku poszukują. Na dowód, że tak jest, przytacza Maeterlinck fakt, że kiedy odczuwamy głęboko potrzebę zlania się z jakąś inną istotą, to nie idziemy do tej, która uśmiechała się nędznie wówczas, gdy miała przed sobą piękno. Nie idziemy również do tego, który wzruszeniem ramion przyjął czyn szlachetny, a choćby tylko jakąś dążność czystą. „Może — powiada Maeterlinck — należeliście do tych, którzy to przyjęli z uznaniem; w tej jednak chwili uroczystej, kiedy prawda do drzwi waszych kolacze, zwróćcie się do tego, kto umiał ją kochać i uchylić przed nią czoła“ (p. rozdział pod tytułem: „La beauté intérieure“ z książki: „Trésor des humbles“). Tego rodzaju argumentami, ogromnym wysiłkiem stylu, niepospolicie pięknymi odcieniami myśli, — myśli tak lotnej nieraz, że wzbija się wciąż na szczyty życia, tak płynnej, że przecieka i przesiąka przez zwarty granit rzeczywistości codziennej, — dowodzi najczęściej Maeterlinck swoich założeń — tego, że nie wiele trzeba dla obudzenia w nas aniołów piękna, że gdybyśmy się go nie obawiali, to w życiu odnajdywalibyśmy tylko samo piękno; że w duszy ludzkiej nigdy się ono nie wytrawia do cna i że najnędzniejsze mają swoje chwile świetności itd., itd. Są to niewątpliwie prawdy doniosłe, posiadające charakter bezwzględności, nieobjawiające się wszakże w warunkach normalnych bytu, wymagające zbyt przenikliwego oka po to, by były dojrzałe, i zbyt sprzyjających okoliczności, by z głębin życia mogły się wydostać na jego padole. Ale są tu także prawdy, dające się stwierdzać w warunkach mniej wyjątkowych. Gdy Maeterlinck dowodzi, że gdyby można było zajrzeć na dno rzeczy, toby się wykryło, iż moc kilku dusz pięknych utrzymuje inne przy życiu; gdy mówi, że ludzie w stosunkach swoich dotykają tylko powierzchni własnych, że wnętrza nie widzą, że stoją wobec siebie pod bronią, widzą tylko tarcze i hełmy, dotykają żelaza i bronzu; wystarcza jednak jednej chwili takiej, w której zbroje opadają, a dostrzega się wówczas łyzy pod hełmem, za tarczą zaś — uśmiech dziecka, — to wszędzie w takich wypadkach wypowiada nietylko myśl piękną, lecz prawdę ujawniającą się codziennie. Charakter Maeterlincka, jako moralisty, zarysowuje się już wyraźnie w tych pierwszych jego roztrząsaniach filozoficznych, zebranych w „Skarbie pokornych“, Wybitną cechą tego charakteru jest dążność do wywyższenia życia i jednostki ludzkiej. Jedno i drugie stara się oceniać Maeterlinck, nie podług pozorów, nie jako znikomą grę efektów zewnętrznych, lecz podług ich treści głębokiej i ich znaczenia wewnętrznego. Nie lekceważy on ani życia, ani jednostki ludzkiej, jest zdania, że w pierwszym nie wszystko jest przemijają-

cem i niegodnem naszego zapału i przywiązania, w drugiej zaś — nie wszystko próchnem, lub popolitością. I tu, i tam, widzi on treść obfitą i cele doniosłe; jest zdania, iż życie otwiera człowiekowi nieogarnięte widnokreśli piękna i skarby nieprzebrane wzniosłości, dowodzi, że człowiek mnóstwo ma sposobności czerpania z nich, że obdarzony jest zdolnością odczuwania tego, co piękne, i urzeczywistnienia tego, co wzniosłe.

*

*

*

W następnej pracy pod tytułem: „Mądrość i przeznaczenie“ („Sagesse et destinée“), snując dalej wątek powyższych myśli, zagłębia się Maeterlinck znowu w otchłanne dziedziny duszy ludzkiej, aby wyszukać tam tego rodzaju pobudki i usposobienia, któreby mogły zwiększyć naszą szczęśliwość.

Odwraca on i tu wzrok swój od tego, co jest poznane, z czego się składa szczęście widzialne, zewnętrzne, materyalne, poszukując przede wszystkim tego, co jest jeszcze niewykryte i niewyzyskane, co jest więcej przedmiotem przeczuć naszych, niż doświadczenia. Mówi on tu ludziom o szczęściu prostem, zwyczajnem, każdemu dostępnem, którem jesteśmy otoczeni i po które możemy sięgnąć w każdej chwili, żyjąc nawet wśród największych niepewności materyalnych. Najszczęśliwszym z ludzi — powiada Maeterlinck — jest ten, kto zna najlepiej swoje szczęście; zna je zaś ten, kto najgłębiej pojmuje tę prawdę, że szczęście jest niczem innym oddzielone od niedoli, jak tylko jakaś idea szczytną i odważną. Jest więc zdania, że mówić o idei podobnej jak najczęściej jest rzeczą zbawienną, nie dla tego, by narzucić komuś tę jaką posiadamy, lecz żeby zrodzić w sercach tych, którzy nas słuchają, chęć jej posiadania. Idea ta nie jest dla wszystkich jedną; każdy powinien ją zdobyć w sobie i przez siebie. W „Mądrości i przeznaczeniu“ wyklada Maeterlinck „swoją“ ideę. Mieści się w niej pojęcie mądrości, słowem tego całokształtu działań, które mają nas zaprowadzić do obiecanej krainy szczęścia.

Żeby czytelnik mógł lepiej zrozumieć stanowisko Maeterlincka, przypominam mu kilka bardziej typowych poglądów na tę samą sprawę. Mądrością jest to, co nam daje szczęście (względnie to, co uczy

unikac nieszczęścia); mędrcom—ten, kto zna sposoby i drogi, do niego wiodące. W rozumieniu szczęścia mieści się pojęcie o pewnym stosunku jednostki ludzkiej do świata zjawisk. Jaką więc postawę należy zachować wobec tego świata, żeby być mędrcom, żeby osiągnąć szczęście? Odpowiadano na to w szeregu wieków rozmaicie. Filozofia indyjska uczyła, że świat zewnętrzny jest ułudną i próżną bańką mydlaną, którą należy rozwiać; głosiła, że szczęście polega na wyrzeczeniu się świata zewnętrznego; mądrością, podług niej, było oderwanie się od dóbr materialnych, tłumienie pożądań, ograniczenie życia zmysłów; spokój był jej celem, rezygnacja — środkiem.

Szczytem mądrości dla sceptyków krańcowych filozofii greckiej (Pyrrhon) była zupełna obojętność wobec świata zewnętrznego. Obojętność ta wprawdzie jest natury intelektualnej, od niej wszakże jest zależnem szczęście człowieka; ona bowiem pozwala mu osiągnąć spokój i pogodę ducha, tak zwaną „ataraxię“. Stosunek sceptyka do świata zewnętrznego nie jest ani wrogim, ani przyjaznym; on go ani potwierdza, ani mu przeczy; on tylko wciąż sąd swój „zawiesza“, gdy mowa o tym świecie, i wiecznie o nim wątpi, nie spodziewa się odeń nic, ani mu złorzeczy, nie jest zniechęcony, ani zrezygnowany, gdyż nie ma żadnych powodów do uzalania się i skargi. Wątpić i być obojętnym: oto obowiązek mędrca. Inaczej pojmuje jego zadanie Epikur i jego szkoła. Najwyższem szczęściem, podług etyki epikurejskiej, jest także stan „ataraxii“, regułą — dążenie do usunięcia wszelkich przyczyn niepokoju ducha; do równowagi jego wszakże każdy powinien dochodzić przez zaspokojenie naturalnych i koniecznych potrzeb swoich; droga umiarkowania — jest niechybną drogą prawdziwej mądrości.

Stoicy mają także swoją formułę na to wszystko, oto jej istota: przyjąć świat takim, jakim jest, uznać jego konieczność, a tą drogą uniezależnić się od niego i szczęście własne uczynić zawisłem od swobody wewnętrznej. Stoik mówił: poznaj naprzód świat zewnętrzny, potem znoś go i wyrzekaj się. Najważniejszem dla niego i stanowiącem o szczęściu jest to, jak świat zjawisk poznajemy? Rzeczy zewnętrzne nie są w naszej mocy, opinia jednak nasza o nich zależy od nas, słowem: wewnątrz nas samych znajdujemy zdolność uniezależnienia się od nich, a przez to i sposób osiągania szczęścia. Jeżeli do wymienionych sposobów „mądrego“ istnienia dodamy jeszcze jeden, im wszystkim przeciwny, mianowicie: krańcowy, anarchistyczny hedonizm, uganiający się za przyjemnością chwili, a więc i za szczęściem natychmiastowem, to będziemy mieli główne wzory mądrości. Wszelkie inne, dawniej, bądź dzisiaj proponowane od utylitaryzmu moral-

ności ewolucyjnej, nowożytnego buddyzmu i t. p., aż do krańcowych doktryn indywidualistycznych doby obecnej, są tylko kombinacją pierwiastków, zapożyczonych od nich. Wszędzie znajdziemy: albo wyrzeczenie się świata zewnętrznego, albo obojętność względem niego, albo umiarkowanie w jego używaniu i układy z nim, albo w końcu chęć wyzyskania go i skorzystania z tego wszystkiego, co w sobie zawiera.

Maeterlinck różni się w poglądach swoich na istotę mądrości i od filozofów buddyzmu, i od Pyrrhona, Epikura, Epikteta, Arys-typpa i t. p. Mądrość i rolę mędrca pojmuje inaczej, niż oni.

Pojęcie mądrości, według niego, kojarzy rozum z miłością, idee jasne, czyli dane naukowe, z ideami niejasnymi, czyli stanami przeczuć; jest ono wynikiem przymierza pomiędzy jednymi i drugimi, przymierza tem głębszego, im więcej miejsca ustąpił rozum miłości. Mądrość—podług Maeterlincka—nie polega na wyrzeczeniu się; każe on nam w niem szukać szczęścia wówczas, gdy już straciliśmy możliwość znalezienia go gdzieindziej.

Mędrzec nie jest stworzony po to, aby był nieszczęśliwym; bardziej ludzkim i bardziej zaszczytnem jest nie przestawać być mędrce, pozostając szczęśliwym. Łatwo jest trwać w stanie spoczynku i wyobrażać sobie, że się jest mędrce. Czyż jednak człowiek istnieje po to, aby trwać w spoczynku? Trzeba się zdecydować; mądrość bowiem jest albo godną szacunku małżonką naszych uczuć i namiętności; albo melancholijną narzeczoną śmierci. Mądrość, jak widzimy, jest cnotą czynną, polega na wysiłkach i ćwiczeniu naszych najlepszych energii wewnętrznych. Jakie energie duszy swojej ma ćwiczyć przedewszystkiem mędrzec? Czy te tylko, które mu zapewnią przyjemność i pozwolą uniknąć cierpień? Nie! Mędrzec nie będzie unikał cierpień, gdyż jest to bezużytecznem; owszem, on będzie cierpiał więcej od innych, gdyż, im mniej jest się samotnym, tem więcej się cierpi, a im bardziej jest kto mędrce, tem mniej mu się wydaje, iż jest osamotniony. Zresztą nie chodzi tu o cierpienie, lecz o wybór tego, co ono nam przynosi; mędrzec wybierze to tylko, co w cierpieniu jest najbardziej uszlachetniającem. Istnieje wielka różnica między myślicielem i mędrce. Myśliciel otwiera drogę, która wiedzie od tego, co się widzi, do tego, co jest niewidzialne; mędrzec natomiast otwiera drogę, która prowadzi od tego, co nie jest w stanie nas pocieszyć, do tego, co może przez długi czas jeszcze pocieszać. Mędrzec zatem otwiera drogę przyszłości, odkrywając wciąż nowe, nieznanne zasoby szczęścia. Odkrywać je zaś będzie nietylko w sobie. Obowiązkiem jego jest kochać do wszelkich świątyń, do wszystkich przybytków chwały, czy-

nu, szczęścia, miłości. Doświadczać tego wszystkiego i wypróbować powinien mędrzec w sobie; powołaniem jego bowiem jest nauczać innych o szczęściu i drogach, do niego wiodących, zanim więc innych na nie wprowadzi, powinien sam na nich długo przebywać. Nie może tu być zatem mowy ani o obojętności, ani nawet o umiarkowaniu. Wysiłki mędrca nie powinny być oparte na chłodnej rachubie, na liczbie, wyłączającej ryzyko, przewidywanie zaś tryumfu i powodzenia nie będzie bodźcem jego działania. Jeżeli wytrzymały wysiłek i długie oczekiwanie nic pożądanego mu nie otworzą, być może, w samym wysiłku i oczekiwaniu znajdzie równoważnik tych wzruszeń i tych prawd, o jakie mu chodziło. W dążeniu do prawdy mędrzec Maeterlincka nie będzie wciąż siebie zapytywał: co w niej jest słusznem i pewnem, a co błędnem i chwiejnym? Gdy chodzi bowiem o ideę jakąś, nigdy nie możemy wiedzieć na pewno, czy nas nie zwodzi? O wartości jej stanowi przedewszystkiem miłość, jaką ją otaczamy. Sposób, w jaki kochamy to, co uważamy za prawdę, więcej ma znaczenia, niż prawda sama. Wartość idei jakiejś, która wydaje się nam czystą i szczytną, polega na tem, że dostarcza nam sposobności ukochania czegoś bez zastrzeżeń. Cokolwiek bądź-byśmy ukochali: wszechświat, ojczyznę, człowieka, błąd nawet — drogocenny kruszec, jaki znajdujemy wśród popiołów miłości naszej, nie będzie pochodził od jej przedmiotu, tylko od miłości samej. Wszystko przechodzi, — powiada Maeterlinck, — przekształca się, ginie być może, prócz promieniowania tej płodności, głębi i wytrwałości serca naszego...

Jednym z obowiązków mędrca jest zdać sobie sprawę z miejsca, zajmowanego we wszechświecie, przez istotę ludzką, a to w celu pojednania się z obojętnością natury.

Istota ludzka — powiada obrazowo Maeterlinck — wydaje się wielką w swojej dziedzinie, tak samo, jak pszczoła wydaje się wielką w komórce swego plastru miodu; byłoby jednak nonsensem spodziewać się, iż w polu przybędzie o jeden kwiat więcej dla tego tylko, że królowa pszczół była bohaterską w swoim ulu. Omawiając w ten sposób stosunek jednostki do wszechświata, — dowodzi dalej, — że to nie w prawach jego, ale w nas samych należy poszukiwać wynagrodzenia za uczynki cnotliwe. To ci tylko, co nie wiedzą, czem jest dobro, domagają się za nie zapłaty. Nie zapominajmy bowiem, że akt cnoty jest zawsze aktem szczęścia; jest on kwiatem szczęśliwego i zaspokojonego życia wewnętrznego.

Jądrem mądrości jest działać tak, jakby wszelki czyn miał wydać owoc niezwykły i wiekuisty, a zarazem wiedzieć, iż w obliczu wszechświata jest to czemś bardzo małym. Nie tracić z widoku wiel-

kiej sfery i poruszać się w małej z takim zaufaniem, powagą, przekonaniem i zadowoleniem, jakby w niej zawartą była wielka.

Z nadmiaru barwnych przenośni i określeń figurycznych, z masą przepięknych aforyzmów, wydobyłem kilka zasadniczych poglądów, oświetlających dostatecznie myśl główną Maeterlincka. Wygląda ona, w naszym przedstawieniu, jak kwiat na rysunku, który barw jego i woni pozwala tylko się domyślać. Niemniej zarysy idei tej występują dość jasno. A więc, mądrości mamy poszukiwać na drodze wysiłku nieustannego, na drodze bezinteresownego ćwiczenia najbardziej żywych i szczerych władz naszego ducha. Mądrość Maeterlinckowska uczy nas, że ten tylko ma prawo poszukiwać na zewnątrz siebie ideału dobra, miłości i prawdy, kto naprzód w duszy własnej pierwiastki te zgromadził i wydoskonalił; wymaga więc od nas zgodności życia wewnętrznego z ideałem zewnętrznym. Uczy nas ona nadto, że wyrzeczenie się jest sprawą małoduszną i jałową dla życia wewnętrznego, zachęca zatem do zdobywania, wymaga wszakże zupełnego oddania się temu, co osiąść pragniemy. Niema więc tu miejsca na oschłą i obojętną postawę sceptyków, lub drętwy intelektualizm stoików, nie znajdziemy tu zachęty do tchórzliwego oszczędzania sił ducha i „harmonijnego“ dopasowywania się do otoczenia. Przeciwnie, mądrość ta każe nam nie unikać nawet tego, co może duszę naszą nadwerężyć nadmiernym wysiłkiem i narazić na klęskę, ostrzegając nas, że klęska spotyka nas wtedy, gdy nie mamy możliwości zdobyczy umysłu naszego przelać i obrócić w żywe siły duszy, wówczas bowiem zdobycze te giną marnie, tak jak wody rzeki, które nie znajdują swego morza. Mniejsza o zawód, — powiada nam ona. Jeżeli zawiedzie was miłość naprzykład, czyż sądzicie, że zbawieniem byłoby dla was wierzyć przez całe życie, że miłość jest to to, co nie istnieje, to, co nie może być? Czyż sądzicie, że złudzenie podobne nie znieprawi najważniejszych czynów waszych i nie zasłoni wam na długo cząstki tej prawdy, którą osiąść pragniecie. A zatem działać i dążyć wciąż wśród niepewności i złudzeń, bo gdy one opadną, wielka rzeczywistość tak wyraźnie nam się ukaże, jak słońce, wychodzące z poza ogołoconych gałęzi lasu zimowego. Takim jest ostateczny przepis mądrości, wykładanej przez Maeterlincka. Wymagania jego, jak widzimy, są dość wielkie, ideał zaś mądrości, zarysowany przez niego, nie jest łatwy do urzeczywistnienia. Nie jeden z jego wyznawców prędej się starga w wysiłkach bezowocnych, zanim zostanie mędrcom i ujrzy to jasne słońce wielkiej rzeczywistości, kryjące się za ścianą złudzeń i niepokoju. Wprawdzie Maeterlinck jest zdania, że fatalizmy wszelkie ustępują z drogi mędrcom, nie wiemy wszakże, czy go to uchroni od znużenia i wyczerpania; o jedno zaś i o drugie

łatwiej, niż o co innego, tam zwłaszcza, gdzie życie całe wciąż trzeba utrzymywać na wyżynach wysiłkiem uczuć własnych, wytwarzanych samorzutnie, bez pomocy sił zewnętrznych. A tego między innymi domaga się Maeterlinck od mędrca. Wszędzie wymaga on od niego dwóch rzeczy: samodzielności i bezinteresowności; wciąż stawia go w warunkach jak najcięższych, żądając, by żył ciągle n a d z i e j ą, niczego zaś nie wycze ki wa ł dla siebie, by dawał stale, nie zaś nie odbierał wzamian, by ustawicznie się zużywał. szafował siłami swojemi itd., i musiał zawsze siebie samego naprawiać, wetować poniesione straty, odnawiać istotę własną. Przytem nie pozwala mu nawet odwoływać się do złudzeń, w celu utrzymania w nim pragnienia dobra, wydaje się mu bowiem rzeczą nierozważną mniemać, iżby serce ludzkie mogło długo wierzyć w to, czego rozum nie podziela.

*

*

*

Jak głęboką autor żywi chęć zharmonizowania wierzeń serca z danymi rozumu, jak pragnie wyrwać jednostkę ludzką z zaczarowanego koła złudzeń wiekuistych, które utrudniają jej zdobywanie własnej idei o szczęściu — w sobie i przez siebie — jak zajęty jest sprawą pomnażania tych skarbów duszy, z których ma czerpać ona swe pobudki i zachęty do czynu niezależnego, do życia, uszlachetnionego poczuciem odpowiedzialności osobistej, wyzwolonego z pod nakazów zewnętrznych, — o tem świadczy ostatnia jego praca pod tytułem: „Świątynia pogrzebana“ („Le temple enseveli“, 1902). Tu, w szeregu rozpraw, usiłuje Maeterlinck oddalić od człowieka tę zmorę straszliwą, która pod rozmaitemi nazwami: losu, fatum, przeznaczenia, sprawiedliwości intencjonalnej i t. p., ściga go i wypełnia od wieków trwogą.

Te niepokojące ludzkość zagadnienia, dotyczące bytu wogóle, jego początków, celów i przeznaczeń, stara się rozważać autor bez odwoływania się do potęg, stojących poza sferą życia ludzkiego, niezwiązanych z nią wspólnością treści i pochodzenia. Te siły, które objawiają swoją wolę za pomocą złych, lub dobrych losów, fatalizmów wszelakich i przeznaczeń niepojętych, przenosi Maeterlinck ze świa-

ta, leżącego na zewnątrz życia, w obręb życia psychicznego i moralnego, w łożysko, w którym skutki są ściśle związane z przyczynami.

W badaniu pojęć ludzkich, dotyczących niepoznawalnego, ciemnych i tajemniczych stron bytu, kieruje się Maeterlinck zasadą, że największym złem, rozluźniającem nasze życie moralne, i zagrażającym prawości naszego umysłu i charakteru, nie jest to, iż mylimy się, kochając jakąś prawdę ułamkową, lecz to, że pozostajemy wierni temu, w co już nie wierzymy zupełnie.

Z całą też odwagą i szczerością człowieka, który pragnie uchronić duszę ludzką od obłudy znieprawiającej, radzi nie żałować filozoficznych wierzeń chwiejnych, które niegdyś wspierały tego, lub owego, a teraz opuszczają, dowodzi to bowiem życia, zapanowania nad tem, co kiedyś panowało nad człowiekiem. A gdyby wewnątrz siebie nie mieli czem zastąpić na razie sprężyny złamanej — niech to ich nie martwi, lepszą jest bowiem pustka, miejsce niezajęte, niż sprężyna zardzewiała, albo prawda nowa, której tylko nawpół mogą wierzyć.

W studyum pod tytułem: „Sprawiedliwość“, bada Maeterlinck wszelkie rodzaje „sprawiedliwości fizycznej“ (dziedziczność itd.) i wykazuje, że ani nad nami, ani dokoła nas, ani w życiu obecnem, ani w innem, które jest życiem naszego potomstwa, nie znajdziemy śladu sprawiedliwości rozmyślnej, z góry powziętej. Suma sprawiedliwości, — powiada, — jaką, pomimo wszystko, odnajdujemy w naturze, nie od niej pochodzi, lecz od nas samych, którzy ją tam umieszczamy bezwiednie, łącząc się z przedmiotami natury, ożywiając je i posługując się niemi. W wielu wypadkach oddziaływamy bezpośrednio na rzeczy i istoty, któremi jesteśmy otoczeni; przenikamy je naszą osobowością, z sił natury robimy narzędzia naszych myśli. Gdy zaś te są niesprawiedliwe, gdy wyzyskują siły owe, ściągają na nas karę i nieszczęście, wywołują odwet. Reakcyja wszakże moralna nie leży w naturze, wychodzi ona z naszych własnych myśli, lub też myśli innych ludzi. Nie w rzeczach, słowem, ale w nas znajduje się sprawiedliwość rzeczy. To nasz stan moralny zmienia nasze postępowanie względem świata zewnętrznego i wywołuje zatarg między nim a nami, ponieważ jesteśmy w zatargu z sobą samymi, z prawami zasadniczymi naszego umysłu i serca.

Sprawiedliwość lub niesprawiedliwość naszych zamiarów nie ma najmniejszego wpływu na postawę natury względem nas; ma to jednak prawie zawsze wpływ na naszą postawę względem natury. Tutaj, tak samo jakby chodziło o sprawiedliwość społeczną, wyzna-

czamy wszechświatu, lub też jakiejś zasadzie niepojętej i fatalnej, rolę odgrywaną przez nas samych; i gdy powiadamy, że sprawiedliwość, natura, rzeczy karzą nas, powstają przeciw nam i mszczą się, to właściwie jest tak, że to człowiek karze człowieka, natura ludzka się obudza, sprawiedliwość ludzka mści się.

W ten sposób, za pomocą przenikliwej analizy tych wszelkich pojęć, którym rozum nie daje wiary, ulegając im jednak często na mocy tradycji i odziedziczonych usposobień, stara się Maeterlinck wyzwalać ducha ludzkiego z pod władzy tych potęg imaginacyjnych, które go uciskają i sieją w sercu człowieka głuche trwogi oraz przeżucia.

Naciera na tych wszystkich, którzy pragnęliby zwiększyć zakres gnębiącej nas „tajemnicy“ bytu, wykazując całą niedobroczynność podobnego postępowania, zwracając nadto uwagę na ten fakt, że powoli wszystkie istności tajemnicze, któremi wypełniłszy świat, dadzą się, jedna po drugiej, zamknąć w nas samych, że większość z pomiędzy nich była niczem innym, tylko skutkami przyczyn, które spoczywały w nas. Zbadanie naszej istoty bezwiednej — mówi M. — jest również trudnem, jak przeniknięcie zamiarów ducha wszechświata, czem się chętnie zajmujemy; możliwość poznania jej jest prawdopodobniejszą, jest mniej chimeryczną i zniechęcającą.

W każdym razie wysiłek nasz, w celu dopięcia czegoś podobnego, jest dobroczynniejszem, mniej krępującym nadzieję naszą, podczas, gdy ciągle uzależnianie drobnych wypadków życia od rozmaitych potęg niedostępnych pozbawia nas odwagi, wytwarza beznadziejność. Bardziej pocieszającym jest dla nas wiedzieć, że nieszczęście, jakie nas spotkało, pochodzi tylko od nas, niż wierzyć, że padliśmy ofiarą jakiejś woli nieubłaganej, lub też przypadku ślepego. W książce swojej obraca Maeterlinck w niwecz wszelkie złudzenia ludzkie, dotyczące tak zwanych złych lub dobrych losów, przeznaczenia itp., wykazując, że wszystko, co się dla nas w tych pojęciach mieści, stoi w związku z tą naszą bezpośrednią pierwiastkową istotą, którą znamy niedobrze, nie zaś z temi nieprzeniknionemi wpływami zewnętrznemi, którym przypisujemy oddziaływanie tajemnicze na bieg życia jednostek.

Podług M. myśl o „niepoznawalnem i nieskończonem“ staje się wówczas tylko prawdziwie zbawienną, kiedy jest nieoczekiwaną nagrodą umysłu, który się poprzednio oddawał bez zastrzeżeń badaniu poznawalnego i skończonego. W rozdziale p. t. „Ewolucya tajemnicy“, zwraca się autor ze słusznemi zarzutami przeciw tym wszystkim, co nadużywają tematów, związanych z „niepokojącą tajemnicą

wszechświata“, w mniemaniu, że dość jest wciąż mówić o niepoznawalnym i nieskończoności, by się wydać wielkim i podniosłym. Przekonywa zwłaszcza poetów—tłómaczów życia— jak się wyraża o nich, że pod tym względem trzeba być bardzo oględnym i mieć więcej skrupułów.

Nie jest bowiem powołaniem poety utrzymywać w ludziach rozterki i niepokój wywołany nieszczęściem, zwątpieniem lub rozpaczą, wogóle najmniej jasnymi chwilami życia; polega ono raczej na zaznaczeniu jasności tych chwil, w których człowiek włada wszystkimi siłami swemi, całym swym rozumem. Czyż mamy prawo—zapytuje autor—wzbudzać w innych, w celu wywyższenia naszego dzieła, obawy i przesady, którebyśmy zwalczali w naszym otoczeniu, spotkawszy je wśród przyjaciół lub też dzieci naszych. Czy mamy prawo korzystać z chwili czyjegoś udręczenia, po to, by zastąpić owe małe, lecz dobrotliwe pewności, jakie człowiek zdobył z trudem, obserwując serce i umysł ludzki, prawo istnienia, kaprysy przypadku, lub też obojętność natury—jakąś fatalnością, której wszelkie uczynki nasze przeczą, wobec której nigdybyśmy nie schylili czoła, gdyby nieszczęście, które uderza w naszego bohatera, nas samych dotknęło,—jakąś wreszcie Nemezis mglistą, która wprawdzie uwalnia nas od wyjaśnienia rzeczy trudnych do wytłómaczenia, w niezem jednak nie jest podobną do tej czynniejszej i pozytywniejszej sprawiedliwości, z jaką liczymy się w naszym życiu osobistym? Tych zaś, którzy są spragnieni „nieskończoności i tajemnicy“, upewnia, że jeżeli „nieznane i niepoznawalne“ potrzebne jest dla uszlachetnienia ich ciekawości i utrzymania zapału, to mogą być spokojni, iż nie stracą żadnego dopływu „nieznanego i niepoznawalnego“, sprowadzając je wielką rzeką do łożyska pierwotnego, to bowiem, co się odbiera potęgą zewnętrznym, siłom niepojętym, fatalizmom i t. p., odnajduje się w sercu ludzkim.

Zaznaczam tu tylko przewodnie myśli książki Maeterlincka, nie wyczerpując całego ich zasobu. Wszystkie one zmierzają do tego, by ulżyć człowiekowi niepotrzebnych ciężarów, zmniejszyć przeżycie jego wobec niesprawiedliwych przeznaczeń, usunąć z jego istoty moralnej te wszelkie przyczyny fałszu, obawy jasności i prawdy, trwogi wobec potęg mściwych, których obecność w nim powiększa jego słabość, odbiera nadzieję i poczucie godności, z mniejszą odpowiedzialnością osobistą.

Przejrzane dzieła wypłynęły, jak strumienie z trzech zasad podstawowych, głęboko wszczepionych w umysł Maeterlincka. Są nimi: 1) cześć dla życia i dla jednostki ludzkiej, pojmowanie pierwszego ja-

ko obfitej skarbnicy rzeczy głębokich, pięknych i wzniosłych, drugiej zaś, jako czegoś, co posiada zdolność czerpania z owej skarbnicy, co odczuwa i rozumie jej bogactwo nieprzebrane i potrafi je obracać na własny użytek—ku własnemu udoskonaleniu; 2) udoskonalenie to odbywa się za sprawą wysiłku bezinteresownego, przez nieustanne ćwiczenia najszczerzych i najczynniejszych władz naszego ducha; 3) Jednostka ludzka zdobywa się wówczas na wysiłek bezinteresowny, może się słowem doskonalić, gdy potrafi zharmonizować prawdy niejasne, to jest życie uczucia, z prawdami jasnymi, to jest z życiem rozumu, gdy zrzuci z siebie więzy, jakimi samą siebie krępuje i ubezwładnia, w postaci fatalizmów, przeznaczeń, „tajemnic zewnętrznych“ i t. p., kiedy słowem stanie się niezależną, pełną świadomości środków własnych i celów, własnych zasług i odpowiedzialności, umiejacą „w sobie i przez siebie“ wytwarzać dobroczynne potęgi życia.

Powyższe założenia etyczne nie są nowymi, w istocie swojej nie mieszczą niczego takiego, z czembyśmy się nie spotykali w wielu dawniejszych systematach etycznych, zarówno jak i w niektórych usposobieniach i dążeniach moralistów dzisiejszych, są jednak przedstawione przez Maeterlincka w formie niezwykle oryginalnej, rozwinięte i wsparte argumentacją tak świetną i nieoklepaną, że przemawiają do nas, jak rzeczy nowe, jak coś, z czem się nie bardzo liczone, na co zbytej uwagi nie zwracano.

Nie wszystko tu wszakże zależy wyłącznie od nieoczekiwanego oświecenia, nie wszystko jest sprawą stylu i subtelnego odczucia rzeczy prostych. Dla nas najosobliwszem i najważniejszym jest to, że walczący z racjonalizmem Maeterlinck, przypisujący czynnikom bezwiednym, „prawdom niejasnym“, olbrzymią rolę w życiu moralnym, jednocześnie gorąco przekonywa ludzi, żeby mieli odwagę rozstania się z tem wszystkim, co jest prawdą niepełną, czemu już wierzyć nie mogą, co tylko jest przyzwyczajeniem ich życia bezwiednie uczuciowego, afektacją, mniemaniem tradycyjnie wkorzenionem w umysł nasz, niezgodnem jednak z prawdą obiektywną. Maeterlinck jest tak stanowczym wrogiem tego wszystkiego, że woli raczej pustkę tymczasową duszy, niż balast bezwiednych złudzeń, zalegających w sercu, który mu dostarcza niepokojów jałowych, wytrwarza trwogę i beznadzieję, nie zasila jednak jego energii życiowej nie posuwa sprawy udoskonalenia naprzód. Anty-racyonalista Maeterlinck występuje stanowczo przeciwko obłudzie, która zgadza się na życie w środowisku złożonem z pojęć i obrazów fałszywych, z góry będąc przekonaną o ich fałszywości; poeta najbardziej oderwany od zmiennych i znikomych postaci bytu, uczy współbraci swoich—poe-

tów lubiących żyć oszukańczemi i zwodniczemi obrazami—że symbol jest tylko tymczasowem wyobrażeniem prawdy, której nie chcemy, albo nie możemy oglądać; kiedy jednak to następuje, symbol staje się zbytęcznym.

Nie mniej osobliwem w etyce Maeterlincka jest pojmowanie jednostki ludzkiej, jako istoty mogącej w sobie wytwarzać wszelkie warunki życia podniosłego, wszelkiej szlachetności czynnej i bezinteresownej, istoty niezależnej i dumnej, nieoglądającej się na strony po to, by żyć dobrze i szczytnie, nie wyczekującej pomocy z zewnątrz, nie dającej tyle, ile ma wzamian odebrać i po to, żeby cośkolwiek odebrać.

Niewątpliwie, tu Maeterlinck systematyzuje własne skłonności i pragnienia moralne, własną możność życia podług tego rodzaju przepisów. Gdyby jednak tak było, to ta osobliwa ewolucya duchowa, której subiektywne odbicie daje nam Maeterlinck, jest częstką ewolucyi ogólnej ducha, znajduje podstawę w warunkach przedmiotowych bytu, a przynajmniej jest wyrazem usposobień i dążeń, rozproszonych w atmosferze moralnej epoki naszej, potrzeb i nadziei, żywionych tu i owdzie.

Tego rodzaju wysubtelnienia i przeczulenia ducha są najczęściej wynikiem jego cierpień, czemś, co powstaje z bólu, z procesów chorobliwych, z podrażnień wewnętrznych: zupełnie tak samo, jak perła, jest produktem cierpienia ustroju mięczaka, który ją wydaje. Wielki polot ducha stoików naprzykład, niezwykle przeczulenie moralne takich ludzi, jak: Novalis, Fr. Amiel i t. p., ogromna wrażliwość uczuciowa podobnych dusz i wysoki stopień doskonałości, przez nie osiągnany, sprawiają wrażenie czegoś, co powstaje w męczeństwie, wbrew instyktom i dążeniom naturalnym, co rodzi się z wysiłku bolesnego po klęskach osobistych, zawodach i rozczarowaniach, czegoś, słowem, co jest rezultatem beznadziejności i wyrzeczenia się, co zostało wymuszone na jednostce ludzkiej.

Zupełnie inaczej wygląda wysubtelnienie moralne Maeterlincka: sprawia ono wrażenie czegoś, co powstało w pogodzie i radości ducha, co zostało wybrane z masy środków i dróg, jakie stały otworem przed jednostką ludzką, wybrane dobrowolnie, nie jako ostateczność desperacka, lecz jak coś, czego ona łaknęła wszelkiemi swemi żywotnemi energiami, całą swoją zdrową istotą. I to właśnie odejmuje tym niezwykłym polotom ducha, tym wyjątkowym usposobieniom i skłonnościami moralnym, ich charakter subiektywny, to budzi przekonanie, że są one dostępne duszom, mniej wyjątkowym, że mogą być przez nie podzielane i wznawane.

Te i tym podobne przymioty omawianych prac Maeterlincka, pomijając ich stylową świetność, stawiają je bardzo wysoko na pierwszym miejscu, w szeregu tych wszystkich, które w czasach naszych zmierzają do wzmocnienia dusz, nadwątlonych chwiejnością dyletancką, do uśmierzenia ich udręczeń jałowych i zwątpień ubezwładniających.

WL. JABLONOWSKI.

Królewski Uniwersytet Warszawski

(1817 — 1831).

ZARYS HISTORYCZNY.

W literaturze polskiej nie mieliśmy dotąd monografii, któraby wyczerpująco podała nam wiadomość o dziejach Uniwersytetu Warszawskiego, założonego przez cesarza Aleksandra I.

W „Przyjacielu Ludu“ (rok XI. tom II. str. 322 i n.) podano „Obraz historyczno statystyczny b. Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu“, lecz „Obraz“ ten jest bardzo pobieżny, dla tego nie można wyrobić sobie pojęcia o życiu wewnętrznem instytucyi, o jej znaczeniu w ówczesnym świecie naukowym. Pojawił się w druku „Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego, Wydział Oświecenia“ (sześć tomów po polsku i po rosyjsku w latach 1866—1868), lecz, jak sam tytuł wyjaśnia, oprócz „przepisów“, nic więcej w tym zbiorze nie znajdujemy. Możemy zanotować jeszcze, że luźne wiadomości i drobne szczegóły, dotyczące się dziejów wewnętrznych Uniwersytetu, znajdujemy porozrzucane w życiorysach profesorów i uczniów, drukiem ogłoszonych. Ani jedna z przywiedzionych prac nie odpowiada zadawalniająco na pytanie, czy Uniwersytet Warszawski należycie spełnił swe zadanie, czy nie zawiódł nadziei swoich organizatorów. Praca niniejsza osnuta przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, na źródłach rękopiśmiennych, a jako próba historii Uniwersytetu Warszawskiego, jest pierwszą z kolei, aby ten brak w literaturze polskiej wypełnić.

I.

Wiekopomnej pamięci mężowie: Stanisław Kostka Potocki, Staszic, Surowiecki, Lipiński, Prażmowski, Linde, Jan Wincenty Bandtkie, długoletnie zabiegi swoje około podniesienia oświaty narodowej, za czasów Księstwa Warszawskiego, uwieńczyli pozyskaniem Dyplomu Monarszego, ustanawiającego Uniwersytet w stolicy Królestwa. Dyplom podpisał cesarz Aleksander w Petersburgu dnia 19 listopada 1816 roku. Był to fakt wielkiej doniosłości, obiecujący ogromne korzyści dla kraju, bo, jak się Dyplom wyraża, „choć w Królestwie Polskiem zaprowadzone już są szkoły rozmaite i instytuta uczone, jednakże, aby oświecenie narodowe poprowadzić do stopnia najwyższego, należało stworzyć instytucję, gdzieby młodzież miała możliwość specjalnego wykształcenia się w kraju i tą drogą przygotowała się na pożytecznych krajowi sług i obywateli“. W tym celu do istniejących już w Warszawie dwóch wydziałów akademickich, t. j. prawa z administracją i lekarskiego, dyplom zaleca urządzenie jeszcze trzech wydziałów: teologicznego, filozoficznego i nauk i sztuk pięknych. Tej szkole nadany został tytuł *Królewskiego Uniwersytetu*. Uniwersytet miał zostawać pod zwierzchnictwem rektora, potwierdzonego na tem stanowisku przez króla i — dziekanów. „Tym sposobem ustanowionej przez Nas szkole głównej i wszystkim składającą ją mającym, tak krajowym, jako i z zagranicy przybywającym nauczycielom i słuchaczom, zapewniamy szczególną Naszą Królewską opiekę“. Pierwszym, wielkiej doniosłości przywilejem dla profesorów nie-szlachty było pozyskanie szlachectwa osobistego z chwilą wejścia na służbę do instytutu, a dziedzicznego po dziesięcioletniem zajmowaniu katedry uniwersyteckiej na stanowisku profesora zwyczajnego. Przywilej ten „za przykładem chwalebnej pamięci króla Zygmunta I-go“, był w dyplomie zamieszczonym. Przytem Królewski Uniwersytet pozyskał przywilej dawania wszelkich stopni w każdym wydziale, utrzymywania osobnej cenzury — słowem pozyskał te same prawa, jakie miały inne Uniwersytety w Rosyji i w państwach sąsiednich. Na utrzymanie Uniwersytetu wyznaczoną została suma odpowiednia z funduszków edukacyjnych, a dozór nad Uniwersytetem powierzony został Komisji Wyznań i Oświecenia Publicznego. Przygotowaniem projektu do powyższego dyplomu zajmowała się *deputacja edukacyjna, ad hoc* ustanowiona przez Komisję Rządową. Bi-

skup Prażmowski ułożył tekst polski, rozbierał go krytycznie Staszic; Bandtkie pisał po łacinie tekst, który się ostatecznie utrzymał. Podług tego tekstu Stanisław Potocki dokonał tłómaczenia francuzkiego. Dyplom, w trzech językach na pergaminie spisany, przesłano za pośrednictwem Namiestnika do Ministra Sekretarza Stanu, dla przedstawienia do Najwyższego podpisu. Pomimo starannej redakcyi, dyplom uległ rewizyi w Petersburgu, gdzie znaleziono niektóre niedokładności w tekście łacińskim; zwrócono go więc do Warszawy, a Prażmowski błędy usunął. Za pośrednictwem Namiestnika, dyplom królewski otrzymała Komisya Rządowa Oświecenia. dnia 6 grudnia 1816 roku.

Komisya Rządowa, po otrzymaniu dyplomu, powołała z grona swego kilku członków do zajęcia się pierwiastkowem urządzeniem Uniwersytetu. Członkowie ci, znani już nam jako deputacya edukacyjna, tak żywo zakrzętnęli się około powierzonej sobie sprawy, że już 23 grudnia 1816 roku złożyli raport Komisyi Rządowej, przedstawiając w nim potrzebę podania do pism publicznych wiadomości o założeniu w Warszawie Uniwersytetu, wezwania kandydatów do przyszłych katedr, zalecenia tym kandydatom, których deputacya edukacyjna miała na widoku, złożenia deklaracyi i programu trzyletniego kursu tych przedmiotów, do których wykładu mieli być powołani, i nakoniec — urządzenia tymczasowego *R a d y O g ó l n e j U n i w e r s y t e t u*, którejby najbliższem zadaniem było przygotowanie projektu do Statutu i utworzenie nowych wydziałów. Niezależnie od powyższego, deputacya już poczyniła przedwstępne kroki do przyszłej organizacyi i zakresliła w ogólnych zarysach plan urządzenia wewnętrznego Uniwersytetu.

Zanim poznamy się z tym planem, nie od rzeczy będzie, jak sądzę, przedstawić poglądy członków deputacyi na zadanie Uniwersytetu, na sposób, w jaki winna być młodzież przygotowana do słuchania kursów uniwersyteckich, na zapewnienie tejże młodzieży, po ukończeniu całkowitych kursów, praw do służby państwowej. Stanowisko to zaznaczyła deputacya w swych referatach, — przeniknęło ono do urzędzeń wewnętrznych, przedewszystkiem do Statutu, słuszna przeto w obecnej relacyi kronikarskiej zatrzymać się nad niem cokolwiek. Jużśmy powyżej powiedzieli, że członkowie deputacyi za Księstwa Warszawskiego kierowali oświeceniem publicznem. Wówczas wyrobili sobie pewne przekonania, poglądy, zamiebio-

ne wkrótce w systemat; wzorując się w części na rozporządzeniach dawniejszej Komisji Edukacyjnej Obojga Narodów, w części na wzorach, które znaleźli w sąsiednich państwach, rządzących na terytorium dawnej Rzeczypospolitej. Program swych czynności więcej rozszerzyli, aniżeli Komisya Edukacyjna w spuściźnie im zostawiła. Nie oglądali się bowiem na „jednostronną narodowość“, usunęli „zalety przypadkowe“ z niej wypływające, lecz z wielką energią dążyli do tego, aby zaszczerpić w narodzie te przekonania, jakie u sąsiadów pozyskały już prawa obywatelstwa; więc: stosowanie nauk do obowiązków wyższego urzędowania; zrozumienie potrzeby kształcenia się po Uniwersytetach; wykazanie wszelkich wad „obieralności“, uprawnionej osobistemi i przypadkowemi, jak urodzenie, zaletami. Nauczeni doświadczeniem, nie myśleli pobudzać do działania „zmurzsałych“, jak się wyrażali, przywilejów; dla tego po roku 1806 usunęli zupełnie dawne formy urzędowania. Gdy w r. 1808 powstała w Warszawie Szkoła prawa, a w r. 1809 Szkoła lekarska, ciż mężowie, będący u steru wychowania publicznego, wyrobili u Fryderyka Augusta, Księcia Warszawskiego, dekret 11 lipca 1809 r. (*Dzien. praw* I. 298), aby wychowañcy tych szkół zajmować mogli w przyszłości wyższe lub niższe urzędy, zależnie nie od swego pochodzenia, lecz od naukowego przygotowania. Stańisław Staszic, który jeszcze w r. 1785 w dziele swem: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“, kładzie nacisk, aby tylko naukowo usposobieni, bez względu na to, czy należą do uprzywilejowanych, czy do plebejuszów, zajmowali urzędy, — dawne swoje myśli za czasów Królestwa wprowadził w życie. Dla tego, dzięki przeważającemu wpływowi Staszica w deputacyi, której był przewodniczącym, Uniwersytet Warszawski pozyskał dla swoich wychowañców wielkie przywileje, które urodzonego w pałacu, zarówno jak w chacie, w zupełności obejmowały. Drugi działacz, Stanisław Potocki, który za Księstwa Warszawskiego tyle szkół dla ludu wiejskiego założył, przedstawił cesarzowi Aleksandrowi, że wskrzeszenie królestwa, wskutek tylu klęsk ostatnimi laty poniesionych, w Uniwersytecie znajdzie najpewniejszy środek wzniesienia przez nauki bytu i ducha narodowego. Tylko przez naukę pozyskać można urząd, akcentuje deputacya edukacyjna. W nauce widzi ona najświetniejszą przyszłość kraju; przez naukę — cywilizacya i postęp zajmą należne sobie miejsca, a przesady, które pochodzą z braku wiadomości, a częściej jeszcze z uprzedzenia lub z osobistych widoków — chociaż są trudne do usunięcia, lecz pod wpływem wszechmocnej oświaty i one znikną bez śladu. W jednym z raportów delegacya się wyraża: „Nie dosyć cenić imię Polaka, sławić święte wyrazy Ojczyzna, narodowość, zasypiać w powtarzaniu dawnej sławy na-

rodowej, potrzeba do własnej dążyć wielkości, potrzeba przez ogrom nauk i wiadomości stawać w równi, następnie przewyższać inne narody, by te nas czcily i szanowały, by drugi Erazm Roterdamczyk powtarzał, że Polska jest na nowo ojczyzną wszystkich, którzy śmieją być uczonymi.“

Ponieważ w życiu konstytucyjnym wzięły udział wszystkie warstwy narodu, a nie jedna tylko szlachta, przeto warstwy te należało odpowiednio do nowego ich przeznaczenia przygotować. Zniknięcie przywilejów ułatwiało zadanie. Dzięki tym nowym warunkom, młodzież uboższa, stosownie przygotowana, miała zapewnione sobie miejsce, chociażby najwyższe, w hierarchii społecznej; młodzież zamożniejsza, aby się nie potrzebowała rumienić na widok młodszej dotychczas braci, przewyższającej ją talentami, musiała tą samą postępować drogą. Systemat przeto zrobił swoje: młodzież, czy to bogata, czy uboga, aby osiągnąć ideału, wskazywanego jej przez naród, w tymże kierunku dążyła. W chwili, gdy wspomnieni mężowie rozpoczynali swoją misję, nie było w kraju wyższych zakładów naukowych. Akademia Krakowska, po raszyńskiej bitwie, przyłączona do Księstwa, przechodziła wówczas krytyczne chwile i nie dawała rękojmi, że powierzoną sobie młodzież wychowa według wskazówek Izby Edukacyjnej. Była więc zmuszona Izba zdolniejszych a chciwych wiedzy wysyłać za granicę, aby tam przygotowali się do życia publicznego, a między wychowancami byli po większej części przyszli profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego.

Mając już pierwsze kadry, Komisya Rządowa, dla zapewnienia trwałości swemu systematowi, zaprowadziła popisy dojrzałości, wzorowane na wewnętrznem urzędzeniu Szkół departamentowych z d. 16 listopada 1812 roku. Zasada tych popisów polegała na tem: „by młodzież, należycie usposobiona, wychodząc ze szkół wojewódzkich, mogła rzetelnie korzystać z nauk wyższych, by, oswojona z ich obszerną dziedziną, mogła obrać jedne z nich za główne, umiała cenić drugie za pomocnicze, a w żadnej nie była zupełnie obcą“. Kto chciał po ukończeniu Szkół wojewódzkich wejść do Uniwersytetu, ten w najwyższej klasie powinien pozostawać dopóty, dopóki nie wykazał swej dojrzałości przez ścisły, bezstronny egzamin. A zatem tylko osobiste zalety dawały pierwszeństwo do studyów w Uniwersytecie. Popisy były publiczne, przeto i zwierzchność otrzymywała dokładną wskazówkę, do jakiego stopnia doprowadzono przygotowanie młodzieńca; nie mniej i młodzież sama przekonywała się o zakresie własnego i współkolegów przygotowania. I z tego jeszcze względu popisy te uznawano za ważne, że tamowały one dostęp do Uniwersytetu mniej uzdolnionym. Wreszcie, na zasadzie tych poglą-

dów, wychowujący się według tego systematu pobierali wychowanie narodowe, publiczne. Działacze ci utrzymywali, że dawniejsze wychowanie, na zasadzie konstytucyi 1775 roku, nie było narodowem, powszechnem, bo chociaż plebejuszom i wówczas wolno było do szkół uczęszczać, lecz szkoła nie dawała im praw żadnych. Nie mogli być nawet woźnymi przy sądach ziemskich i grodzkich, jeżeli nie mieli klejnotu szlacheckiego.

Aby ten systemat, który w streszczeniu podałem, w dalszym swym rozwoju nie został powstrzymany, nie stał się martwą literą — Komisya Rządowa przedstawiła Radzie Administracyjnej projekt *Egzaminów na urzędy*. Namiestnik Królewski dnia 12 listopada 1816 roku zamienił ten projekt w prawo („Dzienn. praw II. 225). „Pragnąc zabezpieczyć rząd i obywateli od zawodnych wyborów — czytamy tam — a krajowi zapewnić publiczną służbę, na zaufaniu i na dowiedzionej zdatości ugruntowaną, chcąc wzniecić w narodzie mocniejsze pobudki do oświecenia i okazać mu rzeczywiste pożytki z nabywanych nauk i z usposobienia, po wysłuchaniu Rady Stanu ogólnego zebrania, postanowiliśmy i stanowimy.“ Prawo powyższe o *Komisjach egzaminacyjnych* jest identyczne z wyrokami królewskimi Księstwa Warszawskiego („Dzienn. praw I. 305.; II. 122. 368“). Jak ongi, tak i obecnie postawiono za warunek dobrego urzędowania wykazanie dowodów na to: czy rząd, czy naród może obdarzać bez zawodu swoim zaufaniem zabierających się do usług publicznych. Według cytowanego prawa, rząd wskazuje młodzieży drogę zasługi i cnoty, którą na urzędy wstępować należy; z upadłą obieralnością, opierającą się jedynie na rodzie, ziemi i względach — następowała nowa era. Zastrzeżono, że „sędziowie, nawet obieralni, mają się poddawać tej próbie“; „by każdy, starający się o urząd, okazał swoje usposobienie przez examen“; prawo zakazuje władzom krajowym: „ani podawać, ani mianować na urząd osób nie examinowanych“. Czy ten systemat Deputacyi edukacyjnej nie był jednostronnym, czy nie wpływał on w części demoralizująco na młodzież, przyuczając ją szukać nie w nauce, ale w egzaminie, drogi prowadzącej do karyery, o tem w innym miejscu obszerniej pomówię.

Poznajomiwszy się powyżej z poglądami Deputacyi na sprawę wykształcenia uniwersyteckiego młodzieży, wypada nam obecnie w krótkich słowach zaznaczyć, w jaki to sposób Deputacya spełniła poręczone sobie zadanie odnośnie do pierwiastkowej organizacyi Kró-

lewskiego Uniwersytetu. Zaleciła przedewszystkiem dziekanom istniejących zakładów „akademickich“, aby przedstawili Towarzystwu elementarnemu szczegółowy plan nauki, etat, poglądy na karność uczniów, egzamina, stopnie uczone. Bandtkie i Dziarkowski bardzo sumiennie spełnili dane sobie polecenie. Świadczą o tem obszernie memoriały, oraz objaśnienia i przeróżne dodatki, spisywane na żądanie Wydziału oświecenia. Gdy ogromny ten materyał Towarzystwo elementarne rozpatrzyło i krytyczne poczyniło nad nim uwagi, — wówczas Deputacya edukacyjna zajęła się ostateczną redakcyą, przygotowała motywy i wnioski i ogólny ten plan organizacyi przedstawiła Komisji Rządowej dnia 27 września 1816 roku. Projekt ten uległ w późniejszych czasach modyfikacyom, poczynionym przez Radę Ogólną Uniwersytetu; nie był nigdy drukowanym, dla tego sądzę, że będzie właściwem przedstawienie kilku wyjątków z tego projektu; będzie to zarazem pamiątką po znakomitych mężach, których obywatelskie usiłowania i praca niemała nie przeniknęły do powszechnej wiadomości — a dziś, pyłem okryte, interesują zaledwie kronikarza owej epoki.

„We wszystkich wydziałach tego projektu jest kurs całkowity wszystkich przedmiotów trzyletni, w wydziale tylko lekarskim czteroletni. Do dziekanów należeć będzie oznaczyć przedmioty, na które uczniowie każdego roku uczęszczać mają, tak w swoim właściwym wydziale, jak w innych, gdyż na wszystkie razem, nawet w jednym, nie mogliby się dostatecznie przygotowywać. W każdym wydziale są najprzód umieszczone przedmioty przygotowawcze, dla uczniów pierwszoletnich, czyli co rok przybywających. Ci zatem, choćby innych przedmiotów nie słuchali w swoim wydziale, tylko same pojedyncze, nicby na tem nie tracili, mając tem więcej czasu na słuchanie przedmiotów stycznych w innych wydziałach. Np. uczniowie prawa pierwszoletni, słuchając swoich nauk w katedrze pierwszej objętych 6 godzin na tydzień, mogą i powinni uczęszczać do wydziału filozoficznego na loikę, etykę, na języki i literaturę.

„W drugim, nawet i trzecim roku nie powinni zupełnie wydziału filozoficznego opuszczać, ale tylko mniej w nim słuchać przedmiotów, przybierając więcej w swoim. Teologowie także mogą i powinni uczęszczać do wydziału filozoficznego, na język hebrajski, łaciński, na loikę, historię powszechną, literaturę polską i na fizykę. Medycy na chemię, historię naturalną, fizykę, antropologię i języki. Tym sposobem zatrudniać się będzie wydział filozoficzny, który sam przez się nie wieleby liczył słuchaczów...“ „Wszystkie przedmioty połączone są w katedry, a dla każdej katedry przeznaczono po 6 godzin na tydzień. Nie w tej myśli, aby koniecznie każda katedra miała osobnego

profesora, lub żeby jeden profesor wszystkie w niej objęte przedmioty dawał, bo to zależy od osób, jakie się dobiórą, ale dla tego, aby z takiego rozkładu na godziny ułatwić ocenienie każdego pensyi, w miarę liczby przedmiotów i godzin. Co jednak nie będzie przeszkadzać Magistraturze naczelnej powiększaniu pensyi przez dodatki ad personam, dla przyczyn szczególnych.“

„W wydziale teologicznym nie oznaczono liczby godzin dla każdego przedmiotu, bo Delegacya nie wie, czy ten wydział ma być złączony z Seminarjum duchownem, czy nie. Jeśli albowiem będzie połączony, wtenczas potrzeba mieć wzgląd na ćwiczenia praktyczne przyszłych duchownych w obrządkach kościelnych. To zatem zostawia się dziekanowi przyszłemu z profesorami. Podobnież nie oznaczono godzin w wydziale lekarskim, bo wydział terazniejszy, mimo powtórnego wezwania, ani podzielił przedmiotów na katedry, ani oznaczył liczby godzin dla każdego przedmiotu; wyliczając zaś je, który profesor daje i dzieląc wszystkie na 8 półroczy zimowych i letnich, nie wylicza przedmiotów głównych, jakich słuchać mają uczniowie w tychże półroczach, ale tylko ich drobne części, czyli rozdziały, tak, iż z tego wyliczania nie można było z pewnością stanowić katedr. Katedry tego wydziału w projekcie są ułożone podług planu Uniwersytetu Krakowskiego, ostatnim razem przez barona Reibnitza i medyków krakowskich ułożonego, który z uwagami Towarzystwa elementarnego przesłany był Wysokiej Komisji Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego. Przyznać jednak należy, iż rozkład wspomniany terazniejszego wydziału lekarskiego (warszawskiego?), jest dobry, jak zaręcza jego dziekan; może być tak dalej kontynuowany. Lecz chyba sam wydział potrafi podług niego dopełnić rubryki, jakie są w projekcie Towarzystwa dla innych wydziałów.“ „W wydziale prawnym projekt etatu stanowi tylko 3 katedry. Dziekan tego wydziału w pierwszym podaniu żądał 5, a w drugim, lubo rozkład uczynił za 3 tylko, ale powtarza prośbę dawniejszą o 5. Towarzystwo przy rozkładzie na godziny dostrzegło, iż, podług własnych warunków dziekana, dosyć będzie 4 i tę liczbę naznacza. W tymże wydziale oddział administracyi żąda 4 profesorów. Lecz dla ostatniego profesora naznacza tylko 2 godziny na tydzień, na leśnictwo; to dawane będzie obok Botaniki w oddziale umiejętności wydziału filozoficznego, a zatem ta katedra tu upada. Trzem zaś innym profesorom naznacza tylko po 4 godziny na tydzień, lub przedmioty ich są dosyć rozdrobione. Profesorowi zaś statystyki w trzecim roku tylko 3 godziny. Że zaś projekt etatu i dla tych katedr przeznaczają po 6,000 zł., przeto Towarzystwo, rozkładając te przedmioty tak, aby każdy profesor miał po 6 godzin na tydzień, zredukowało wszystkie na dwóch. Prawda, iż te

nauki, tak jak wszelkie inne, zyskiwałyby na tem, gdyby na 3 katedry były podzielone, ale wtenczas zdaje się, iżby wypadło, albo liczbę godzin dla każdego po 6 na tydzień, albo pensyę dla każdego mniej niż po 6,000 przeznaczyć. W tym przypadku mógłby p. Dzierożyński połowę przedmiotów objąć na pierwszą katedrę tego oddziału. Dla porównania kładziemy tu rozkład przez oddział administracyjny zrobiony:

I.

Encyklopedia ekonomii politycznej, politycy, finansów, co rok, na tydzień godzin	1
Ekonomia polityczna pierwszego roku godzin.	3
Nauka prawodawstwa policyjnego drugiego roku.	3
Nauka finansowa trzeciego roku	3

II.

Zasady ogólne statystyki co rok godzin	1
Statystyka szczegółowa Polski pierwszego roku.	3
Statystyka obcych krajów drugiego roku	3
Arytmetyka polityczna trzeciego roku	2

Trzecia katedra oddziału administracyjnego jest zupełnie tak jak w projekcie Towarzystwa № II., tylko z tą różnicą, że nie 6 godzin, ale 4 na tydzień zamierza. „W wydziale lekarskim projekt niniejszy ma tylko katedr 7, a projekt etatu ma ich 9. Lecz ten ostatni wymienia doktora Hoffmanna, a nie daje mu żadnej katedry. Profesor więc ten może mieć katedrę w wydziale filozoficznym: mineralogii, geologii, zoologii“. „Wydział filozoficzny w oddziale umiejętności ma tyleż katedr, co i w projekcie etatu; w oddziale nauk, lubo ubyłaby katedra filozofii, przeniesiona do działu umiejętności, z tem wszystkim przybyło 2 katedry, bo na miejsce filozofii położono katedrę języków orientalnych, z których przynajmniej hebrajski dla teologów będzie koniecznie potrzebny; nadto katedra bibliografii z dozorem biblioteki i katedra porównująca języki słowiańskie. Mimo to jednak liczba katedr na wszystkich oddziałach niniejszego projektu równa jest liczbie umieszczonych w projekcie etatu, bo jedną tylko

ma więcej; koszta zatem nie powinny się znacznie powiększyć, chyba przez dodatki ad personam.

„Lubo liczba godzin dla każdej katedry, której pensya przeznaczona jest 6,000, zamierza się ogólnie po 6 godzin na tydzień, zrobiono jednak wyjątek, naprzód dla katedry drugiej administracyi w drugim roku, z powodu, iż w tymże roku, dając zastosowanie agronomii dla kraju, będzie musiał profesor wychodzić z uczniami w pole. Potwóre, dla katedry filozofii, z tego powodu, że zwłaszcza w początkach będzie trudność w znalezieniu osoby, któraby, temu jedynie poświęcając się, mogła te przedmioty w całej obszerności dawać. Jeżeli jednak Wysoka Komisya ma taką osobę, łatwo będzie, zamiast po dwie, po trzy godziny na każdy przedmiot oznaczyć. Katedrze także Astronomii trzy tylko godziny naznaczono, przez wzgląd, że tenże profesor ma w dzień uczyć, a w nocy obserwować. Katedrom nakoniec Botaniki i Bibliografii przeznaczono tylko po 4 godziny, przez wzgląd, że do pierwszego profesora należeć będzie dozór ogrodu z ekskursyami botanicznemi, do drugiego biblioteka”. „Kończąc usprawiedliwienie niniejszego projektu, ośmiela się Delegacya uczynić przełożenie, że plan ten, jakkolwiek może być jeszcze poprawiony, uzupełniony, nie powinien jednak i po potwierdzeniu być uważanym za prawidło niewzruszone, od którego przy wykonywaniu nie godziłoby się w niczem odstępować. Wybór osób, rozdzielenie godzin na osoby i oznaczenie godzin w dniu każdym (o której jaki przedmiot ma być dawany, aby słuchaniu innych pobliskich nie przeszkadzał), sam czas wreszcie i doświadczenie mogą wskazać potrzebę odmian. Z tejże przyczyny nie wypada spieszyć się zbyt z urzędzeniem wewnętrznem nowego Uniwersytetu. Rząd pruski, lubo systematyczny we wszelkiem postępowaniu, zakładając jednak Uniwersytet w Berlinie, przestał tylko na wyznaczeniu funduszów, wyliczeniu prostem przedmiotów, które początkowo chciał mieć dawane, i mianowaniu profesorów. Zrobienie zaś Statutu organicznego i planu zupełnego zostawił czasowi dalszemu, tak, że do dziś dnia, ani urządzenie, ani plan nie są od Rządu przepisane; Uniwersytet jednak wznosi się olbrzymim krokiem, w ten sposób, że Rząd stara się co rok zadosyć uczynić potrzebom, jakie mu Uniwersytet wcześniej przekłada.”

Za tą ostatnią wskazówką poszła Komisya Rządowa, gdyż przez cały czas istnienia Uniwersytetu Statuta jego, wogóle urządzenie wewnętrzne było „tymczasowe” i, mimo wielokrotnie podejmowanych prac przez różne delegacye, z ramienia komisji wyznaczane, Statut nie pozbył się cechy tymczasowości. Według Etabu, ułożonego przez Towarzystwo elementarne (podajemy tylko cyfry ogólne), profesoro-

wie wydziału teologicznego pobierali wogóle pensyi 17,000 zł.; na wydział lekarski przeznaczono wogóle 59,574 zł., z tej sumy na kliniki 5,234 zł., na instrumenta anatomiczne, chirurgiczne i ekstraordinaria *salvo calculo* 6,000 zł.; na wydział prawa i administracyi 33,000 zł., z tych na ekstraordinaria 1,000 zł.; na wydział umiejętności matematyczno-fizycznych 6,000, z tych na ekstraordinaria 6,000 zł.; na wydział literatny, nauki i sztuk 42,000 zł. Zatem wydatki ogólne na Uniwersytet przewidziane były 207,514 zł., co w porównaniu z Uniwersytetem wileńskim, który miał etatową sumę wyznaczoną w ilości 700,000 zł., było bardzo skromnie obliczone. Przeznaczono jeszcze w tymże Etacie 100,000 zł. na instytuty praktyczne, jak weterynaryja, gospodarstwo rolnicze i politechnika, ale z tego funduszu na korzyść Uniwersytetu nic nie wpłynęło.

Deputacya edukacyjna, z rozporządzenia Komisji rządowej 13 sierpnia 1816 roku uorganizowana, składała się z następujących osób: Staszica jako prezydującego, biskupa Prażmowskiego, Lindego i sekretarza generalnego Komisji, Surowieckiego. Po ułożeniu planu, z którego powyżej podane są wyjątki, zajęła się wyszukaniem profesorów przyszłych katedr. Jakkolwiek do wydziału teologicznego proponowano znanych w Warszawie teologów, deputacya była tego zdania, ażeby za pośrednictwem gazet ogłosić wszystkie katedry teologiczne za wakujące; ażeby kandydaci przesyłali Komisji dowody z odbytych nauk, wymotywowane programata i bieg życia. Po nabyciu przekonania o zdadności zgłaszających się i zasięgnięciu opinii zwierzchności duchownej o ich konduicie, kandydaci powinni przez pewien przeciąg czasu, dla udowodnienia rzeczywistego uzdolnienia swego, pełnić obowiązki zastępczo, bez uprzedniej nominacyi. Wydział prawa i administracyi, jako już oddawna istniejący, miał już swoich profesorów: Fr. Szaniawskiego, Bandtkiego, Engelkego, Krysińskiego i Hoffmanna Jana. Jedna tylko katedra okazała się wakującą, do niej zaproponowała delegacya Dzierzżyńskiego. Wydział lekarski, również oddawna istniejący, miał wszystkie katedry zajęte. W tym wydziale według nowego planu miało być siedm katedr z weterynaryją, do której się podał na kandydata Rudnicki, były profesor krakowski; w rzeczywistości było tylko sześć, bo prosectorstwo zaliczono do anatomii. W wydziale filozoficznym miało być 17 katedr, żadnego wydział nie miał profesora, jako nowo powstały. Deputacya z podanych kandydatów jednych przedstawiała, jak np.: Armińskiego, Szuberta, Jakóba Hoffmanna, Aignera i Bacciarellego; innych zaproponowała na zastępców z liczby nauczycieli w Liceum: Stefanyusza, Szwejkowskiego, Zubelewicza, Bentkowskiego, Kitajewskiego, Krzyżanowskiego, Skrodzkiego i Dąbrowskiego. Pierwsi mieli

być umieszczeni na etacie uniwersyteckim, drudzy na etacie liceum; w miarę godzin dawanych w Uniwersytecie, ci ostatni mieli pobierać dodatkowe wynagrodzenie z sum uniwersyteckich.

Skutkiem ogłoszenia w gazetach o wakujących katedrach, posyłały się oferty. Pódamy nazwiska konkurujących, w takim porządku, w jakim deklaracje nadsyłali. Wzmiankowany Rudnicki Adam prosi o katedrę weterynaryi, gdyby go ta ominęła, obowiązuje się wyklądać: okulistykę, dentystykę, lub medycynę sądową; Blank Antoni prosi o katedrę malarstwa; Bychowiec Józef—o katedrę filozofii; Szymkiewicz Jakób, lekarz wileński, przyszły prezes „Szubrawców“, prosi o jakąkolwiek katedrę na wydziale lekarskim; ks. Dembek o katedrę teologii moralnej; Chmielewski Adam — o katedrę języka hebrajskiego; Szpilowski Hilary — o katedrę architektury cywilnej; Kosicki Euzebiusz — o katedrę filozofii praktycznej, czyli moralnej; Minasowicz Józef Dyonizy — o katedrę prawa; Zontag Józef — o katedrę malarstwa; d’Mars Józef z Torunia — o katedrę prawa; Pawłowicz Piotr ze Lwowa podał prośbę bezpośrednio do Króla o katedrę prawa; Ohm Marcin z Erlangen prosi o katedrę filozofii lub matematyki; Hahnemann, profesor medycyny w Lipsku, za pośrednictwem barona Morenhejma, prosi o katedrę na wydziale lekarskim; Matuszewski Wincenty — o katedrę filozofii; Werner Józef, profesor filozofii w Akademii królewskiej de Raab — o katedrę filozofii; Kulpiński Józef — o katedrę kliniki; Petrowich Mateusz z Pesztu — o katedrę medycyny; Kraiński Wincenty, późniejszy profesor wrocławski, — o katedrę ekonomii politycznej; Wagner Ehregot, pastor luterski z Saksonii—o katedrę teologiczną; Vicini Ludwik prosi o katedrę, jaką zajmował w Wilnie (?), t. j. fizjologii i anatomii porównawczej; Urmowski Klemens — o katedrę na wydziale prawa; Leo dr — o katedrę medycyny; przytem zapewnia, że chociaż obecnie słabo włada językiem polskim, lecz w ciągu roku wyćwiczy się. Szostakowski Tadeusz prosi o katedrę mineralogii; Fijałkowski Ignacy—o katedrę terapii lub położnictwa; Soczyński dr, z Krakowa — o katedrę kliniki; Ledoux, tancmistrz — o lekcyje w Uniwersytecie; Brykczyński Józef — o docenturę literatury polskiej; Migdałski, mechanik w Berlinie, — o katedrę profesora mechaniki praktycznej; Jaroński Feliks, z Krakowa, — o katedrę na wydziale filozoficznym lub teologicznym; Greyber Wiktor — o katedrę malarstwa; Berdau Sansterre — o katedrę języka niemieckiego; Roliński — o katedrę anatomii; Courtin L. — o katedrę malarstwa; Wernik Tadeusz — o katedrę agronomii; Sztek Konstanty poleca się na lektora języka i literatury angielskiej i francuskiej.

Wobec tak licznych ofert, nie miała Delegacya wielkiego kłopotu z urządzeniem wydziałów. Przedstawiła więc Komisji do katedr teologicznych, księży: Szwejkowskiego, Szymonowicza, Dembka i Szarkiewicza. Podała przytem wniosek, ażeby obmyślony został fundusz na utrzymanie pewnej liczby uczniów teologii; aby uczyniono odezwę do Biskupów, w której wystawiwszy pożytki i potrzebę wyższych nauk i ostrzeżenie, że wyższe stopnie w hierarchii kościelnej będą przyznawane tylko kończącym nauki w Uniwersytecie, ażeby Biskupi wezwali duchownych tak świeckich, jak zakonnych, aby udawali się na teologię do Warszawy. Że zaś Misyonarze przyrzekli dać pewnej liczbie słuchaczy teologii pomieszczenie u siebie i salę na naukę, — przeto Delegacya wnosi, aby wezwać Misyonarzy do urzędowego oświadczenia się w tej mierze.

Na 8 katedr wydziału Umiejętności fizycznych i matematycznych Delegacya przedstawiła: Zubelewicza, Dąbrowskiego, Armińskiego, Skrodzkiego, Kitajewskiego, Jakóba Hoffmanna i Szuberta. Ponieważ Lange zobowiązał się bezpłatnie wykładać hydrotechnikę dróg i mostów i żądał tylko, aby mu był dany pomocnik do rysunków, Wierzejski, z pensją miesięczną 300 zł., przeto Delegacya wniosła, że katedra wakująca geometryi wykresłej może jeszcze do czasu pozostać nie zajęta, a fundusz na nią przeznaczony użyć należy na szkołę inżynierów cywilnych i opłatę Wierzejskiego.

Na 6 katedr w wydziale nauk przedstawieni zostali: Stefasyusz, Feliński, Bentkowski, Jerzy Samuel Bandtkie, Varenne i Aigner; ci dwaj ostatni do oddziału Sztuk Pięknych.

Takim sposobem wszystkie wydziały Królewskiego Uniwersytetu, według zdania Delegacyi, powinny być otwarte w styczniu 1817 roku. Nienormalny początek roku szkolnego nie powinien mieć wpływu na całokursowe egzamina, które nie w lutym, ale w lipcu 1819 roku ukończone być powinny.

Ponieważ nagłość potrzeby i krótkość czasu nie pozwalały, ażeby proponowani kandydaci konkurowali obecnie w sposób przepisany do katedr uniwersyteckich, przeto Deputacya była tego zdania, ażeby wezwani do wydziału teologicznego, fizyczno-matematycznego i oddziału nauk pięknych, byli wezwani tymczasowo na zastępców. Ten sposób obsadzenia wakujących katedr zastępcami uważała delegacya za najodpowiedniejszy; też same bowiem osoby, bez których liceum nie mogłoby się obejść, zastępowały profesorów w Uniwersytecie. Delegacya tak rozumowała: „Naznaczywszy im w liceum po godzin 10 na tydzień, w Uniwersytecie po godzin 4, z pensyi zaś z kasy liceowej po 3,000 i z kasy Szkoły Głównej po 3,000 na rok, nagroda będzie odpowiedna (zamiast 6 po 14 godzin na tydzień);

a oszczędności posłużą na opłacenie kolaboratorów, przejmujących pozostałe godziny, częścią na koszta nowych zakładów Szkoły Głównej“.

Nic więcej zatem nie pozostawało Delegacyi do zrobienia, jak wystąpienie z wnioskiem do Komisji rządowej, ażeby każdemu z kandydatów zaproponować przeznaczone miejsce, żądać deklaracyi, a następnie wezwać do jaknajprędzszego przygotowania programatów. Z jednym jeszcze, ostatnim już wnioskiem, wystąpiła Delegacya edukacyjna do Komisji rządowej, mianowicie: niezwłoczne ustanowienie Ogólnej Rady Uniwersytetu, dla tego, że Rada ta powinna się zająć urządzeniem wewnętrznem tej szkoły i przyjąć na siebie atrybucye i obowiązki Rektora Uniwersytetu. Rada pod prezydencją członka Komisji Oświecenia składać się będzie: z delegowanych członków tejże Komisji, z dziekanów i z pełniących obowiązki dziekanów. Przedewszystkiem Rada Ogólna, według wniosków Delegacyi, powinna się zająć: 1-o przejrzaniem i zastosowaniem tymczasowego urzędzenia, wydanego w roku 1814 dla Szkoły Głównej Krakowskiej; 2-o zaprowadzeniem rad wydziałowych, czyli dziekańskich, złożonych z dziekana i właściwych profesorów lub zastępców; 3-o oznaczeniem, które atrybucye i obowiązki rektora mają należeć do Rady Ogólnej, które do rad wydziałowych, a które do samych dziekanów; 4-o rozwiązaniem i podaniem pod zatwierdzenie programatów tak profesorów, jak i wydziałów; 5-o ogłoszeniu tychże programatów i kursów przez pisma publiczne; 6-o wyznaczeniem sal dla profesorów; 7-o ustanowieniem i oznaczeniem kolei godzin na lekcye

Jednem słowem, Rada Ogólna powinna niezwłocznie zająć się tem wszystkim, co uzna za potrzebne do urzędzenia Królewskiego Uniwersytetu. Do wydziału teologicznego zaproponowała Delegacya na zastępcę dziekana ks. Szwejkowskiego; do fizyczno-matematycznego ks. Dąbrowskiego; do wydziału nauk i sztuk — Bacciarellego, tego ostatniego z pensją 2,000 zł. Powyższe wnioski podpisali członkowie Delegacyi 27 grudnia 1816 roku, a zatwierdził je minister Potocki 31 grudnia 1816 roku.

Na zasadzie powyższego rozporządzenia Komisji Rządowej utworzyła się Rada Ogólna Uniwersytetu i 4 stycznia 1817 roku rozpoczęła swoje czynności. Do składu jej weszli: Staszic jako prezydujący, Surowiecki, hr. Sierakowski, biskup Prażmowski i Linde ze strony Komisji; dziekan Bandtkie, dziekan Dziarkowski,

zastępcy dziekanów: Szwejkowski, Dąbrowski i Bacciarelli. Posiedzenia odbywały się raz w tydzień co sobota. Od początku swego urzędowania Rada Ogólna zajęła się rozpoznaniem stanu dwóch już istniejących wydziałów: prawa i lekarskiego. Praca była mozolna, drobiazgową; dawny system, którym się dotąd rządziły dwa te wydziały, należało pogodzić z systemem nowym, ogólnym — podług planów i zamiarów komisji rządowej. Bardzo czynnym i doświadczonym członkiem Rady Ogólnej okazał się Bandtkie; prawdę powiedziawszy, na każde posiedzenie przedstawiał Bandtkie bardzo szczegółowe autoreferaty; zebrani dyskutowali nad nimi, w większości wypadków przyjmowali je bez modyfikacji i przedstawiali do zatwierdzenia władzy wyższej. W ten sposób plan nauk i rozkład godzin był ułożony i przez Komisję zatwierdzony. Plan był dobry i z tego względu, że profesorowie i słuchacze, tak poczynający, jak kończący, bez straty czasu studia swe odbywali. Skutkiem nowej organizacji, na miejsce ubytych czterech profesorów wydziału lekarskiego wezwano sześciu nowych i obsadzono 9 katedr na tym wydziale. Podobnie i wykłady na wydziale prawa odpowiednio do nowych wymagań urządzone zostały. Nowe wydziały: teologiczny, filozoficzny, nauk i sztuk pięknych, również według zatwierdzonej formy urządzone zostały. Liczba zatem wszystkich profesorów powołanych do Uniwersytetu wynosiła osób 42, to jest 9 dawnych a 33 nowo przybranych. W krótkim więc czasie urządzone Instytut. Oprócz znacznej liczby wolnych słuchaczy, zapisało się na stałych 221 słuchaczy, należycie przygotowanych w szkołach wojewódzkich; zaczęli się doskonalić w naukach do wszelkich zawodów usługi publicznej. Dalszem zajęciem Rady Ogólnej było rozpatrywanie programatów, nadesłanych przez kandydatów. Rada bardzo szczegółowo wnikała w kwalifikacje podających się na profesorów, i w miarę postępu swych zajęć, przedstawiała Komisji rządowej swe opinie w tej mierze. Obok tego trudniła się Rada rozpoznawaniem kwalifikacji uczniów, przybywających do Uniwersytetu, tak ze szkół krajowych, jako też z zagranicy, stosownie do nowych przepisów. Czyniła odpowiednie wnioski do Komisji rządowej, jak np. odnośnie pieczęci. W tej materii Komisja odniosła się do Namiestnika Królewskiego (4. XI. 1817 Nr. 4458) i projekt odpowiedni przedstawiła. Na zasadzie postanowienia Namiestnika pieczęć uniwersytecka była następująca: Orzeł polski w koronie z rozpostartymi skrzydłami i ogonem; trzymał w jednej szponie gałązkę palmową, w drugiej laurową. Około niego pięć gwiazd w pięciokąt foremny, oznaczających pięć wydziałów, a na brzegu pieczęci wokoło napis: *S i g i l l u m U n i v e r s i t a t i s R e g i a e V a r s a v i e n s i s M D C C C X V I*. Wielu trudnościom podlegało przygoto-

wanie urządzenia wewnętrznego. Uniwersytet bowiem Warszawski, jak o tem już była mowa, miał specjalne przeznaczenie: stosunki jego z rządem, nowy wpływ, jaki mu nadały prawa na stan polityczny i administracyjny, sprawiały, że nie znajdowano wzorów odpowiednich w dawniejszych i obecnie istniejących sąsiednich uniwersytetach; rzecz więc całą musiano opracować samodzielnie. Przepisy Komisji Rządowej, aby należycie tylko usposobieni uczniowie przypuszczani byli do Uniwersytetu, dobre skutki sprawiły. Nauczanie dla profesorów stało się łatwiejszem, a słuchacze bez mozołu, zawodu, straty czasu, mogli doskonalić się w obranych naukach. Rozpoznawanie owego „usposobienia“ licznie cisnących się uczniów do Uniwersytetu dużo zajmowało czasu Radzie Ogólnej, która, przekonawszy się, że bywały dość częste usiłowania, aby uniknąć tak ważnego lecz uciążliwego przepisu przemyśliwała rozliczne środki, aby zatamować to wyłamywanie się z pod ogólnego rozporządzenia. Środki te Komisya rządowa zatwierdziła (№ 3258 26. VIII. 1817). Równocześnie przekonała się Rada, że jeżeli nie będzie zrobiony wyjątek dla słuchaczy Teologii, to wydział ten, dla braku kandydatów, nie może być otwartym. Aby tego nie dopuścić, zwróciła się Rada do Komisji z wnioskiem o zawieszenie przepisu ogólnego na dwa lata dla wychowanców seminaryów dyecezyalnych, gdyż rzadko który z nich mógł przedstawić świadectwo dojrzałości (18. X. 1817. № 4263). Komisya, wchodząc w powyższe przedstawienie, wniosek ten zatwierdziła, z zastrzeżeniem jednakże, aby uczniowie, przybywający do wydziału teologicznego bez świadectwa dojrzałości, podlegali egzaminowi, według formy, opracowanej przez Radę Ogólną (21. X. 1817. № 4203). Czynny brała udział Rada Ogólna w egzaminach publicznych Wydziału prawnego i lekarskiego, które się kilka tygodni przeciągały.

Po urządzeniu wydziałów, najważniejszym zadaniem Rady było przygotowanie projektu urządzenia wewnętrznego, czyli Statutu. Dla powodów wyżej wskazanych Rada, nie mając wzorów, układała paragraf za paragrafem, stosownie do potrzeb instytucji. W miarę postępu roboty, Komisya rządowa szczegółowo rozpatrywała „Tytuły“ przyszłego Statutu i potwierdzała je (23. XII. 1817. № 5165). W ten sposób Rada wykończyła w zarysie Statut i upraszała Komisję (21. II. 1818. № 841), aby, z uwagi na przybliżające się wakacje, dozwoleń było drukowanie Statutu i przetłumaczenie go na język francuski. Komisya inne miała zapatrywanie: według niej Statut, jak obecnie się przedstawia, nie wytrzymał jeszcze próby doświadczenia zapewne czas pokaże różne niedokładności, przeoczenia, a zatem okaże się potrzeba dopełniania go; — dla tego Komisya nie widzi potrzeby ani drukowania, ani tłumaczenia na język francuski. Rzeczą

zaś być powinno zwierzchności uniwersyteckiej przygotowanie kilku egzemplarzy w rękopisie, aby członkom Uniwersytetu ułatwić poznanie się ze statutem, a cudzoziemców można będzie, bez specjalnego tłumaczenia, zaznajomić z ich prawami i obowiązkami (24. II. 1818). Że Komisya w tym wypadku postąpiła bardzo oględnie, nadając Statutowi charakter przejściowy, że nie kwapiła się z przedstawieniem go do Najwyższego potwierdzenia, o tem przekonamy się dowodnie w rozdziale następnym, gdzie będzie mowa między innymi o Statucie Uniwersytetu Jagiellońskiego, *potwierdzonym* przez trzy opiekuńcze Dwory.

Oprócz głównych tych czynności, przy nowem urządzeniu tak wielkiego Instytutu, musiało się koniecznie nawijać mnóstwo innych, które zajmowały Radę Ogólną. Zarządzenie potrzebom ekonomicznym i naukowym; załatwianie żądań nauczycieli i uczniów; zabezpieczenie porządku i karność; oznaczenie stosunku z Komisją Rządową—tem więcej wymagały pracy i namysłu, że jeszcze nie było ani wzoru, ani stałych prawideł. Gdy wszystkie główne trudności zostały usunięte, gdy Uniwersytet we względzie tak naukowym, jako też ekonomicznym i administracyjnym, znajdował się już w tym stanie, że pod kierunkiem własnej Rady mógł dążyć do zamierzonego celu; gdy wreszcie Najwyższym rozkazem 2 marca 1818 roku, zastępca dziekana wydziału Teologicznego, ks. Wojciech Szwejkowski, został potwierdzony na Rektora Uniwersytetu; wówczas Rada Ogólna, uważając swą misję za spełnioną, upraszała Komisję Rządową, aby ją rozwiązała, co niebawem nastąpiło.

Na parę miesięcy przedtem Rada Ogólna urządziła publiczne posiedzenie z okazji rozpoczęcia nowego kursu nauk 13 listopada 1817 roku. Na tem posiedzeniu ks. Wojciech Szwejkowski, sprawujący urząd dziekana wydziału teologicznego, mówił: „O wzajemnej potrzebie łączenia nauk teologicznych z innymi“; Jan Wincenty Bandtkie: „O urządzeniach naukowych teraźniejszych“; August Ernest Zinserling: „*De interpretatione duplici locorum quorundam Virgili et Horatii*“; August Jacob: „*De antiquitatis studiorum cum vita nostra ratione et conjunctione*“. Na temże posiedzeniu ogłoszono rozkład lekcyi, który z powyższemi przemówieniami, poprzedzonymi wstępem słowem Staszica, ogłoszono drukiem p. t. „*Commentationes in Consensu professorum Universitatis Literariae Regiae Varsaviensis recitatae A. D. XIII Calend. Novembris. Adjectus est Index lectionum ex A. D. XIII. Calend. Nov. MDCCCXVII neque ad Prid. Cal. Aug. MDCCCXVIII instituendarum. Varsaviae MDCCXVIII*“. 4-o str. VIII. 67. Druk Glücksberga Natana.

Według tego Indexu następujący profesorowie objęli katedry. Na wydziale teologicznym: Wojciech Szwejkowski wykładał teologię pasterską i wymowę kościelną; Paweł Szymański— starożytności biblijne, hermeneutykę i introdukcję; Tomasz Dembek — teologię moralną; Edward Metelski—teologię dogmatyczną; Jakób Szarkiewicz— historię kościelną; Adam Chmielewski—język hebrajski i grecki.

Na wydziale prawa i administracji: Bandtkie — prawa rzymskie; Ksawery Szaniawski—kodeks cywilny obowiązujący w Królestwie; Aleksander Engelke—prawo publiczne powszechne i polskie, prawo kryminalne powszechne i polskie; Damazy Dzierożyński—prawo natury i narodów, historię prawa rzymskiego, instytucje prawa rzymskiego, encyklopedyę prawa; Klemens Urmowski— encyklopedyę prawa i instytucyę prawa rzymskiego; Dominik Krysiński—ekonomię polityczną, encyklopedyę nauk administracyjnych; Jan Christian Hoffmann—technologię i agronomię.

Na wydziale lekarskim: Frejer Jan—materyę medyczną, farmakologię i formularz; Dziarkowski Hyacynt— patologię ogólną; Józef Celiński—farmacyę; Emilian Nowicki — choroby oczu i chirurgię niższą; Jan Mile—fizyologię; Franciszek Dybek—chirurgię i ćwiczenia praktyczne; Henryk Sander—terapię szczegółową i klinikę; Jan Stummer—anatomię; Maurycy Wojde—medycynę sądową i policyę.

Na wydziale filozoficznym: Antoni Dąbrowski—geometrię, rachunek różniczkowy i całkowity; Linde Samuel Bogumił— gramatykę filozoficzną powszechną, psychologię empiryczną; Franciszek Armiński—astronomię, rachunek różniczkowy i całkowity; Skrodzki Karol Józef—fizykę; Kitajewski Adam—chemię; C. A. S. Hoffmann—mineralogię; Szubert Fryderyk Michał—botanikę.

Na wydziale nauk i sztuk wyzwolonych: Sebastyan Ciampi, filologię, historię literatury; Feliks Bentkowski — historię powszechną; Zinserling August Ernest—starożytności rzymskie, język łaciński; Jacob August—język grecki i literaturę; C. S. Varenne—malarstwo; Antoni Blank—rysunki; Vogel Zygmunt—perspektywę i optykę; Paweł Maliński — rzeźbiarstwo; Piotr Aigner — architekturę wyższą; Szpilowski Hilary—architekturę cywilną; P. Lange — architekturę wodną; Juliusz Colberg—geodezyę praktyczną, miernictwo i niwelacyę.

Statut Uniwersytetu, jak o tem już wspomniano, był tylko projektem przez cały czas istnienia Uniwersytetu. W miarę doświadczenia i potrzeby, ulegał zmianom i modyfikacyi. Według pi-rwiast-

kowej redakcyi przez Radę Ogólną ułożony, składał się z 12-u tytułów, które zlewały się z sobą w czasach późniejszych i na ośmiu tytułach poprzestano. W tytule pierwszym podany jest skład Uniwersytetu, podział na pięć fakultetów czyli wydziałów: teologiczny, prawa z administracją, lekarski, filozoficzny, i piąty — nauk i sztuk pięknych. Na wydziale teologicznym miano wykładać lub wykładano: języki biblijne, historję i rozbiór ksiąg starego i nowego Testamentu, starożytności biblijne, hermeneutykę, wykład starego i nowego Testamentu, historję kościelną, patrologję, historję literatury teologicznej, teologję dogmatyczną, moralną i pasterską, wymowę kościelną i katechetykę. Na wydziale prawa i administracyi: encyklopedyę prawa, historję prawa rzymskiego, instytucyę prawa rzymskiego, prawo natury, pandekta, prawo kościelne, prawo polskie dawne i historję jego, konstytucyę i instytutu sądowe, prawo cywilne krajowe obowiązujące, prawo kryminalne, prawo handlowe, postępowanie cywilne i kryminalne, egzegetykę fragmentów Ulpiana i instytucyę Gaja, encyklopedyę nauk administracyjnych, ekonomję polityczną, zastosowanie gospodarstwa narodowego czyli naukę administracyi, naukę finansów, naukę policyi administracyjnej, naukę handlu, statystykę, kodeks administracyjny krajowy, agronomję.

Na wydziale lekarskim: propedeutykę nauk lekarskich, anatomję człowieka i porównawczą, fizyologję, farmacyę i farmakologję, dietetykę, materyę lekarską, toksykologję, naukę pisania recept, patologję ogólną, chirurgję z kliniką, położnictwo z kliniką, terapię z kliniką, choroby epizootyczne, policyę lekarską, medycynę sądową, chemię prawną i policyjną, historję medycyny.

Na wydziale filozoficznym: filozofję fundamentalną, filozofję teoretyczną z jej częściami: logiką, metafizyką, estetyką; filozofję praktyczną z jej częściami: nauką prawa przyrodzonego, etyką w ścisłym znaczeniu, nauką filozoficzną religii; umiejętności w najbliższym związku z filozofją zostające: gramatykę powszechną, historję powszechną i jej literaturę, encyklopedyę filozoficzną, antropologję pragmatyczną, teorię pedagogiki i dydaktyki z ćwiczeniami praktycznymi.

Na oddziale matematycznym: algebrę wyższą i niższą z zastosowaniem do rachunku domniemań, trygonometrię i geometryę analityczną, rachunek różniczkowy i całkowy, przemian i różnic wyczerpanych, teorię geometryi wykreślnej, historję nauk matematycznych, nauki stosowane: ciosanie kamieni, nauka wiązań budowli i t. d., mechanikę analityczną z jej zastosowaniem, łączenie z tak nazwaną mechaniką niebieską; astronomję z jej zastosowaniem do chronologii, gnomoniki, topografii, geodezyi i żeglugi; obserwowanie i obliczenie wszelkich biegów ciał niebieskich.

Na oddziale nauk przyrodzonych: fizykę, obejmującą w sobie mechanikę eksperymentalną, hydrostatykę, hydraulikę, pneumatykę, akustykę, optykę, naukę magnetyzmu, ciepła i elektryczności; chemię nieorganiczną i organiczną, krystalografię i mineralogię, botanikę anatomiczną i opisującą, zoologię anatomiczną i opisującą, fizjologię jestestw organicznych, geografję fizyczną i atmosferologię, analizę chemiczną, geognozyę, historję naturalną geograficzną, historję nauk przyrodzonych; nauki stosowane: technologię mechaniczną, technologię chemiczną, mineralogię stosowaną do górnictwa i wyszukiwania mineralów, botanikę stosowaną do ogrodnictwa, leśnictwa i rolnictwa; zoologię stosowaną do hodowania i przyswajania dzikich zwierząt i domowych; pszczół, jedwabników, czerwca i t. d., historję technologii czyli fabryk, rzemiosł i machin.

Na wydziale nauk i sztuk pięknych: język i literaturę grecką, język i literaturę łacińską, języki wschodnie, dyalekta słowiańskie, literaturę polską z wykładem jej historyi, historję powszechną z naukami zasadniczymi i pomocniczymi: geografją, chronologją, numizmatyką, heraldyką, krytyką historyczną; bibliografię z dozorem biblioteki, język rosyjski, francuski, angielski, włoski, niemiecki.

Na oddziale sztuk pięknych: architekturę cywilną, obejmującą technikę, konstrukcyę, dekoracyę budowniczą i obrachunek kosztów; architekturę wiejską ze szczególnym dozorem nad rysunkami architektonicznymi i obrachunkiem kosztów; budownictwo wodne i lądowe, czyli spławów, dróg i mostów; mechanikę we wszystkich częściach i naukę z aplikacyą o machinach i stosownymi rysunkami; perspektywę; rysunki ręczne, malarstwo tak historyczne, jak widoków, rzeźbę i sztycharstwo.

Kurs całkowity dla wydziału lekarskiego czteroletni, dla innych trzyletni. Wakacye od 15 lipca do 15 września. Urzędy rektora i dziekanów obieralne; rektora potwierdza Monarcha, dziekanów Komisya Oświecenia.

Ze szczegółowego wyjaśnienia w Statucie o prawach, przywilejach i obowiązkach rektora, podaję jeden przywilej *in extenso*: „Rektor Uniwersytetu, przez czas urzędowania swojego, jest z prawa członkiem Komisji Rządowej Wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego (§ 20)“. Paragraf ten często bywał zapoznawany, stąd pochodziły kolizye i kwasy pomiędzy Radą a Wydziałem oświecenia, co bliżej wyjaśnię w następnych rozdziałach. Profesor, obrany na dziekana lub rektora, nie przestawał spełniać obowiązków nauczycielskich (§ 38). Paragraf ten ściśle był przestrzegany. Profesorowie dzielili się na stałych (*ordinarii*), tymczasowych (*extraordinarii*), lektorów (*magistri vel doctores legentes*), nauczycieli (*praeceptores*). Pro-

esorowie stali pobierali pensję etatową; tymczasowi — gratyfikację według uznania komisji Rządowej, a lektorowie mieli pobierać opłatę od uczniów, podług umowy prywatnej; nauczyciele pobierali pensję w miarę ważności przedmiotu i osobistej zdolności. Profesor stały winien mieć stopień doktora, z wyjątkiem katedry budownictwa, malarstwa i innych na wydziale sztuk pięknych; lektor powinien być przynajmniej magistrem.

Rada Uniwersytetu rozpoznaje kwalifikacje naukowe kandydatów na profesorów, lektorów i nauczycieli; ze swoją opinią, przedstawia ich Komisji Rządowej. Z grona profesorów stałych Komisja mianuje profesorów radnych, których w Wydziale nie może być więcej nad sześciu wraz z dziekanem; wydział zaś nauk i sztuk pięknych, jako najliczniejszy, może mieć ośmiu. „Przy zupełnej wolności wykładania prawd wszelkich, uczący wystrzegać się będą twierdzeń, któreby religii, dobrem obyczajom lub rządowi uwłaczały (§ 51).“ „Wszelka teoria, ile to być może, stosowaną będzie do praktyki, a mianowicie do użytku potrzeb krajowych. Wykładający zatem swoje nauki i umiejętności zwracać będą uwagę na stan ich w naszym kraju, czynić i przytaczać własne odkrycia, tudzież wskazywać potrzebę czynienia dalszych postrzeżeń. Opisujący plody przyrodzone, kunszta i wynalazki zagraniczne, porównywać je będą z krajowymi, lub ostrzegać o ich niedostatku i środki do zaprowadzenia następcza: słowem starać się będą o podwyższenie oświaty narodowej w całym znaczeniu tego wyrazu (§ 57).“ Posiedzenia uniwersyteckie były: wydziałowe i pojedyncze, rad wydziałowych, połączonych wydziałów i Rady Uniwersytetu. Posiedzenia rad wydziałowych i Rady Uniwersyteckiej odbywały się raz na miesiąc; w razie potrzeby częściej. Atrybucje tych posiedzeń szczegółowo wyjaśnione w Statucie. Na posiedzeniach prosta większość stanowiła, równość rozwiązywał prezydujący. Były jeszcze posiedzenia wyborcze i obchodowe. Do pierwszych należał wybór rektora i dziekanów; obchodowe odbywały się na pamiątkę założenia Uniwersytetu przy rozpoczęciu nowego kursu nauk; na uczczenie pamiątki uczonych mężów, przy ukończeniu kursu nauk; wreszcie, na instalację nowego rektora. Posiedzenia obchodowe były publiczne z udziałem władz rządowych i publiczności. „Ktokolwiek chce być uczniem Uniwersytetu, powinien mieć zaświadczenie dojrzałości, które ważnem jest, skoro wydanem zostało po egzaminie tego nazwiska w szkole wojewódzkiej podług przepisów wewnętrznej jej urzędowania (§ 94).“ „Uczniom wydziału lekarskiego, sposobiącym się na lekarzy niższych, tudzież na farmaceutów, za świadectwo dojrzałości służy zaświadczenie z ukończonych z pożytkiem nauk w klasie czwartej szkół wojewódzkich; toż samo świadectwo słu-

ży także uczniom architektury i miernictwa; — innym zaś uczniom sztuk pięknych ukończenie szkoły wydziałowej jest dostateczne (§ 95)“. „Młodzież przybywająca do Uniwersytetu z prywatnej edukacji, lub ze szkół zagranicznych, bez zaświadczenia dojrzałości, a chcąc się zapisać i po skończonym kursie złożyć examen do stopni akademickich, odesłaną będzie przed zapisem do najbliższych szkół wojewódzkich, gdzie stosowny podług § 94 złoży examen. Czas do takowego egzaminu oznaczony jest ostatnich dni lipca, kiedy się kończą lekcye w szkołach wojewódzkich, lub od 15 września, gdy się zaczynają (§ 96)“. „Przybywający z innych Uniwersytetów w celu ukończenia swoich kursów i złożenia w czasie egzaminu do stopni akademickich, udowodnią stopień usposobienia swojego, tak szkolny przez examen w deputacji przez rektora wskazanej, jako i uniwersytecki w wydziale, do którego chcą się zapisać (§ 97)“. „Opatrzeni takowemi świadectwami powinni zapisać się do właściwego dziekana i rektora, tudzież złożyć opłatę roczną złotych sto (§ 98)“. Byli uczniowie zwolnieni także od opłaty. Po zapisaniu się do albumu, otrzymywał uczeń matrykulę, ważną na jeden rok. Tylko matrykułowani mogli starać się o stopnie akademickie po ukończeniu całkowitego kursu nauk; a stopnie te, jak o tem już była mowa, dawały pierwszeństwo w ubieganiu się o pozwolenie (w Komisji egzaminacyjnej) praktycznego wykonywania w kraju nabytych nauk i umiejętności. Odnośnie karności winieniem zaznaczyć, że Statut zastrzega, aby wszyscy uczniowie Uniwersytetu byli posłuszni, ulegli, z uszanowaniem dla przełożonych, nie wyłamywali się z ustaw i urządzeń Uniwersytetu; żeby byli pilni w naukach, moralni; a spełnienie tego wszystkiego przyrzekali rektorowi, na dowód czego podawali mu rękę, otrzymując matrykulę. Podległość ustawom uniwersyteckim nie wykluczała podległości ustawom krajowym. Za przekroczenia naczynane były kary: napomnienie, publiczny rozkaz ustąpienia z audytorium, areszt stopniowany, utrata zapisu i oddalenie z Uniwersytetu. Wszyscy uczniowie Uniwersytetu używają praw równych, i kary dla wszystkich za jednakowe przestępstwa są równe. Egzamina były roczne z przedmiotów w ciągu roku słuchanych, i całokursowe z przedmiotów głównych. Pierwsze odbywały się prywatnie, drugie publicznie w przytomności całego wydziału pod prezydencją Rektora. Egzamin całokursowy był ustny i piśmienny. Chcący składać egzamin podaje o tem prośbę do dziekana wraz z rozprawą, przynajmniej na dwa miesiące przed terminem; profesorowie rozprawę czytają i sprawę z niej zdają na piśmie dziekanowi. Dla słuchaczy medycyny były specjalne przepisy egzaminacyjne. Uczeń mógł do trzech razy ponawiać egzamin z przedmiotów niedostatecznie sobie

znanych. Uniwersytet dawał dwa stopnie uczone: magistra i doktora; magister nie został dopuszczony do egzaminu na doktora, jeżeli nie przedstawił świadectwa aplikacyi w służbie państwowej, najmniej dwuletniej. Dla zachęcenia młodzieży do prac naukowych, rozdawano medale złote, większei mniejsze, za rozprawy, pisane na temata wyznaczane przez wydział; do konkursu stawali uczniowie lub magistrowie, zostający jeszcze w dwuletniej praktyce. Naczelnikiem kancelaryi uniwersyteckiej był sekretarz, w randze profesora stałego, zatwierdzany przez Komisję rządową. Sekretarz referował korespondencye, spisywał protokoły Rady Uniwersytetu, utrzymywał dziennik generalny, wydawał ekstrakta z protokółów i czuwał nad archiwum. On był strażnikiem pieczęci Uniwersytetu, a na wszystkich posiedzeniach miał głos doradczy. Pod jego dozorem byli pedelowie i inni służący Uniwersytetu.

Inauguracya Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego i instalacya pierwszego rektora odbyły się 14 maja 1818 roku, według programu w tym celu ułożonego i ogłoszonego drukiem. Po przybyciu rektora z Senatem akademickim i młodzieżą uniwersytecką do kościoła Ś. Krzyża, gdzie była już zebrana młodzież ze wszystkich szkół Stolicy, rozpoczął się obchód. Minister Potocki z członkami Komisji rządowej, powitany przez rektora, zajął wskazane sobie miejsce. Przed nim na stole złożony był dyplomata ustanawiający Uniwersytet, statut tymczasowy i potwierdzenie rektora. Deputacye, wyznaczone specjalnie na tę uroczystość, spotykały i witały władze rządowe i wskazywały dygnitarzom krzesła w presbyterjum w półkole ustawione. W pośrodku jedno wyższe krzesło przeznaczone było dla księcia Namiestnika królewskiego, który, gdy przybył do kościoła, przyjęty został u drzwi kościelnych przez dwóch dziekanów, w pośrodku kościoła powitany przez rektora, a na miejscu dla siebie przeznaczonem przez ministra. Obok niego zajął miejsce Nowosilcow, komisarz cesarski. Duchowieństwo zajęło miejsca w presbyterjum. O godzinie 11 biskup kujawski, Malczewski, pontyfikalnie ubrany, odprawił Mszę czytaną, a po niej zaintonował hymn *Veni Creator*. Następnie minister Potocki, wyłożywszy w krótkich słowach powód i cel obchodu, polecił sekretarzowi generalnemu Komisji odczytanie głośne dyplomatu, w którym Monarcha ustanowić raczył Uniwersytet. Biskup Prazmowski, jako członek Rady Ogólnej Uniwersytetu, która miała atrybucyę rektora, na zasadzie § 17 tymczasowego statutu, gdzie po-

wiedziano, że: „Akt instalacji rektora zaczęnie jego poprzednik zdaniem sprawy ze swojego urzędowania, z wystawieniem stanu i postępu wszelkich instytucji Uniwersytetu“ — zdał sprawę z czternastomiesięcznej działalności Rady Ogólnej, a zarazem wystawił stan obecny Uniwersytetu. Po zdaniu sprawy, minister polecił ogłoszenie potwierdzenia rektora przez Najjaśniejszego Pana, wymienienie dziekanów i profesorów Uniwersytetu, a oddając rektorowi dyplom, statut tymczasowy i potwierdzenie — przemówił. Sławna ta mowa mało jest znana, jakkolwiek była drukowana w okolicznościowym piśmie, ogłoszonem z okoliczności inauguracyj Uniwersytetu. Nie wahamy się podać na tem miejscu parę wyjątków z tego przemówienia. „Polska której w pięknych jej czasach nie z tego obcem nie było, co jest użytecznem i świetnem, niegdyś dwie główne szkoły liczyła. Starożytny Uniwersytet Krakowski, ten pomnik mądrości wyższego nad swój wiek króla Kazimierza Wielkiego, i Uniwersytet Wileński, twór walecznego i uczonego Stefana, któremu tylko czasu i życia zbrakło, by światu dowiódł, czem Polska pod takim jak on królem stać się mogła. Lecz gdy te dwie główne szkoły odcięte od nas zostały, ten co wszystko dla Polaków odtwarza, zaczawszy od wygasłego ich imienia, ten, któremu żaden rodzaj sławy nie jest obcym, idąc w ślady tych wielkich królów, ustanowił Uniwersytet Warszawski, by nie zbywało Polsce na żadnym rodzaju użyteczności, ozdoby i chwały. A jeśli i owe zabytki oświeconej ku naukom miłości Kazimierzów i Stefanów, dla współbraci naszych istnieją; jego to one są winny opiece, pod cieniem której już bliżki upadku utrzymał się i stoi Uniwersytet Krakowski, a którego wspaniałomyślna hojność tak dźwignęła i uposażyła Wileński, że mu nie zbywa na środkach najpomysłniejszego bytu. Czuje ten światły Monarcha, ile zależy na oświacie narodom, berłu jego podległym, i wszędy on rozkrzewia nauki prawdziwie z królewską wspaniałością, której mu pozwala użyć ku nim ta rządność, co hamując nadużycie i zbytek, skarb jego rzetelnemu dobru poddanych swoich całkiem poświęca“. „Jakoż zważając, co w tym względzie w krótkim lat przeciągu błogosławionego panowania Aleksandra I u nas zdziałaniem zostało dla wychowania publicznego, wyznać należy, żeśmy w tem olbrzymim postąpili krokiem. Któż temu rzetelniejsze świadectwo oddać może, jak Komisya Wyznań i Oświecenia Publicznego, zaszczycona wykonaniem zbawiennych N. Pana w tym względzie zamiarów. Wszystko prawie u nas srogie klęski wojny do upadku przywiodły, dziś wszystko prawie jest dźwignionem, pomnożonem, i do udoskonalenia dąży. Nie jest tu ani czas ani miejsce zdawać z tego publiczności sprawę, lecz pomijając kraj nasz cały, gdzie wszędy tego, co mówię, widoczne są dowody, rzućmy okiem na

tę stolicę, a ujrzymy rozliczne i ozdobne ku dobru wychowania publicznego wzniesione gmachy, w tych ostatnich latach, kiedy jeszcze skutki klęsk wojny na kraju i skarbie ciężały. Skorzej się one w następnych latach przy błogosławieństwie pokoju rozwiną. Wróżba ta nie jest próżną, skutek ją w bieżącym usprawiedliwi roku, bo w ciągu jego rozpoczęte, a w przyszłym ukończone zostaną w Warszawie i jej okolicach następne gmachy, jako to: ozdobna budowa dla sztuk pięknych, ogromny zakład dla agronomii i weterynaryi, obserwatorium, godne siedliska królów naszych, rozległy ogród botaniczny, szkoły Lankastrowskie, kościół akademicki, szkoła głuchoniemych i inne, na które wspaniałość Monarchy Komisję Wyznań i Wychowania już opatrzyła w potrzebne zapasy.“ „Słodko jest tej Magistraturze pod tak wspaniałomyślnym ku naukom pracować rządem i przykładać się do wykonania zbawiennych jego zamiarów. Jakoż użyła ona wszelkiego starania, by Uniwersytet Królewsko-Warszawski od początku swojego odpowiedział oczekiwaniu rządu i publiczności. Od roku już on w rzeczy istnieje, choć dziś dopiero uroczyscie jest ogłoszonym. Liczy on 44 profesorów lub ich zastępców, starannie od Komisji wybranych, bądź z liczby zasłużonych w naukach rodaków, co się oddawna niemi trudnią zaszczytnie w kraju naszym, bądź z sprowadzonych z zagranicy uczonych mężów, których sława udowodniona pismami poprzedziła bytność w kraju naszym, a których udzielone im dobrodziejstwa i zaszczyty od Rządu naszego przywiązać ich do Polski zdołają i uczynią, że w niej drugą znajdują ojczyznę“. „Nie ograniczył Najjaśniejszy Pan hojności swojej ku Uniwersytetowi Warszawskiemu wyznaczonem mu raz na zawsze uposażeniem, bo chciał by to w miarę wzrastającego Uniwersytetu wzrastało i nie było określone, jedno jaknajpomyślniejszym w przyszłości bytem jego; zgoła chciał on, by miara potrzeb i użyteczność Uniwersytetu była jedyną miarą wspaniałości jego ku naukom. Równie Najjaśniejszy Pan, hojny zaszczytów dla członków Uniwersytetu, do tych, które im w cytowanym dopiero dyplomacie udzielił, a między którymi uszlachającym moralnie człowieka naukom inne uszlachcenie go w względzie obywatelskim przyznał, dodał świeżo honorowe oznaki, znamionować w oczach świata członków Uniwersytetu mające i stopień ich oznaczać“. „Otóż jedynie godne nauk zachęcenie, które wam podaje Monarcha, co ich wartość cenić umie; Akademicy! jedni już zasłużeni w dawnym stanie nauczycielskim, drudzy, którzy w młodszym wieku rozwijacie talenta, pomyslnie o was dające nadzieje, niedawno wychowawcy, dziś współpracownicy pierwszych. Wy, którym dotąd sama prawie miłość ojczyzny i nauk bodźcem była, dziś zapewne nowym stanie się dla was tak przychylna ku wam Monarchy opieka i usil-

ność waszą podwoi! Odpowiecie jej zapewne wysłużeni w stanie nauczycielskim mężowie, idąc tym torem, który was do tak wysokiego w naukach stopnia zaszczytu doprowadził! Wy młodzi profesorowie, którym ranne wasze talenta łatwiejszą do nich otworzyły drogę, pomnijcie, żeście winni usprawiedliwić powziętą o was nadzieję, i że on jest długiem ku naukom i ojczyźnie, z którego się im jedynie wypłacić możecie skromną i niczem nieznużoną pracą. Ty zaś, przytomna dzisiejszemu obchodowi liczna młodzieży szkół uniwersyteckich, ty, co przeznaczona jesteś widzieć i używać pomysłnych skutków jego, zapewne go nie wypuścisz z pamięci swojej. Świetniejsze może dziś w oczach twoich zdarzenia znikną z wiekiem jak sen i mara, i dowodzić ci tylko będą próżności rzeczy ludzkich; upłyną z czasem omamienia młodości, a tym trwalsza pamięć użytecznych zdarzeń życia twego zostanie. Powiesz dzieciom, a daj Boże i wnukom twoim żeś widziała dzień piękny założenia tej szkoły głównej, w której ty i oni najwyższy stopień oświaty brać będziecie. Staraj się więc przygotować do niego pilną w niższych szkołach nauką, usposabiaj się do usługi najlepszego z królów i lubej ojczyzny i stań się godną nagród i zaszczytów, któremi już nie ślepy los włada, ale które wola najwyższa zasłudze i zdolności przeznacza...”

Podniósł się Rector Magnificus i w obszernej mowie, pełnej głębokich myśli, poglądów liberalnych, wskazał cel wyższych zakładów naukowych, które w postępowaniu naukowym powinny być zupełnie wolnemi i niepodległemi; wyjaśnił znaczenie Uniwersytetu w Warszawie, a zwracając się go ministra Potockiego, dziękował mu za nadanie ustaw, zgodnych z duchem ustawy rządowej, a jakby duchem proroczym przeniknięty, przepowiadał mu, że Uniwersytet Warszawski będzie najchlubniejszą dla niego pamiątką. Zwracając się do kolegów, nie wykazuje im rektor przyszłych ich obowiązków, bo: „Wiecie dobrze, jaki was duch ożywia, jaki was zapał do zawodu nieograniczonego wyzywa. Umiecie cenić sławę narodu, jaką mu bracia wasi z orężem w rękę, obiegłszy krąg ziemski przy zmiennej szczęścia kolei, przynieśli; macie przynieść im wieniec z kwiatów, po wszystkich niwach Muzom poświęconych zebrany“... „Znany jest wam stan obecny we wszelkim względzie kultury i oświaty krajowej; po was kraj oczekuje ich zakwitnienia i wzrostu; wy macie wszystkich z pochodnią w rękę poprzedzać. Jak się weźmiem do dzieła tak wielkiego, jak one wykonywać będziemy, to zwróci na nas wzrok bystry uczonego świata, a sąd potomności jeszcze będzie surowszy. Przyszłość więcej jeszcze po nas wymaga, aniżeli czas obecny; bo na nią więcej niż na czas obecny wpływać będą nasze działania. Koledzy! czekają nas trudy, czeka was chwala! Nie opuści nas stałość duszy, bo

nas budzić nie przestanie niewygasła nigdy w sercach Polaków, choć tyła nieszczęściami nękana, a teraz dobrodziejstw Monarchy ożywiona, miłość Ojczyzny!“

Wspaniały jest również ustęp mowy rektora, zwrócony do młodzieży. „Na was o młodzieży!—mówi w jednym miejscu—hojniej spłyną skutki wszystkich dobrodziejstw i po was ojczyzna więcej, niż już po ojcach waszych wymagać może, oczekuje...“ „...tyle będziecie szczęśliwymi, ile dla dobra narodu uczynicie“. „Wasza usilność, wasze poświęcenie się, w celu służenia z pożytkiem ojczyźnie, jest nadto koniecznym warunkiem. Gdy to nastąpi, wtenczas świątynia nasza umiejętności, pod berłem tak przyjaznem dla oświaty, zakwitnie i stanie w rządzie najpierwszych, odnowi nam czasy Zygmunatów i będzie godnym pomnikiem Aleksandra, obok pomników Jagiellonów i Batorych“. Odśpiewanie hymnu *Te Deum* zakończyło tę uroczystość. Na tym obchodzie kończy się okres pierwszy, przygotowawczy, organizacyjny; odtąd Uniwersytet miał samodzielnie torować sobie drogę pod kierunkiem księdza Wojciecha Szwejkowskiego, znakomitego pedagoga, wszechstronnie a głęboko wykształconego męża. Szwejkowski, to postać znakomita, gdyż w niedługim istnieniu Uniwersytetu Warszawskiego oddał mu bardzo ważne a dodatnie usługi.

DR. SZELIGA.

ROZMAITOŚCI.

„MAZEPA“ SŁOWACKIEGO.

Jeden z najdawniejszych (od r. 1870), jeśli już nie najdawniejszy współpracownik „Biblioteki Warszawskiej“, profesor Nehring, nadesłał nam uwagi swe o tragedyi Słowackiego, którą tak dobrze znamy ze sceny. Nie wątpimy, że spostrzeżenia profesora Nehringa, co do głównej osoby tragedyi i ważniejszych jej postaci, pobudzą do głębszego wniknięcia w ducha utworu, cieszącego się powszechnem uznaniem. Skądinąd mamy w tym artykule doskonały wzór zwykłego uniwersyteckiego wykładu profesora Nehringa, który w kolei kilkudziesięciu lat swej znakomitej działalności dochował się tyłu wybitnych i znanych już w piśmiennictwie naszym uczniów.

REDAKCJA.

O Mazepie mało wiemy. Wzięła go w posiadanie poezya i przesłoniła prawdziwą jego postać. O hetmanie Mazepie, w wojnie Karola XII z Piotrem Wielkim, wie każdy wykształcony, szczególnież z Voltaire'a *Charles XII*, ale niejednen pyta się nie bez ambarasu, czy ów Mazepa, wslawiony znanym obrazem, do dzikiego konia przywiązany i przez dziką okolicę przepędzony za miłostki, jest tym samym Mazepą, który potem zastąpił za Karola XII. Familia była oddawna szlachecka. Mazepa Jan urodził się r. 1632 w Białocerkwi na Ukrainie, kształcił się kosztem Dymitra ks. Wiszniowieckiego, starosty Białocerkwi, u Jezuitów w Pułtusku, a przez biskupa Kijowskiego, Leszczyńskiego, polecony królowi Janowi Kazimierzowi, wysła-

ny był do Hollandyi. Kształcił się w sztuce puszkarskiej, a podobno z pomocą stypendyum po kawalerze Maltańskim Nowodworskim. Otwinowski¹⁾, powiada, że na koszt króla, który co rok 37 szlachty polskiej na 3 lata wysyłał za granicę. Otwinowski też powiada, że z nim razem „lustrował cudze kraje“ Kątski, później generał artyleryi. Powróciwszy do kraju, niewiadomo kiedy, był paziem króla Jana Kazimierza, ale o jego sprawach z tego czasu mało wiemy. Miał przykre spotkanie z Paskiem, że w przedpokoju króla uderzony był przez niego w policzek, co Pasek opisuje, tak, jakoby jedynym do tego powodem był dawny rankor przeciw Mazepie o to, że kiedy ciągnął do króla do Grodna, w czasie zbuntowania się wojska niepłatnego i skonfederowanego, pod ironicznem nazwiskiem związku święconego, tak nazwanego dla tego, że najechało dobra kościelne, Mazepa, w prywatnym domu spotkawszy się z Paskiem, powziął podejrzenie, że jedzie do związkowych, doniósł o tem królowi i Pasek został przytrzymany, w Grodnie uwięziony i pilnie strzeżony przez niemieckich przybocznych żołnierzy króla. Ze źródeł rękopiśmiennych zaś widać, że jeszcze inny był do tego policzka powód. Marszałek Opaliński u prymasa Leszczyńskiego, spotkał się z Mazepą, dworzaninem królewskim, w tym czasie (około 1662 r.), kiedy utworzył się naprzeciw związkowi „święconemu“ związek pobożny pod opieką dworu, demonstrujący pobożnemi czynami przez skonfederowane wojsko, przeciw niby bezbożnemu najechaniu dóbr kościelnych (był to zwykły sposób, że wojsko niepłatne najechało dobra królewskie i kościelne). — Była mowa o fałszywem postępowaniu króla względem związkowych i ganił to szczególnie Opaliński, przytem żartem zapytał się Mazepę: podobno wojewódzic sandomierski (to jest Zamoyski), buduje świątynię Wizytek w Zamościu? co było z dwóch względów złośliwe, bo naprzód szyderstwo z pobożnej intencji, a potem jeszcze bardziej, że młody Zamoyski był znany ze słabości do kobiet. Opaliński, komponując sobie albo powtarzając tak złośliwy dowcip, chciał przez to powiedzieć, że wojewódzic będzie pilnie Wizytki wizytował. Na to odpowiada Mazepa: „To Jejmość Wojewodzina chce Sakramentkom (w Warszawie) budować; już zamówiono planistę Chorążego“. Śmiech powstał, bo wszyscy rozumieli tę złośliwą aluzję do Sobieskiego i pani Zamoyskiej; Sobieski, wówczas chorąży koronny, miał blizkie stosunki z panią Zamoyską, z domu Markizanką d'Arquien, z którą się też po śmierci Zamoyskiego ożenił. Była to owa znana z piękności i intryg

¹⁾ 1849, str. 169.

Marya Kazimiera, później żona Sobieskiego, która męża od Francyi odciągnęła i zniewoliła do związku z Austryą. Królowa Marya Ludwika okazywała pani Zamoyskiej szczególny affekt; przywiozła ją z sobą z Francyi, jako dziecko (puszczono pogłoskę, że Marya Kazimiera była jej córką); królowa też skojarzyła małżeństwo z Sobieskim, postarała się dla niego po ślubie o bogate starostwo. Dość, że dowiedziawszy się o owej rozmowie u prymasa — miała spowodować ową zemstę pana Paska. Pasek wyszedłszy podobno podpily od Sobieskiego i spotkawszy się w przedpokoju króla z Mazepą, zaczął go temi słowy: Czołem Panie Assawuła (była to aluzya do kozackiego niby pochodzenia Mazepy, — asawuła znaczy także p o l o w y s t r a ż n i k) czem chciał Mazepie dogryść, że go kiedyś szpiegował, denuncyował i kazał aresztować; Mazepa odpowiedział: Czołem Panie kapral! że to na straży w Grodnie był otoczony niemieckimi żołnierzami. Więc Pasek Mazepę uderzył w twarz, co było wielkim kryminałem, bo stało się to prawie pod okiem króla. Ale król nie chciał, żeby rzecz stała się rozgłosną, więc Paska nie pociągnął do odpowiedzialności, Mazepę przeprosił i wymógł na nim milczenie, królową podobno zgromił, a Marya Kazimiera miała przez pewien czas wzbroniony wstęp do dworu. ¹⁾ Później rzeczy się zmieniły, bo Sobieski się z panią Zamoyską ożenił i został hetmanem. Między Sobieskim a Mazepą została się podobno tajona niechęć, z Sobieskim Mazepa, zdaje się od dawna był niedobrze, a powoli odstręczał się od króla, dla tego, że Sobieski był tajnym jego i królowej doradcą w tajnych konszachtach o zabezpieczenie tronu polskiego, księcia d'Englihen, z pominięciem wolnej elekcji, przeciw czemu, jak wiadomo, powstał Lubomirski. Wysłany przez króla na Ukrainę do Pawła Tetery, któremu od króla zawoził buławę hetmańską nad wojskiem kozackim, korzystał z tego, i wtedy już porozumiewał się z niechętnymi królowi i jego doradcom; kiedy zaś król wyruszył na wojnę Moskiewską za Dniepr w obronie Ukrainy, wtedy Mazepa wprawdzie wyruszył z królem, ale w drodze w Dubnie zachorował udaną chorobą i odjechał na Wołyń, do Mazepiniec, pod Konstantynowem, majątnością którą Adamowi, ojcu Mazepy, książę Aleksander Zasławski dał był w zastaw — dawniej Siedliszczem albo z ruska Selyszczem zwanej. Król wrócił z za Dniepru, gdzie, wedle wyrażenia Paska, spalili kilka kurników, czemprędzej, aby zgnieść bunt Lubomirskiego, — i wtedy, było to r. 1666, Mazepa z Mazepiniec musiał odegrać w in-

¹⁾ Królowa zresztą podobno Paska wynagrodziła za burdę, zrobioną Mazepie, jakąś sumką, którą miał Gosiewski wypłacić na Litwie.

teresie Lubomirskiego, przeciw królowi i Sobieskiemu ważną rolę, bo jeden z historyków się wyraża, że „tak mądrze zagroził ścieżkę fakcyi dworskiej i królowi, że w sieci zastawione sami wpadli”. Zjednął Lubomirskiemu hetmana, Pawła Teterę i koszowego siczcy Zaporoskiej, Sierkę, wojsko zaś polskie na polach w Hanczarychach podmówił i zbuntował, że się zawiązało w związek; podmawiał szlachtę i kozaków, aby detronizować króla Jana Kazimierza, a królową i szczególnie jej kanclerza, prymasa Prażmowskiego, schwytać, uwięzić i sądzić.

Na ten czas (około 1666), przypada owa straszna przygoda Mazepy, że go przywiązano do dzikiego konia nago i puszczonego w świat. Zwykle relacye są te, że to była kara za miłostki z żoną sąsiada, którego dość zgodnie nazywają Falibowskim. Najobszerniej opisuje tę awanturę Pasek, że Mazepa sąsiadowi swemu, którego nazywa Falbowski, wnął się w dom i bywał często u niego w jego nieobecności. Donieśli o tem panu domownicy, szczególnie, którzy listy nosili między Mazepą, a panią Falbowską i byli świadkami ich schadzek. Pewnego razu Falbowski zmyślił podróż, w drodze gdzieś na gospodarze przystanął. Niebawem zjawił się poseł od żony z listem do Mazepy i pokazał pismo mężowi, za jego rozkazem zaś pojechał z listem do Mazepy i miał od niego uprosić odpowiedź piśmienną. Stało się tak; posłaniec wrócił z listem od Mazepy do pani Falbowskiej, gdzie Mazepa oświadczał swoją gotowość i obiecywał zaraz się stawić. Po chwili nadjechał Mazepa, ale wymawiał się od ugoszczenia; pochwycony, przekonany własnym listem i zeznaniem obecnego posłańca, że u pani Falbowskiej niezliczenie często bywał, przyznał się do wszystkiego,—i wtedy (a zdaje się, że się to działo gdzieś w polu) Falbowski mścił się na nim, „męczył go i nacudował się nad nim”. „Rozebrawszy go do naga, przywiązał na jego własnym koniu głowę do ogona, z rękoma na opak skrępowanemi i z nogami podwiązauemi koniowi pod brzuch potężnie.” Bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, zhlukano, kańczugami osieczono, a jeszcze nadgłówek zerwawszy z głowy, kilka razy strzelono; tak tedy, jakb szalony, skoczył ku domowi. A wszystko tam było gęstemi chróstami jechać; a nie drogą przestronną, ale ścieżkami, które dy koń drogę do domu pamiętał, bo często tamtędy chodził”. Pasek dalej opisuje, jak strasznie poszarpany, skrwawiony musiał Mazepa z tych gęstwiny wyjechać. Samego puścili, jego towarzyszy ze służby zatrzymali przy sobie, aby go nie ratowali. Kiedy wreszcie przyjechał do siebie przed wrota, stróż, który poznał głos pana, nie poznał potwornie sponiewieranego i uciekł jakby przed upiorem. I inni wyglądają ze strachem, żegnają się i uciekają, nie wierząc, że to pan. „Tak ci ledwie, skoro już le-

dwie mówić mógł, zbity i zziębły, puścili go.“ Pasek opowiada jeszcze, jak Falbowski ukarał wiarołomną żonę: zakolatał w to okno, którego Mazepa wchodził, (a zdaje się, że to było w nocy), gdzie go przyjęto, jako wdzięcznego gościa, ale co żona wycierpieć musiała, tego już Pasek nie chce bliżej opisywać: osobliwie jednak od ostróg, na to przygotowanych i umyślnie gdzieś koło kolan przywiązanych“.—Tak Pasek tę sprawę opisał: tak ją widać świeżo wtedy opowiadali.—Już nieco inne jest opowiadanie Erazma Otwinowskiego, który pisał dobrane 50 lat później. Otwinowski, też zaczyna, jak Pasek, że Mazepa wnącił się był w Bełskim sąsiadowi do żony, ale dodaje, że sąsiad, którego nazwiska nie wymienia, „Mazepę złapawszy w nocy, obnażywszy, ociął różgami przywiązanego do słupa, potem od głowy do stóp, kazał obsmarować smołą i pierzem obsiał, a tak uczyniwszy z niego monstrum, na konia niejeżdżonego wsadziwszy tyłem do głowy końskiej, a twarzą do ogona, nogi spodem podwiązał i puścił go ścińcem“. Jeszcze odmiennie brzmi koniec. Gdy dzień nastał, przyniósł koń Mazepę do miasteczka, gdzie było Rusi (Rusinów) wiele najechało na jarmark, którzy rozumieli, że dyabeł jedzie, uciekali co żywo, wołając: dytko idet; popi ruscy powychodzili chrestyty (żegnac); tymczasem koń dziki szwankował, przez wozy skacząc, postronki się też Mazepie na nogach zerwały, został stłuczony na ziemi. A wylizawszy się z owej łaźni, poszedł ze wstydem za Dniepr i tak za czasem został hetmanem całego Zadnieprza“. Co pisał w „Geschichte Karls XII—in der Türkei“, Fabrice, który był rezydentem ks. Holsztyńskiego i przez 7 lat nieodstępnym towarzyszem Karola XII, nie wiem i żałuję tego tembardziej, że to jest pewne źródło, na które, jako na pamiętnik, Voltaire się powołał. Voltaire zresztą fatalny błąd (robi: Mazepa ma być z Podola, dalej miał koń zanieść Mazepę aż na Ukrainę—ale skąd? Tam też—na Ukrainie—został już Mazepa i zwracał na siebie uwagę.

W tych sprzecznych relacjach jedno to nie ulega pod żadnym względem wątpliwości, że Mazepa był sponiewierany i nago przywiązany do dzikiego konia tabunowego i na straszne losu igrzysko puszczony przez gęste zarośla. Że coś podobnego mogło być karą za tajemne miłości, karą, wymierzoną przez obrażonego małżonka, jest samo z siebie bardzo prawdopodobne; — znalazł się jednakże obrońca Mazepy, który całą rzecz w innym wystawił świetle, i to nie kto inny, jak historyk Bielowski. W Czasopiśmie „Biblioteki Ossolińskich“¹⁾ przedstawia on znany nam już fakt ohydny

1) IV, 150.

przepędzenia Mazepy nago na tabunie przez zarośla, jako polityczną zemstę Sobieskiego i jego przyjaciół, do których miał także należeć Falibowski. Opowiada on (na podstawie rękopiśmiennych materyałów?), że Sobieski, hetman, miał „swego zausznika na Ukrainie, pseudo hetmana, Piotra Doroszenkę, którego miał kiedyś u Kozaków od niechybnej śmierci wyprosić,— ten, zasłyszawszy coś o zamiarach Lubomirskiego, a chcąc przez wdzięczność przysłużyć się Sobieskiemu doziósł o tem hetmanowi i denuncyował także Mazepę, jako takiego, który w tych konszachtach czynny bierze udział.

Wypadłoby przypuścić, że Mazepa już od dawna miał wpływ w partyi Lubomirskiego, i że systematycznie dolki kopał pod partyą królewską, szczególnie pod Sobieskim; szczegółów, niestety, nie znamy. Sobieski poleca Falibowskiemu śledzić Mazepę, który, nie wiedząc o niczem, właśnie wysłał do Piotra Ozgi, podkomorzego lwowskiego, listy o swoich czynnościach z wojskiem polskim na polach w Hańczarychach, na ręce jego siostrzenicy, która była żoną Falibowskiego. „Falibowski przekupił posłańca, odebrawszy od niego pisma zawiózł je do Żółkwi Sobieskiemu, gdzie z Machowskim złożyli radę i postanowili zemścić się na Mazepie okrutnie i podle. Zaproszono go w gościnę, przywiązano nago do konia i puszczono w świat. Kto z nich wydał ten wyrok, nie wiadomo; Falibowski go wykonał“. W osobnej uwadze dodaje Bielowski, że Falibowski ani nie przewidywał, że ukują na jego dyshonor baśń ohydną, że to on się mścił za miłostki żony z Mazepą, że Falibowski później żalował tego, ale już musiał połknąć gorzką hańbę: popadłszy w intrygę, musiał znosić jej konsekwencye, nawet zmyślenia.

W tem wytłómaczeniu, które tu przytoczyłem wiernie, dwie rzeczy są niewytłómaczone: 1) dla czego Mazepa miał stosunki z żoną Falibowskiego, kiedy mąż należał do przeciwnej partyi? — a potem, 2) dla czego Falibowski koniecznie musiał znosić ohydę i plamę, rzucone na jego dom przez zmyślenie miłostek? cóż mu przeszkadzało oświadczyć głośno i niedwuznacznie, że Mazepę spowieierał, ale z powodów politycznych, nie prywatnych? ¹⁾

Mazepa poszedł na Zaporozie, do znanego sobie hetmana Tetery, któremu niedawno temu jeszcze był buławę zawoził i którego zjednał był Lubomirskiemu, na Zadnieprzu upatrzono w ocaleniu Mazepy wolę Opatrzności: Tetera pisał do Sierki: hospod jeho na szczoś łutsze

¹⁾ O Falibowskim potem głucho; miał to być człowiek gwałtowny, przez sąd karany.—Na Sobieskim i Machowskim mścił się Mazepa jeszcze później, zob. Bibl. Ossol., IV, 155.

chowaje (Bóg jego na coś większego chowa). Tetera posłał Mazepę do Sierki, który go bardzo forytował, a wreszcie i na hetmana Zaporoskiego wyniósł. Ale to dopiero było w roku 1678 i to po hetmanie Doroszence, rozumnym i bardzo światłym mężu, z którym Mazepa był w przyjaznych stosunkach, i po Samujłowiczu, który z hetmaństwa był zrzucony.

Czem był Mazepa przez całe te dwadzieścia lat (1666—1687 roku), nie wiadomo; wedle Wieliczki Letopisa, został rotmistrzem nadwornej chorągwi hetmana. O hetmaństwo sam starał się w Moskwie u cara, gdzie całą osobistością swoją musiał uczynić wielkie wrażenie. W jednym ze współczesnych rękopisów czytamy te słowa: „Mazepa umiał cara przekonać głową, a bojarów workiem“. W pieniądze zaopatrzył go Sierko; być może, że Mazepa już wtedy był bogatym; o jego późniejszych bogactwach, np. w Benderze u Karola XII, dowiadujemy się z pamiętników Sagatyńskiego, szambelana króla Poniatowskiego, że ojciec tego króla, Stanisław Poniatowski, generał w służbie Karola XII, później kosztowne zbiory po Mazepie, (zapewne część ich), sprzedał żydom z Hamburga za 80,000 dukatów. Mazepa zmarł w Benderze, a jak Poniatowski przyszedł do posiadania różnych drogiej broni, puharów, siodełek po nim, nie wiadomo.

Znana jest rola, jaką odegrał Mazepa za Karola XII: kiedy król Karol szwedzki z Sasami przez Polskę zmierzał ku Moskwie w zamiarze zdetronizowania Piotra Wielkiego, wtedy zjawił się do niego Mazepa i nakłonił do marszu przez Ukrainę, obiecując Szwedom pomoc całej Kozaczyzny, w czem, jak wiemy, omylił się, bo go swoi opuścili. Czynił on to z wdzięczności dla Leszczyńskich i Wiśniowieckich, którzy z Leszczyńskimi byli skoligaceni; czynił też w zamiarze oswobodzenia się z pod opieki Moskwy, podobno przemyślał o połączeniu Ukrainy napowrót z Polską. Tak tę rzecz przedstawia współczesny Otwinowski.

Wszyscy, którzy mieli dokładne wiadomości o Mazepie, mówią o nim z uznaniem. Był to człowiek niecodziennej nauki, wielkiej oglądy towarzyskiej i wielkiego dowcipu. Był to ostatni hetman Kozacki, bo po nim Piotr nie dał już buławy nikomu. Piotr W. ozdobił go gwiazdą św. Andrzeja pierwowzanego, — August II orderem orła białego, sułtan wezyrowskim kaftanem i czapką.

Ród Mazepów był ruski, był to ród szlachecki, już od XVI wieku dobrze znany; z wielu napomknień zdaje się, że Mazepa wołał, aby go uznawano za Polaka. Nazwisko familijne podobno było, (tak jakiś uczony w „Bibliotece Warszawskiej 1855 roku dowodził), Koładyński albo Koładyński — Mazepa było takim przydomkiem, jak Skarga, Puzyna, etc. Kiszkiwie też pierwotnie byli Zgierskimi. — Mazepa zdaje

się być ruską formą, bo w polskich dokumentach spotyka się forma Maziepa.

Już wyżej było wspomniano, że sromota, wyrządzona Mazepie, miała podobno przyczyny polityczne, wszakże również podobną do prawdy rzeczą jest, że miłostki Mazepy użyto, jako środka, być bowiem może, że Falibowski, o którym zresztą nie wiele wiemy, przez politycznych nieprzyjaciół Mazepy był podsadzony i poszczuty na Mazepę, który mu żonę bałamucił, a przekonany o tem, sromotnie go ukarał i tym sposobem nieprzyjaciół m wyrządził wielką przysługę, bo człowiek tak zhańbiony, jak Mazepa, już politycznie był niemożliwy. Dla tego też Mazepa poszedł na Kozaczyznę.

Stosunek z panią Falibowską nie jest, zdaje się, jedyną przygodą miłosną Mazepy. Mówią także o miłostkach z księżną Katarzyną Dolską, jednakże dziwneby to były zalecanki, bo księżna miała przeszło lat 60, a Mazepa lat 72, w tym czasie, kiedy ten romans miał się toczyć. A potem mówią jeszcze o innym romansie, o miłości Mazepy do młodej i pięknej Motrony Koczubejowny, córki Koczubeja, który był w służbie Mazepy, a to na podstawie miłosnych listów jakiegoś Jana do Motrony Koczubejówny, powiadają, że te listy pochodzą od hetmana, Jana Mazepy; miała też Motrona pierścionek od hetmana Mazepy i to także posłużyło niby za dowód, że Mazepa był z Motroną zaręczony. Wszystko to zdaje się być fałszywą kombinacją. Tym Janem zakochanym był Jan Sadymontowicz Czechel, który razem z księdzem Załęskim przyjechał od króla Stanisława Leszczyńskiego do Mazepy, w celu zawiazania układów; otóż Motrona się pokochała, a Mazepa protegował związek tych serc sobie drogich i zaręczył ich oboje. Listy nie mogą być pisane przez Mazepę, dla tego, że są pisane lichą polszczyzną z domieszką lichej ruszczyzny, tymczasem Mazepa mówił i pisał wybornie i po polsku, i po rusku. Jego listy, pokazujące w nim człowieka pełnego rozumu i wpływu, ogłaszał Al. Przeździecki w „Ateneum“, 1842 r., L. Siemieński w „Dodatku do Czasu“ 1855, Al. Bielowski w „Bibliotece Ossolińskich“, IV, 1864 i inni. Ale jeszcze nie znamy dokładnie historii Mazepy i jeszcze ta postać należy więcej do legendy, baśni i poezyi, aniżeli do historii. Toć opiewali go Byron, Zaleski, Słowacki i inni, np. Bułharyn.

Byron był najpierwszy, który pochwycił ten temat, tak bardzo poetyczny. Jest jakaś wieść, której źródła chwilowo wskazać nie umiem, że mu Malczewski w Szwajcaryi temat ten podał, opowiadając mu o Mazepie. Być jednak może, że Byron znalazł tylko ów ustęp z 4 książki Voltaire'a „Hist. de Charles XII“, gdzie jest mowa o sromotnem ukaraniu ukraińskiego Don Juana -- jako wspomnienie. To

też w powieści Byrona ta nieszczęśliwa miłość Mazepy jest tylko wspomnieniem, które on sam opowiada.—Wiersz Bohdana Zaleskiego p. t. „Dumka Mazepy“ przedstawia jakąś nieokreśloną scenę w jego życiu i wystawia Mazepę, jako tęskniącego do Ukrainy i do kozactwa i—uciekającego z Warszawy od blichtru świata, od dumy panów i od miłości pięknych pań polskich, do obozowego życia wśród kozaków, i od pieśni pazia do czynów i dostojeństw kozackich. Mniejsza o to, że pomiędzy temi paniami, które bałamucił, wymienia i panią Wiśniowiecką, i panią Sobieską, co już z historią nie da się pogodzić, bo dla Wiśniowieckich miał szczere uczucie wdzięczności, a dla Sobieskiego i jego żony, nie mógł mieć ani sympatyj,—ale więcej mogłoby uderzać, że Mazepa opuszcza Warszawę i Polskę i śpieszy na Ukrainę przed ową katastrofą, jakby jej w życiu dotąd nie było. Zdaje się, że poeta nie miał na myśli żadnej pewnej sytuacji w życiu Mazepy i podał niejako treść jego uczuć: obmierzło mu życie w Warszawie i wśród Polaków tęskni za Ukrainą. Co zaś jest ciekawą rzeczą, to następujące dwa ustępy:

Cóż wam szkodzi, wielkie Pany,
 Że się kocham, żem kochany,
 Kiedym zdrowy, hoży, młody,
 Czy szlachcianka, czy królówna,
 Czyli żona wojewody“,

i tę wojewodzinę, a raczej jej zazdrosnego męża, jeszcze raz wspomina. Z tego miejsca można wnosić, że Mazepa ucieka, bo się boi zemsty panów, którym żony bałamucił.

„Darmo grozi wojewoda,
 Darmo — groźby się nie boje,
 Co to znaczą konie, stepy,
 Step, konie dla Mazepy?
 Chce coś począć szumnie, dumnie,
 Chce ukradkiem zejść mię nocą“.

Kto wie czy, to miejsce nie natchnęło Słowackiego do napisania tragedyi „Mazepy“? bo i Słowacki wyprowadza wojewodzinę na scenę. Owa pogróżka zdaje się też odnosić do owego aktu zemsty prze-

pędzenia Mazepy na dzikim koniu przez stepy, — co u Słowackiego dzieje się za sceną;—takiej sceny w dramacie samym użyć nie było można, trzeba było inną zemstę wojewody wymyślić, i poeta też obmyślił o wiele dramatyczniejszą, a może nawet straszliwszą!—Czy Słowacki znał „Pamiętniki Paska“, wydane przez Raczyńskiego w r. 1836, o tem możemy dopiero później mówić: na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że nie, kiedy swój poemat pisał już w r. 1834. Tę więc rzecz zostawiamy tymczasem w zawieszaniu.

„Mazepa“, tragedia wierszem w pięciu aktach. Taki jest tytuł. Rzecz dzieje się w zamku jakiegoś wojewody-magnata, zapewne na Rusi (w bliskości twierdzy Głuchowa?) za Jana Kazimierza, w czasach smutnych, bo mowa jest o Rakoczym, księciu siedmiogrodzkim. Stary wojewoda, dumny i impetyczny, o którym się w ciągu dramatu dowiadujemy, że syna własnego zabił niby niechcący, ożenił się z osobą młodziutką i piękną, którą poeta nazywa wojewodzianą i Amelią; jedyny syn z pierwszego małżeństwa, który został, Zbigniew, wrócił niedawno temu w dom rodzicielski z wojska, w którym dosłużył się rangi rotmistrza pancernego.

Na zamku spodziewany jest król Jan Kazimierz w odwiedzinie, i sztuka zaczyna się od tego, że czynią przygotowania na przyjęcie monarchy: na ten cel zapewne także zjechała jakaś pani kasztelanowa, Robroncka, której może poeta nie przyznawał żadnej roli, dla tego, że po pierwszych scenach nie pokazuje się już więcej. W tych pierwszych scenach, wojewoda wydaje rozkazy, każe miejsce czynić dla tłumów gości, choćby i murów wyłamać; w sali od przyjęcia, czekają tylko kasztelanowa i Zbigniew, i wreszcie w 4 scenie ukazuje się wojewodziana, jaśniejąca w skromnem ubraniu całą świeżością swojej urody. Kasztelanowa mówi o niej, że to jeszcze dziecko, dzieciątko naiwne, i każe jej się spodziewać, że Mazepa, paź, który z królem ma przyjechać, zniewoli jej serce, bo to jest wielki łowca serc kobiecych, że jego spojrzenia uderzają, jakby młotem w serca kobiet i tłuką je na miazgę, że włosami kochanek kazał sobie wypchać siodło itd. Wtem Mazepa do sali wchodzi przez okno, bo tam u wejścia pan Pasek miał witać króla strasznie długim panegirykiem, toby go znudziło, zresztą on sam się chełpi z tego, że droga oknem to jest jego zwykła droga, jak motyla.

Król od razu pokazuje się jako galant: uderzony pięknością wojewodziany, prawi jej komplementa, które domawia jej na ucho. Mazepa zostaje sam, i w krótkim monologu zwierza się sam przed sobą ze swoich pierwszych wrażeń: Amelia wydaje mu się tak piękną, że mógłby ją pokochać szczerze,—albo żyć z nią, albo umrzeć dla niej. Uderzyło go, że obok tej pięknej matki, jej pasierb wydawał się zimny,

jak lód; ale niebawem domyślamy się, że pod tą lodu powierzchnią pali się ogień miłości dla matki, co się też potwierdza, bo kiedy Mazepa kasztelanowej przyznał się, że już zakochany, Zbigniew zbladł tak, że to jedną z pań uderzyło.

Z końcem ósmej sceny więc już rzecz jest zawiązana: król olśniony był pięknnością Amelii, Mazepa rozkochał się w niej od pierwszego wejrzenia, Zbigniew widać oddawna żywi miłość dla niej, ale ukrywa.

Już to zawiązanie przygotowuje nas na smutne jakieś wypadki: z pewną trwogą przeczuwamy, że ta młoda, piękna, ale niedoświadczona wojewodzina będzie wystawiona na straszne pokusy i cierpienia. Od sceny 9 zaczyna się rzecz wikłać: Mazepa od razu wybucha płomieniem uwielbienia dla wojewodziny, nazywa ją Ty, i czyni napaść na jej niedoświadczone serce; ona mu się broni wiejską prostotą, ale ta prostota i naiwność w odpowiedziach czynią Mazepę natrętnym, zuchwałym, obcesowym, prawie bezczelnym; on ją nazywa niebieską, świętą, chce się jej spowiadać, chce zająć pod jej oknem miejsce ptaszka, który na jej cześć śpiewa, a szczególnie kiedy wojewodzina się trwoży, on jej powiada, że wie, gdzie są jej pokoje, gdzie jest jej balkon; i chociaż Amelia odchodzi z temi słowy, że dla niego nie ma nadziei, że ona ma mściciela, on sobie jedną nadzieję czyni z jej drżącej postaci i powiada, że jak rybka już się wędki uchwyciła.

Zbigniew podsłuchiwał rozmowy, ale nic nie słyszał, jemu zapewne głos i ton Mazepy dosyć powiedział, więc odgraża się, że dom ten paziowi będzie grobem.

Król, jak tylko zmiarkował, że Mazepa nie zapiera się swoich uczuć dla Amelii, korzysta z tego, i w płaszczu i kapeluszu swojego pazia, idzie do ogrodu, widocznie szukać schadzki z wojewodzina; dostaje cięcie od Zbigniewa, który tam przypadkowo był w ogrodzie, i myślał, że to Mazepa pod balkonem wojewodziny się błąkał; król czemprędzej ucieka, gniewa się na pazia, myśląc, że go zdradził i na dudka wystrychnął. Ale król był ranny w rękę, to go mogło wydać, o tem Jan Kazimierz nie pomyślał, -- więc Mazepa sam się rani, po części, aby zakryć króla, po części, aby tu zostać dłużej, bo król ze wstydu już chciał wyjeżdżać. — Tak się kończy akt I.

W akcie drugim król skarży się wojewodzie o napaść na Mazepę, ale wrócego oleju wlała na gorące serce biednego starca, wydając niby Mazepę, że chciał szukać miłosnej intrygi, ani się spostrzegł, jak wojewoda się zadumał i strasznym gniewem zawziął, że pas darł na sobie, bo już szalone podejrzenie padło w jego duszę przeciw żonie.

Król naprzód skarżył fałszywie i podstępnie o napaść na pазia, teraz przed królem skarży wojewodzina na Mazepę prawdziwie, że rano, kiedy szła do kościoła, paż na wązkiej kładce rzuconej przez rzeczkę zastąpił jej drogę i, pochwycawszy uściskiem, pocałował bezwstydnie. Scena ta spotkania z królem, nieco niezwykła, z wielką przebiegłością jest obmyślona przez poetę: ma ona pokazać naiwność, zakłopotanie i nieporadność Amelii. Instykt i uczucie godności kobiecej kazały jej dać paziowi natychmiast odprawę; jeżeli ona teraz królowi każe Mazepie powiedzieć, że jest podłym i nikczemnym, to mogła to i jemu samemu w oczy powiedzieć. Instykt kobiecy mógł jej także powiedzieć, że ma w mężu obrońcę, mówiąc takie słowa, że „nikogo nie mając za stróża, mogłaby mieć mściciela”, nie myślała o mężu, tylko widocznie o Zbigniewie. Ale poeta chciał ją tak wystawić, że nie pomogła sobie sama i nie szukała obrony ani u męża, ani u syna, tylko poszła ze skargą do króla, bo niby „przytomność króla nie wstydzi”. W gruncie rzeczy jest to naiwne, i również naiwnie się to słyszy, kiedy ona opowiada, że w swojej bezbronności prosiła rybek w wodzie o litość i pomoc, i również naiwne to czyni wrażenie że z królem wdaje się w rozmowę o dawniejszej jego kochance we Francyi, która go kochała kiedy był tam więziony, a potem zapomniawszy miłości, poszła za męż; nie spostrzegła się, że w królu opowiadaniem o pocałunku pазia wzbudziła zazdrość, i dopiero wtedy spostrzegła się, kiedy król zaczął chwalić jej piękność, mówić słowa miłości i czoło nachylał do pocałunku, bo widocznie zazdrościł Mazepie, — i wtedy dopiero Amelia mu powiedziała, że to czoło zimne i bezwstydnie.

Teraz znowu wojewoda przychodzi skarżyć na pазia: krew widział pod balkonem żony, więc wnosi, że paż szukał w nocy intrygi miłosnej z żoną i żąda, aby król go precz od siebie oddalił, na co król tem chętniej się godzi, bo mu paż tu przeszkadza.

Tymczasem Zbigniew podpatrzył napaść Mazepy na Amelię, widział pocałunek i przychodzi go wyzwąć. Przed tym pojedynkiem spotyka się z ojcem. Wojewoda, który widocznie już dyspozycyę zrobił, nie chce pojedynku, bo Mazepa jest z gminu (uważał go za kozaka), on go kijami zbić każe i posłał już ludzi, którzy koło karczmy przy wielkiej topoli będą na niego czatować. Żonę jeszcze uważa za niewinną i kiedy Zbigniew chciałby na to przysiąc, dziękuje Bogu, że mu dał świętą kobietę za żonę; ale podejrzenie już widocznie głęboko szpony w sercu mu zapuściło, bo uważał, że wychodząc od króla, czerwone miała oczy od płaczu.

Następuje pożegnanie. Król wydał paziowi listy i zlecenia, aby z nimi szedł do komendanta Głuchowa, a wojewoda znacząco ofiaruje

mu szablę turkusową i obiecuje konia, który lotną ma nogę i ma go zanieść przez pola do szczęśliwego celu, które to słowa zrozumiałe mogą być tylko takim, którzy już są obeznani z ową przygodą historycznego Mazepy.

Następuje scena pojedynku, jedna z najistotniejszych i najpiękniejszych części tragedyi: Mazepa, którego szlachetna połowa duszy z wielką siłą wydobywa się na jaw, Zbigniewowi otwiera oczy: naprzód go drażni, dochodzi do pewności, że Zbigniew kocha Amelię, do tego nieuniknionym był pojedynek, potem chwyta go za serce szczerością i braterstwem. Obok więc pojedynku na szable idzie także walka pojedyncza na serca:

MAZEPA.

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz waszności,
 O braterstwo i przyjaźń! Daj zemście spoczynek.
 Użyłem słów w a b i ą c y c h g n i e w i p o j e d y n e k,
 Abym poznał, czy Wasze jest jednym z tych ludzi,
 Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
 I odejmuje pokój starca włosom siwym;
 Czy Waś jesteś szlachetnym, ale nieszczęśliwym?
 O tak! szczerze Waszności chcę być teraz bratem.

(=Czyś ty szpiegiem u Twego ojca, czy też kochasz się w matce). Mazepa radzi mu, niech rzuci to miejsce, gdzie tylko na proch zetrze biedne swe serce w niemej miłości i zmarnieje, — niech idzie z nim w światy—niech w świecie serce oczyści z miłości, niech tam ten ogień boski w nim zamrze. Zbigniew godzi się na to, pojedzie z Mazepą; wszystko ułożone: Mazepa pojedzie naprzód i będzie czekał na Zbigniewa nie p r z y k a r c z m i e, bo Zbigniew go o niebezpieczeństwie ostrzega, ale w najbliższym miasteczku. Ta cała sytuacja, to skojarzenie się dwu serc, robi tem lepsze wrażenie, że Mazepa w następującej scenie wynurza się swoim lekkim sposobem, że był szczerzy.

Ale teraz—przy samym końcu aktu drugiego, rzeczy się zmieniają. Przy pojedynku Zbigniew Mazepę szablą w pierś uderzył i przytem rozciął suknię i papiery wraz z pieczęcią, które zapewne ustrzegły Mazepę od rany i posypały się na ziemię; Mazepa nie mógł oprzeć się ciekawości, zajrzał do królewskiego pisma—i o dziwo! Mazepa widział z listu jasno, jak dzień biały, że król żądał z Głuchowa zbrojnego hufca i zamierzał zapewne porwać wojewodzinę i zabrać

z sobą do Głuchowa; w przypisku był rozkaz, aby Mazepę pochwycić i osadzić w więzy.

Rozumie się, że Mazepa nie pojedzie do Głuchowa,—ale nic mu nie przeszkodzi wyjechać z zamku i wedle umowy czekać na Zbigniewa. Takie jednakże postąpienie skończyłoby dramat, któryby się zamienił w końcu prawdopodobnie na ciekawą komedię. Poeta musiał szukać jakiegoś dalszego tragicznego wątku i ta dalsza tragiczna osnowa musiała przecież przedewszystkiem wprawić wojewodzinę w straszne jakieś terminy,—więc skutkiem tego Mazepa decyduje, że musi się jeszcze tej nocy, (a jest to już wieczorem) widzieć się z Amelią: jak sądzić trzeba, ażeby ją ostrzedz, bo honor jej był ze strony króla zagrożony i choćby listy królewskie nie doszły do Głuchowa, mógłby ten honor prędzej lub później w inny sposób szwankować.

Nie jest to wyraźnie powiedziane, bo Mazepa w swoim lekkim sposobie mówi tylko, że on jedynie Amelii może wyznać „dziecinną ciekawość”; więcej jest powiedziane w jego słowach: „mam jej honor i własną śmierć we własnej mocy, z tem się zgubić nie można”. Można by więc pocię zrobić zarzut, że tu jest niejasność, bo nie jest powiedziane, dla czego Mazepa koniecznie musi iść tej nocy do Amelii? ale byłaby to affektacya ze strony krytyki; my Mazepę i Słowackiego rozumiemy i pozwolimy sobie, uczucia, myśli rozważania Mazepy przetłómaczyć na język zwykłych śmiertelników. Mazepa myślał tak: na teraz o porwaniu wojewodziny nie ma mowy, ale ten pobożny grzesznik, ten eks-kardynał i ten wielbiciel kobiet, ten król bez powagi, może się każdego czasu targnąć na kobietę piękną, niedoświadczoną i naiwną, któraby nie śmiała oprzeć się majestatowi królewskiemu; trzeba ją przestrzedz z dowodem w rękę.

Moglibyśmy zapytać się: czemu Mazepa nie ostrzegł wojewodziny przez Zbigniewa? byłoby to bardzo naturalne i nie wzbudziłoby żadnego z nikąd podejrzenia. Prawda, przez to upadłoby wielka okazyja do tragicznego zawikłania. Więc przystańmy na to, ale zawsze rzeczy powinny się tak składać, że Mazepa i w interesie wojewodziny, i za popędem swojego serca, musiał szukać okazji widzenia się z Amelią—ale i powinien to być Mazepa bardzo dobitnie powiedzieć, że takie są powody, powinien był także dla jasności w rozwinięciu akcji, ponieważ stało na tem, że miał n a t y c h m i a s t odjechać (189), dać wiadomość Zbigniewowi, ażeby dopiero jutro rano doścignął go w najbliższem miasteczku.

Mazepa nie tai sobie niebezpieczeństwa schadzki z wojewodziną, ale na to ma poradzić jego zwinność, lotność i sprawność (tak czytać należy, a nie p r a w o ś ć).

Ale to tylko są wątpliwości podrzędne, inna wątpliwość jest zasadnicza. Postąpienie Mazepy nie było tragicznym faktem i tragicznym motywem, bo taki Mazepa nie jest bohaterską figurą i nie może powiedzieć, że on, odwiedzając wojewodzinę o niezwyklej godzinie i przestępując progi jej nietykalnego przybytku, łamie porządek towarzyski, uświęcony obyczajem i czcią wieku, ale łamać musi dla wyższych względów, dla najwyższej z czi, to jest dla czci kobiety, bo inaczej nie może, kiedy wszystko od tej jednej chwili zależy;—on tego powiedzieć nie może, bo toby śmiesznie brzmiało w jego ustach,—jednakże w każdym razie mógł uszlachetnić powody swojej nocnej wizyty, byłyby jego przygody w akcie III wzbudziły litość naszą. Miał to poeta w swoich ręku i byłby mógł właśnie grę uczuć wystawić tak świetnie, i tak nas schwyć za serce, jak to zrobił w scenie pojedynku. Tymczasem Mazepa wystąpił, jako zwykły Don Juan.

Dziwnie się kończy ten akt drugi. Amelia spotyka się ze Zbigniewem. Czemu taki smutny? i podaje mu lilię, ale ksiądz, który mu towarzyszy, wyrwa jej kwiat i mówi srogo: Lilię daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów. Ten ksiądz jest tu tak samo głosem sumienia, jak ks. Prokop w Horsztyńskim. Miejsce to zniewala zajrzeć w głąb duszy Słowackiego. Widocznie z tem słowem księdza, że lilia tylko dla aniołów, stoi w związku to, co przed chwilą Zbigniew mówił do siebie, że „człowiek smutny jest aniołem“ i widoczna także, że Amelia zupełnie w duchu Słowackiego mieniła go być aniołem dla tego, że smutny.

Akt III jest nad wszelki wyraz smutny i okropny, jest to najstraszniejszy obraz, jaki stworzyła fantazya Słowackiego. Już pierwsza scena zapowiada straszną burzę. Widzimy pazia w ogrodzie, więc wojewoda „czyni polowanie na gacha swej żony“ i zapowiada mu śmierć niechybną, uzbraja się i z uzbrojonym Chmarą zasadzają ludzi w ogrodzie. Tymczasem Mazepa, zapewne z balkonu, wszedł przez okno do pokoju Amelii i zastał pokój pusty. Że on tu nie zachowuje respektu w tej świątynicy niewieściej, że ciekawie zagląda przez kotarę do sypialni, to znajdujemy dość naturalnem, choć nieco komiczne robi wrażenie, że swoją ciekawość tłómaczy: „Przysięgam na szablę, że nie miałem złej myśli ruszając firanek“. Nie znalazłszy nikogo, pisze na wachlarzu te kilka słów: „Odeślij Twe niewiasty,—jestem tu“ i chce ukryć się na ganku i czekać,—tymczasem słyhać kroki, i Mazepa może już tylko za kotarą w sypialni Amelii się schronić.

Wchodzą na scenę Amelia i Zbigniew, i prowadzą z sobą ostatnią rozmowę, pełną poezyi rozrzewnienia, smutku, ale też i domyslników. Z zaparciem się uczuć prawdziwych, Zbigniew przyszedł na pożegnanie, a zegnali się już byli w ogrodzie.

Ze poeta prowadzi Zbigniewa do komnaty matki z nią razem, kiedy tam właśnie był Mazepa za kotarą, to my rozumiemy bardzo dobrze, bo chodziło o sprowadzenie tragicznej sytuacji; ale pytanie, czy to jest dostatecznie umotywowane? Mnie się zdaje, że nie! Po co Zbigniew idzie żegnać matkę, kiedy już się z nią pożegnał i kiedy on jej nic nie ma do powiedzenia? Niedawno temu zgodził się na to, żeby pójść w świat i z serca swego zetrzeć boskie uczucie miłości! Niedawno temu powiedział Mazepie, że koń na niego czeka i musiał przyspuścić, że Mazepa już pojechał, a on za nim powinien był pośpieszyć. Po tem więc, co zaszło, po postanowieniu tak heroicznem, on nie powinien był już widzieć ukochanej osoby;—że jednak poszedł do niej tuż po widzeniu się z Mazepą, to jest fatalność i to fatalność nie bez przymieszki humoru, bo oni obydwaj nie dotrzykali sobie słowa; obydwu ciągnie tęsknota do ukochanej osoby, choćby raz ostatni.

My możemy jednak poetę wyrozumieć, dla czego on sprowadził taką sytuację, jaką jest scena 3 i następne aktu III. Chodziło o tragiczną katastrofę, chodziło o to, aby Amelia duszę swą odsłoniła, aby miłość swą Zbigniewowi wyznała, do tego właśnie pożegnanie, i to pożegnanie na zawsze, daje najwłaściwszą sposobność: Amelia każe mu klęknąć przed sobą, kładzie rękę na jego czoło, czoło tak zimne, na co on klęcząc woła: „Matko—litości“, a ona „Milcz, milcz, ja ciebie rozumiem. WaćPan tak strasznie przede mną upadłeś! Ja WaćPanu nic dać nie mogę, prócz łez—ja sama cierpię... Jaka plama dla mojej czystej duszy, tak z waćpanem gadać! Jak gdybym rozumiała.“ To dosyć wyraźnie, i my możemy rozumieć stan tych dwóch dusz czystych, i my rozumiemy, że Amelia prawdę powiedziała: Nie bój się, my niewinni, — ale z tem wszystkim musimy powiedzieć, że poeta nie umotywował konieczności tego spotkania i tej rozmowy, i dla tego możemy sobie pozwolić na tę uwagę, że to dziwno, iż ten rycerz Zbigniew, który niedawno temu chciał iść w świat i zapomnieć o miłości, teraz z miłości mdleje, i tak go ojciec zemdlalego u róg Amelii zastaje.

Oczywiście przyczynia się to do podsycenia szalonej złości w wojewodzie: on tu szukał tylko gacha żony, a znajduje też współnika winy—jak mniema. Któż zdolny wyobrazić sobie, jakie tam piekło zrodziło się w jego duszy?!

Wojewoda (mówi do Amelii): Czyś ty jego struła... Ty bez cześci, Chowasz gacha, A czarów użyłaś na dziecko...

Jak on rozumie całą przygodę, to pokazuje się z urywanych słów jego: on żonę uważa za kobietę bezecną, za kobietę uczynną, za nierządnicę, ścierkę, kunę przebie-

głą... a syna, za rajfura, bo go Rufianem nazywa, a rufiano z włoska znaczy pomocnik w nierządzie.

To jest scena tak straszna, tak ohydna, że niema wyrazów na jej skreślenie. Wszystkie pozory dają racyę wojewodzie, i Zbigniew czuł, że to on był winnym, że to były naturalne skutki jego fałszywego kroku; i on też sam się winnym wyznaje i przyjąłby najcięższą karę, widząc, co dzieje się z matką, i słysząc rzucane na nią obelgi, — a tu szacunek dla ojca nie pozwala o te obelgi się upomnieć... Co zaś tę całą scenę straszniejszą czyni i litość dla tych serc rozdartych budzi w najwyższym stopniu, to, że Amelia i Zbigniew nie rozumieją wojewody, bo oboje nie wiedzą, że tu gdzieś ukryty jest Mazepa, a wojewoda o tem jest przekonany i dla tego jego ohydne słowa: gach, ściierka, nierządnicą, które odnosiły się do Mazepy i Amelii, musiały bić jak zatrute strzały w serca czyste.

Dla tych dwóch serc więc otwiera się nowa przepaść mąk katastrofy, kiedy wojewoda odzywa się do Amelii: „Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka“. Teraz dopiero Amelia chwieje się i ślania, jakby grom w nią uderzył; jedyny jej ratunek, westchnienie do Matki Boskiej i to zaręczenie, dane Zbigniewowi: „Zbigniewie, niema w moim pokoju nikogo“. Więc Zbigniew staje przed ąlkową i nie pozwala dostąpić, bo to zniewaga kobiety śledzić z nieufnością jej sypialnię, ale i on usłyszał za firanką szelest człowieka tak wyraźny, że i wojewoda go słyszał, i stąd Zbigniew się chwieje, nazywa Amelię macochą, ze wzgardą się od niej odwraca, i tylko jeszcze pozorów honoru będzie bronił i mówi: „Ojcze, ja się tu położę, jak pies, i nikt nie wejdzie. Miej litość nade mną, Ojcze! O, ja omdleję... słabomi i ciemno, — ja omdleję drugi raz! Ta scena mię dręczy! Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy, Że tam niema nikogo — czy ci nie dość na tem? Ojcze! o! będzie ze mną tak, jak z moim bratem, którego ty zabiłeś przed laty niechący. — Patrzaj — ja cały blady; patrzaj, cały drżący — Ja słabnę, — jeszcze chwila, a serce mi pęknie“.

Wojewoda wzywa Amelię na sąd Boży: ma przysiędź na krucyfiks, że niewinna; Zbigniew do matki mówi: „Matko, precz od krzyża!“; ale ona przysięgła, że jest niewinna. Więc Zbigniew znów uwierzył, ale wojewoda nie wierzy, i w zajadłej zemście każe ąlkowę zamurować, „bo teraz“ — oświadcza zajadły starzec — „bronię, abyś ją Waś o krzywą posądził przysięgę“ (innemi słowy: skoro przysięgła, i Zbigniew przysiędze uwierzył, to się zamurowaniem ąlkowy nikomu krzywda nie stanie.

Więc mur stanął, a Amelia miała iść pod klucz, a my dodajemy, wedle rozumowania naszego co do intencji wojewody, tak miał honor rodu być ocalony. Świetnie znów kończy się akt trzeci, bo Zbigniew

znajduje wachlarz i na nim czyta te kilka znanych nam słów Mazepy, i traci wiarę w niewinność Amelii, rozumie się, że wachlarz chowa. Teraz rozumiemy, cośmy tylko lekko napomknęli, dlaczego Zbigniew poszedł z matką do jej pokoju na ostatnie pożegnanie; gdyby tego nie był zrobił, byłoby tam w pokoju matki wszystko inaczej wypadło. Gdyby wojewoda był zeszedł Mazepę u żony, byłaby się rzecz i zbyt prędko, i zbyt strasznie skończyła, bo Amelia byłaby bez obrony, a Zbigniew dopiero w epilogu byłby odegrał rolę; gdyby zaś Amelia miała wystąpić z godnością i Mazepę oddaliła precz od siebie, byłaby się tragedia mogła zamienić na komedję, a tego poeta nie mógł chcieć, — jemu, owszem, o to musiało chodzić, aby się niewinność Amelii nie wydała, przeciwnie, coraz ciemniejsze na nią mogły padać podejrzenia — i stąd to ta kumulacja okropności. Cały ten akt jest straszną torturą, bo Amelia bez wszelkiej winy cierpi straszliwe katusze. Nie doznajemy tragicznego uczucia: trwóży nas się wprawdzie i litujemy nad Amelią, ale to uczucie przechodzi już miarę uczuć ludzkich, bo już przechodzi w grozę; dla wojewody nie mamy żadnego z dwóch tragicznych uczuć: trwogi nie, bo tam niema o co się trwożyć, bo już jest jasne, że on popadł w szaleństwo; litości też dla niego nie mamy, bo to szaleństwo jest tyrańskie; jedyny Zbigniew pochwycony jest jako prawdziwie tragiczny charakter.

Aktowi czwartemu możnaby dać tytuł: Odmurowanie Mazepy. Pytanie, czy wojewoda da się przekonać? Akt ten smutnie się zaczyna. Amelia w więzieniu spędza już dzień drugi; nie nie je, nikt do niej nie przychodzi, oprócz Chmary o naznaczonych godzinach, nikt się o nią nie pyta (w ogrodzie ją tylko łabędzie ulubione raz przypomniały, które wojewoda chciał natychmiast pozabijać); wojewoda smutny, służba to sobie różnie tłómaczy na korzyść pani, ale zdaje się, że mu zemsty nie dosyć; nie chce pozwolić na wizytę księdza w więzieniu, ale Zbigniew go przekonał, iż pozwolił, a Zbigniew sam przebrał się za księdza i poszedł do matki. Po co on tam poszedł? Aby jej w więzieniu wzgardę okazać, a że był oszukanym, jak mu się zdaje, zazdrość go pali, że matka Mazepę kocha; więc poszedł się znęcać nad nią, nareszcie podaje jej wachlarz, gdzie Mazepa owe znane nam słowa napisał. Na to Amelia śpiesznie te słowa mówi: „Prowadźcie mnie do króla, przed królem wyznanie zrobię. Jam niewinna, lecz tam człowiek kona“. To miejsce nie jest bez ale! Jest w niem pewna niedokładność, albo też musimy przypuścić, że Amelia dopiero teraz związek rzeczy zrozumiała: w niewinności swojej nie mogła przypuścić, żeby ktoś mógł być za kotarą w jej sypialni; na hanbiące krzyki i szyderstwa męża, a potem syna, była bezbronna, może i wszystkiego nie rozumiała, i jedynie mogła zaklinać się

i przysięgać, że jest niewinną; nawet kiedy Chmara w więzieniu jej zaręczał, że sam widział za kotarą mężczyznę strasznie bladego, to ona powiada, że to chyba szatańska mara i nazywa Chmarę kłamcą. Teraz dopiero, kiedy jej Zbigniew pokazał wachlarz, miała dowód i czempredzej zrywa się do króla, — „jam niewinna, lecz tam człowiek kona“. Może te słowa są nie najmniejszą ozdobą w jej cierniowym wieńcu! o nią mniejsza, ona była i jest niewinna, ale tam o życie człowieka chodzi. Może ona nie wie, iż tam właśnie Mazepa zamurowany, boć ona pisma Mazepy nie zna.

Tymczasem przed ołtarzem nowo postawionym król często się modlił, a z za nowej ściany dochodziły go głuche jakieś jęki, więc król posadzał wojewodę, że żonę kazał zamurować, wojewoda zatem żonę sprowadził i pokazał, sprowadzi i syna, bo i w tym względzie król wojewodę podejrzewał; król wreszcie każe ścianę wziąć precz. Z za ściany wychodzi paż, „jak Łazarus z grobu“, i wyznaje wszystko, jak było; i tym sposobem wrócił Zbigniewowi wiarę w Amelię i może jeszcze słodsze uczucie, że ona go nigdy nie przestaje kochać (czego jednakże poeta nawet nie napomyka, co tylko w skutkach okazuje), — ale wojewody wyznanie Mazepy nie rozbroiło, choć nawet król gotów pokazać listy, które dał był Mazepie; i ten człowiek ma ze swego stanowiska rację: hańba pozostała, Mazepa był w sypialni wojewodziny! On określa dotychczasowe wypadki wedle swego rozumienia w takich słowach, że je warto przytoczyć na pokazanie, że poeta już w swoim miejscu myśli, przypuszczenia i sądy wojewody zdaleka ukazywał: „Więc ty (królu) hańby nie widzisz? Ja zastawiam zatrzaski Na wilka (pazia), a złowiłem wróbla i czyżyka (Zbigniewa i Amelię). Pokój chcę zamurować i cudzołożnika zamurowałem“. Żonie śmiercią grozi: „a ty, żono, śmiejesz się, pókiś żywa“. Teraz Mazepa zdaje rzecz na sąd Boży, król to uświęca swoim zezwoleniem: „Oto jest miecz nagi. Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa. Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczura dobywa — Ja żądam sądu Bogal“. Otóż występuje wojewoda do pojedynczej walki i pewien jest, że Mazepę zabije, i wtedy Amelia będzie przez Boga osądzona jako winna; Zbigniew prosi, aby ojciec na niego zdał walkę, nie dla tego, żeby chciał Amelię lżyć i przeciw jej honorowi wystąpić, tylko chce on w miejsce ojca dla tego wstąpić, że szuka śmierci, a będzie szczęśliwy, że sąd Boży okaże niewinność Amelii (i zapewne przed światem zasłoni ojca), i choć Amelia chce od Zbigniewa odwrócić pojedynek, to wojewoda odpycha ją precz i pozwala na pojedynek. Zbigniew chce zginąć, to widno jeszcze z innego szczegółu: każe paziowi klęknąć przed Amelią, aby go pobłogosławiła, jako swojego rycerza; on wierzy, że pobłogosławiony

będzie zwyciężcą, przed ojcem mówi, że jeżeli winna, to błogosławieństwo będzie Mazepie kłatwą. Naturalnie, że Amelia, która najlepiej wie, że jest niewiną i wierzy w błogosławieństwo przed bojem, w imię umęczonego Chrystusa błogosławi Mazepę; Zbigniewa też chce błogosławić, ale go pobłogosławił wojewoda, który także wierzy, że to błogosławieństwo będzie zgubą dla Mazepy (nie zupełnie są jasne słowa wojewody, że Zbigniew przecież go nie zbezczeszczył). Na propozycję Zbigniewa mają zapaśnicy nie na broń sieczną się bić, tylko strzelać. Wychodzą sami—po Mazepie nikt już za nimi nie idzie. Następuje straszna chwila milczenia,... potem słychać strzał... jeden tylko, więc jeden z zapaśników poległ, ale który? Długo się nikt nie zjawia, nareszcie — nad spodziewanie wszystkich, tylko z pewnością nie Amelii — zjawia się Mazepa, Wojewoda zaś bez przytomności wybiega ze sceny. Mazepa opowiada, iż Zbigniew miał śmierć bardzo smutną (jest to ulubiony środek Słowackiego w pojedynkach wyszukiwać niezwykle terminy); wojewoda wraca, obłąkany, chustkę z krwią syna rzuca w twarz żony, więc i w sąd Boży nie wierzy; i teraz zaprasza na pogrzeb wielki, ryczałtowy, każe jednak zamek zamknąć i nikogo nie puścić.

Jesteśmy ciekawi, co jeszcze w piątym akcie za okropność przyjść może, większa zapewne, niż dotąd, już nie! Domyślamy się z góry, że mściwy wojewoda żony nie oszczędzi, i chociaż z góry jesteśmy przygotowani na to, jednak dreszcz nas przejmuje, kiedy zaraz w pierwszej scenie wojewoda Chmary się pyta: „Czy moja żona jeszcze nie umarła?“. Jej życie więc już gaśnie, jak to Chmara potwierdza, zapewne z zadanej trucizny. Tymczasem król, który chce się z zamku wydobyć, zamówił wojsko kwarciane i, czekając na jego przyście, żegna się z wojewodą. Wojewoda chce króla puścić, ale Mazepę zatrzymać, i na nic nie przydadzą się królewskie gniewy i pogróżki, wojewoda króla chce puścić, ale bez Mazepy i w napadzie szaleństwa trumnę z synem Zbigniewem stawia na progu, przez którą król nie przekroczy, dopóki nie odda Mazepy; on przysięga, że go puści żywo, i król zezwala, bo Mazepa sam o to prosi w tej nadziei, że król wnet z wojskiem się złączy i jego wyswobodzi; zezwala, grożąc straszną zemstą, jeżeli wojewoda Mazepie na ciele, lub honorze, krzywdę wyrządzi. Król odjechał, wojewoda coraz widoczniej pokazuje obłąkanie, ale straszniejsze go jeszcze czekały moralne ciosy. Mazepa mu powiada, że Zbigniew, umierając, zlecił mu prośb kilka, na co wojewoda z rozpazą krzyczy: „Starcze, oszalej! Syn go egzekutorem zrobił testamentu!“.

Jedno z tych zleceń przedśmiertnych było, aby Mazepa widział się z wojewodziną, wojewoda więc ją przysyła, i teraz dowiadujemy

się, że Zbigniew sam sobie życie odebrał. Rzucił się z uściskiem na szyję Mazepie, i trzymając go za rękę, w której miał pistolet, nagle pociągnął cyngiel, i strzał przeszył go nawskroś. Umierając rzekł:

Przebacz! Ty byłeś rycerzem zhańbionej (w oczach ludzi),
Ja ginę z ręki, przez nią pobłogosławionej...

i umarł ze łzami i z imieniem Amelii na ustach.

Mazepa teraz klęka przed Amelią, ona, jak siostra, słańia się nad nim, na tę scenę wchodzi wojewoda. Kiedy więc zdaje mu się, że na oczy widzi, co dotąd tylko widział jakby w duchu, w nocy podejrzeń, szarpie Amelię i umierającą (bo ona już otruta), rzuca precz od pазia, tak, że, chwając się, pada przy trumnie syna; wtedy starzec krzyczy:

A nie kładź się Waćpani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz...

Ale jeszcze straszniejszej rzeczy miał się dowiedzieć, bo mu Mazepa teraz dopiero wyjawil tajemnicę:

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoje:
Ot — kochało się razem do śmierci — tych dwoje!..
I twój syn był dla żony twojej — samobójcą!

Wojewoda, który tymczasem żonę umarłą już z trumny zrzucił, jak żądłem jadu ukłuty, zerwał się, krzycząc: Ohydni!.. Bezwstydni!..

Tymczasem Mazepę ludzie zbrojni pochycili i za sceną związali; my się domyślamy już, że go tam do dzikiego konia przywiázano, na którym go już nikt nie był w stanie dogonić. Król za późno z wojskiem przyjechał: wojewoda w jego oczach, znieważwszy go wprzódy, zabił się kindzalem. I tak smutnie ród wojewody zeszedł ze świata.

Słowacki napisał tragedję „Mazepa“ na jesień roku 1834 przez dui kilkanaście ¹⁾. Później, 5 lutego roku 1835, robiąc porównanie między „Mazepą“ a „Balladyną“, którą w tym samym, co „Mazepę“ napisał czasie, tak mało znalazł upodobania w „Mazepie“, że tę tragedję spalił na kominku ³⁾. Ponieważ tragedia, pod tytułem „Mazepa“, wyszła w roku 1840, więc, rzeczywiście, niewiadomo, jak odpowiedzieć na dwa pytania, stawione przez Małeckiego: czy Słowacki „Mazepę“ z roku 1834 spalił i w następnych czasach napisał „Mazepę“ powtórnie i lepiej, niż pierwszą razą, czy też miał w lutym roku 1835 tylko zamiar zniweczenia tragedji, i donosił o spaleniu, jako o rzeczy dokonanej, a później jednak nie uczynił tego i „Mazepę“ wydał w roku 1840? Małecki skłania się na cytowanym miejscu do drugiego przypuszczenia, na innem zaś do pierwszego ²⁾. Mnie się wydaje, że poeta pierwszy rękopis rzeczywiście spalił, ale zachował układ nietylko w pamięci, ale i w brulionie. Nasamprzód Słowacki wyraźnie pisze, że w lutym roku 1835 spalił „Mazepę“. Następnie, wydawałoby mi się, że owa pierwsza redakcyja była nieco odmienną od drugiej, znanej nam i ogłoszonej w roku 1840. Nasamprzód poeta, w liście z listopada 1834 roku, pisze o galopującym Mazepie i o pięciołokciowych aktach, co mogłoby zastanowić, bo w tragedji, nam znanej, o galopowaniu Mazepy jest tylko w końcu lekkie napomknienie, a potem, akty znanej nam tragedji nie są tak bardzo łokciowe. Nie chcę jednak z tych słów wyciągać żadnych pewnych wniosków, bo i nie można; wolę z innych powodów twierdzić, że pierwsza redakcyja była od tej tragedji, która wyszła w roku 1840, nieco odmienna. Powieść o Mazepie i jego niezwykłej przygodzie miłosnej znajduje się, mówiąc tylko o dostępnych książkach, w Voltaire'a: „Histoire de Charles XII“, w Byrona powieści, w Paska „Pamiętnikach“ i w Otwinowskiego: „Pamiętnikach“. Kiedy Słowacki w roku 1834 pisał „Mazepę“, nie mógł znać Paska, ani Otwinowskiego, bo Pasek dopiero w roku 1835 wyszedł, a Otwinowski dopiero w 1839, mógł być wtedy Słowacki osnuć swoją tragedję na Wolterze i na „Dumce Mazepy“ przez Bohdana Zaleskiego, a mo-

1) List do matki 7/11 1834. Małecki II, 224.

2) L. I., pr. 27.

3) Małecki, II, 209.

że na romansie Bułharyna, pod tytułem: „Mazepa“, który właśnie wyszedł na krótko przedtem, bo w roku 1832. W tragedyi zaś, znanej nam z roku 1840, są widoczne ślady, że poeta znał „Pamiętniki“ Paska i opowiadanie jego o Mazepie, i stąd wnoszę, że redakcja z roku 1840, zawierająca reminiscencye z Paska, musi być nieco inna od tej redakcyi, którą, wedle mojego przypuszczenia, poeta w roku 1835 rzeczywiście spalił. Zaraz pierwsze sceny przekonywają nas o tem, bo tam pomiędzy dworzanami wojewody występuje Pan Pasek, imię zaś Paska zasłynęło dopiero w roku 1836, a że to jest ten sam Pasek, który pisał „Pamiętniki“, widać stąd, że go Słowacki przedstawia, jako nudnego oratora, który, co jedną mowę skończy, drugą już zaczyna. Widocznie miał tu poeta na myśli ten ustęp z życia i z „Pamiętnika“ Paska, gdzie ten szlachcic w Grodnie, w radzie królewskiej, broni się przeciw podejrzeniu, rzuconemu na niego, jakoby był stronnikiem związku święconego; w „Pamiętnikach“ rzeczywiście Pasek przytacza jedną mowę po drugiej, które w swojej sprawie miał w Grodnie, i wystawia cierpliwość czytelnika na ciężką próbę. A nawet jeszcze i z tego wnosić można, że dworzanin Pasek w poemacie jest tym samym Paskiem co autor „Pamiętników“, że Mazepa nie lubi Paska i schodzi mu z drogi.

Tak więc początek „Mazepy“, ogłoszonego w roku 1840, pisany był dopiero po roku 1836, i należy do drugiej redakcyi. Więcej takich miejsc wskazać nie możemy, przynajmniej wprost, dlatego mogłoby być pytanie: czy tragedia, ogłoszona w roku 1840, ca ł k i e m jest nowym utworem, lub czy też z dawnej redakcyi, choćby w pamięci, lub w brulionie poety, nie pozostały jakie części, które on potem wcielił do utworu ogłoszonego? Możliwość tak sądzić i tak rzeczywiście sądził na drugim miejscu Małecki ¹⁾, ale na to niema w p r o s t dowodów, bo że tragedia „Mazepa“ pokazuje jakby dość nierówne i niewyrównane fizyognomie, to znowu tylko odnosi się do aktu pierwszego w stosunku do reszty utworu: w tym pierwszym akcie występuje pani Robrońska i pan Pasek, których już później wcale niema, i to, choć niewiele, zawsze jest zastanawiające; przytem Zbigniew w akcie pierwszym dopiero co z wojska powrócił, w dalszych aktach jest jakoby oddawna w domu. Małecki upatrywał jeszcze w innych aktach inne takie miejsca, które z pierwszej redakcyi miały się przechować i w drugą być wsunięte, ale tylko jedno wymienia, i to ową dziwną scenę na końcu aktu drugiego, gdzie Amelia da-

1) II, 28.

je Zbigniewowi lilię. Prawda, że ta scena jest niezwykła, ale ona nie może być intruzem z pierwszej redakcyi, bo jest w ścisłym związku ze sceną poprzedzającą i jest niejako ilustracją do tego miejsca ¹⁾, że „człowiek smutny jest aniołem“. Cytata z listu Słowackiego z czerwca 1835 roku, gdzie jest mowa o zdobyciu liliowej duszy dla aniołów, niczego nie dowodzi, bo lilia odgrywa w poezyi Słowackiego wogóle bardzo wielką rolę, nietylko około roku 1834, naprzykład w „Lilii Wenedzie“.

Uderza też niejednolitość w całości: w pierwszych dwóch aktach rzecz i osoby w ruch wprawiał Mazepa, od aktu trzeciego zaś wojewoda występuje tak bardzo na pierwszy plan wypadków, że niewątpliwie jest w trzecim i czwartym akcie główną osobą,—ale z tego nie wypływa, aby dwa te pierwsze akty przysądzić innej redakcyi, aniżeli trzy następne, bo to jest błąd zasadniczy.

Gdybyśmy chcieli z poetą wehodzić w porachunki pod względem teoretycznym i artystycznym, to moglibyśmy go obsypać mnóstwem zarzutów, jakeśmy to już po części uczynili w miejscach bardzo stanowczych. Utwór jego nie ma zasadniczej idei wedle szkolnego pojęcia tragedyi o winie, płynącej z namiętności, i o ekspiacyi, a powtórę: nie ma głównej osoby. Oba te niedomagania ściśle się wiążą. Napróżno szukamy jakiegoś jądra rzeczy, i nie wiemy, o co chodzi. Jest wprawdzie w p o c z ą t k u targnięcie się na porządek Boski i społeczński, jakim jest świętość węzła małżeńskiego, ale już na tym punkcie poeta nas bałamuci, że nam stawia aż trzech takich przestępców, to jest: Mazepę, króla i Zbigniewa, i to tak, że niepodobna nawet nam upatrzeć w ich miłości trojakiego objawu pojęcia miłości, bo król niezem się od Mazepy nie różni; tymczasem takiemu zawiązaniu rzeczy nie odpowiadałby wcale dalszy jej przebieg, bo niema nikogo, kto byłby mścicielem tego targnięcia się na porządek, uświęcony prawem Boskiem i ludzkim: wojewoda nie może być za takiego poczytany, bo jego przypuszczenia są fałszywemi przywidzeniami; w późniejszych aktach o wiele więcej też chodzi z jednej strony o cześć rodu, z drugiej o cześć kobiety, aniżeli o zacność związku małżeńskiego. Dodajmy do tego, że poeta przerzuca Mazepę z roli Don Juana w rolę rycerza, walczącego o cześć niewiasty, i to jeszcze tej, na której cześć sam był nastawał; Zbigniewa także przerzuca z wiary w niewinność Amelii w rozpaczliwe zwątpienie, — i, dodajmy, po drugie: że nam Zbigniew wydaje się

¹⁾ Strona 189.

z b y t e c z n y m . Nie wchodzę w to, o ile słusznie, lub niesłusznie, Małeckci nazywa go waryatem, a miłość jego występłą,—ten sąd jest nieuzasadniony; jest to człowiek, zakochany w matce idealnie i broniący się tej miłości, ale tą miłością powodowany do jej obrony, z czego, naturalnie, powstają tragiczne sytuacje, — ale konieczności takiej osoby w dramacie niema. Jeżeli chodziło o to, aby w Amelii obudzić uczucie miłości niedozwolonej, i pokazać w niej winę, i tym sposobem podnieść tragiczność, to poeta tego nie uczynił tak, aby nas o konieczności Zbigniewa, jako kochanka Amelii, przekonać (oznaki sympatii są zaledwie dotknięte, o miłości ze strony Amelii tylko przy pożegnaniu mogłaby być mowa, ale ona tę miłość natychmiast stłumiła); jeżeli chodziło o obrońcę jej czci, to może naprzykład brat, postawiony obok, byłby osobą właściwszą, o wiele właściwszą, naturalnie, mąż, ale na to potrzebaby było całkiem inny dramat napisać.

Jeżeli takie zawiązanie nie odpowiada perypetyi i zakończeniu, biorąc rzecz zupełnie ogólnie, to inny zarzut jeszcze natarczywiej się nasuwa, kiedy myśl od zawiązania odwrócimy i spytamy: o co autorowi, począwszy od trzeciego aktu, chodzi? Ponieważ tam wojewoda niezaprzeczenie główną odgrywa rolę, więc widocznie o niego rzecz idzie. Moznaby przypuścić, i to przypuszczenie ma coś za sobą, że Słowacki chciał, podobnie jak Shakespeare w „Królu Lirze“, wystawić, jak w człowieku rozwija się stopniowo szaleństwo. Wojewoda jest dumny, podejrzliwy, uparty, zaślepiony i gwałtowny; te właśnie jego przymioty poeta konsekwentnie rozwija: naprzód powoli budzi się podejrzenie przeciw żonie, jeszcze pokrywane dumą, ale już silnie tlejące; w drugim akcie i na początku trzeciego, z różnych stron padają w oczach wojewody cienie podejrzeń na żonę. Kiedy zaś te podejrzenia w duszy wojewody zapuściły swe szpony tak głęboko, że żonę ma za występłą, a Mazepę za gacha, już nie nie zdoła go przekonać: ani król, ani syn, ani Mazepa, ani sąd Boski, więc gwałtowność go porywa i rzuca w obłąd i szaleństwo — a wyznanie Mazepy, że syn kochał się w jego żonie, dokonało reszty.

Pytanie tylko: czem wojewoda zasłużył na to nawiedzenie i nieszczęścia? Na to byłaby chyba tylko odpowiedź, że, żeniąc się w swoim wieku, przy swoich namiętnościach, z młodziuchną i piękną dziewczyną, sam dobrowolnie wystawił się na konsekwencye takiego kroku; ale to jest tak słabo zarysowane w początku sztuki, że nawet spytać można, czy poeta miał takie zawiązanie na myśli. Więc może wogóle miał całkiem inną ideę na myśli: chciał wystawić smutny upadek całego rodu?

Moje antenaty!

Cieszcie się—ja ostatni nie bez szlachetności,
Światowi daję habdank ¹⁾.

Ale to napomknienie, zresztą bardzo ciemne, jest jedyne. Byłby nas poeta, gdzie młodziuchną wojewody żonę wyprowadza na scenę, powinien jakimś napomknieniem o swojej intencji uprzedzić. Śmierć dawniejsza jednego z dwóch synów wojewody nie stoi zresztą z naszym dramatem w żadnym związku.

Skoro więc w wojewodzie trudno nam dopatrzeć się głównego przedmiotu tragicznych poety zamysłów, to zwróćmy się do wojewodziny, czy ona nie jest nosobieniem tragicznych intencji poety. Nie — chyba musielibyśmy przystać na takie absurdum, że poeta chciał wystawić, jak, w danych warunkach, kobieta niewinna została fizycznie i moralnie zabita. Boć ona jest niewinna. Nawet nie można powiedzieć, żeby jakimś dawniejszym przestępstwem los swój sobie zgotowała: z pewnością dobrowolnie za starego wojewodę nie poszła, który ją więzi, jak „gołębia w klatce“, a poszedłszy za niego, los swój znosi cierpliwie, bez skargi, z poddaniem się Opatrzności i z uległością dla męża, jest cnotliwą żoną, „świętą kobietą“, jak ją wojewoda raz nazwał. Więc ani myśleć o tem nie można, aby poeta chciał być uczynić wojewodzinę osobą główną i jej „umęczenie“ tematem tragedyi. Amelia zresztą nie jest osobą bohaterką, bo w dramacie cierpienie samo nie może za bohaterstwo uchodzić; ona wogóle nie jest osobą dramatyczną, ale, owszem, bierną.

Jest to jedną z największych słabości „Mazepy“, że tak trudno znaleźć myśl główną i bohatera, i ten fakt, że rozmaici rozmaicie się na to zapatrywali, jest najoczywistszym dowodem, że poeta dopuścił się wielkiego uchybienia przeciw teoryi, to jest: niejasności co do zasadniczej idei. Mnieby się zdawało, że Mazepa i jego krytyczne przejście mają być w dramacie osobą i rzeczą główną. Ten paż swywolny, lekkomyślny, uwodziciel kobiet, szlachetnieje w końcu, jakby poeta chciał powiedzieć, że miłość go uzacniła. Już po pierwszym widzeniu wojewodziny mówi sam do siebie:

Już chciałbym albo żyć — albo umrzeć dla niej,
Mości Kasztelanowo! o, zgadłaś Waćpani,
Ze tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik...

¹⁾ V, 17.

co jest niezupełnie jasne, ale co nam pokazuje, że to ma być miłość inna, niż wszystkie dotąd miłości Mazepy, miłość prawdziwa, która się w jego sercu na wieki zapisze. Mnie się zdaje, że poeta o tych słowach pamiętał, i że w nich jest związek tragedii. Mazepa więc chciał wojewodzinę pojąć, a jeżeli nie, to za nią życie dać. Że Mazepa chce serce Amelii sobie zjednać i zerwać uświęcony związek serc, jest to tragiczne, bo jest targnięciem się na porządek społeczny, bo on żadnego do niej prawa nie ma; że zaś chce jej serce zdobyć po swojemu, to jest obcesowo, to już mniej nas będzie uderzało, dla tego, że on do tego przywykł. Następuje nagła odmiana w usposobieniu Mazepy, bez przejścia, bez umotywowania; zaledwie Amelia przed królem w scenie trzeciej, akcie drugim skarżyła się na niego, że bezczelnie ją zeszedł w ogrodzie i pocałował „bezwstydnie“, to w scenie dziewiątej, akcie drugim Mazepa mówi już do Zbigniewa:

Wreszcie i to Waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrucha,
Że się wstydzę tej w zamku odegranej roli.

Mazepa przekonał się, iż nie wart jest starać się o miłość takiego anioła, jak Amelia, i poeta przedstawia nam go jako przekształconego, natchnionego szlachetniejszymi uczuciami, uzacnionego miłością: takim się pokazuje w scenie pierwszego pojedynku, gdzie przekonywamy się o tem, że Zbigniew matkę kocha, pragnie Amelii wrócić spokój i chce ją bronić; takim się szczególnie okazuje później; myśmy go już usprawiedliwili, że jeszcze raz poszedł do Amelii, choć wytknęliśmy poecie znowu pobieżność i dorywczosć; Mazepa potem oczyszcza Amelię ze wszystkich podejrzeń, i nawet w obronie jej honoru występuje. Jak szlachetnie sobie w tem wszystkim poczyna, widać stąd, że Zbigniew przyłgnął do niego, jak do brata, a Zbigniew w rzeczach uczucia, idealności i honoru jest bardzo czuły. Dalszym stopniem w tym procesie uzacnienia się Mazepy jest ta scena, gdzie, opowiedziawszy Amelii ostatnie zwierzenie Zbigniewa, żegna się z nią i na klęczkach prosi tylko o wspomnienie, jak dla brata. Z taką samą cześcią ujmuje się za nią, kiedy już ducha wyzionęła, a nad jej trupem klęka, jak nad świętą. My już w końcu nie poznajemy tego Mazepy, który z początku występuje jako trzpiot i bałamut; to jest dzieło czystej, zacnej miłości, — i musiałby to być dziwny przypadek, że go poeta takim bez intencji wystawił, — nie! to nie jest przypadek, to jest plan i założenie, to jest temat.

Konsekwencya tragedyi wymagała tego, aby Mazepa także śmierć poniósł, skoro on dał powód pierwszy do mąk i śmierci Amelii, ale poecie nie wolno było tak kończyć, skoro bohaterem był Mazepa, historyczna osoba; mógł także Słowacki upatrywać w moralnem przekształceniu Mazepy jakąś ekspiacyę za wietrzną przeszłość.

Zresztą, i to jest nie ostatnia uwaga, Słowacki nie wiązał się tak dalece żadną szkolną teorią w tragedyi: nie można też powiedzieć, żeby sobie teorię wysnuł z czytania Shakespeare'a, którego lubił, cenił i — naśladował, jak naprzykład w „Balladynie“, w „Horsztyńskim“, i t. d., wtedy też już ulegał wpływowi Calderona. Najbardziej zbliża się do Wiktora Hugo: że znał wstęp do Ruy Blasa, gdyż W. Hugo dość obszernie i bardzo wymownie mówi o dramacie, nie ulega zapewne wątpliwości; widoczną zaś jest rzeczą, że idzie jego śladem: uważał teatr, jako świat idealny i wyprowadzał na scenę i ludzi niezwykłych, i rzeczy niezwykłe, same przez się wstrząsające duszą; choć wiedział, że wystawienie namiętności jest najgłówniejszą rzeczą w tragedyi, dbał bardzo o żywą akcyę i, podobnie jak Wiktor Hugo, lubił niespodzianki, kontrasty, zagadki, a w wystawieniu zwięzłość i krótkość, tak, że wiele rzeczy trzeba sobie dopełniać. W „Mazepie“ świętość gościnności i honor rodowy przypomina Hernaniego, ucieczka Mazepy do sypialni i nietykalność sypialni przypomina kaplicę w Marion Delorme, okropność zamurowania ¹⁾, trumny i t. p. — tragedye Angelo Podesta de Padoue.

W. NEHRING.

¹⁾ P. Chmielowski dowodzi w artykule pod tytułem „Balzac i Słowacki“ („Ateneum“, rok 1897, tom pierwszy, str. 334 — 344), że pomysł do sceny zamurowania wziął Słowacki z powieści Balzaca: „La grande Bre-tèche“.

(Przyp. Red.).

Piśmiennictwo.

ALEKSANDER KRAUSHAR: Barss, palestrant warszawski, jego misja polityczna we Francji (1793 — 1809). Ze źródeł archiwalnych. 1903.

Wielkie zasługi i ofiarność patriotyczna Franciszka Barssa, współpracownika sejmu wielkiego, przedstawiciela i obrońcy praw mieszczaństwa polskiego, polityka, statysty i męża czynu, przyjaciela i towarzysza wygnania Kościuszki, do dziś dnia czekają należnego uznania. Wszystko, cokolwiek dotąd wiedziano o roli, jaką ów jedyny, urzędowy przedstawiciel interesów Polski powstającej, wobec Konwentu, Dyrektoryatu i Konsulatu pełnił w epoce wielkiej rewolucji francuskiej, redukuje się do pobieżnych wzmianek o Barssie, tu i owdzie w pamiętnikach z końca wieku XVIII napotykanym. Materiał źródłowy natomiast, obejmujący zarys działalności Barssa wśród przełomowych wypadków ówczesnych, jego udział w sprawach pierwszej emigracji polskiej, ześrodkowanej po konfederacji Targowickiej w Lipsku, jego działalność we Francji przed wybuchem i podczas powstania Kościuszkowskiego, jego współinicjatywa w powołaniu do życia legionów polskich, jego stosunki z Konwentem, z Robespierem, Dantonem, Barrerem, z ministrami wojny i spraw zagranicznych we Francji, z agentami politycznymi i bojownikami oręża i pióra -- wszystkie owe informacje, z nielicznymi jedynie wyjątkami, w fragmentarycznych urywkach drukowanymi w „Kwartalniku historycznym“, spoczywały nietknięte w aktach archiwalnych ministerium spraw zagranicznych w Paryżu, w archiwum narodowym francuskim i w papierach muzeum Rapperswilskiego.

Katastrofa podziałowa, — pisze dalej autor, — wytrąciwszy bardzo wielu ludzi z orbity normalnego życia, uczyniła z nich bądź agitatorów zamaskowanych, lub też błędnych rycerzy, którzy w imię ideału wskrzeszenia państwa, biegli walczyć łącznie z Francuzami przeciw Włochom, Hollendrom, Hiszpanom lub Anglikom. Barss nigdy maski nie nosił, tajnych misji nigdy nie pełnił, słabszych naro-

dów do spółki z mocniejszymi nigdy nie podburzał, lecz zawsze pod własnym imieniem i nazwiskiem występował publicznie w kraju, jako jeden z prowodyrów i bojowników sprawy mieszczaństwa polskiego za granicą, jako jawny przedstawiciel Kościuszki i jako jawny delegat Rady najwyższej narodowej warszawskiej. Tem dziwniejszą przedstawia się pomroka tajemnicy, jaka pierwsze i ostatnie lata żywota Barssa, wśród jasnego światła spraw publicznych i wśród łuny pożaru wszecheuropejskiego spędzonego, pokrywa. Kiedy się Barss urodził i kiedy umarł? O tem do tej chwili dat autentycznych nie posiadamy. Był on niewątpliwie dzieckiem Warszawy, z dziada i pradziada pochodził z rodziny mieszczańskiej, która się nazywała Barszcz. Już ojciec Franciszka w testamencie z daty 1796 roku podpisał się Bars, a syn jego dodał jeszcze jedno „s“.

Po tem interesującym wyjaśnieniu rozpoczyna autor opowieść biograficzno - historyczną, od chwili, gdy Barss, po zniweczeniu prac wielkiego sejmu przez Targowicę, łącznie z wieloma współpracownikami zmuszony został siłą konieczności do opuszczenia kraju i rozbięcia swoich namiotów tułaczycych w Wiedniu i w Lipsku, gdzie właśnie w końcu 1792 roku zaczął się tworzyć pierwszy związek robót emigracyjnych, około wywołania w kraju ruchu powstańczego. Zniechęcony widokiem tryumfującej reakcyi w kraju, Barss opuścił w lipcu 1792 roku Warszawę, pozostawiwszy w niej żonę i dwie nieletnie córki. Zatrzymał się początkowo w Lipsku, ale wkrótce przeniósł się do Wiednia, stale zdecydowany więcej nie powracać do kraju. Kollataj odradził jednak Barssowi zamiar wyemigrowania z kraju.

W roku 1793, emigracja lipska, przygotowując wybuch ruchu narodowego w kraju, umyśliła wejść w bliższe stosunki z Konwentem francuskim i z Komitetem ocalenia publicznego. Do takiej misyi powołano Barssa, który na chwilę powrócił do kraju, ale już w styczniu roku 1794 z Parandierem przybył do Paryża i wkrótce po swem przybyciu złożył memoriał Desforgnowi, w którym donosi, że rewolucya, która się w Polsce przygotowuje, jest zupełnie innej natury, aniżeli te, które miały miejsce w tym kraju. Nie chodzi obecnie o konfederacyę szlachty, która była jedynie narzędziem kilku wielkich ambycuszów. Nie chodzi tu o przywrócenie konstytucyi, ugruntowanej na śmiesznych zasadach królewskości, lub arystokracji, mniej jeszcze o nadanie jakiegokolwiek bądź innej, lecz o przywrócenie ludowi jego praw i niezależności i nadanie mu samorządu. Od czasu, gdy Francya jest Rzecząpospolitą, żaden wypadek polityczny nie był tyle godnym zajęcia jej uwagi, co przygotowujący ruch w Polsce.

W następnych memoryałach podawanych ministrowi spraw zagranicznych, Barss zwraca uwagę, że chodzi mu głównie o przekonanie rządu francuskiego, że w jego własnym interesie leży niespuszczenie Polski z uwagi i rozważenie: czyli naród ten może być potrzebny w obecnej chwili dla przyspieszenia i utrwalenia rezultatów republikańskich. Barss przytacza tylko takie rzeczy, które więcej obchodzą Francję, aniżeli Polskę, i które Polsce posłużą dopiero wtedy, gdy się Francji pożytecznymi okażą. Na czele wymienił Barss dywersję królowi pruskiemu i zaoszczędzenie przez to krwi francuskiej, a następnie pozbawienie króla pruskiego tej pomocy, jaką mu obecnie świadczy Rosya. Jeżeli rząd francuski nie skorzysta teraz z okazji, jaką mu nastrecza obecne położenie Polski, wszystkie korzyści obrócą się na stronę jej nieprzyjaciół. Zajęcie się więc powstaniem polskim przez skojarzenie rokowań z jej przywódcami, obchodzi nawet bliżej Francję, niż Polskę, choć niewątpliwie i Polska będzie mogła odzyskać swoją niezawisłość i odrodzić się politycznie.

Barss nie ograniczył się na jednym memoryale, lecz starał się wyzyskać wszystkie okoliczności, aby skłonić rząd republikański do poważnego zajęcia się sprawami Polski. Jego akcyi dyplomatycznej stanął na przeszkodzie Mehée, znany przeciwnik konstytucyi 3 maja, który donosił Barrerowi, że wszystko, co tylko w Polsce nie jest oddaniem Rosyi, tworzy stronnictwo pruskie, a o Barssie pisze, że jest to człowiek zasłużony i wielki zwolennik ustawy 3 maja, ale jest także oddany Prusom, którym wiernie służył. Komitetowi ocalenia publicznego doręczono memoryały Parandiera i Barssa. Komitet przyznawał, że powstanie jest jednolitem, skutecznem i zgodnem z tem, co było zapowiedzianem, ale Robespierre w dopisku zamieścił pesymistyczną uwagę, że nie było ono ani przygotowane, ani zapowiedziane przez naszych agentów, lub posłów, a więc w zupełności zależne od przypadkowych okoliczności. Robespierre zgadza się jedynie na wysłanie do Polski patrioty intelligentnego, któryby rządowi francuskiemu donosił o postępie powstania. Zresztą jest przeciwnym wszelkim zasiłkom, albowiem republikanie, uzbrojeni opatrzeni są we wszystkie bogactwa krajowe. Komitet ocalenia jednak przyszedł do przekonania, że nie ma innych środków pomagania Polakom, jak zasiłkami pieniężnymi. Zasiłki te jednak winny być stopniowane. Suma zaawansowana nie powinna przenosić miliona franków, a agent powinien być w stałej korespondeneyi z Francją. W końcu Robespierre zauważył, że słuszną jest rzeczą dawać rady powstańcom polskim, doświadczenie nasze uczyniło nas ich mistrzami w sprawie powstania.

Komitet ocalenia publicznego mało oczekiwał skutków po powstaniu z 1794 roku, jeśli usiłowania powstańców nie będą poparte przez potęgę, zdolne przeszkodzić zjednoczeniu wszystkich sił nieprzyjacielskich. Temi czynnikami są: Turcja, Dania i Szwecya; możnaby wreszcie wysłać do Polski agenta z kwotą umiarkowaną i z rozkazem zdania sprawy ze stanu rzeczy. Z memoriału, jaki Barss Komitetowi ocalenia przedstawił w tym czasie, można wnioskować, na jaką małą pomoc rządu francuskiego liczył on wtedy: „chciejcież przynajmniej oświadczyć, czy nasza sprawa was obchodzi? „Takim smutnym wykrzyknikiem kończy swój memoriał z 27 grudnia roku II Rzeczypospolitej. Jak tylko nadeszły z Polski dokładniejsze wiadomości o przebiegu powstania, Barss je natychmiast przedstawił w specjalnym memoriale, ale Komitet polecił jedynie wypracować i przedstawić sobie raport o wysłaniu agentów do Polski i o sposobie rozdziału miliona franków na subsydia dla naczelnika powstania przeznaczonego. Gdy zapadła uchwała Konwentu w sprawie rozpowszechnienia we wszystkich językach europejskich manifestów, obejmujących odezwy do narodów w duchu braterstwa i wolności, nie znalazło się w owych manifestach miejsca na język polski. Barss udawał, że jest to przypadkowe opuszczenie, i tłumaczył, że naród mój w obecnej chwili bardziej, niż któryby inny, zasługuje na względy, w imię tych zasad, jakie są wskazane w raportach, przedstawionych ze strony komitetu ocalenia publicznego Konwencji narodowej.

Komitet ocalenia publicznego trzyma się względem Polaków i sprawy ich polityki kunktatorskiej, nie wychodząc poza zakres obietnic i bezcelowych rokowań, i nawet nie życzył sobie nadać stosunkom z Barsssem charakteru urzędowego. W następnych memoriałach kołacze też nadaremnie Barss do rządu francuskiego o przyspieszenie wysłania tych drobnych zasiłków, które niby przyobiecaniem zostały. Memoriały te wszakże pozostawiono bez skutku, a tymczasem sekcyje republikańskie rozciągnęły coraz to większy nadzór nad Polakami w Paryżu, i pociągały ich do służby osobistej w gwardyi miejskiej. Po upadku Robespiera daną została Barssowi i emigracyi polskiej audyencya wobec nowego składu Konwentu. Miejsce prezydenta zajął Collot d'Herbois, zapewnił on w odpowiedzi na przemówienie Barssa, „iż naród francuski żywo współczuje narodowi polskiemu w walce jego, podjętej przeciw wrogom wspólnym.“ Sprawa polska na tem zapewnieniu uroczystem zyskała tylko garść frazesów, nic więcej.

Po upadku powstania w Polsce, Barss nieustannie zajmuje się polepszeniem doli rodaków w Paryżu i przedstawianiem konieczności podtrzymania ruchu zbrojnego w kraju rodzinnym. Barss korzysta

z każdej okazji, z najdrobniejszego szczegółu, aby przedstawić starannie opracowany memoriał, wykazujący pozorne, czy rzeczywiste korzyści Francji. Memoriały powyższe pozostawiał rząd francuski w spokoju i rzadko kiedy darzył je bliższą uwagą. Niepowodzenie nie zniechęcało Barssa i, rzeczywiście niestrudzony, wytrwał na swem stanowisku. Na początku roku 1795 roku Komitet ocalenia polecił oświadczyć Polakom, że ocalenie ich ojczyzny zawisło wyłącznie od ich własnych usiłowań i energii. Jak bowiem dopomóż skutecznie narodowi, w którym już niema śladu rządu, a być może i powstania. W lutym 1795 roku dowiedział się Komitet ocalenia o ostatecznej katastrofie powstania w Polsce, i to dowiedział się za pośrednictwem posła francuskiego we Florencji, Pedaulta. Relacja posła opierała się na informacjami, udzielonej przez Karola Prozora, który dążył do Paryża z poleceniami emigrantów weneckich i zatrzymał się czasowo we Florencji.

Epizod z pobytu Prozora we Florencji ważnym jest ze względu na szczegóły, dowodzące, że emigracja polska nie była podówczas zadowoloną z działalności Barssa w Paryżu, uważając ją za mało skuteczną i dlatego zaleciła Prozorowi, aby uprzedził o tem emigrację paryską i wpłynął na zdwojenie energii jej przedstawicieli. Oprócz tego ważnym jest powyższy dokument i z tego względu, iż pierwszy raz w nim wyłania się zamiar emigracji weneckiej powołania do życia legionów polskich, w celu wzniesienia nowego w kraju powstania. Prozor, przybywszy w początkach lutego (1795) do Paryża zawiadomił Barssa o utworzeniu się w Wenecji komitetu, który odtąd sprawami Polski zawiadywać będzie. Widocznie tego rodzaju krok ze strony komitetu weneckiego nie odpowiadał interesom Barssa. Uważając się ciągle za urzędowego przedstawiciela interesów polskich we Francji, nie życzył sobie Barss poddać się kierownictwu komitetu, mającego zamiar działania na własną rękę. Nie ulega wątpliwości, że z chwilą rozpoczęcia akcji komitetu weneckiego, za pośrednictwem Prozora, tworzył się w łonie emigracji polskiej w Paryżu pewien rozkład, który się uwidocznił i w raportach Komitetu ocalenia publicznego.

Nadesłany ze strony komitetu weneckiego projekt utworzenia legionów polskich, opatrzony datą 6 marca 1795 roku, brzmiał w przekładzie jak następuje: „Okoliczności obecne, nie pozwalając obywatelom Polakom, którzy walczyli w ostatniem powstaniu i następnie kraj opuścili, służyć własnej ojczyźnie i wolności, zmuszają ich do służby pod sztandarami zwyciężskimi Rzeczypospolitej francuskiej. Życzeniem polskich wojskowych jest, by rząd francuski utworzył legie polskie przy swoich armiach, których zarodkiem byłiby jeńcy,

wzięci do niowoli w ciągu kampanii bieżącej. Polacy, przedstawiający ów projekt, są przekonani, że rząd francuski uczyni zeń taki użytek, aby przez to wynikła korzyść dla nieszczęśliwej Polski, którą tak wspaniałomyślnie się interesuje". Gdy w początkach kwietnia (1795) układano z królem pruskim traktat pokoju, agencja polska dokładała wszelkich starań, by w warunkach pokojowych zamieszczono warunek przywrócenia niezależności tej przy najmniej części Rzeczypospolitej, jaką zagarnęły Prusy. Członkowie rządu francuskiego odpowiedzieli Barssowi, iż warunek rzeczony nie może być narzuconym królowi pruskiemu, ponieważ opóźniłby układy pokojowe, a Francya odczuwa potrzebę tego pokoju, i zależy jej na zagojeniu ran, zadanych przez anarchię i terrorizm, że trzeba przytem zrestaurować stan finansów, przerwać szereg zwycięstw, by dać odpoczynek wojsku i zająć się organizacją rządu.

W początkach 1797 roku otrzymał Ogiński zawiadomienie, iż rząd francuski zgodził się na ułożenie planu konfederacji polskiej, i że Verninac otrzymał w tej mierze instrukcye, by popierać ów plan przed rządem tureckim. Barss w memoriale z tegoż roku podnosił posłannictwo Francji republikańskiej w krzewieniu sprawiedliwości między narodami i wskazywał na konieczność zjednania Prus dla sprawy polskiej, już ze względu na niebezpieczeństwo własne. Dyrektoryat odmówił udziału swego w zamierzonej akcji pod pozorem, iż mogłaby ona raczej zaszkodzić, aniżeli pomódz Polsce, dając tem Prusom asumpt do podejrzenia, iż tu chodzi o pozbawienie ich dokonanego zaboru. Tak więc, po tylu rozczarowaniach, okazało się znowuż, że oprócz pięknych słów i obietanek, Polska nic nie uzyskała, i że owe obietnice pozostawiają jedynie ślady na papierze i ugrzęzną na wieki w archiwach.

Barss starał się jeszcze w memoriałach swoich powołać do życia naszą reprezentację narodową i utworzyć we Francji środowisko naszej siły orężnej. Układy pokojowe w Leoben rozwiały te uludy nie po raz ostatni. Pozostało więc do urzeczywistnienia zebranie sejmku konstytucyjnego polskiego w Medyolanie, lecz na to minister de la Croix stanowczo nie chciał się zgodzić. Jeszcze w roku 1800 w sprawie legii nadreńskiej i w sprawie zjednoczenia legii włoskiej z naddunajską, Kościuszko zgodnie z Barsssem czynili przedstawienia w interesie Polski. W kwietniu 1800 roku zwraca się Książewicz do Barssa, ażeby pierwszemu konsulowi wyluszczył naglące potrzeby legionów polskich.

Studjum Kraushara obejmuje tylko połowę żywota Barssa, a mianowicie czasy, kiedy myślał o stanowczem rozłączeniu się z kra-

jem i pod wpływem perswazyi Kollåtaja, rozstał się z pierwotnym projektem i następnie służył wiernie i z poświęceniem sprawie polskiej we Francyi. Ową służbę dyplomatyczną Barssa przy Rzeczypospolitej francuskiej przedstawił autor wyczerpująco, opierając się na źródłowej podstawie archiwów francuskich i muzeum raperswilskiego. Z memoryałów Barssa widnieje niezwykła staranność i pilność agenta polskiego. Nie opuszcza on najdrobniejszego szczegółu, nie zapomina o najodleglejszej kombinacyi, aby tylko skłonić Rzeczpospolitą francuską do zajęcia się sprawą polską. Wszystkie zabiegi, starania i pomysły okazały się jednak daremnymi. Wszystko się też rozbiło o trudności, w jakich się znajdowały rządy republikańskie we Francyi, i jako jedyny owoc starannych zabiegów pozostało gorzkie rozczarowanie. Dyplomatyczny zawód zacnego Barssa przedstawił nam Kraushar dokładnie i niezwykle interesująco. Studium o Barssie zachowa też poważne miejsce w dorobku jego naukowym.

A. R.

Kronika miesięczna.

Pisaliśmy w swoim czasie o projektowanej reformie zarządu miast prowincjonalnych w Królestwie Polskiem. Obecnie ogłoszona już została uchwała Rady Państwa, zmieniająca i uzupełniająca w jednym kierunku uciążliwe lub niedostateczne przepisy dotychczasowe. Ze względu na wagę tej uchwały i jej znaczenie dla rozwoju naszych miast, przytaczamy ją w dosłownem brzmieniu. Całą rzecz ujęto tu w 7 punktów zasadniczych, które opiewają:

1) Roczne preliminarze dochodów i wydatków miejskich, z wyłączeniem preliminarzy Warszawy i Łodzi, zatwierdzają rządy gubernialne.

2) Na podnoszenie części funduszków miejskich zapasowych, celem pokrycia braków w zwyczajnych dochodach miejskich i wydatków zezwalają rządy gubernialne pod prezydencją gubernatora, o ile wysokość podnoszonych sum nie przewyższa zwyczajnych, określonych preliminarzem wydatków miejskich. W razie przekroczenia wymienionej wysokości sum podnoszonych, zezwalające na to uchwały rządów gubernialnych wchodzą w wykonanie po zatwierdzeniu ich przez generał-gubernatora warszawskiego. W Warszawie i Łodzi wszelkie uchwały magistratów i podnoszenie sum z funduszków zapasowych na pokrycie niedoborów w zwyczajnych dochodach miejskich wchodzą w wykonanie po zatwierdzeniu ich przez ministra spraw wewnętrznych.

3) Rząd gubernialny pod przewodnictwem gubernatora w zakresie zarządu miejskiego posiada prawo: a) przy wykonywaniu planów regulacyjnych—rozstrzygania ostatecznego spraw o nabycie za wspólną zgodą działek gruntu, potrzebnych do urządzenia ulic i placów miejskich, z zastrzeżeniem, aby wydatki te nie przewyższały 5,000 rb.; b) zatwierdzania regulacji gruntów miejskich i należących do miast dóbr wiejskich i zezwalania na zamianę działek publicznych

gruntów miejskich na inne, jeżeli wartość wymienionych działek nie przewyższa 5,000 rb.; c) zatwierdzania nieprzewidzianych w preliminarzu wydatków z miejskich kapitałów leśnych na budowę i melioracje leśne do wysokości 5,000 rb. rocznie wyłącznie z kasy leśnictwa; d) rozstrzygania ostatecznego sprawy zbywania ruchomości miejskich, oraz nabywania dla miasta nieruchomości do 5,000 rb. i zbywania nieruchomości miejskich do wysokości 1,000 rb.; e) rozstrzygania ostatecznego kwestyi wydatków kas miejskich na ulepszenia miast do wysokości 5,000 rb. rocznie w każdym mieście z osobna; f) zatwierdzania umów polubownych, umarzających ostatecznie spory pomiędzy miastami, a osobami prywatnemi, ilekroć wartość spornej ruchomości lub wysokość kwoty spornej nie przenosi 5,000 rb., a wartość nieruchomości spornej — 1,000 rb. i g) sprawowania innych obowiązków, wskazanych w dziale II, art. 35 ustawy o zarządzie gub. Królestwa Polskiego.

4) Magistrat m. Warszawy, po zatwierdzeniu przez generał-gubernatora warszawskiego, rozstrzyga ostatecznie: a) sprawy o nabywanie, przy opracowywaniu planów regulacyjnych, za zgodą właścicieli działek gruntu, potrzebnych do urządzenia ulic i placów miejskich, ilekroć wydatki w tej mierze nie przekraczają, rachując razem wszystkie nabyte w wykonaniu takiego planu działki, 5,000 rb.; b) sprawy o ustąpienie własności miejskiej w drodze umów dobrowolnych na rzecz skarbu, instytucji lub będących pod opieką rządu zakładów, jakoteż o zbywanie własności miejskiej bez przetargu osobom prywatnym, w razie konieczności zamiany własności miejskiej na nieruchomość prywatną, lub celem zakończenia sporu za pomocą umowy polubownej, wreszcie sprawy o nabycie przez miasto wszelkich nieruchomości—we wszystkich tych przypadkach do wysokości 5,000 rb.; c) zatwierdza regulację gruntów miejskich i zezwala na zamianę publicznych gruntów miejskich na inne, ilekroć wartość działek wymienionych nie przenosi 5,000 rb. i e) sprawy, wymienione w punktach b), c), f), g) i i) artykułu 7 działu VII Najwyżej zatwierdzonej d. 22 lipca 1870 r. uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego (II. Zupełny zbiór praw Nr. 48, 511).

5). Przedsiębrane przez zarządy miast roboty celem zaspokojenia wszelkiego rodzaju potrzeb miejskich mogą być wykonywane w drodze przetargu na oddanie ich przedsiębiorcy, albo też sposobem gospodarczym. Wybór tego lub innego sposobu wykonania robót miejskich pozostawia się zarządom miast, pod warunkiem zatwierdzenia go przez władzę, od której zależy przyznanie na ten cel kredytu.

6) Sprawy zarządu gospodarczego wszystkich miast, oprócz Warszawy i Łodzi, których rozstrzygnięcie przekracza zakres władzy rządów gubernialnych, a nie wymaga decyzji wyższych instytucji państwowych—rozstrzyga generał-gubernator warszawski. Na tej zasadzie sprawy o umorzenie zaległości podatków miejskich na sumę od 1,000 do 10,000 rb. decyduje generał-gubernator po uprzednim porozumieniu się z p. ministrem spraw wewnętrznych.

7) W drodze wyjątku od przepisu, w poprzednim artykule zawartego, minister spraw wewnętrznych rozstrzyga: a) sprawy o sprzedaż nieruchomości miejskich lub o zawarcie przez miasto umowy podobownej co do nieruchomości spornej, ilekroć cena nieruchomości zbywanej lub spornej przewyższa 5,000 rb. i b) sprawy, wymienione w art. 6, ilekroć okaże się potrzeba uprzedniego porozumienia się co do nich z innemi wydziałami.

Jak widać, uchwała niniejsza, acz z dużemi jeszcze ograniczeniami, ale w każdym razie znacznie rozszerza kompetencję organów miejscowych, które dotychczas pozostawały w całkowitej zależności od władz centralnych w Petersburgu, decydując samoistnie tylko w sprawach bardzo małej wagi. Nie trzeba podkreślać, że odbijało się to niepomyślnie na gospodarce miejskiej i znacznie opóźniało każdy krok, podjęty w kierunku rozwoju naszych miast. Wolno też sądzić, że nowe przepisy przyczynią się w niemałym stopniu do ożywienia tego rozwoju.

Sprawa opieki nad umysłowo chorymi w kraju naszym należy oddawna do najbardziej palących, a przecież dotychczas uczyniono tak mało dla jej zażegnania. Dopiero w ostatnich czasach z polecenia generał-gubernatora wyznaczona została przy warszawskiej radzie dobroczynności publicznej komisya, której polecono opracowanie sposobów polepszenia opieki nad licznym i, niestety, coraz liczniejszym zastępem chorych tej kategorii. Komisya w pracy swej doszła do następujących wniosków.

Stwierdza ona przedewszystkiem, że opieka nad umysłowo chorymi w Królestwie jest zaniedbana i wymaga zmian. Wobec stałego przepełnienia zakładów dla umysłowo-chorych, niezmiernie trudno umieścić w nich chorych na rozstrój umysłowy w pierwszym okresie choroby. Dla nich to komisya proponuje urządzenie przy szpitalach ogólnych, w różnych guberniach kraju, niewielkich oddziałów, jako „Bureau d'admission“. Oddziały takie, przysposobione dla utrzyma-

nia i kuracyi, powinny być przeznaczone głównie dla niebezpiecznych furyatów. Pod obserwację ściślejszą chorzy powinni być wysyłani do Tworek lub do szpitala Ś-go Jana Bożego, które powinny mieć charakter szpitalów centralnych dla całego kraju. W celu zaś uwolnienia powyższych szpitalów od nieuleczalnych, należy utworzyć przynajmniej 2—3 kolonii na 700—1000 umysłowo chorych każdą. Do takich kolonii wysyłani byłiby nieuleczalni z oddziałów gubernialnych i ze szpitalów centralnych: tworkowskiego i św. Jana Bożego.

Najodpowiedniejszymi, zdaniem komisji, miejscami dla urządzenia takich kolonii byłyby klasztory skasowane, np. w Klimontowie, w gub. Radomskiej, w Gidlach, w gub. Piotrkowskiej, w Pilicy, w gub. Kieleckiej, w Wolbromiu i w innych miejscowościach kraju. Niektóre z tych klasztorów posiadają dostateczną ilość gruntów (dla kolonii potrzebaby około 300 morgów) i budowli, tak, że będą potrzebne tylko wydatki na przeróbki, reparacye i przysposobienie ich na kolonie, co ogółem wyniesie 300,000 rb., a 400,000—wraz z oświetleniem centralnem, wodociągami i kanalizacją.

Utrzymanie kolonii kosztowałoby rocznie w przybliżeniu 180,000 rubli.

Na pytanie co do rozszerzenia szpitala w Tworkach, komisja dała odpowiedź przeczącą, wychodząc z tego założenia, że terytorjum szpitalne jest już tak zabudowane, iż powstanie na niem nowych pawilonów jest niebezpieczne i szkodliwe dla zdrowia chorych, zwłaszcza, że i obecnie już są wśród nich notowane wypadki gruźlicy nabytej.

Co do szpitala św. Jana Bożego, to, ponieważ obowiązuje w nim dotąd stara ustawa, która tamuje rozwój tego zakładu, przeto komisja uznaje za niezbędne wyjednać pozwolenie na zastosowanie do tego szpitala ustawy szpitalnej, obowiązującej w Tworkach.

Środki, potrzebne na urządzenie proponowanych kolonii, o ile skarb państwa nie wyznaczy ich ze swoich źródeł, mogłyby być wypożyczone z resztek t. zw. funduszu użyteczności publicznej, oraz z ustanowionego w r. 1890 podatku, który nie odpowiada obecnym warunkom życia i potrzebom ludności, powinien więc być zreformowany.

W sprawie budowy przytułku policyjnego dla umysłowo chorych, większość członków komisji wyraziła zdanie, że byłoby pożyteczniej, zamiast budować przytułek przy jednym z cyrkułów, odsyłać wszystkich umysłowo-chorych, wziętych z ulicy, do szpitala św. Jana Bożego, urządziwszy na jego terytorjum oddział obserwacyjny. Co zaś do środków, które magistrat powinien wyznaczyć na utrzymanie przytułku policyjnego, to środki te z wielką korzyścią mogłyby

być użyte na zasilek dla szpitala św. Jana Bożego i na zapomogi dla Tow-a opieki nad umysłowo-chorymi, za co T-wo powinno brać pod opiekę jednego nieuleczalnego.

Wnioski te, uwzględniające w wielu kierunkach istotną potrzebę, grzeszą jednak pewną niepraktycznością. Niepraktyczność ta wychodzi mianowicie na jaw w obliczeniu kosztów proponowanych przez komisję kolonii. Czy nie lepiej byłoby zamiast wyklądać tak znaczne sumy na urządzenie trzech zaledwie kolonii, zakładać przytulki w skromniejszych granicach na 100—200 chorych, a za to rozrzucić je gęściej po kraju? Za przykład posłużyć tu może Drewnica, o której wiadomość podaliśmy w zeszycie poprzednim. Małym stosunkowo kosztem dźwignięto tam zakład wielkiego pożytku. Zresztą, pamiętać nie wadzi i o tem, że „bis dat, qui cito dat“, a kolonie tak prędko nie staną...

Niedawno temu w okolicach Nałęczowa przy poszukiwaniu kamienia na polach Antopolskich znaleziono młot kamienny szlifowany. Odkrycie to zaciekawilo właściciela dóbr, który, zarządziwszy pilniejsze poszukiwania, natrafił na ślad grobów, ułożonych z kamienia, rozrzuconych po polach gliniastych, o czem niezwłocznie zawiadomił zajmujących się archeologią: prof. Łopacińskiego i d-ra Olechniewicza z Lublina. Pod ich kierownictwem prowadzą się dalsze roboty od kilku już tygodni. O wyniku tych robót tak pisze korespondent „Gazety Polskiej“, p. H. W.:

„Dotąd rozkopano 8 grobów, z których jedne były starannie obmurowane, a właściwiej obstawione kamieniami wapiennymi (siwakiem), na takiej-że podstawie kamienniej, i takiemiż kamieniami nakryte, inne—tylko gruzem kamiennym pokryte. Były to groby pojedyncze. Wśród nich wszakże znajdowała się cała grupa grobów, nakryta jakby brukiem jednolitym, pokrywającym krąg, około 15 łokci wzdłuż, a 12 łokci wszerz. Pod tym brukiem odkopano kilka grobów obok siebie. Groby te były zbudowane mocniej i staranniej od innych, a każdy miał na wierzchu po 6 głązów: 4 po rogach i 2 w połowie długości, na dłuższych bokach. Obecnie po głązach tych oryentować się można w poszukiwaniu dalszych grobów pod brukiem wierzchnim. Różnica w budowie grobów, z których jedne ułożone z wielkich kamieni, inne zupełnie bez ścian, wskazuje, że już w owe czasy robiono różnicę pomiędzy zmarłymi i „nierówność“ wśród mieszkańców istniała.

W grobach przeważnie wszystko już w proch się rozsypało. Tylko czarna warstewka próchnicy, wśród żółtej gliny, wypełniającej grób, wskazuje miejsce, gdzie zwłoki leżały. W trzech tylko znaleziono nieco kości.

Głębokość, na jakiej składano ciała, wynosi około $1\frac{1}{2}$ łokcia (wyjątkowo nieco głębiej) od bruku górnego, który jeszcze nakrywała warstwa ziemi ornej, 6—10 cali. Ściany grobów mają 18—20 cali grubości, długość grobu wynosi 2—3 łokci, szerokość 15—20 cali. Można przecież przypuszczać, że szerokość ta była większa, a ścieśniła się przez wzruszenie kamieni. Ciała, z wyjątkiem jednego, były ułożone głową na zachód, nogami ku wschodowi, pod głową leży zwykle płaski kamień. W nogach ustawiony kamień, ciosany w kształcie, zbliżonym do wachlarza, jakby podstawa pod obie, rozchylone ku zewnątrz, stopy. W jednym z grobów, gdzie kości najlepiej się przechowały, ręce pochowanego wyciągnięte były wzdłuż ciała, po bokach, a między ręką prawą a tułowiem znajdowały się ułożone drobne przedmioty.

Szkielety, jakie się w części przechowały, należą do kobiet. Staranniejsza budowa grobów ich, oraz większa ilość przedmiotów, złożonych do ich grobów, każą wnioskować, że kobieta była tu w szczególnej poszanowaniu, a może i królowała. Być może nawet, że środkowa grupa grobów, spoczywająca na wspólnym podścielisku i wspólnym brukiem pokryta, z grobami, staranniej od innych stawianymi, a zawierającymi szczątki kobiece, była grobem „starszyny niewieściej“ (matriarchat) ówczesnej osady tutejszej.

W grobach znaleziono przedmioty następujące: 1) Szczątki naczyń glinianych; 2) sześć paciorków kościanych, o średnicy od 0.8 do 2 centymetrów i długich na 0.7 do 2.4 cent. Jeden z nich, misternej roboty, z otworami od obwodu do otworu środkowego, znaleziono wśród kości czaszki, wszystkie inne obok obojczyka; 3) dłuto krzemienne, około 1 cala w kwadrat; 4) igłę krzemienną lub szydło, długości około 3 cent.; 5) nóż kościany około 19 cent. długi, w szerszym końcu 2 cent., w węższym 0.7 mający, zaokrąglony na końcu; 6) igłę kościaną obłamana (odłamek ma niespełna 1 cent. grubości, a 12 cent. długości); 7) odłamek kamienia, kształtu wielkiego paznogcia, ostry, jak dłuto; 8) dzbanuszek gliniany, 10 cent. wysokości, baniasty, w bani mający obwodu 24.5 cent. w szyjce 13 cent., okaz niesłychanie rzadki.

Z tego krótkiego przeglądu widocznym jest, że groby owe pochodzą z epoki, kiedy metal nie był jeszcze tu znany. Prócz bowiem kości, kamienia i gliny, żadnego innego materiału na narzędzia nie użyto. Przypuszczalnie epokę, z której groby te pochodzą, określić można na 2—3 tysięcy lat przed nami, jeżeli nie dawniej jeszcze.

Na ślady mieszkań dotąd nie natrafiono. Położenie cmentarzyska na wyżynie, otoczonej dokoła dolinami, które w owe czasy stanowiły dno jezior, lub rzek i jezior, pozwala przypuszczać, że osady, współczesne z cmentarzyskiem, leżały u stóp wyżyny ponad wodą, która głównie dostarczała ludziom ówczesnym pożywienia“.

Tyle słów korespondencyi. O ile przypuszczenia te są trafne, wykażą badania bliższe, które niewątpliwie przez zaciekawionych tą sprawą uczonych zostaną podjęte, odkrycie bowiem należy do ważniejszych, jakie na naszej ziemi uczyniono w ostatnich czasach.

Jak rozwijają się u nas towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe i jaki wogóle jest ruch na polu kooperacji ekonomicznej?

Odpowiedzieć na to pytanie ściśle—jest bardzo trudno, nie posiadamy bowiem ani „Związku“ takich stowarzyszeń, ani żadnego wydawnictwa w rodzaju roczników spółek poznańskich i galicyjskich, gdzie odzwierciedlałby się ruch na tem polu.

Już wszakże z samych notatek dziennikarskich da się stwierdzić, że w ostatnich latach panuje w tym kierunku dość znaczne ożywienie. Powstają nowe towarzystwa, krzewi się na prowincyi idea samopomocy, instytucje starsze zdobycją coraz mocniejsze podwaliny. Fundusze ich obrotowe wzrastają, kapitały zapasowe również, oszczędności nabierają coraz zdrowszego charakteru, to znaczy—nie są lokatami kapitału, ale prawdziwemi oszczędnościami, gromadzonymi przez warstwy średnio-zamożne, wreszcie działalność ich zaczyna interesować coraz szersze koła, bo liczba członków stale wzrasta.

Nie wszędzie przecież stan jest jednakowy. Są stowarzyszenia lepiej i gorzej postawione. Pewne na to światło rzuca ogłoszona w nr. 80 *Kurjera Warszawskiego* statystyka 10 stowarzyszeń prowincjonalnych. Spróbujmy rozejrzeć się w tych cyfrach. Nie są one zupełne, bo nie podają bilansów wszystkich stowarzyszeń w należytem zestawieniu, ale, bądź co bądź, stanowią pewien materiał orientacyjny. I tak: o towarzystwie w Kielcach nie wiemy żadnych bliższych szczegółów ponad to, że zamknęło ono rok ubiegły czystym zyskiem, wynoszącym 4847 rubli. Zysk ten podzielono w sposób następujący: na pokrycie strat 15 rb., na dywidendę (5%) od udziałów 1453 rb., na kapitał zapasowy 999 rb., na gratyfikacje 380 rb., na fundusz kształcenia rzemieślników 150 rb., dla wdów po rzemieślnikach 100 rb., dla Tow. dobroczynności 300 rb., na muzeum rzemieślnicze 700 rb., dla

szkoły handlowej 600 rb., na kupno zegara wieżowego 50 rb., dla powodzian stopnickich 100 rb.

Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe w Piotrkowie liczyło w końcu r. z. 206 członków, których udziały wynosiły 5,440 rb., a wkłady 9,414 rb. W ciągu roku obrotowego udzielono 129 pożyczek na 16,791 rb. i pobrano od nich procentu 545 rb.; na zapomogi bezprocentowe wydano 800 rb. Obrót kasowy wynosił 41,006 rb., zysk brutto 752 rb., netto tylko 369 rb.

Two drobno-kredytu w Płocku w końcu r. z. liczyło 959 członków z kredytem na 78,841 rb. W ciągu roku obrotowego wydano pożyczek na 85,254 rb., z których zwrócono już 70,886 rb. Na lokację przyjęto 24,649 rb. Pomimo jednak tego zysk czysty wyniósł zaledwie 200 rb., które przelano w całości na rzecz kapitału zapasowego.

Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe w Kole, w gub. kaliskiej, liczyło 282 członków z kapitałem w udziałach rb. 14,020. Wkłady stanowiły 28,012 rb., kapitał zapasowy tylko 27 rb. W ciągu roku obrotowego Tow. udzieliło pożyczek na pokaźną sumę 127,786 rb., z których pozostało do spłacenia na r. b. 38,523 rb. Tow. zajmowało się także sprzedażą herbaty z zyskiem 45 rb. i węgla—z zyskiem 3 rb. Dochód brutto wynosił 3,379 rb., koszta administracyi 1,100 rb., procent od wkładów 1,215 rb. Zysk czysty 908 rb. Wysokość dywidendy oznaczono na 6%.

Tow. pożycz. w Koninie w końcu r. 1902 liczyło członków 176. Pożyczek udzielono rb. 29,302, spłacono rb. 25,373. Wkłady wynosiły 6,528 rb. Kapitał zapasowy rb. 193. Czysty zysk osiągnięto w kwocie rb. 1,102.

Tow. drobno-kredytu w Raciążu liczy 277 członków. Ogólny obrót kasowy wynosił w r. 1902—50,806 rb. Pożyczek udzielono na kwotę 25,650 rb., wkłady wynosiły 22,176 rb. Wśród członków było 96 żydów, których wkłady wynosiły 1,258 rb., gdy chrześcianie złożyli tylko 181 rb. Żydzi wypożyczyli 12,351 rb., chrześcianie zaś—13,299 rb. Zysk czysty wynosił 553 rb.

Obrót kasowy Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego w Staszowie wynosił w r. z. 245,898 rb. Wydano pożyczek na 85,735 rb. i pobrano od nich procentu 3,927 rb. Zwrócono pożyczek 74,640 rb. W dniu 1 stycznia r. b. Two liczyło 541 członków, udziały ich wynosiły 14,549 rb., wkłady 23,970 rb., długi Two 6,986 rb. (Spotykamy tu po raz pierwszy tę pożyczkę, a wątpliwe, czy jest ona wyjątkową, bo i inne stowarzyszenia z kredytu korzystać muszą). Kapitał zapasowy reprezentowała skromna kwota 521 rb. Zysk czysty wyniósł 1,007 rb.

Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe w Opatowie osiągnęło w r. 1892 zysk czysty w kwocie 183 rb. (Innych cyfr nie podano). Zysk ten przeznaczono na kupno umeblowania i kasy ogniotrwałej.

Tow. oszczędnościowo-pożyczkowe w Ostrowie, w gub. Łomżyńskiej, miało w r. z. z górą 100,000 rb. obrotu, gdy w r. 1901 tylko 52,000 rb. Zysk czysty wyniósł 2,675 rb. Z zysku tego wypłacono wysoką, bo wynoszącą 8% dywidendę, 100 rb. przeznaczono na gratyfikację dla pracowników biura i 120 rb. na zapłatę za naukę dwóch synów członków rolników w szkole zawodowej, z oddaniem pierwszeństwa szkole w Pszczelinie.

Tow. poż. oszczędnościowe w Sochaczewie liczyło członków 103. Obrót ogólny wynosił rb. 40,178, pożyczek udzielono rb. 26,692. Na udziały złożono 5,032, wkładów na lokacyi pozostało tylko 143 rb. Czysty zysk wynosił rb. 445 kop. 7, z tego odpisano na kapitał zapasowy rb. 44 kop. 50, na dywidendę przeznaczono 267 rb. 11 kop. i wypłacono ją w stosunku 6%, resztę zaś przeznaczono na utworzenie funduszu dla kształcenia ucznia średnich zakładów naukowych, syna niezamożnych rodziców, mieszkańców Sochaczewa.

Wreszcie kasa poż. oszczędn. w Bełchatowie w gub. Piotrkowskiej, miała w r. z. 70,000 rb. obrotu, a 988 rb. zysku. Na wniosek zarządu postanowiono prosić ministeryum o zatwierdzenie przepisów, na których zasadzie kasa mogłaby podjąć się pośrednictwa w zaopatrywaniu swych członków rolników w narzędzia rolnicze, nasiona, nawozy sztuczne, żelazo, sól i t. p.

Kończąc ten krótki przegląd działalności stowarzyszeń, żałujemy, że nie mogliśmy zestawić takich pozycji, jak ilość członków i ich charakter (ilu np. jest w T-wie rolników, a ilu rzemieślników, kupców, urzędników i t. d.), wysokość stopy %-owej, pobieranej od pożyczek, jakoś i wysokość kredytów, z których T-wa korzystają w instytucjach pieniężnych i t. d., ale te właśnie rzeczy, z ogólnego stanowiska najciekawsze, nie znalazły odbicia w ogłoszonych sprawozdaniach.

Przed rokiem omawialiśmy na tem miejscu projekt założenia szkoły sztuk pięknych w Warszawie. Obecnie projekt ten wszedł w fazę urzeczywistnienia, które wszakże całkowicie zależy od odpowiedniego poparcia materalnego ze strony społeczeństwa, szkoła bowiem, zgodnie ze swoją ustawą, żadnych funduszków specjalnych nie posiada, a byt swój opiera na 3 kategoriach członków: założycieli,

rzeczywistych i współdziałających, powołanych do dźwignięcia tej instytucji.

Członkowie pierwszej kategorii winni złożyć jednorazowo przynajmniej rubli 1,000 na rzecz szkoły, kategorię drugą stanowią ci, którzy złożą 500 rubli jednorazowo lub zobowiążą się do płacenia przez lat 5 po 100 rubli rocznie, trzecia wreszcie kategoria członków płaci tylko po 10 rubli rocznie. Wszystkie kategorie razem wybierają komitet kuratorów, a ten z pomiędzy siebie prezesa i wicepreza.

Pomijamy tu szczegóły ustawy ponieważ już poprzednio padaliśmy je w zarysie. Zaznaczamy tylko dla przypomnienia, że szkoła podlega nie ministrowi oświaty, ale ministerjum Najwyższego Dworu, że kuratorem jej honorowym jest generał gubernator warszawski, który zatwierdza osoby, wybrane do komitetu kuratorów, że do szkoły mogą wstępować w charakterze uczniów osoby płci obojej bez różnicy stanu, wieku, wyznania i przygotowania szkolnego i że obok sztuki czystej będą w niej uwzględnione, o ile się da jaknajszerzej, wszystkie kierunki przemysłu artystycznego.

Mamy przed sobą sprawozdanie Towarzystwa muzycznego za rok 1902, opracowane przez nowy już komitet tej instytucji (dawny, jak wiadomo, ustąpił w roku zeszłym, nie czując się na siłach do podolenia ciężkiemu zadaniu utrzymania instytucji, mocno zachwianej, wskutek znacznego ubytku członków). Rok ubiegły—czytamy w tem sprawozdaniu—zaznaczył się w dziejach Towarzystwa przełomową chwilą. Od czasu powstania Filharmonii działalność koncertową T-wa utrudniała konkurencja, niemożliwa do zwalczenia. Działalność ta stanowiła dotychczas niemal zasadniczy warunek bytu ekonomicznego Towarzystwa, gdyż z nią ściśle były związane dwie główne pozycje budżetowe, a mianowicie: dochody z koncertów i opłat członków. Dla tego też w miarę, jak zmonopolizowana dawniej impreza koncertowa zaczęła stopniowo usuwać się z rąk Towarzystwa, komitet, wobec groźnego położenia zwątpiwszy o własnych siłach, podał się gremialnie do dymisji w nadziei, że może nowi ludzie znajdą punkt wyjścia dla instytucji, tak w zasadzie pożytecznej i niezbędnej, że pchną jej działalność na właściwe tory.

Dnia 1 grudnia r. z. nowy komitet objął swoje obowiązki i nakreślił program przyszłej działalności, która da się streścić w 3-ech następujących punktach:

1-o Głównem zadaniem T-wa jest popieranie polskiej sztuki muzycznej i dramatycznej.

2-o Działalność pedagogiczną T-wa, wyrażającą się w klasach muzycznej i dramatycznej, należy rozwinąć do możliwych granic pod względem jakościowym i ilościowym.

3-o Działalność koncertową, jako imprezę, możliwie zmniejszyć, całą zaś wagę skierować ku zachęceniu sił i zdolności swoich.

O ile jednak taki program w dążeniach swoich jest prosty i zrozumiały, o tyle okazuje się trudnym do zastosowania, a nawet do rozwinięcia w poszczególnych punktach. Z jednej strony szczupłe fundusze Towarzystwa i nieodpowiedny lokal, z drugiej niedostatecznie rozwinięte poczucie publiczności w sprawach społecznych, są przeszkodami olbrzymiej wagi. Wobec warunków tak niesprzyjających, nowy komitet może tylko stopniowo przekształcać powierzoną sobie instytucję, nadać jej poważny typ stowarzyszenia, czuwającego nad rozwojem sztuki, i działalność tę oprzeć na trwałych podstawach.

Przy nawale zajęć i w stosunkowo bardzo krótkim czasie inicjatywa zarządu zdążyła wydać już następujące skutki: rozbudzenie zajęcia dla Towarzystwa i przysporzenie mu zdwojonej ilości członków; otwarcie czytelnicy dla członków; zmianę programów koncertowych w kierunku polskiej muzyki; złożenie przez M. Karłowicza amatorskiej orkiestry smyczkowej, składającej się z 36 członków, urządzenie odczytów, popularyzujących wiedzę muzyczną; uporządkowanie biblioteki; opracowanie projektu rozszerzenia działalności szkoły muzycznej, przy Towarzystwie istniejącej, zbieranie wiadomości o wszystkich adeptach sztuki muzycznej i dramatycznej, w celu spożytkowania i skupienia kółek śpiewaczych pod orędownictwem Towarzystwa itd.

Słowem, starano się uczynić wszystko, co przy skromnych siłach i środkach było możebne do spełnienia.

W sprawie zaś przyszłych losów Towarzystwa muzycznego w bliższej i dalszej przyszłości należy jeszcze powiedzieć co następuje.

„Niema wątpliwości, że w naszym społeczeństwie, gdzie obok dobrego bytu ekonomicznego rozwój nauki i sztuki są czynnikami największej wagi, że tu, jak i w każdym narodzie kulturalnym, istnieje chociażby jednego stowarzyszenia muzycznego, mającego w swej

pieczy miejscową sztukę, jest rzeczą wprost niezbędną. Że tylko ów cel czysto idealny, nie zamaćony żadną przymieszką specjalizacji, ma nasz komitet na względzie, już przez to samo daje dowód, że na wszystkich urzędach pracuje bezinteresownie. Prostym więc obowiązkiem otaczającego nas społeczeństwa jest wesprzeć te dążenia, dołożyć nieodzowną cegiełkę do całego gmachu samodzielnej i kwitnącej cywilizacji, której doniosłość nie wymaga tłómaczenia“.

Dziś komitet posiada zasadniczy, jasny cel zobopólnej pracy: dać trwale podwaliny instytucji, mogącej z istotną powagą roztoczyć skrzydła opiekuńcze nad rozwojem polskiej sztuki muzycznej i dramatycznej. Zarząd jednak nie powinien pozostać samotny i bez pomocy. Zadne i piękne zadanie spełni o tyle, o ile mu do tego dopomoże społeczeństwo.

Czy dopomoże? O tem nie wątpimy, bo ludzi dobrej woli nie brak u nas, a grzechem byłoby nie małym, gdyby losy instytucji mającej taką tradycję i takie zasługi, jak Towarzystwo muzyczne, rozbić się miały o obojętność ogółu. Zaznaczamy jednak, że potrzeba pomocy spiesznej, bo deficyt Towarzystwa w roku sprawozdawczym wynosił już rubli 4,857 kop. 58. Nie dajmyż mu urosnąć w latach następnych!

Dnia 3 kwietnia roku bieżącego zmarł w Gries w Tyrolu ś. p. Eustachy książę Sanguszko, były marszałek i namiestnik Galicji.

Zmarły urodził się w r. 1842, jako syn ś. p. Władysława Hieronima ks. Sanguszki Zasławskiego i ks. Izabelli z ks. Lubomirskich z Przeworska.

Karyerę polityczną rozpoczął w r. 1877, jako poseł na sejm krajowy galicyjski. W tymże roku mianowany został dziedzicznym członkiem austriackiej izby panów, a od r. 1879 posłował do rady państwa w Wiedniu. Dnia 21 września 1890 roku powołano go na godność marszałka krajowego galicyjskiego, a w r. 1896 na ważne i odpowiedzialne stanowisko namiestnika Galicji, opróżnione po Kazimierzu hr. Badenim.

Jako marszałek i jako namiestnik zjednał sobie książę Eustachy wysokim taktem politycznym wszystkie stronnictwa i pozostawił po sobie jaknajlepsze wspomnienie. Rozważny i umiarkowany, łagodny a stanowczy, umiał on zawsze kroczyć śmiało i prosto ku jednemu

celowi, który przyświecał całej jego działalności politycznej i obywatelskiej, a którym była pomyślność kraju. Śmierć jego wzbudziła też powszechny i nietajony żal w całej Galicyi.

Dnia 13 kwietnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Witold Marczewski, jeden z najwybitniejszych techników polskich, człowiek dobrze zasłużony na wielu polach pracy publicznej.

Urodzony w r. 1832 w Wierzbicy, w gub. Płockiej, ś. p. Marczewski kształcił się w Warszawie, gdzie też ukończył gimnazyum. Poświęciwszy się zawodowi technicznemu, wstąpił, jako inżynier, na kolej warszawsko-wiedeńską, wkrótce jednak wyjechał za granicę dla uzupełnienia wykształcenia. Po powrocie objął opuszczone stanowisko na nowo i pozostawał na niem do roku 1863. W tym czasie rozwinął niezwykle owocną działalność w kierunku rozbudzenia piśmiennictwa technicznego, zakładając wspólnie z bratem, Bronisławem, „Dziennik politechniczny“, którego pierwszy numer ukazał się w r. 1860. Była to pierwsza u nas w tej dziedzinie publikacja periodyczna.

Od r. 1863 do r. 1886 ś. p. Marczewski bawił w gub. Wiackiej gdzie jako inżynier zakładów fabrycznych Poklewskich, nabył rozległej w zawodzie swoim praktyki. Po powrocie do Warszawy objął stanowisko inżyniera naczelnego zakładów przemysłowych Towarzystwa B. Hantke, które postawił na pierwszorzędnej stopie rozwoju.

Niespożyta energia, piękny i kryształowo czysty charakter, oraz wyjątkowa niemal wiedza w zakresie swej specjalności zjednały mu cześć i poważanie nie tylko w kołach fachowych, ale wśród wszystkich ludzi, z którymi się spotykał. Robotnicy zakładów Hantkego byli doń przywiązani, jak do ojca, szanowali go i uwielbiali.

Śmierć przerwała to pożyteczne i w pracy spędzone życie, nie wolne od cierpień i przejść ciężkich, ale piękne i szlachetne w każdym drgnieniu duszy, miłującej prawdę i cnotę.

W Radomiu zmarł ś. p. Konstanty Mirecki, obywatel ziemski, przeznaczając prawie cały swój ogromny majątek na cele dobra ogólnego.

Z masy spadkowej, wynoszącej 570,000 rubli, rodzina zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, otrzyma tylko 88,000 rubli, reszta zaś ma być obrócona na następujące fundacje: 20,000 rubli na stypendya imienia Konstantego Mireckiego dla Polaków, katolików, władających językiem polskim i kształcących się w średnich zakładach naukowych i w uniwersytecie; 15,000 rubli na kuchnię tanią w Warszawie dla studentów uniwersytetu, uczniów szkół i biednych rzemieślników; 15,000 rubli dla Towarzystwa osad rolnych w Warszawie; 6,000 rubli na instytucję jałmużniczą ś. Kazimierza przy ulicy Nowe Miasto w Warszawie; 10,000 rubli na szkołę ogrodniczą przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie; 10,000 rubli na szpitalik dziecięcy przy ulicy Aleksandrya w Warszawie; 5,000 rubli na kasę imienia Mianowskiego w Warszawie; 6,000 rubli na utrzymanie 2 łóżek w szpitalu św. Kazimierza w Radomiu; 6,000 rubli dla Towarzystwa dobroczynności w Radomiu z przeznaczeniem procentów na wsparcia dla wstydzających się zebrać; 10,000 rubli na ochronkę dla dzieci katolickich w Radomiu; 10,000 rubli na dom przytułku i pracy w Radomiu; 40,000 rubli na założenie szkoły rzemieślniczej w Warszawie; 50,000 rubli dla Akademii umiejętności w Krakowie; 50,000 rubli na odnowienie zamku Królewskiego na Wawelu w Krakowie; 40,000 rubli dla oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Warszawie, z przeznaczeniem procentu od tej sumy dla Polaków, katolików, na kształcenie się w zawodzie rolniczym lub rzemieślniczym de uznania tego oddziału; gdyby zaś oddział nie chciał lub nie mógł się tem zająć, zastąpić go mają prezes i radcowie dyrekcji szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie; 6,000 rubli na odnowienie kościoła po-Bernardyńskiego w Radomiu; 3,000 rubli na szpitalik dziecięcy, który ma powstać w Radomiu; 36,000 na wielki ołtarz i ambonę w nowym kościele w Radomiu i 30,000 rubli na budowę dwóch wież w tym kościele; wreszcie 40,000 rubli na szpital św. Kazimierza w Radomiu, z tym warunkiem, aby fundusz powyższy, łącznie z procentami i innymi ofiarami, oraz kapitałem, otrzymanym ze sprzedaży gmachu, mieszczącego dziś szpital i resursę w Radomiu, był użyty na wybudowanie nowego szpitala z zastosowaniem najświeższych wymagań nauki.

Całą pozostałą po wypłacie wymienionych powyżej legatów i zapisów resztę masy spadkowej, wynoszącą mniej więcej 60,000 rubli, przeznaczył zapisodawca na budowę nowego kościoła w Radomiu. Na budowę tegoż kościoła przejść ma każdy niezatwierdzony lub nieprzyjęty zapis.

Dnia 21 kwietnia r. b. zmarł w Brukselli ś. p. Henryk Merzbach, księgarz i literat.

Urodzony w Warszawie dnia 29 grudnia 1837 r., kształcił się ś. p. Merzbach w słynnej podówczas szkole Leszczyńskiego, a następnie w gimnazjum gubernialnem, które w r. 1853 ukończył. Dwa lata następnie przepędził w uniwersytecie Wrocławskim, dalsze zaś studia odbył w Brukselli i w Paryżu. Działalność literacką rozpoczął w r. 1855, od ulotnych poezyi. Do ważniejszych utworów jego należą: „Trzy struny“ — poemat (Paryż 1860); „Głos tułacza“ — zbiór poezyi (Neapol 1861); „Strzaskana lutnia“; „Joachim Lelewel w Brukselli“ i inne. Nadto pod pseudonimem Agricoli pisywał wierszem „Listy z Belgii“. Poza literaturę zajmował się Merzbach księgarstwem, będąc właścicielem wielkiej księgarni w Brukselli, pod firmą C. Miquardt. Na tem stanowisku pozyskał dużą wśród kupiectwa brukselskiego popularność, o czem świadczy godność sędziego trybunału handlowego, którą piastował od r. 1888.

Ostatnie lata swojego życia poświęcił Merzbach pracy filantropijnej, rozwijając owocną działalność, jako sekretarz „Ligi przeciw alkoholizmowi.“

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — *Wydział Filologiczny* odbył kilka posiedzeń. Dnia 9 lutego bieżącego roku dr Tadeusz Grabowski streścił trzecią część pracy swej pod tytułem: „O poezji polskiej po roku 1863”. (Całość ukazała się właśnie w książkowym osobnym wydaniu). Na posiedzeniu ściślejszem Sekretarz przedstawił wnioski komitetu obranego dla obmyślenia sposobów obchodu czterechsetnej rocznicy urodzin Reya. Wnioski te są: 1) aby drogą konkursową przygotować na dzień obchodu obszerną, w naukowy sposób traktowaną monografię o Reyu; 2) aby wydać *Zwierciadło Reya*, ewentualnie zebrać w osobnym jubileuszowym wydaniu drobne pisma jego, rozproszone po różnych, mało do-tępnych wydawnictwach; 3) aby urządzić w roku 1905 zjazd historyczno-literacki imienia Reya. Wnioski te po dłuższej dyskusyi zostały przez Wydział przyjęte i mają być przedstawione na walnem majowym posiedzeniu Akademii Umiejętności do zatwierdzenia.

Do komitetu konkursowego imienia Barczewskiego dla nagradzania dzieł historycznych obrani zostali pp. K. Morawski i L. Lepszy.

Sekretarz przedstawił sprawozdanie z posiedzenia Komisji do badania historii sztuki w Polsce, które odbyło się dnia 23 stycznia 1903 roku, pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego.

— Dnia 6 kwietnia odbyło się posiedzenie *tegoż Wydziału* z następującym porządkiem dziennym: L. Puszet: „Studia nad polskim budownictwem. I. Chata“, ref. prof. dr czł. M. Sokołowski. Prof. P. Bieńkowski przedstawił swoje dwie prace: a) „O nieznanym luku rzymskim“; b) „O Tacyta Germanii rozdz. XVII“.—Potem odbyło się posiedzenie ściślejsze. Na porządku dziennym: Sprawa konkursu imienia Bieleckiego i wybór nowych członków Komisji.

— Dnia 24 stycznia 1903 roku odbyło się posiedzenie *Komisji historycznej*, pod przewodnictwem Eksc. Bobrzyńskiego.

Naprzód prof. Abraham przedstawił sprawozdanie z prac ekspedycji rzymskiej od października 1901 po koniec stycznia 1903 roku

W roku 1901/2 pracował w Rzymie dr Stan. Zakrzewski, prowadząc dalsze poszukiwania w materiałach archiwum watykańskiego, odnoszących się do wieków średnich. Przejrzał naprzód dwadzieścia pięć tomów regestów laterańskich Eugeniusza IV-go od tomu 408 do 433 (do roku 1447), tudzież 136 tomów aktów skarbowych z wieku XIV-go z działów *Rationes Collectorum* i *Introitus et exitus camerae Ap.* Nadto kolacyonował 482 aktów z wydawnictwa *Theinera Monumenta Poloniae*. Tom pierwszy po koniec roku 1334 dla zamierzonego wydawnictwa *Monumenta Vaticana Poloniae*. Obecnie od listopada pracuje dr Władysław Semkowicz nad regestami snplik Eugeniusza IV-go. W bibliotece watykańskiej praca dotyczy głównie wyzyskania nowo uporządkowanych działów (jak obecnie *Museo Borgiano*), tudzież wszystkich formularzy średniowiecznych. Dała ona już w roku ubiegłym bardzo wydatne wyniki. Dr Semkowicz zaś zestawil teraz wykaz wszystkich tych formularzy na podstawie inwentarzy biblioteki.

Prof. Abraham w czasie swej dwukrotnej bytności w Rzymie w styczniu roku 1902 i 1903, pracował nad dalszem uzupełnieniem materiału średniowiecznego, prowadząc poszukiwania w luźnych rękopisach archiwum, tudzież badał materiały z końca wieku XV i z wieku XVI, celem określenia dalszego planu poszukiwań. Przejrzał 36 tomów regestów z tych czasów, tudzież 53 rękopisów luźnych z różnych Armaryów. Wszędzie niemal znalazł się nowy materiał dla dziejów Polski. Na szczególną uwagę zasługuje rękopis bez sygnatury, obejmujący regesta wikaryatu obserwantów Zakonu Franciszkanów z lat 1464 — 1488, nie wyzyskany dotąd wcale przez naukę, jedyny znany fragment tych regestów, a mieszczący wiele bardzo ważnych dokumentów do dziejów obserwantów w Polsce i na Rusi. Nadto pierwszorzędnej wagi materiał obejmuje również dotąd prawie nietknięty dział *Addimenta* do aktów nuncyatury, obejmujący załączniki (memoryały, listy) sprawozdań nuncyuszów. W pierwszym tomie działu *Polonia* mieści się cały szereg odpisów aktów XIII wieku, dotyczących tak Polski, jak Prus; w drugim plik odpisów korespondencji Possewina z Polski i Węgier, i różne listy rozmaitych osób do niego i innych z lat 1581 — 1610, nadto referaty i listy w sprawach polsko-rosyjskich z lat 1582 — 1583. Tom trzeci obejmuje lata 1608 — 1649, lecz mieszczą się w nim nawet akta z roku 1573.

Oprócz tego pracował prof. Abraham w Archiwum Zakonu Dominikanów. Archiwum posiada głównie materiały do dziejów nowszych, od wieku XVI począwszy. Dla nowszej historii Dominikanów w Polsce, na Litwie i na Rusi płon tu bardzo obfity, wiele bowiem tomów i fascykułów obejmuje akta do naszych prowincyi się odnoszące, między innymi rękopis ze sprawozdaniem z podróży wizytacyjnej komisarza Generała Zakonu, Damiana a Fonseca w latach 1618 — 1620 po wszystkich naszych Konwentach. Dla dziejów

Dominikanów w wiekach średnich pierwszorzędnym materiałem mieści się w nieomówionych dotąd w literaturze regestach Generalów Zakonu. Tom pierwszy tych regestów (odpis) obejmuje lata 1386 — 1386, od tomu drugiego rozpoczynają się regesta oryginalne od roku 1469. Regesta te do końca wieku XV obejmuje tomów trzynaście, a wszędzie nie brak zapisków, odnoszących się do Polski, pod rubryką provincia Poloniae.

Następnie Dyrektor wydawnictw, profesor W. Zakrzewski przedstawił nadesłany przez dra Eugeniusza Barwińskiego ze Lwowa plan wydawnictwa Dyaryuszów sejmowych z pierwszych lat panowania Zygmunta III, w którym p. R., podawszy spis znanych mu rękopiśmiennych Dyaryuszów i donosząc o swoich pracach dotychczasowych w celu zgromadzenia ich kompletu, oznajmia swą gotowość wydania na teraz Dyaryuszów sejmowych z roku 1597, zebranych już w zupełności w dwóch różnych redakcyach, obszerniejszej polskiej i zwięźlejszej łacińskiej. Dyaryusze sejmów wcześniejszych jeszcze nie są zebrane w komplecie i dlatego dopiero potem będzie można je wydać. Po dyskusji, wśród której obecny na tem posiedzeniu p. Stanisław Ptaszycki z Petersburga oznajmił, że posiada w odpisie Dyaryusz sejmowy z roku 1588, który gotów jest oddać Komisji do użytku w tem wydawnictwie dyaryuszów, uchwalono na wniosek Dyrektora wydawnictw przystąpić do wydania tych dyaryuszów w publikacyach Komisji (w *Script. rerum Polonic.*), wydać niezwłocznie Dyaryusze sejmowe 1597 już do druku przygotowane i zaważać p. Barwińskiego, aby po ich wydaniu zaraz zajął się przygotowaniem do druku dyaryuszów z 1588 i 1589 roku.

W końcu na temże posiedzeniu uchwaliła Komisya budżet na rok 1903 i dokonała wyboru nowych członków, którzy będą przedstawieni Wydziałowi historyczno-filozoficznemu do zatwierdzenia.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 27 kwietnia 1903 roku. — Sekretarz przedstawił pracę p. J. Ptaszyckiego pod tytułem: „O Bonarach“. Potem odbyło się posiedzenie administracyjne. Na porządku dziennym: Sprawa konkursu ks. A. Jakubowskiego.

— W najpoważniejszym naukowo krytycznym organie niemieckim, miesięczniku „*Göttingische Gelehrte Anzeigen*“, wydawanym przez Akademię getyngeską w poszycie z marca roku bieżącego znajdujemy obszerną rozprawę prof. R. F. Kaina, omawiającą bardzo szczegółowo pierwsze dwa tomy „Monografii w zakresie dziejów nowożytnych“, wydawane przez prof. Szymona Askena zego, t. j. prace J. Bojasińskiego: „Rządy Tymczasowe w Królestwie Polskiem“ i M. Loreta: „Między Jeną a Tylżą“. Rozprawa krytyczna uczonego niemieckiego (wyd. też w oddzielnej odbite, Sonderabdruck aus den *G. G. Anz.*, Berlin, Weidmannsche Buchhandlung 1903) pochlebnie świadczy o zainteresowaniu, jakie w nauce zagranicznej wywołało początkujące dopiero wydawnictwo „Monografii“, otwarte, jak wiadomo, dla współpracownictwa najmłodszych naszych historyków. Z przy-

jemnością zapisując ten tak rzadki dziś za granicą dowód uznania dla prac naukowych polskich, zaznaczamy zarazem, że obadwa rzeczzone tomy „Monografii“ wydane zostały z zasiłku Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

— W wydawnictwie M. Arcta „Książki dla wszystkich“ ukazały się następujące tomiki: „Oświecenie współczesne“ opisał Wł. Umiński, z 20 ma rysunkami (10 kop.); G. Tołwiński: O kalendarzu i jego znaczeniu (15 kop.); dr Edward Hanslick: O pięknie w muzyce, studjum estetyczne (30 kop.); Stan. Bouffałł: Zasady mechaniki jako wstęp do nauki fizyki (30 kop.); Stan. Brzozowski: Józefa Kremera poglądy na sztukę i jej historię; Antoszka: Działalność kobiet czeskich i ich udział w odrodzeniu Czech (20 kop.); Izabela Moszczeńska: Dla rodziców rady i wskazówki przy wychowaniu dzieci (10 kop.); dr T. Dunin: Suchoty płuc i jak skutecznie z nimi walczyć można (10 kop.); dr Wł. Sterling: Fiziologia człowieka. Z 30-ma rysunkami (25 kop.).

— KONKURS. — Zasłużony pracownik na niwie naszego piśmiennictwa technicznego, inż. p. Feliks Kucharzewski, b. redaktor, a obecnie członek redakcyi „Przeglądu Technicznego“, złożył na ręce Rady Gospodarczej Stowarzyszenia Techników rubli trzysta, przeznaczając sumę tę na nagrodę konkursową za prace nad *słownictwem technicznym*, na warunkach następujących:

1) Nagroda przyznana będzie autorowi najlepszego ze słownictw specjalnych, przedstawionych Wydziałowi Słownictwa przy Stowarzyszeniu Techników w Warszawie, przed dniem 1 kwietnia 1904 roku i wydrukowanych w „Przeglądzie Technicznym“ przed dniem 1-go października tegoż roku.

2) Słownictwo ma obejmować co najmniej sto wyrazów, ściśle danej specjalności przynależnych i tę specjalność przynajmniej w najważniejszych szczegółach wyczerpujących, a zestawionych podwójnie: przedmiotowo (same polskie) i alfabetycznie polskie z francuskimi i niemieckimi, oraz z niezbędnymi objaśnieniami.

3) Każde słownictwo przedstawione rozpatrzone będzie w Wydziale Słownictwa i w porozumieniu z Redaktorem „Przeglądu Technicznego“ zakwalifikowane lub nie do wydrukowania w szeregu materiałów, ogłaszanych przez Wydział w „Przeglądzie Technicznym“. Słownictwa nie zakwalifikowane do wydrukowania, wyłączone będą z konkursu.

4) Sąd konkursowy złożony będzie z Redaktora „Przeglądu Technicznego“, jako przewodniczącego i ośmiu członków Stowarzyszenia, zaproszonych przez Radę Gospodarczą. Skład sądu konkursowego ogłoszony będzie w „Przeglądzie Technicznym“ przed 1 lipca 1903 roku.

Sąd konkursowy rozpatrzy słownictwa specjalne, ogłoszone drukiem w „Przeglądzie Technicznym“ w szeregu materiałów, gromadzonych przez

Wydział Słownictwa, do dnia 1 października 1904 roku i najlepszemu z tych słownictw przyzna nagrodę.

5) Przyznanie nagrody nastąpi przed dniem 15-go listopada 1904 roku.

— Wyszedł z druku zeszyt 181-szy „Słownika Geograficznego“, zawierający dopełnienie od nazwy „Michaliński“ do „Odołanów“. Z większych opracowań pomieszczono tu: Miechów, Mińsk, Mława, Mogilno, Mohilew, Nakło, Nowogród, Nowosiolki, Obra.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

E. Abramowski: Dusza i ciało. (Prawo współrzędności psychofizyologicznej rozpatrywane ze stanowiska teorii poznania i biologii. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“. Warszawa, 1903, str. 158 + II.

Biegański Władysław: Zasady logiki ogólnej. Warszawa, 1903. Z zapomogi Kasy Mianowskiego, str. 406 + VII + 5 nlb.

Mastelski Juliusz: Filozofia przyrody w zarysach. Część czwarta. Warszawa, 1903 (E. Wende i S-ka) str. 174.

EKONOMIA POLITYCZNA. — SPRAWY SPOŁECZNE.

S. Posner: Drogi samopomocy społecznej. Szkice i wrażenia. Płock--Warszawa, 1903. Dochód ze sprzedaży przeznaczony na rzecz Muzeum przy Towarzystwie drobnego przemysłu w Płońsku, Str. XII + 361.

Dr Jan Rozwadowski: Parcelacya wielkiej własności w świetle postępowania pruskich instytucji pośredniczących. MCMIII. Nakładem autora. Lwów. Księgarnia Polska. (B. Polonieccki). Warszawa. E. Wende i Sp. 1903. Str. X + 372.

Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Rolniczego w Płocku za 1902 rok. Płock. Druk K. Miecznikowskiego, 1903, str. 163.

HISTORIA LITERATURY.

Polemika Stanisława Krzezińskiego z prof. Uniwersytetu Lwowskiego, p. Szymonem Askenazym. Warszawa. 1903 (Odbitka z „Ognia“, 1903 r.), str. 45.

Aleksander Poliński: Pieśń Bogarodzica pod względem muzycznym. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1903. Cena rb. 1 80, str. 140 + 12 nlb.

Szczerota Prawdzięki: Zaćmienie Polski światu powszechnemu wykazane. Eclipsis Poloniae orbi publico demonstrata Authore Candido Veronensi. Kraków, 1902. Cena rb. 2.50, str. XVI + 161.

Juliusz Słowacki: Samuel Zborowski. Dramat w pięciu aktach. Wydanie z autografu ze wstępem i objaśnieniem d-ra H. Biegeléiseua. Warszawa. Jan Fiszer. 1903, str. 215.

Stanisław Załhej: „Fraszki“ Jana Kochanowskiego. Studium literackie. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1903. (Osobne odbicie z tomu XXXIV Rozpraw Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności), str. 73.

POEZYE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

A. Bellessort: Podróż do Japonii. Społeczeństwo japońskie. Przekład wolny J. P. Część I, str. 160. Część II, str. 159 (Bibl. Dz. Wybor.). Warszawa, 1903.

Stefan Gacki: Rozdźwięki. Warszawa, 1903. Jan Fiszer, str. 252. Okładka ozdobna T. Noskowskiego.

Hall Caine: Izrael (Kozioł ofiarny). Przekład z angielskiego Maryi Feldmanowej. Warszawa. Nakład Hieronima Cohna, 1903, str. 382. Cena rub. 1.

Marya Kazecka: Kędy mileczy słońce. Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903, str. 88.

Wiktorya Przeradzka: Fragment. Nakładem Feliksa Przeradzkiego. Warszawa, 1903, str. 167.

Bogdan Jaxa-Ronikier: Powieść obyczajowo współczesna. Część I, str. 151. Część II, str. 160. (Bibl. Dz. Wyb.). Warszawa, 1903.

Ludwik Stasiak: Pieniądz. Powieść. Lwów, 1902 (E. Wende i Sp.), str. 214.

Kazimierz Przełwa-Tetmajer: Na skalnem Podhalu. I. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. (Panu Henrykowi Sienkiewiczowi, twórcy Trylogii, w dowód podziwu ofiaruję). Str. 229 + 2 nrb.

Maryan Zaruski: Sonety Morskie. Sonety Północne. 1902. Kraków, str. 88.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

Konkurs na operę polską.

Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłasza niniejszem z fundacji *Konstantego Wołodkowicza* konkurs na napisanie opery, osnutej na tle poematu „*Marya*“ Antoniego Malczeskiego, pod warunkami następującymi:

1. Opera ma zapełnić cały wieczór, a więc składać się z trzech, czy czterech aktów.

2. Muzyka mieć powinna charakter swojski z możliwem użytkowaniem motywów ludowych, przy zachowaniu cech, ściśle etnograficznych.

3. Libretto, którego plan wydrukowany będzie w „*Echu muzycznym*“ i w odbitkach złożony w księgarni Gebethnera i Wolffa, może ulegać modyfikacyom dowolnym, byleby większa część tekstu oryginalnego poematu była użytą bez zmiany. W miejscach, przedstawiających trudności zastosowania muzyki i śpiewu do poezyi — należy użyć deklamacyi z towarzyszeniem orkiestry. W tem miejscu fundator wyraża życzenie, by libretto, dla nieodbijania dorobionych wierszy od poezyi Malczeskiego, było raczej ułożone prozą rytmiczną.

4. Najlepsza z nadesłanych partytur otrzyma nagrodę w sumie rubli pięciu tysięcy, przyczem dzieło nagrodzone pozostaje najzupełniejszą własnością kompozytora wobec scen i osób trzecich.

5. Wyciąg fortepianowy nagrodzonej opery z tekstem wydrukowany będzie kosztem fundatora przez Zarząd Filharmonii Warszawskiej, również na wyłączną korzyść kompozytora.

6. Partytury orkiestrowe i fortepianowe, zaopatrzone godłem takim, jak i koperta zapieczętowana, mieszcząca nazwisko i adres kompozytora, winny być nadsyłane pod adresem Zarządu Filharmonii Warszawskiej najdalej do dnia 1 lipca n. st. 1904 roku.

7. Sądowi konkursowemu służy prawo poczynienia na lepiej opracowanych partyturach uwag, dotyczących warunków scenicznych, instrumentacyi i t. p. Partytura, w ten sposób poprawiona, będzie mogła współubiegać się o nagrodę w konkursie następnym, który będzie ogłoszony, o ileby na pierwszym żadna z nadesłanych partytur nie zyskała absolutnej większości głosów.

8. Sąd konkursowy stanowią będą uproszeni przez fundatora panowie: Antoni Dvorzak, Leopold baron Kronenberg, Emil Młynarski, Zygmunt Noskowski i Władysław Żeleński.